

# Wróg

Bagley Desmond



calibre 0.9.27

**Desmond Bagley**

**Wróg**

(The Enemy)

Przekład Małgorzata Semil



Penelopę Ashton poznałem na ubawie u Toma Packera. Właściwie „ubaw” to za dużo powiedziane, ponieważ nie było tam ani wzmocnionego ponczu, ani trawki, ani różowych baletów, ani migdalenia się do świtu z kim popadnie. Po prostu kilka osób spotkało się na dobrej kolacji, przy której było sporo śmiechu i dużo się gadało. Wieczór się przeciągał, a Tom tak hojnie dolewał whisky, że nie miałem ochoty wracać do domu własnym samochodem, tylko wziąłem w końcu taksówkę.

Penny Ashton przyprowadzili Huxhamowie; Dinah Huxham jest siostrą Toma. Do tej pory nie zdołałem ustalić, czy to mnie zaproszono, żeby Penny nie była bez pary, czy też ją zaproszono ze względu na mnie. W każdym razie, kiedy zasiedliśmy do stołu, okazało się, że pań i panów jest do pary, a mnie przypadło miejsce obok niej. Miała ciemne włosy, była wysoka, spokojna, skupiona i dość powściągliwa. Nie była uderzająco piękna, ale w końcu niewiele jest kobiet naprawdę pięknych. Przez Helenę Trojańską tysiąc okrętów ruszyło na morze, natomiast dla Penny Ashton nikt by nie zepchnął na wodę nawet jednej łódki. No, przynajmniej nie natychmiast, gdy na nią spojrzał. Nie znaczy to, że nie mogła się podobać. Co to, to nie. Miała niezłą figurę, niezłą twarz i była dobrze ubrana. Dałem jej dwadzieścia siedem lat i niewiele się pomyliłem – miała dwadzieścia osiem.

Jak zwykle wśród przyjaciół Toma rozmowa toczyła się na najprzeróżniejsze tematy; Tom był wschodzącą gwiazdą wśród wyższych sfer medycznych i dobierał gości z bardzo różnych środowisk, więc rozmawiało się znakomicie. Penny też uczestniczyła w konwersacji, ale na ogół słuchała, sama zaś rzadko zabierała głos. Po jakimś czasie zorientowałem się, że jej nieliczne uwagi są celne, a gdy słucha opinii, z którymi się nie zgadza, w jej oczach pojawia się błysk ironii. Bystrość umysłu Penny bardzo mi się spodobała.

Po kolacji kontynuowaliśmy rozmowę w salonie przy kawie i koniaku. Tom wie, że wolę inne trucizny niż koniak, więc nalał mi miarkę whisky zdolną powalić słonia i postawił przy mnie dzbanek pełen wody z lodem.

Jak to zazwyczaj bywa, po kolacji, podczas której wszyscy rozmawiali ze wszystkimi, w salonie towarzystwo podzieliło się na mniejsze grupy. Każda z nich z zapałem drążyła jakiś wybrany temat, ostro dosiadała ulubionych koników. Ku swojemu lekkiemu zaskoczeniu wybrałem towarzystwo dwuosobowe, w którym znalazłem się ja – i Penny Ashton. W sumie było ze dwanaście osób, ale ja tkwiłem w kącie i nie odstępowałem Penny Ashton. Czy to może ona nie odstępowała mnie? A zresztą, jak się to w takich przypadkach zdarza, chyba nie odstępowaliśmy się nawzajem.

Nie pamiętam już, od czego zaczęliśmy, ale po jakimś czasie rozmowa zesłała na sprawy bardziej osobiste. Dowiedziałem się, że Penny pracuje naukowo, jest biologiem i specjalizuje się w genetyce, współpracuje z profesorem Lumsdenem w University College w Londynie. Genetyka stała się dziedziną niezwykle modną, wzbudzającą najżywsze kontrowersje, a Lumsden uchodził za jednego z najwybitniejszych specjalistów. Byle kto nie mógł być jego współpracownikiem, toteż przyznam, że Penny Ashton zaczęła mi imponować. Okazała się osobą znacznie ciekawszą, niż mi się początkowo

wydawało.

W czasie rozmowy zapytała mnie w pewnej chwili, czym się zajmuję.

– Niczym szczególnym – powiedziałem lekko. – Pracuję w City.

W jej oczach pojawił się charakterystyczny błysk ironii i powiedziała z naganą: – Proszę nie robić sobie żartów. To do pana nie pasuje.

– To szczerza prawda! – oświadczyłem. – Przecież ktoś musi puszczać w ruch koła biznesu. – Nie wróciła już do tego tematu.

Wreszcie ktoś spojrzał na zegarek, ze zgrozą odkrył, że straszliwie się zasiedzieliśmy, i towarzystwo zaczęło się z wolna rozchodzić. Zazwyczaj im bardziej udane spotkanie, tym później goście się rozchodzą, i rzeczywiście, pora była już bardzo późna.

– O, Boże, mój pociąg! – jęknęła Penny.

– Z którego dworca?

– Z Victorii.

– Podrzucę panią – zaproponowałem i podniosłem się z fotela, nieco chwiejnie, bo whisky, którą mnie Tom raczył, uderzyła mi do głowy. – Taksówką.

Zatelefonowałem po taksówkę. Czekając na jej przyjazd, staliśmy jeszcze przez chwilę w przedpokoju. A potem, gdy jechaliśmy przez jasno oświetlone londyńskie ulice, pomyślałem nagle, że spędziłem niezwykle udany wieczór; dawno już nie czułem się tak dobrze. I nie miało to nic wspólnego z faktem, że Tom serwował naprawdę wyborną whisky.

– Od dawna zna pani Packerów? – spytałem Penny.

– Od kilku lat. Dinah Huxham to moja koleżanka ze studiów w Oksfordzie. Wtedy nazywała się Dinah Packer.

– Mili ludzie. Bardzo sympatyczny wieczór.

– Bardzo.

– Może byśmy go powtórzyli, tylko we dwoje? – zaproponowałem. – Moglibyśmy, na przykład, wybrać się do teatru, a potem na kolację.

Milczała przez chwilę. – Dobrze – zgodziła się wreszcie. Umówiliśmy się więc na następną środę, a ja poczułem się jeszcze lepiej.

Nie dała się odprowadzić na dworzec, więc tą samą taksówką pojechałem dalej do siebie. Dopiero w domu uświadomiłem sobie, że nawet nie wiem, czy jest zamężna czy nie, i usiłowałem przypomnieć sobie wygląd jej lewej ręki. Potem uznałem, że jestem skończonym durniem; w końcu ledwie ją znam, więc co za różnica, czy jest zamężna czy nie? Przecież nie miałem zamiaru się z nią

żenić, prawda?

W umówioną środę przyjechałem po nią do University College kwadrans po siódmej i przed spektaklem wstąpiliśmy do pubu na drinka. Nie lubię barów przy teatrach. Na ogół zbiera się w nich zbyt wiele przeróżnych sław. – Zawsze pracuje pani do tak późnej pory? – spytałem.

Pokręciła głową. – To zależy. Wie pan, nie jest to zajęcie „od-do”. Czasem nawet zostajemy na noc, jeśli jest jakaś duża i pilna praca. Ale to się nie zdarza często. Dzisiaj zostałam dłużej, bo byliśmy umówieni na wieczór. Przynajmniej trochę nadgoniłam papierkową robotę.

– Ach, zawsze jest tyle tej papierkowej roboty.

– No, pan to chyba wie najlepiej. Zdaje się, że pańska praca polega wyłącznie na przekładaniu papierków, prawda?

Uśmiechnąłem się. – Rzeczywiście, przekładam tylko banknoty z jednej kupki na drugą.

No, więc obejrzeliliśmy przedstawienie, potem zabrałem ją na kolację do Soho, a wreszcie odstawiłem na dworzec Victoria. Umówiliśmy się znowu na sobotę.

I tak, krok po krocisku, zacząłem się z nią prowadzić regularnie. Byliśmy kilka razy w teatrze, raz w operze, obejrzeliliśmy parę baletów, specjalną wystawę w National Gallery, coś, co koniecznie chciała zobaczyć w Natural History Museum, zwiedziliśmy Zoo w Regent's Park, odbyliśmy wycieczkę Tamizą do Greenwich. Zachowywaliśmy się jak para Amerykanów zaliczających wszystkie atrakcje turystyczne Londynu.

Mniej więcej po sześciu tygodniach oboje chyba doszliśmy do wniosku, że sprawa zaczyna wyglądać dość poważnie. Ja w każdym razie traktowałem ją na tyle poważnie, że wybrałem się do ojca do Cambridge. Uśmiechnął się, kiedy mu opowiedziałem o Penny, i powiedział: – Wyobraź sobie, Malcolmie, że zaczynałem się o ciebie martwić. Najwyższa pora, żebyś się ustatkował. Wiesz cokolwiek o jej rodzinie?

Przyznałem, że wiem niewiele. – O ile się orientuję, jej ojciec jest jakimś drobnym przemysłowcem. Jeszcze go nie znam.

– Nie ma to najmniejszego znaczenia – ciągnął dalej mój ojciec. – Chyba jesteśmy ponad takie snobizmy. Już się z nią przespałeś?

– Nie – odparłem wolno – ale niewiele brakowało.

Chrząknął niewyraźnie i zaczął nabijać fajkę.

– Z moich obserwacji tutaj, w college'u, wynika, że młode pokolenie jest znacznie mniej rozbrykane, swobodne i wolne od zahamowań, niż mu się wydaje. Młodzi nie idą ze sobą do łóżka przy pierwszej okazji – przynajmniej jeżeli odnoszą się do siebie z szacunkiem i traktują poważnie. Czy tak jest w twoim przypadku?

Kiwnąłem głową. – Zdarzały mi się dawniej momenty słabości, ale z Penny jest inaczej. Zresztą,

znam ją dopiero od kilku tygodni.

– Pamiętasz profesora Pattersona?

– Tak. – Joe Patterson kierował jedną z katedr na wydziale psychologii.

– Więc Patterson twierdzi, że normalny człowiek nie wie dokładnie, jakich cech oczekuje od swego partnera życiowego. Powiedział mi kiedyś, że dla przeciętnego mężczyzny ideałem przyszłej żony jest dziewczyna z objawami skrajnej nimfomanii. Był to żart, ale nie pozbawiony ziarna prawdy.

– Co za cynik.

– Jak większość mądrych ludzi. W każdym razie chciałbym poznać Penny, gdy tylko zbierzesz się na odwagę, żeby ją tu przywieźć. Twoja matka byłaby bardzo szczęśliwa, że się żenisz. Szkoda, że tego nie dożyła.

– A jak ty sobie radzisz, tato?

– Jako tako. Najbardziej się boję, żeby nie zdziwaczeć, nie stać się uczonym ekscentrykiem. Robię wszystko, żeby tak się nie stało.

Porozmawialiśmy jeszcze o różnych sprawach rodzinnych i wróciłem do Londynu.

Wtedy to właśnie Penny wykonała konstruktywny ruch. Siedzieliśmy akurat u mnie w mieszkaniu, popijaliśmy kawę z likierem; Penny pochwaliła mnie za chińską kolację, a ja skromnie odparłem, że osobiście ją zamówiłem w pobliskiej restauracji. I wtedy właśnie zaprosiła mnie do siebie do domu na weekend; żeby przedstawić mnie rodzinie.





Mieszkała z ojcem i siostrą w wiejskim domu niedaleko Marlow w hrabstwie Buckingham, niepełną godzinę jazdy z Londynu autostradą M4. George Ashton miał mniej więcej pięćdziesiąt pięć lat, był wdowcem i mieszkał z córkami w stylowym domu z epoki królowej Anny. Takie domy można zobaczyć na reklamowych rozkładówkach w „Country Life”. Było tam absolutnie wszystko: dwa korty tenisowe, basen oraz stajnia przerobiona na garaże, gdzie trzymano kosztowne konie mechaniczne, a także stajnia, która pozostała stajnią, gdzie trzymano kosztowne konie czworonożne – po jednym w każdym rogu. W takich domach zapadają spontaniczne decyzje: „Dzisiaj zjemy podwieczorek na dworze”, goście zaś dowiadują się, że: „Pan przyjmie pana w bibliotece”. Słowem, żyje się tu wygodnie, dostatnio i arystokratycznie.

George Ashton mierzył metr osiemdziesiąt i miał gęstą stalowoszarą czuprynę. Był w doskonałej kondycji fizycznej, o czym przekonałem się na korcie. Grał ostro, agresywnie i musiałem się sporo natrudzić, żeby mu dorównać, choć był ze dwadzieścia pięć lat ode mnie starszy. Pokonał mnie 5-7, 7-5, 6-3, z czego wynika, że miał lepszą kondycję niż ja. Zszedłem z kortu ciężko dysząc, on zaś pobiegł truchtem do basenu, wskoczył nie rozbierając się, przepłynął raz basen i dopiero potem poszedł do domu się przebrać.

Klapnąłem obok Penny. – Zawsze ma tyle pary?

– Zawsze – zapewniła mnie.

Jęknąłem. – Zmęcę się od samego patrzenia na niego.

Siostra Penny, Gillian, była całkowitym jej przeciwieństwem. Miała usposobienie typowej pani domu, a więc nie tylko wydawała polecenie, ale naprawdę prowadziła dom. Ashtonowie nie mieli licznej służby; zatrudniali paru ogrodników, stajennego, lokaja, a zarazem szofera nazwiskiem Benson, jedną służącą na stałe oraz drugą, która przychodziła na kilka godzin każdego ranka. Na tak duży dom, był to niewielki personel.

Gillian była o kilka lat młodsza od Penny i stosunki między siostrami układały się trochę na zasadzie biblijnej Marty i Marii, co przyznam, nieco mnie zdziwiło. O ile mogłem się zorientować, Penny prawie wcale nie zajmowała się domem. Tyle, że sprzątała swój pokój, myła swój samochód i dbała o swojego konia. Gillian brała na siebie wszystkie uciążliwe obowiązki. Ale najwyraźniej nie sprawiało jej to przykrości. Wręcz przeciwnie, wydawała się całkiem zadowolona. Naturalnie, to były moje spostrzeżenia zrobione podczas weekendu, a nie wykluczone, że w pozostałe dni tygodnia rzecz miała się inaczej. Niemniej pomyślałem, że Ashton pewnie doznałby szoku, gdyby Gillian wyszła za mąż i założyła własny dom.

Był to sympatyczny weekend, aczkolwiek początkowo czułem się niezręcznie, wiedząc, że jestem na cenzurowanym. Szybko jednak w miłej atmosferze domowej skrępowanie minęło całkowicie. Kolacja, którą Gillian przyrządziła, była prosta, ale smaczna i doskonale podana, potem graliśmy

w brydża. Ja grałem z Penny, a Gillian z Ashtonem, i szybko się zorientowałem, że w tym towarzystwie Gillian i ja jesteśmy bez szans. Penny grała w sposób zdecydowany, precyzyjny, starannie kalkulując każdą rozgrywkę, Ashton natomiast grał w brydża tak samo jak w tenisa – agresywnie, a chwilami nie licząc się z ryzykiem. Jego karkołomne zagrania częściej kończyły się zwycięstwem niż wpadką, ale w końcu Penny i mnie powiodło się, i ostatecznie wygraliśmy minimalną przewagą punktów.

Jeszcze chwilę porozmawialiśmy, a kiedy panie uznały, że już pora spać, Ashton zaproponował, żebym się z nim napił „na dobranoc”. Nalał mi whisky, która wprawdzie nie była aż tak dobra, jak u Toma Packera, ale niewiele jej ustępowała, i siedliśmy, żeby pogadać. Rzecz oczywista, chciał się dowiedzieć czegoś o mnie i skłonny był opowiedzieć mi o sobie. Dowiedziałem się więc, między innymi, jak robi pieniądze. Ma w Slough parę zakładów produkujących jakieś tam wyroby chemiczne oraz jeden zakład wyspecjalizowany w produkcji utwardzalnych tworzyw sztucznych. Zatrudnia około tysiąca pracowników i – co mi zaimponowało – jest jedynym właścicielem tych przedsiębiorstw. W dzisiejszych czasach rzadko się zdarza, by firmy tej wielkości pozostawały w rękach jednego człowieka.

Potem – niezwykle uprzejmie – zapytał mnie, w jaki sposób zarabiam na życie; wyjaśniłem mu, że jestem analitykiem.

Uśmiechnął się nieznacznie. – Psychoanalitykiem?

Z kolei ja się uśmiechnąłem. – Nie – zajmuję się analizą ekonomiczną. Jestem współnikiem firmy McCulloch i Ross, zajmujemy się konsultingiem ekonomicznym.

– Tak, słyszałem o takich firmach. A co dokładnie robicie?

– Udzielamy różnego typu porad, prowadzimy badania rynkowe, poszukujemy możliwości zbytu nowych wyrobów albo nowych rynków zbytu dla starych wyrobów. I tak dalej. Udzielamy też ogólnych porad ekonomicznych i finansowych. Wykonujemy podstawowe prace badawczo-rozwojowe dla małych przedsiębiorstw, których nie stać na utrzymywanie własnych komórek badawczych. Wielka korporacja nas nie potrzebuje, ale takim jak pan możemy się przydać.

Chyba go to zainteresowało. – Myślałem, żeby wypuścić akcje – powiedział. – Nie jestem znowu taki stary, ale Bóg jeden wie, co się może przydarzyć. Ze względu na córki chciałbym wszystkie swoje sprawy uporządkować.

– Mogłoby się to okazać niezwykle korzystne dla pana osobiście – powiedziałem. – W dodatku, jak pan wspomniał, w przypadku pańskiej śmierci majątek byłby uporządkowany. Uprościłoby to całą procedurę. – Zastanawiałem się przez chwilę. – Nie wiem jednak, czy jest to najwłaściwszy moment, żeby wypuszczać akcje. Chyba słuszniej byłoby poczekać, aż gospodarka trochę się ożywi.

– Jeszcze się nie zdecydowałem – powiedział. – Ale jeśli postanowię wypuścić akcje, to może będzie mi pan mógł doradzić.

– Oczywiście. Tym się właśnie zajmujemy.

Nie wrócił już do tego i rozmowa potoczyła się na inne tematy. Wkrótce potem poszliśmy spać.

Następnego ranka po śniadaniu – przygotowanym przez Gillian – Penny zaproponowała mi konną przejażdżkę. Wymówiłem się od tego, jako że koń wzbudza moją niechęć i nieufność. Poszliśmy więc na spacer trasą, która miała zamiar przejechać konno. Wdrapaliśmy się na zalesione wzgórze, szerokim duktem zesliśmy do doliny i wylądowaliśmy w pubie. Zjedliśmy tam lunch złożony z pieczywa, sera, pikli oraz piwa, a potem Penny dała popis zręczności, grając w rzutki z miejscowymi. Kiedy wróciliśmy do domu, resztę słonecznego dnia spędziliśmy wylegując się na trawniku przed domem.

Wyjechałem wieczorem, ale byłem już zaproszony na następny weekend – i to nie przez Penny, lecz przez Ashtona. – Gra pan w krokieta? – zapytał.

– Niestety, nie.

Uśmiechnął się. – Proszę przyjechać na następny weekend, to pana nauczę. Przez ten tydzień Benson ustawi bramki.

Wracałem więc samochodem do Londynu w doskonałym nastroju.

Dość szczegółowo zrelacjonowałem przebieg tego pierwszego weekendu, by oddać atmosferę panującą w tym domu i w tej rodzinie. Ashton, drobny przemysłowiec, bogatszy niż inni tej klasy dzięki temu, że był jedynym właścicielem swoich firm; Gillian, jego młodsza córka, chętnie spełniająca obowiązki pani domu, gospodyni oraz (wyłączywszy seks) zastępcza żona; wreszcie Penny, wybitnie zdolna starsza córka robiąca karierę naukową. Rzeczywiście była niezwykle zdolna; całkiem przypadkowo podczas tego weekendu dowiedziałem się, że jest doktorem medycyny.

Były też i pieniądze. Rolls, Jensen i Aston Martin w garażu, smukłe wierzchowce, wypielęgnowane trawniki, umeblowanie tego pięknego domu – nad wszystkim unosił się zapach pieniędzy i komfortu. Nie zazdrościłem Ashtonowi – w końcu sam biedny nie jestem, ale to zupełnie nie ta klasa. Wspominam o pieniądzach wyłącznie z obowiązku kronikarskiego.

Od całego tego obrazka odstawał tylko Benson, człowiek do wszystkiego, który w niczym nie przypominał służącego w zamożnym domu. Wyglądał raczej na emerytowanego boksera, i to kiepskiego. Miał złamany nos, i chyba musiano mu go złamać niejeden raz, miał uszy obrzmiałe od ciosów, a na dodatek szramę na lewym policzku. Wypisz, wymaluj – filmowy bandyta. Jego głos zupełnie nie pasował do wyglądu – mówił cicho, z akcentem zdradzającym wykształcenie i zdecydowanie lepszym niż Ashtona. Nie bardzo wiedziałem jak go zaklasyfikować.

U Penny w laboratorium prowadzono w tym tygodniu jakieś ważne badania. Zadzwoniła do mnie i powiedziała, że będzie zajęta jeszcze przez całą noc z piątku na sobotę, wobec czego prosiła, żebym po nią przyjechał w sobotę rano. Kiedy wsiadła do samochodu przed University College, widać było, że jest ogromnie zmęczona, miała sińce pod oczami. – Strasznie mi przykro, Malcolmie, ale nie będzie do dla ciebie szczególnie atrakcyjny weekend. Idę spać kiedy tylko znajdziemy się w domu.

Mnie też było przykro, bo właśnie podczas tego weekendu zamierzałem poprosić ją o rękę.

Jednakże moment nie był najwłaściwszy, więc tylko się uśmiechnąłem i powiedziałem: – Wcale nie jadę na randkę z tobą, tylko grać w krokieta. – Chociaż prawdę powiedziawszy o krokiecie wiem tyle, co z „Alicji w Krainie Czarów”, że jest to gra proboszczów i panien na wydaniu.

– Pewnie nie powinnam ci tego mówić – powiedziała Penny z uśmiechem – ale tato twierdzi, że poznaje mężczyznę po tym, jak gra w krokieta.

– Co robiłaś przez całą noc? – spytałem.

– Ciężko pracowałam.

– Nad czym? Chyba to nie jest tajemnica państwowa?

– Żadna tajemnica. Przenosiliśmy materiał genetyczny z wirusa do bakterii.

– Straszna dłubanina – zauważyłem. – Mam nadzieję, że chociaż się udało.

– Przekonamy się dopiero po przebadaniu szczepu, który wyhodujemy. Za jakieś dwa tygodnie będzie już coś wiadomo. To się rozmnaża błyskawicznie. Miejmy tylko nadzieję, że się rozmnoży prawidłowo.

O genetyce też wiem tyle, co kot napłakał. Zapytałem więc z ciekawości:

– I na co to wszystko?

– Badania nad rakiem – odpowiedziała mi krótko i zamknąwszy oczy, odchyliła głowę do tyłu. Dałem jej spokój.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, natychmiast poszła spać. Z tym jednym wyjątkiem był to weekend bardzo podobny do poprzedniego. To znaczy nie licząc samego końca – bo pod koniec stało się coś złego. Grałem z Ashtonem w tenisa, potem popływałem w basenie i zjedliśmy lunch na trawniku w cieniu kasztana – tylko we trójkę, to znaczy Gillian, Ashton i ja. Penny nadal spała.

Po lunchu wprowadzono mnie w zawilości krokieta i przystąpiliśmy do gry, w której – słowo daję – uczestniczył najprawdziwszy proboszcz! Krokiet, jak się przekonałem, nie jest rozrywką dla ludzi słabego ducha, a pastor Hawthorn grał tak, że Machiavelli to przy nim harcerzyk. Na szczęście graliśmy razem. Jego przebiegła strategia zresztą i tak zawiodła wobec drużyny złożonej z Gillian i Ashtona. Gillian grała ze zdumiewającą zajadłością. Pod koniec, kiedy miałem już pewność, że nie jest to gra dla dżentelmenów, zaczęło mi się podobać.

Penny zeszła na podwieczorek, odświeżona i ożywiona, i od tego momentu weekend potoczył się swoim normalnym trybem. Z mojego nieudolnego opisu można by wnosić, że Ashtonowie żyli w sposób jałowy i nudny; tak jednak nie było – ich styl życia pozwalał rozładować stres po tygodniowej harówce.

Ashton nie korzystał nawet w pełni z tej możliwości, bo po podwieczorku wycofał się do swego gabinetu wyjaśniając, że ma mnóstwo papierkowej roboty. Zauważyłem, że Penny też się uskarża na nadmiar papierkowej roboty, i zgodnie stwierdziliśmy, że przelewanie zbędnych słów na papier to

jeden z grzechów głównych dwudziestego wieku. Uzmysłowiłem sobie, że Ashton nie mógłby osiągnąć swojej pozycji, gdyby marnował czas na grę w tenisa i w krokiet.

I tak to mijał weekend, zbliżał się czas mojego powrotu do Londynu. Był przyjemny letni wieczór. Gillian poszła do kościoła i niebawem miała wrócić; w rodzinie ona jedna była religijna – ani Ashton, ani Penny nie wykazywali zainteresowania religią. Ashton, Penny i ja siedzieliśmy w ogrodowych fotelach roztrząsając pewien szczególnie zawiły problem z pogranicza etyki i nauki, który poruszono w porannej gazecie. W zasadzie to Penny i Ashton zajęci byli dyskusją, ja natomiast przemyślałem nad tym, jak by tu znaleźć się z Penny sam na sam, żeby się jej oświadczyć. Tak się złożyło, że przez cały weekend ani przez chwilę nie byliśmy sami.

Penny dość mocno zaangażowała się w dyskusję i zaczęła się nieco gorączkować, gdy nagle dobiegł nas przenikliwy krzyk, a zaraz po nim drugi. Wszyscy troje zamarliśmy, Penny zamilkła w pół zdania, a Ashton zapytał ostrym tonem: – Co to było, do diabła?

Rozległ się trzeci krzyk. Tym razem dochodził jakby z mniejszej odległości, gdzieś zza domu. Biegliśmy już w tamtą stronę, gdy ukazała się Gillian. Wyłoniła się zza rogu domu, szła potykając się, z twarzą zasłoniętą rękami. Jeszcze raz krzyknęła – bełkotliwie, bez słów – i osunęła się na trawnik.

Ashton znalazł się przy niej pierwszy. Pochylił się nad nią i usiłował oderwać jej rękę od twarzy, ale Gillian z całych sił stawiała opór. – Co się stało? – krzyknął, ale w odpowiedzi usłyszał tylko przeraźliwy jęk.

– Pozwól, tato – powiedziała szybko Penny i delikatnie odsunęła ojca na bok. Pochyliła się na Gillian, która leżała teraz na boku, skulona jak płód, nadal zasłaniając sobie twarz rękami; palce miała rozpostarte jak szpony. Nie krzyczała już, lecz tylko jęczała przeciągle, a raz powiedziała nawet: – Moje oczy! Ojej, moje oczy!

Penny udało się na siłę dotknąć twarzy Gillian, potarła jej czoło palcem wskazującym, powąchała go i skrzywiwszy się, szybko wytarła palec o trawę. Odwróciła się do ojca. – Zabierz ją do domu, do kuchni, szybko.

Podniosła się i jednym płynnym ruchem odwróciła się do mnie. – Dzwon na pogotowie – rozkazała. – Powiedz, że mamy oparzenie kwasem.

Ashton zdążył już podnieść Gillian z ziemi, kiedy ja, wbiegając do domu otarłem się w holu o Bensona. Wykręciłem numer pogotowia i patrzyłem, jak Ashton wnosi córkę do domu wejściem, którego dotąd nie znałem. Penny dosłownie deptała mu po piętach.

– Pogotowie – usłyszałem w słuchawce.

– Potrzebna karetka.

Usłyszałem trzask w słuchawce i zaraz odezwał się inny głos: – Dyspozytor, słucham. – Podałem mu adres i numer telefonu. – Nazwisko?

– Malcolm Jaggard. Chodzi o poważne oparzenie twarzy kwasem.

– Już wysyłam karetkę.

Gdy odkładałem słuchawkę, zdałem sobie sprawę, że Benson wpatruje się we mnie z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Gwałtownie odwrócił się na pięcie i wyszedł z domu. Otworzyłem drzwi do kuchni i zobaczyłem Gillian rozciągniętą na stole; konwulsyjnie wierzgała nogami i nie przestawała jęczeć. Penny przykładła jej coś do twarzy, a Ashton stał obok z miną wyrażającą tak bezsilną wściekłość, jakiej w życiu nie widziałem. W żaden sposób nie mogłem im pomóc; nie chciałem też przeszkadzać, więc tylko delikatnie zamknąłem drzwi.

Spojrząwszy przez duże okno na końcu holu zobaczyłem Bensaona, który szedł wzdłuż podjazdu. Zatrzymał się i schylił, przyglądając się czemuś nie na samym podjeździe, lecz na przylegającym do niego pasie trawy.

Wyszedłem zobaczyć, co tak przyciągnęło jego uwagę – były to ślady opon samochodowych. Pojazd zawrócił w tym miejscu wjeżdżając na trawnik, i to w wielkim pędzie, bo koła wryły się głęboko w nieskazitelną zieleń.

Benson odezwał się swoim zaskakująco łagodnym głosem:

– Według mnie samochód wjechał na nasz teren i zaparkował mniej więcej tam, zwrócony przodem do domu. Kiedy panna Gillian nadeszła, ktoś chlusnął na nią kwasem o tu, w tym miejscu. – Pokazał palcem miejsce na trawniku, gdzie żdźbła trawy już zaczynały brązowieć. – Potem samochód zawrócił na trawniku i odjechał.

– Przecież pan tego nie widział.

– Nie, proszę pana.

Schyliłem się i przyjrzałem się śladom kół. – Chyba trzeba to zabezpieczyć do czasu przyjazdu policji.

Benson zastanowił się przez chwilę. – Ogrodnik przygotował płotki na nowy padok. Zaraz je przyniosę.

– Tak, bardzo dobrze.

Pomogłem mu przynieść płotki i zastawiliśmy nimi ślady. Podniosłem się, usłyszawszy ciche z początku wycie nadejeżdżającej karetki. Szybko przyjechali; od mojego telefonu upłynęło zaledwie sześć minut. Wróciłem do domu i znów zatelefonowałem. Tym razem wykręciłem numer policji.

– Tu komisariat – usłyszałem.

– Chciałem zawiadomić o czynnej napaści.



Bardzo szybko umieścili Gillian w karetce, a Penny, wykorzystując fakt, że jest lekarką, i też się nią zabrała. Ashton pojechał za nimi samochodem. Był w takim stanie, że nie powinien prowadzić, więc ucieszyłem się widząc za kierownicą Bensona.

Zanim wyjechali, wziąłem go na bok. – Powinien pan wiedzieć, że wezwałem policję.

Odwrócił ku mnie zmaltretowaną twarz i jakoś głupio zamrugał. – Co, co takiego? – Wyglądał jakby przez kwadrans postarzał się o dziesięć lat.

Powtórzyłem mu to, co przedtem powiedziałem, i dodałem:

– Pewnie się tu zjawia, zanim pan wróci ze szpitala. Mogę im udzielić niezbędnych informacji. Proszę się nie martwić. Zostanę tu do pańskiego powrotu.

– Dziękuję ci, Malcolmie.

Patrzyłem, jak odjeżdżali, a potem znalazłem się w domu sam. Służąca mieszkała na miejscu, ale w niedzielę miała wychodne, Benson zaś pojechał z Ashtonem. W domu nie było więc nikogo prócz mnie. Poszedłem do salonu, nalałem sobie drinka, zapaliłem papierosa i siadłem, żeby się zastanowić, co się tu właściwie, do cholery, wydarzyło.

Wszystko to razem nie miało sensu. Gillian Ashton była zwykłą, skromną dziewczyną, prowadziła spokojne, dość monotonne życie. Była domatorką, która być może pewnego dnia poślubi równie nieciekawego mężczyznę, lubiącego spokój domowego ogniska. Oblewanie kwasem nie pasuje do tego obrazka; takie rzeczy mogą się dziać w Soho albo w mrocznych zakątkach londyńskiego East Endu. W wiejskim krajobrazie hrabstwa Buckingham było to coś osobliwego.

Dłuższy czas się nad tym zastanawiałem ale do niczego nie doszedłem. Wkrótce usłyszałem podjeżdżający pod dom samochód, a w kilka minut później rozmawiałem z dwoma umundurowanymi policjantami. Nie miałem im dużo do powiedzenia; mało wiedziałem o Gillian i niewiele więcej o Ashtonie. Policjanci zachowywali się wobec mnie uprzejmie, ale czułem, że moje wyjaśnienia coraz mniej ich przekonują. Pokazałem im ślady kół. Jeden policjant został, żeby ich pilnować, drugi zaś poszedł do samochodu i przez radiotelefon połączył się z komisariatem.

Kiedy po chwili wyjrzałem przez okno, stwierdziłem, że przestawił samochód tak, żeby mieć na oku teren za domem.

Dwadzieścia minut później pojawiła się grubsza ryba policyjna w osobie nie umundurowanego funkcjonariusza. Zamienił kilka słów z policjantem w samochodzie i podszedł do domu. Otworzyłem mu, gdy zastukał do drzwi.

– Detektyw-inspektor Honnister – powiedział energicznym tonem. – Czy pan Jaggard?



– Tak, to ja. Proszę wejść.

Wszedł do holu, stanął i zaczął się rozglądać. Gdy zamknąłem drzwi, gwałtownie obrócił się do mnie. – Jest pan w domu sam?

Posterunkowy zwracał się do mnie z zachowaniem wszystkich form grzecznościowych, ale Honnister nie przesadzał z uprzejmością. – Inspektorze – powiedziałem – nie powinienem tego robić, ale żeby być wobec pana fair, coś panu pokażę. Lepiej, żeby pan to zobaczył. Wiem, że nie wydałem się pańskim ludziom dostatecznie przekonujący. Jestem w domu Ashtona sam i przyznaję, że wiem o Ashtonach bardzo niewiele, a oni obawiają się więc, że mógłbym stąd wynieść srebrne łyżeczki.

Honnister zmrużył oczy. – Zdaje się, że można by stąd wynieść znacznie więcej niż srebrne łyżeczki. Co takiego chce mi pan pokazać?

– To. – Ze specjalnej kieszeni, którą każę sobie robić w każdej marynarce, wyjąłem legitymację.

Spojrząwszy na nią, Honnister uniósł brwi. – Rzadko się coś takiego widuje – powiedział. – Mnie się to zdarza dopiero trzeci raz. – Porównując moją twarz ze zdjęciem pstrykał paznokciem w plastikową kartę. – Rozumie pan, że muszę sprawdzić autentyczność tego interesu?

– Naturalnie. Pokazuję to panu tylko dlatego, żeby pan nie tracił niepotrzebnie czasu na wypytywanie mnie. Może pan skorzystać z tego telefonu albo z aparatu w gabinecie Ashtona.

– A będę się mógł czegoś dowiedzieć w niedzielę o tej porze?

Uśmiechnąłem się. – Panie inspektorze, jesteśmy jak policja, pracujemy na okrągło.

Zaprowadziłem go do gabinetu. Wiele czasu to nie zajęło; wyszedł po kilku minutach i oddał mi legitymację. – W porządku, panie Jaggard; czy w tej sprawie ma pan jakieś domysły, podejrzenia?

Pokręciłem głową. – Żadnych absolutnie. Zresztą, jeśli chce pan wiedzieć, nie jestem tu służbowo. – Spojrzał na mnie surowo, z czego zrozumiałem, że mi nie wierzy. Wobec tego opowiedziałem mu o moich związkach z Ashtonami oraz wszystko, co wiedziałem o napaści na Gillian, czyli w sumie bardzo niewiele.

– No, to tym razem mamy pod górkę – stwierdził kwaśno. – Trzeba będzie zacząć od tych śladów. Dziękuję panu za współpracę. Muszę się wziąć do roboty.

Poszedłem z nim do drzwi. – Jeszcze jedno, panie inspektorze, pan nigdy nie widział tej legitymacji.

Skinął głową i wyszedł.

Ashton i Penny wrócili przeszło dwie godziny później. Penny wyglądała na bardzo zmęczoną, tak samo jak poprzedniego ranka, Ashton natomiast odzyskał trochę koloru i werwy. – Dziękuję, że zostałeś, Malcolmie – powiedział. – Poczekaj jeszcze chwilę, chcę z tobą porozmawiać. Tylko za moment, trochę później. – Mówił tonem dość szorstkim i władczym; nie prosił, lecz rozkazywał. Przeszedł przez hol do swego gabinetu, zatraskując za sobą drzwi.

– Jak Gillian? – spytałem Penny.

– Nie najlepiej – odparła ponuro. – Kwas był bardzo stężony. To bestialstwo! Co za wandal mógł to zrobić?

– Policja też chciałaby to wiedzieć. – Zrelacjonowałem jej z grubsza swoją rozmowę z Honnisterem. – Przypuszcza, że twój ojciec może coś wiedzieć na ten temat. Czy on ma jakichś wrogów?

– Tatuś! – Zmarszczyła brwi. – Ma bardzo zdecydowane i niezależne poglądy, a ludzie tego pokroju zawsze komuś nadepną na odcisk. Nie wyobrażam sobie jednak, żeby miał wrogów, którzy chcieliby się mścić na jego córce.

Ja też jakoś nie mogłem sobie tego wyobrazić. Wiadomo, że w bezwzględnym świecie biznesu i przemysłu dzieją się najprzeróżniejsze dziwne rzeczy, ale rzadko są to akty bezinteresownej przemocy. Odwróciłem się akurat w chwili, gdy Benson wychodził z kuchni. Niósł tacę, a na niej dzbanek z wodą, nie otwartą butelkę whisky i dwie szklaneczki. Zaczekałem, aż wejdzie do gabinetu, i zapytałem: – A Gillian?

Penny spojrzała na mnie. – Gillian! – Pokręciła głową z powątpiewaniem. – Nie przypuszczasz chyba, że Gillian mogłaby mieć takiego wroga? To niedorzeczne.

Rzeczywiście było to bardzo nieprawdopodobne, ale nie aż tak niemożliwe, jak sądziła Penny. Często się zdarza, że spokojne domatorki miewają sekretne drugie życie i ciekaw byłem, czy podczas wypraw na zakupy do Marlow wyskoki Gillian ograniczały się do nabycia dodatkowej puszki herbaty. Powiedziałem jednak taktownie: – Tak, to rzeczywiście mało prawdopodobne.

Kiedy pomagałem Penny w kuchni przygotować coś do jedzenia, powiedziała: – Staralam się zneutralizować kwas węglanem sodu, a w karetce mieli skuteczniejsze środki, ale i tak w szpitalu musieli ją wziąć na intensywną terapię.

Zjedliśmy tylko we dwoje, bo Ashton oznajmił, że nie jest głodny i chce pozostać u siebie w gabinecie. Po godzinie, kiedy już zaczynałem podejrzewać, że zapomniał o mojej obecności, do pokoju wkroczył Benson. – Pan Ashton prosi pana do siebie.

– Dziękuję. – Przeprosiłem Penny i poszedłem do gabinetu. Ashton siedział za wielkim biurkiem, ale wstał, gdy wszedłem. – Nie mam słów, żeby wyrazić, jak bardzo mi przykro z powodu tego strasznego zajścia – powiedziałem.

Skinął głową. – Wiem. – Sięgnął po butelkę z whisky, która, jak zauważyłem, była teraz do połowy opróżniona.

Spojrzał na tacę. – Bądź taki dobry i weź sobie szklaneczkę.

– Wolalbym już dzisiaj nie pić. Muszę jeszcze dojechać do Londynu.

Cicho odstawił butelkę i wyszedł zza biurka. – Siadaj – powiedział i zaczęło się najprzedziwniejsze przesłuchanie w moim życiu. Odczekał chwilę. – Jak się mają sprawy między

tobą a Penny?

Spojrzałem na niego. – Pyta pan, czy mam wobec niej uczciwe zamiary?

– Mniej więcej tak. Spałeś z nią już?

Było to wystarczająco bezpośrednie pytanie. – Nie. – Uśmiechnąłem się do niego. – Zbyt dobrze ją pan wychował.

Chrząknął. – Więc, czy masz jakieś zamiary, a jeśli tak, to jakie?

– Pomyślałem, że chętnie bym ją poprosił o rękę.

Chyba nie był z tego powodu niezadowolony. – I co, poprosiłeś?

– Jeszcze nie.

Z zadumą pocierał kant szczęki. – A ta twoja praca – ile właściwie zarabiasz?

Było to uzasadnione pytanie, skoro miałem poślubić jego córkę. – W zeszłym roku wyciągnąłem nieco ponad 8000 funtów. W tym roku będę miał więcej. – Zdając sobie sprawę, że taki człowiek jak Ashton uzna to za nędzne grosze, dodałem: – Ale mam lokaty, które mi dadzą dodatkowo 11.000 funtów.

Uniósł brwi. – Masz lokaty i pracujesz?

– Te 11.000 to jest przed odliczeniem podatku – odparłem kwaśno i wzruszyłem ramionami. – Zresztą, człowiek musi coś w życiu robić.

– Ile masz lat?

– Trzydzieści cztery.

Odchylił się w fotelu i powiedział w zamyśleniu: – 8.000 funtów rocznie to nie najgorzej – jak na razie. Masz jakieś szanse na awans?

– Mam nadzieję.

Potem zadał mi kilka pytań znacznie bardziej osobistych niż te na temat stanu moich finansów, ale zważywszy okoliczności, były to pytania całkiem usprawiedliwione, a moje odpowiedzi chyba wydały mu się przekonujące.

Milczał przez chwilę, a potem powiedział: – Mógłbyś zarabiać więcej, gdybyś zmienił pracę. Mam właśnie wakat idealny dla kogoś takiego jak ty. Na początek musiałbyś spędzić przynajmniej rok w Australii, żeby tam poustawić sprawy. Ale cóż to znaczy dla takiej pary młodziaków, jak ty i Penny. Jedyne problem, że jest to praca od zaraz – trzeba by zacząć niemal natychmiast.

Jego tempo było dla mnie zbyt szybkie. – Chwileczkę – zaprotestowałem. – Jeszcze nawet nie wiem, czy ona mnie zechce.

– Zechce, zechce – powiedział z przekonaniem. – Znam swoją córkę.

Najwidoczniej znał ją lepiej niż ja, gdyż ja wcale nie byłem tego taki pewien. – A nawet jeśli tak – powiedziałem – to trzeba i ją wziąć pod uwagę.

Jej praca jest dla niej bardzo ważna. Nie wyobrażam sobie, żeby nagle wszystko rzuciła i wyjechała na rok do Australii. Pomijam już kwestię tego, czy ja uważam zmianę pracy za słuszną.

– Mogłaby wziąć roczny urlop. Naukowcy często tak robią.

– Być może. Szczerze mówiąc, żeby podjąć decyzję, musiałbym znacznie więcej wiedzieć o tej posadzie.

Po raz pierwszy Ashton okazał niezadowolenie. Zdołał je stłumić i zamaskować, ale i tak było widoczne. Zamyślił się przez chwilę, a potem odezwał się pojednawczym tonem: – Cóż, myślę, że z miesiąc można poczekać na decyzję. W końcu najpierw musisz się oświadczyć, więc zrób to wreszcie. Mógłbym wam załatwić specjalną licencję i wzięlibyście ślub pod koniec przyszłego tygodnia. – Usiłował uśmiechnąć się pogodnie, ale w jego spojrzeniu pozostał cień urazy. – Kupię wam w posagu dom, gdzieś na północ od Londynu.

Nie był to moment na owijanie czegośkolwiek w bawełnę.

– Chyba zbyt szybko się pan śpieszy. Nie widzę potrzeby, żeby załatwiać specjalną licencję. Prawdę powiedziawszy, podejrzewam, że Penny nie będzie chciała o tym słyszeć, nawet jeśli zgodzi się zostać moją żoną. Na pewno będzie jej zależało by Gillian mogła być na ślubie.

Twarz Ashtona nagle jakby się zapadła i odniosłem wrażenie, że nie potrafi już nad sobą zapanować. Powiedziałem spokojnie: – Od dawna planowałem, że kupię dom, kiedy się ożenię. Bardzo sobie cenię pańską szczodrość, ale to chyba my z Penny powinniśmy wybrać dom i jego lokalizację.

Wstał, podszedł do biurka i nalał sobie whisky. Stał zwrócony do mnie plecami. – Oczywiście, masz rację – powiedział niewyraźnie. – Nie powinienem się wtrącać. Ale poprosisz ją o rękę – teraz?

– Teraz! Dziś wieczorem?

– Tak.

Wstałem. – Zważywszy okoliczności, byłoby to wysoce niestosowne. Nie zrobię tego. Proszę mi wybaczyć, ale muszę już wracać do Londynu.

Nie odwrócił się ani też nie odezwał. Zostawiłem go samego w gabinecie i cicho zamknąłem za sobą drzwi. Nie rozumiałem, dlaczego tak naciskał, żebyśmy się jak najprędzej pobrali. Ta presja z jego strony oraz propozycja pracy w Australii bardzo mnie zaniepokoiły. Jeśli w taki sposób dobierał sobie personel, nie mówiąc już o zięciu, to aż dziwne, że tyle w życiu osiągnął.

Kiedy wszedłem do holu, Penny rozmawiała przez telefon. Odłożyła słuchawkę. – Dzwoniłam do

szpitala – poinformowała mnie. – Powiedzieli, że stan się odrobinę poprawił.

– To dobrze! Przyjadę jutro wieczorem i pójdziemy ją odwiedzić. Może się ucieszy, że ma jakieś towarzystwo, choćby nie za bardzo znajome, jak w moim przypadku.

– Nie wiem, czy to taki dobry pomysł – powiedziała Penny. – Może być... może być przewrażliwiona na punkcie swojego wyglądu.

– I tak przyjadę. Zdecydujemy na miejscu. Teraz już muszę jechać, bo zrobiło się bardzo późno. – Odprowadziła mnie do samochodu, pocałowałem ją i odjechałem, zastanawiając się, o co też mogło chodzić Ashtonowi.



Następnego ranka, kiedy przyszedłem do biura, które dzieliłem z Lanym Godwinem, Larry uniósł wzrok znad czechosłowackiego czasopisma fachowego, które czytał. – Harrison cię wzywa – powiedział. – Harrison był naszym bezpośrednim przedłożonym.

– Dobra. – Natychmiast zrobiłem w tył zwrot, poszedłem do gabinetu Harrisona i siadłem na krześle przed jego biurkiem. – Cześć, Joe – powiedziałem. – Słyszałem od Larry’ego, że chcesz się ze mną widzieć.

Harrison jest człowiekiem zarozumiałym i niezbyt mądrym, strasznym formalistą, ma fioła na punkcie przestrzegania regulaminu, pragmatyki i hierarchii służbowej. Nie lubi, kiedy mówię na niego Joe, więc na złość zawsze tak się do niego zwracam. Odezwał się sztywno:

– Przeglądałem kontrolkę rozmów telefonicznych podczas weekendu i stwierdziłem, że ujawniłeś się wobec funkcjonariusza policji. Dlaczego?

– Podczas weekendu byłem gościem w pewnym domu. Wydarzył się przykry wypadek – jedną z córek gospodarza oblano kwasem. Zabrano ją do szpitala. Kiedy zjawili się policjanci i wyszło, że jestem w tym domu sam, zaczęli wyciągać z tego fałszywe wnioski. Nie chciałem, żeby niepotrzebnie marnowali czas, więc ujawniłem się oficerowi kierującemu śledztwem.

Pokręcił głową z dezaprobatą i wbił we mnie wzrok, od którego pewnie Powiniennem paść trupem. – Nazwisko?

– Detektyw-inspektor Honnister. Znajdziesz go w komisariacie w Marlow.

Harrison zrobił sobie notatkę w zeszyciku, a ja pochyliłem się do przodu.

– O co chodzi, Joe? Przecież mamy współpracować z policją.

Nie podniósł wzroku. – Nie powinieneś ujawniać się byle komu.

– To nie jest byle kto, tylko oficer policji, który w trakcie wykonywania zadań służbowych mógł źle zinterpretować dostępną mu w danej chwili informację.

Harrison uniósł głowę. – Nie należało tego robić. O nic by cię tak na serio nie podejrzewał.

Uśmiechnąłem się do niego. – Według ciebie, jak widać, współpraca to uliczka jednokierunkowa. Gliniarze współpracują z nami, kiedy tylko tego potrzebujemy, ale my z nimi nie współpracujemy, nawet wtedy, kiedy wystarczy im podpowiedzieć, że idą niewłaściwym tropem.

– Wpiszę ci to do akt – oznajmił chłodno.

– Mam gdzieś moje akta – odpaliłem i wstałem z krzesła. – A teraz, za pozwoleniem, pójdę zająć

się pracą. – Nie czekałem jednak na jego pozwolenie i wróciłem do siebie.

Larry dla odmiany czytał coś po polsku. – Dobrze ci minął weekend? – zapytał.

– Trochę za dużo się działo. Kto nam buchnął „Who’s Who”?

Uśmiechnął się. – Co się stało? Nie miała ochoty na figle? – Ze stosu książek, które zawały jego biurko, wygrzebał „Who’s Who” i rzucił mi je. Praca u nas wymagała ciągłego czytania, więc powinni uznać osłabienie wzroku za naszą chorobę zawodową; wystąpię o dodatek inwalidzki do emerytury.

Siadłem przy swoim biurku i przejrzałem nazwiska na „A”. Ashtona nie znalazłem. Rzadko się zdarza, by właściciel trzech lub więcej fabryk, człowiek zatrudniający ponad tysiąc osób, nie figurował w „Who’s Who”. Wydało mi się to dość dziwne. Odruchowo sięgnąłem po książkę telefoniczną, ale tam go też nie było. Dlaczego Ashton miałby mieć numer zastrzeżony?

– Czy wiesz coś na temat utwardzalnych tworzyw sztucznych? – spytałem Larry’ego.

– A co chcesz wiedzieć?

– Pewien facet nazwiskiem Ashton ma w Slough fabryczkę, która takie coś produkuje. Chciałbym się dowiedzieć o nim czegoś więcej.

– Ja o takim nie słyszałem. A jak się ta firma nazywa?

– Nie wiem.

– No to mało wiesz. Może jest jakieś stowarzyszenie przemysłowe?

– Dobra myśl. – Poszedłem do naszej biblioteki i po godzinie wiedziałem, że istnieje więcej związków producentów tworzyw sztucznych, niż mogłem sobie wyobrazić. Był nawet jeden zrzeszający producentów utwardzalnych tworzyw sztucznych. W spisie członków żadnego z nich nie figurował jednak George Ashton. Było to co najmniej dziwne.

Ze smętną miną wróciłem do swojego pokoju. Co za podły świat, w którym nie można się niczego dowiedzieć o przyszłym teściu. W tym momencie Ashton wiedział znacznie więcej o mnie niż ja o nim. Larry zobaczył moją minę i spytał: – Co, niczego się nie dowiedziałeś?

– Jakiś cholernie tajemniczy facet.

Zaśmiał się i machnął ręką w stronę rogu pokoju. – Zapytaj Nellie.

Spojrzałem na Nellie i uśmiechnąłem się. – Właściwie, czemu nie? – powiedziałem i siadłem do klawiatury.

Żeby zadać komputerowi pytanie, wcale nie trzeba się do niego przymilać. Wystarczy mieć stację końcową. Naszą stację końcową z nie znanego mi powodu ochrzciliśmy kiedyś imieniem Nellie. Nellie wyglądała jak skrzyżowanie dużej maszyny do pisania z telewizorem; dziesiątki takich widuje



się na lotnisku Heathrow.

Nigdy mi nie powiedziano, gdzie się mieści centralny komputer. Znając firmę, w której pracuję, i wiedząc coś niecoś na temat tego, co kryły wnętrza potwora, domyślałem się, że komputer ulokowano w jakiejś wapiennej pieczarze w hrabstwie Derby pod opieką kapłanów w bieli albo też na dnie przepaścistego szybu kopalni w Mendip. W każdym razie gdzieś, gdzie byłby bezpieczny w razie wybuchu atomowego. Tak czy inaczej, nikt mnie dokładnie o tym nie poinformował. Obowiązywała u nas ściśle przestrzegana zasada, że „każdy wie tylko tyle, ile trzeba”.

Nacisnąłem kilka przełączników, potem kilka klawiszy, dzięki czemu pojawił się na ekranie mały zielony znak zapytania. Po naciśnięciu kolejnego klawisza pojawiło się pytanie:

KTO?

Przedstawiłem się – co było dość zawiłą operacją – i Nellie zadała kolejne pytanie:

STREFA?

Odpowiedziałem:

ZIELONA

Nellie zastanowiła się nad tym przez ułamek ułamka sekundy i zaordynowała:

WPROWADŹ KOD ZIELONY

Zajął mi to ze dwie minuty. Bardzo skrupulatnie przestrzegaliśmy wymogów bezpieczeństwa i nie wystarczyło podać tylko swoje dane personalne – musiałem także znać kod właściwy dla stopnia tajności żądanej przeze mnie informacji.

Nellie zażądała:

TYP INFORMACJI?

Odpowiedziałem:

TOŻSAMOŚĆ

MEŹCZYZNA

ANGLIA

Na to Nellie:

NAZWISKO?

Napisałem:

ASHTON, GEORGE

Nellie było całkowicie obojętne, w jaki sposób się jej podaje dane. Sprawdziłem to i nie miało najmniejszego znaczenia, czy się napisało Percy Bysshe Shelley – Shelley, Percy Bysshe – czy nawet Percy Shelley, Bysshe – Nellie i tak zawsze dawała prawidłową odpowiedź, jakby z góry wiedziała, że to Bysshe Shelley, Percy nas interesuje. Ja jednak zawsze podawałem jej najpierw nazwisko, uważając, że dzięki temu jej przepracowany mózdek ma łatwiejsze zadanie.

Tym razem Nellie zakomunikowała:

ASHTON, GEORGE – 3 POZYCJE

OBECNY ADRES – JEŚLI DOSTĘPNY

Mogło być w Anglii dwustu George'ów Ashtonów albo nawet i dwa tysiące. Jest to dość pospolite nazwisko, więc nic dziwnego, że w ewidencji naszej firmy mieliśmy aż trzech Ashtonów. Wystukując adres pomyślałem, że właściwie zachowuję się niemądrze. Nellie w nietypowy dla siebie sposób zawahała się, a potem doznałem szoku, ponieważ pojawił się napis:

INFORMACJA NIEDOSTĘPNA W STREFIE ZIELONEJ. SPRAWDŹ STREFĘ ŻÓŁTĄ

Zamyśliłem się patrząc na ekran i napisałem:

ZATRZYMAĆ PYTANIE

W elektronicznych trzewiach komputera kłębiło się mnóstwo informacji na temat pewnego George'a Ashtona, mojego przyszłego teścia. I były to informacje tajne, ponieważ umieszczono je w strefie żółtej. Potraktowałem poważnie żart Larry'ego i dostało mi się za to; nawet nie podejrzewałem, że Nellie go znajdzie – nie było powodu przypuszczać, że firma się nim interesuje. Zresztą, jeśli w ogóle był w naszych rejestrach, to spodziewałem się go znaleźć w strefie zielonej, zawierającej informacje niezbyt tajne. Praktycznie rzecz biorąc, informacje zawarte w tej strefie można znaleźć przy dokładnej lekturze prasy światowej. Strefa żółta – to już inna sprawa.

Z zakamarków pamięci wyszperałem kod strefy żółtej. – Spróbuj jeszcze raz, ty stara małpo! – burknąłem pochylając się nad klawiaturą. Wprowadzenie kodu zajęło mi cztery minuty; następnie wystukałem:

ZWOLNIĆ PYTANIE

Ekran Nellie zamrugał kilka razy i kursor napisał:

INFORMACJA NIEDOSTĘPNA W STREFIE ŻÓLTEJ. SPRAWDŹ STREFĘ CZERWONĄ

Wziąłem głęboki oddech, kazałem Nellie zatrzymać pytanie i odchyliłem się w krzesło, żeby się zastanowić. Miałem dostęp do strefy czerwonej, którą bardzo adekwatnie tak nazwano, gdyż od zawartych w niej informacji bił żar jak od ognia! Kim, u licha, jest Ashton i w co ja się pakuję? Wstałem, powiedziałem Larry'emu, żeby nie ruszał Nellie i że zaraz wrócę.

Wsiadłem do windy i zjechałem do czeluści gmachu, gdzie żył specjalny gatunek troglodytów – byli to strażnicy skarbcza. Przy kracie ze stali wolframowej okazałem legitymację i powiedziałem: –

Chcę sprawdzić kod komputerowy dla czerwieni. Zapomniałem zaklęcia.

Siedzący za kratą mężczyzna o surowej twarzy nie uśmiechnął się. Wziął moją legitymację, wrzucił ją w otwór maszyny. Ta żuła ją przez chwilę, smakowała ją elektronicznie, uznała, że jej odpowiada, lecz mimo to ją wypluła. Nie mam pojęcia, co by się stało, gdyby jej nie smakowała; pewnie padłbym rażony piorunem. Zabawne, jak to świat rzeczywisty dogania Jamesa Bonda.

Strażnik spojrzął na niewielki ekran. – Tak, ma pan dostęp do strefy czerwonej – oznajmił, potwierdzając werdykt maszyny. Krata otworzyła się i gdy tylko przeszedłem, usłyszałem, jak się za mną zatrzasnęła. – Kod zostanie panu przyniesiony do pokoju numer trzy.

Pół godziny później wracałem do swojego biura, mając nadzieję, że niczego po drodze nie zapomnę. Larry stał przed Nellie i gapił się na ekran. – Masz dostęp do czerwieni? – zapytałem.

Pokręcił głową. – Nie, tylko do żółtego.

– No, to zjeżdżaj. Skocz do biblioteki, poczytaj sobie „Playboya” albo coś równie budującego. Zadzwoń po ciebie, jak skończę.

Nie sprzeciwiał się, kiwnął tylko głową i wyszedł. Siadłem przy klawiaturze i wprowadziłem hasło wywoławcze czerwieni. Wykonanie odpowiednich operacji w odpowiedniej kolejności zajęło mi dziesięć minut. Nazywając to Zaklęciem wcale nie byłem daleki od prawdy. Ilekroć miałem do czynienia z Nellie, tylekroć przychodzili mi na myśl średniowieczni czarownicy, którzy usiłowali wywoływać duchy; wszystko należało robić w określonym porządku i trzeba było wypowiedzieć właściwe słowa. W przeciwnym razie duch się nie pojawiał. Postęp, jakiego dokonaliśmy od tamtej pory, nie jest wielki, przynajmniej nie nazbyt wielki. W każdym razie nasze zaklęcia zdają się skutkować i z przepastnych głębi otrzymujemy odpowiedzi, tyle że nie wiem, czy są coś warte.

Nellie przyjęła kod do strefy czerwonej, a w każdym razie nie dostała od niego czkawki.

Napisałem:

ZWOLNIĆ PYTANIE

i z wielkim zainteresowaniem czekałem, co z tego wyjdzie. Ekran znów zamigotał i Nellie oznajmiła:

INFORMACJA NIEDOSTĘPNA W STREFIE CZERWONEJ. SPRAWDŹ STREFĘ FIOLETOWĄ

Fiolet! Purpura! Królewska barwa! Ja też pewnie zrobiłem się purpurowy na twarzy. W tym miejscu musiałem zaniechać dalszych pytań. Nie miałem dostępu do strefy fioletowej. Wiedziałem, że taka istnieje, ale nic ponadto. A przecież po fioletowej mogło być jeszcze pełne spektrum barw widocznych i niewidocznych, od podczerwieni do ultrafioletu. Jak już powiedziałem, obowiązywała u nas zasada, że „każdy wie tylko tyle, ile trzeba”.

Sięgnąłem po słuchawkę i zadzwoniłem do Larry’ego. – Możesz wrócić. Już się odtajniłem. – Potem wygasilem ekran Nellie i zacząłem się zastanawiać, co robić dalej.



Kilka godzin później wdałem się w drobną sprzeczkę z Larrym. To niezły facet, ale jest zwolennikiem idei, które czasem kolidują z typem pracy, jaką wykonuje. Jego wizja świata nie jest w pełni zgodna z rzeczywistością, co może w pracy stanowić przeszkodę, gdyż grozi możliwością popełniania pomyłek. Praktyka w terenie zaraz by go naprostowała, ale nigdy nie miał okazji jej zakosztować.

Zadzwoił mój telefon i podniosłem słuchawkę. – Jaggard, słucham.

Dzwonił Harrison. Jego głos był jak dmuch polarnego wiatru. – Proszę się stawić u mnie natychmiast.

Odłożyłem słuchawkę. – Joe jest znowu w lodowatym nastroju. Ciekawe, jak mu się układa z żoną. – Poszedłem sprawdzić, czego ode mnie chce.

Harrison nie był wcale lodowaty – był jak ciekły hel. – Do jasnej cholery, co robiłeś z komputerem? – spytał przeszywając mnie lodowatym spojrzeniem.

– Nic szczególnego. A co, korek poszedł?

– Co to za sprawa z tym Ashtonem?

Byłem zaskoczony. – O, rany – powiedziałem – ale papla z tej Nelie, nie? Kto to widział tak plotkować?

– Co takiego?

– Nic, mówiłem do siebie.

– Więc dla odmiany będziesz mógł porozmawiać sobie z Ogilviem. Wzywa nas do siebie; obu.

Chyba zaniemówiłem. Sześć lat pracowałem w firmie i dokładnie tyle razy widziałem się z Ogilviem; to znaczy tyle razy naprawdę się z nim widziałem. Bo w końcu zdarzało mi się jechać z nim windą, wymienialiśmy uprzejmości, zawsze prosił, żebym pozdrowił od niego ojca. Moja zabawa z Nellie musiała podrażnić jakiś nerw, tak czuły, że całą firmę aż skręcało z bólu.

– Co tak stoisz! – warknął Harrison. – Ogilvie czeka na nas!

Ogilvie nie czekał sam. Był z nim pucułowaty człowieczek o zaróżowionych policzkach, błyszczących oczach i promiennym uśmiechu. Ogilvie nam go nie przestawił. Wskazał krzesła, żebyśmy usiedli, i od razu przeszedł do meritum. – Słuchaj, Malcolmie, dlaczego interesujesz się Ashtonem?

– Żenię się z jego córką – odparłem.

Gdybym oznajmił, że zamierzam współżyć z księciem Walii, nie sprowokowałbym aż tak wspaniałej reakcji. Oblicze pana Bezimiennego zasnuły chmury, jego uśmiech zgasł, a oczy zrobiły się jak świderki. Ogilvie wybałuszył oczy, a potem warknął: – Co takiego?

– Żenię się z jego córką – powtórzyłem. – Co się stało? To prawnie zabronione, czy jak?

– Nie, to nie jest prawnie zabronione – wykrztusił Ogilvie zduszonym grosem. Spojrzał na pana Bezimiennego, jakby nie wiedział, co robić dalej.

Odezwał się pan Bezimienny: – Dlaczego pan sądzi, że mamy Ashtona w kartotece?

– Bez powodu. Ktoś mi żartem poradził, żebym zapytał o niego Nellie, Więc ją zapytałem. Sam się zdziwiłem, kiedy mi się Ashton pojawił.

Ogilvie był chyba przekonany, że zwariowałem. – Nellie! – bąknął słabym głosem. – Jaka znów Nellie?

Przepraszam, mówię o naszym komputerze.

– Czy do kartoteki komputerowej sięgałeś w związku z zadaniami służbowymi? – zapytał.

– Nie. Była to sprawa osobista i prywatna. Żałuję i przepraszam, ale podczas weekendu w otoczeniu Ashtona działy się dość dziwne rzeczy, więc chciałem się czegoś o nim dowiedzieć.

– Jakie dziwne rzeczy?

– Ktoś oblał jego córkę kwasem i...

Wtrącił się pan Bezimienny: – Tę dziewczynę, którą zamierza pan poślubić?

– Nie, jej młodszą siostrę, Gillian. A potem Ashton zachowywał się dość osobliwie.

– Wcale się nie dziwię – powiedział Ogilvie. – Kiedy się to wszystko wydarzyło?

– Wczoraj wieczorem. – Przez chwilę milczałem. – Musiałem się ujawnić wobec gliniarza, więc jest notatka w kontrolce rozmów telefonicznych. Joe już mnie dzisiaj przepytał na tę okoliczność.

Ogilvie zwrócił się teraz do Harrisona. – Wiedziałaś o tym?

– Tylko o kwasie. Nic nie mówił o Ashtonie.

– Bo mnie nie pytałeś – rzuciłem. – A ja nie wiedziałem, że Ashton jest taki cholernie ważny, dopóki mnie Nellie nie oświeciła.

– Chwileczkę – powiedział Ogilvie. – Chciałbym mieć jasność. – Wbił wzrok w Harrisona. – Jeden z twoich pracowników poinformował cię, że został zamieszany w dochodzenie policyjne w związku z napaścią, podczas której oblano kogoś kwasem, a ty nawet nie zapytałeś, kim była ofiara? Tak było?

Harrison skrzywił się nerwowo. Pan Bezimienny, który właśnie przypalał sobie papierosa, przerwał tę czynność w połowie i powiedział pojednawczo: – Chyba to nie ma większego znaczenia. Jedźmy dalej.

Ogilvie przeszył Harrisona spojrzeniem, z którego jasno wynikało, że jeszcze wróćą do tego tematu. – Tak, naturalnie. Sądzi pan, że to poważna sprawa?

– Może się okazać niezwykle poważna – stwierdził pan Bezimienny. – Uważam jednak, że niebywale nam się przy tym poszczęściło. Mamy już swojego człowieka w środku. – Wskazał na mnie papierosem, jak Leonard Bernstein batutą, gdy każe piłować drugim skrzypcom.

– Zaraz, zaraz – zaprotestowałem. – Nie wiem, o co tu chodzi, ale Ashton będzie moim teściem. To już przesada. Nie prosi mnie pan chyba serio, żebym...

– To nie prośba – oznajmił chłodno pan Bezimienny. – To rozkaz.

– Mam to gdzieś – odpowiedziałem bez zająknięcia.

Wyraźnie go to zaskoczyło i jeśli kiedykolwiek zdawało mi się, że ma iskierki w oczach, to w tym momencie zmieniłem zdanie. Spojrzał na Ogilvie'ego. – Wiem, że on ma doskonałą opinię i czyste akta – wycedził – ale zupełnie nie rozumiem, jakim cudem.

– Już raz to dzisiaj powiedziałem, ale w tej chwili powtórzę: – Mam gdzieś swoje akta.

– Cicho bądź – warknął Ogilvie poirytowanym tonem i zwrócił się do Harrisona. – Chyba już nie jesteś nam potrzebny, Joe.

Twarz Harrisona wyrażała jednocześnie zaskoczenie, oburzenie, ciekawość i żal, że musi wyjść. Gdy zamknęły się za nim drzwi, odezwał się Ogilvie. – Poruszono tu istotny problem. Nie jest dobrze, jeśli agent jest emocjonalnie zaangażowany w sprawę. Powiedz, Malcolmie, co myślisz o Ashtonie.

– Lubię go, na tyle, na ile go znam. Nie jest go łatwo poznać, ale też nie miałem okazji się do niego zbliżyć. Spędziłem z nim tylko dwa weekendy.

– Poruszono tu istotny problem – zgodził się pan Bezimienny. Spojrzał na mnie tak, jakbyśmy nagle stali się serdecznymi przyjaciółmi. – W dodatku zrobiono to językiem niezbyt parlamentarnym. Pozostaje jednak faktem, że obecny tu pan Jaggard nie jest człowiekiem z zewnątrz. To wielki atut, który musimy wykorzystać.

– Sądzę, że Malcolm zbada sprawę – powiedział Ogilvie spokojnie – tylko trzeba mu wyjaśnić, dlaczego powinien to zrobić.

– Tak – odezwał się pan Bezimienny – ale proszę zachować rozsądne granice. Zna pan problem.

– Myślę, że potrafię sobie poradzić.

Pan Bezimienny podniósł się z miejsca. – Tak też przedstawię to moim przełożonym.

Po jego wyjściu Ogilvie przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, a potem pokręcił głową. – Słuchaj, Malcolmie, naprawdę nie możesz wysokim urzędnikom państwowym mówić, że masz ich gdzieś.

– Nic takiego nie powiedziałem. Powiedziałem tylko, że mam gdzieś swoje akta, i nawet nie wyjaśniłem gdzie.

– Tacy jak ty, mający własne źródła dochodów, robią się niestety cholernie niezależni i samowolni. Wprawdzie w naszej firmie to wielka zaleta, co zresztą wyjaśniłem jego lordowskiej mości, zanim cię wezwaliśmy, ale utrudnia życie kolegom.

– Jego lordowska mość! – Nie byłem pewien, czy Ogilvie żartuje sobie ze mnie, czy nie.

– Nie mógłbyś na przyszłość mniej gwałtownie reagować?

Było to niezbyt wygórowane żądanie, więc powiedziałem: – Oczywiście.

– To dobrze. A jak się miewa ojciec?

– Po śmierci matki czuje się dość osamotniony. Ale trzyma się dzielnie. Przesyła panu pozdrowienia.

Kiwnął głową i spojrzął na zegarek. – Pójdziemy teraz na lunch i opowiesz mi wszystko, co wiesz o Ashtonie.





Zjedliśmy lunch w oddzielnej salce nad restauracją, w której Ogilvie najwyraźniej był częstym gościem. Kazał mi zacząć od samego początku, od momentu poznania Penny. Zakończyłem swoje opowiadanie relacją z nieudanych prób sprawdzenia, kim jest Ashton, i moich zmagañ z Nellie. Była to długa opowieść.

Gdy skończyłem opowiadać, byliśmy przy kawie. Ogilvie zapalił cygaro i powiedział: – Dobra, jesteś w końcu zawodowcem. Czy zauważyłeś coś niezwykłego?

Zastanowiłem się przez chwilę, zanim odpowiedziałem: – Ashton zatrudnia człowieka nazwiskiem Benson. Coś mi tam nie gra.

– Seks?

– Niekoniecznie. Wątpię, żeby Ashton interesował się mężczyznami. W każdym razie zupełnie na to nie wygląda. Chodzi mi o to, że jak na pana i sługę łączą ich dość dziwne stosunki. Kiedy wczoraj wieczorem wrócili ze szpitala, na półtorej godziny zamknęli się w gabinecie Ashtona i we dwóch obciągnęli pół butelki whisky.

– Hm – mruknął Ogilvie bez wyraźnej intencji. – Coś jeszcze?

– Cholernie dziwne było to, że z takim uporem nakłaniał mnie do ślubu z Penny. W pewnej chwili nawet myślałem, że zaraz chwyci strzelbę i przyłoży mi ją do skroni. – Uśmiechnąłem się. – Oczywiście antyczną dubeltówkę, stosowną do okazji, jaką jest wytworne wesele.

– Wiesz, co ja myślę – powiedział Ogilvie – myślę, że Ashton umiera ze strachu, ale nie ze względu na siebie; on się boi o swoje córki. Wydaje mu się, że jeśli oddali od siebie Penny, to zapewni jej bezpieczeństwo. Jak sądzisz?

– To by się zgadzało. I w najmniejszym stopniu mi się nie podoba.

– Biedny Ashton, miał za mało czasu, żeby sklecić spójny i sensowny plan, a na dodatek wciskał ci go zbyt nachalnie. Założę się, że tę posadę w Australii wymyślił na poczekaniu.

– Kim jest Ashton?

– Przykro mi; nie mogę ci tego powiedzieć. – Ogilvie wypuścił pióropusz dymu. – Dzisiaj rano zająłem zdecydowane stanowisko. Powiedziałem temu gościowi, że zajmiesz się sprawą, jeśli tylko będziesz wiedział, o co chodzi. Ale on się doskonale orientuje, że nie mogę ci nic powiedzieć. Dlatego właśnie w zawołany sposób zgłaszał zastrzeżenia.

– To kompletny nonsens – stwierdziłem.

– Nie taki kompletny. Będziesz robił to samo, co byś i tak robił, wiedząc to, co już wiesz.

– Czyli co mam robić?

– Zapewnisz ochronę dziewczynie. Oczywiście, poproszę cię także, żebyś chronił Ashtona. Jest to transakcja wiązana; widzisz, jedno automatycznie pociąga za sobą drugie.

– I mam to robić nie wiedząc dlaczego, tak?

– Doskonale wiesz dlaczego. Zapewnisz ochronę Penny Ashton, ponieważ nie chcesz, żeby jej ktoś oblał twarz kwasem solnym. Każdemu kochającemu mężczyźnie taki powód powinien wystarczyć. A co do Ashtona – cóż, nasz przyjaciel dziś rano miał rację. Wysyłając żołnierzy do boju, dowódca nie może im opowiadać planu bitwy. Mówi im tylko, gdzie mają iść, a oni idą.

– To fałszywa analogia i pan doskonale o tym wie – powiedziałem. – Jak mogę zapewnić komuś bezpieczeństwo, jeśli nie wiem, przed kim czy przed czym mam go chronić? To tak, jakby wysłać żołnierzy do boju nie tylko nie mówiąc im, gdzie jest wróg, ale też kto nim jest.

– Wygląda więc na to – stwierdzi spokojnie Ogilvie – że będziesz to musiał zrobić wyłącznie dla moich pięknych błękitnych oczu.

Ogilvie miał mnie w ręku i chyba dobrze o tym wiedział. Czułem, że pan Bezimienny, kimkolwiek był, mógł się okazać całkiem groźny, a Ogilvie rozładował tego ranka paskudną sytuację. Byłem więc jego dłużnikiem. W dodatku ten podstępny drań miał zielone oczy.

– Dobrze – odparłem – ale to nie jest robota dla jednego człowieka.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Zastanów się dzisiaj i spisz wszystko, co ci będzie potrzebne. Chcę to mieć jutro z samego rana na biurku. Aha, nawiasem mówiąc, nie ujawniasz się.

Otworzyłem usta i nim rzuciłem w jego stronę przekleństwo, powolutku je zamknąłem. – Chyba pan żartuje. Mam kogoś ochraniać i nie powiedzieć mu, że to robię?

– Jestem przekonany, że zrobisz to znakomicie – stwierdził uprzejmie i zadzwonił na kelnera.

– Więc zdziwi się pan, co mi będzie potrzebne – odparłem kwaśno.

Kiwnął głową i zapytał z zainteresowaniem: – Nie niepokoi cię, że wżenisz się w dość tajemniczą rodzinę?

– Żenię się z Penny, a nie z Ashtonem. – Uśmiechnąłem się do niego. – A pana to nie niepokoi?

– Nie myśl, że nie – oświadczył z powagą i zostawił mnie, żebym sam wyciągał wnioski.



Kiedy wróciłem do swojego pokoju, Larry Goodwin obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem od stóp do głów. – No, jesteś, a ja już miałem organizować ekspedycję ratowniczą. Chodzą słuchy, że ci dają ciężki wycisk. Zamierzałem właśnie zejść do lochów i sprawdzić, że oni rzeczywiście wyrywają paznokcie.

– Nic z tych rzeczy – powiedziałem lekko. – Nie znęcam się nad Harrisonem, więc dali mi złotą odznakę Towarzystwa Ochrony Zwierząt – i tyle.

– Ale śmieszne – rzucił mi kwaśno i otworzył przedwczorajszą „Prawdę”. – Dostaniesz, ale najwyżej order z kartofla, kiedy mnie będą nadawali tytuł szlachecki. – Przyglądał mi się, jak wrzucam do torby kilka drobiazgów. – Wybierasz się gdzieś?

– Przez kilka dni mnie tu nie będzie.

– Szczęściarz. Ja się nigdy nie ruszam z tego cholernego biura.

– Ruszysz się, ruszysz – pocieszyłem go. – W końcu będziesz musiał pójść do Buckingham Pałace po ten tytuł szlachecki. – Oparłem się o biurko. – Właściwie powinieneś być w wydziale krajów słowiańskich. Dlaczego wybrałeś ogólny?

– Myślałem, że w ogólnym będzie ciekawiej. Ale się myliłem – dodał jadownicie.

– Skąd w tobie tyle pogody ducha? – zapytałem i dałem nura za drzwi, bo wyglądało, że zaraz czymś we mnie ciśnie.

Pojechałem do Marlow i poszukałem posterunku policji. Podałem dyżurnemu swoje nazwisko i natychmiast pojawił się Honnister. Dzielił pokój z drugim policjantem i kiedy dałem mu do zrozumienia, że wolałbym rozmawiać w cztery oczy, powiedział: – Możemy przejść do pokoju przesłuchań, ale nie jest tam wygodnie.

– Nie szkodzi.

Drugi gliniarz zatrzasnął leżącą na biurku teczkę i wstał. – I tak już miałem wyjść. Pogadajcie sobie, dziewczynki; nie będę podsłuchiwał waszych tajemnic. – Wychodząc przyjrzał mi się bacznie. Gdyby mnie kiedykolwiek spotkał na ulicy, na pewno by mnie poznał.

Honnister siadł przy swoim biurku i popatrzył na mnie spode łba. – U was w firmie strasznie się ze wszystkim kryjecie.

Uśmiechnąłem się. – Jakoś nie widzę, żeby pan chodził w mundurze.

– Zadzwoił do mnie dzisiaj taki jeden od was, Harrison się nazywa – groził mi więzieniem i koszmarnymi torturami, gdybym słowem o panu pisał.

Usiadłem. – Joe Harrison to skończony idiota, ale chce dobrze.

– Kto jak kto, ale gliniarz umie dotrzymać tajemnicy. Zwłaszcza tajniak – powiedział Honnister. – Znam tyle miejscowych tajemnic, że mógłbym wysadzić w powietrze całe Marlow. Ten facet od was powinien się w takich sprawach orientować. – W jego głosie brzmiało rozgoryczenie.

Przeklinałem Harrisona i jego brutalne metody; byłem gotów powiesić go za kłaki, jeśli mi zrobił tyły u miejscowych glin. – Panie inspektorze – powiedziałem – wczoraj wieczorem poinformowałem pana, że służbowo nie mam z Ashtonem nic wspólnego. Była to prawda, ale sytuacja uległa teraz zmianie. Moi przełożeni są w tej chwili zdecydowanie zainteresowani tą sprawą.

Chrząknął. – Wiem. Już mnie prosili o sporządzenie dodatkowych kopii wszystkiego, co mam w związku ze sprawą Ashtona. Jak bym bez tego miał za mało roboty. Na dodatek muszę gromadzić jakieś szpargały dla facetów, którzy nie powiedzą mi nawet, która godzina, jeśli nie sprawdzą w regulaminie, czy im wolno. – Jego niechęć narastała.

– Niech pan nie zawraca sobie głowy tymi bzdurami – powiedziałem szybko. – Wystarczy, jeśli będę mógł przejrzyć pańską dokumentację.

– Został pan do tego upoważniony?

Uśmiechnąłem się do niego. – Sam się upoważniłem. A jakby się ktoś czepiał, biorę to na siebie.

Wbił we mnie wzrok, a potem jego usta wykrzywiły się w uśmiechu. – Czuję, że się bez problemu dogadamy – stwierdził. – Co pan chce wiedzieć?

– Po pierwsze, jak się ma dziewczyna?

– Nie dali nam z nią rozmawiać, więc pewnie jest kiepsko. A przecież muszę mieć jakiś rysopis. Nie wiem nawet, czy napastnik był kobietą czy mężczyzną.

– Czyli nie pozwalają na żadne odwiedziny.

– Wpuszczają tylko najbliższą rodzinę. Siostra była u niej prawie cały dzień.

– W tej sprawie chyba będę mógł panu pomóc – powiedziałem. – Mógłbym, na przykład, poprosić Penny, żeby wypytała Gillian o rysopis. Przynajmniej już by pan coś wiedział, zanim sam pan ją przesłucha. Zobaczę się z Penny dopiero pod wieczór. Gdzie będę mógł pana znaleźć?

– Teoretycznie będę miał wolne, ale wybiorę się na piwo do pubu „Pod Karocą”. Będę tam od dziewiątej do dziesiątej; Muszę się spotkać z kimś, kto ma mi dostarczyć informacji w innej sprawie. Może pan tam do mnie zadzwonić. Właściciel, pan Doyle, dobrze mnie zna.

– Zgoda. A czego się pan dowiedział na temat kwasu?

Honnister wzruszył ramionami. – A czego się tu można dowiedzieć? Jest to kwas do akumulatorów, a więc powszechnie dostępny. Dookoła jest pełno stacji obsługi samochodów, a zresztą mógł pochodzić skądkolwiek. – Odchylił się w fotelu. – Mnie to jakoś pachnie Londynem.

– Widział się pan z Ashtonem?

– O, tak, widziałem się z Ashtonem. Twierdzi, że nie ma najmniejszego pojęcia, po co ktoś miałby napadać na jego córkę, i to w taki sposób. Nie widzi żadnego absolutnie powodu. Zupełnie jak bym gadał do ściany.

– Porozmawiam z nim wieczorem. Może uda mi się coś z niego wyciągnąć.

– Czy on wie, kim – i czym – pan jest?

– Nie; i nie może się o tym dowiedzieć.

– Fajne macie życie w tej swojej firmie – zauważył Honnister ze zjadliwym uśmiechem. – I pomyśleć, że zamierza pan się żenić z jego córką.

Uśmiechnąłem się. – Skąd pan o tym wie?

– Po prostu podsumowałem to, co mi pan wczoraj powiedział, i to, czego się dowiedziałem od jednego z moich funkcjonariuszy, który był na herbatce u służącej Ashtonów. Mówiłem panu, że docierają do mnie różne sekrety – i choć nieładnie się chwalić, jestem dobry w te klocki.

– No to niech mi pan zdradzi kilka sekretów na temat Ashtona – poprosiłem.

– Policja nigdy nie miała z nim do czynienia. W każdym razie nie w żadnej kwestii kryminalnej. W.P. miał z nim kontakt.

– Co to jest W.P.?

– Wydział Prewencji. W okolicy jest mnóstwo dużych domów, a w nich mnóstwo drogich fantów. Funkcjonariusze Wydziału Prewencji chodzą po domach i sprawdzają zabezpieczenia przed włamaniem. Nie ma pan pojęcia, jacy głupi potrafią być ci bogacze. Facet gromadzi w domu obrazy i antyki warte ćwierć miliona funtów, a potem skąpi kilku tysięcy na odpowiednią ochronę przed złodziejami.

– Jakie zabezpieczenie ma Ashton?

Honnister uśmiechnął się. – Lepsze ma chyba tylko Bank of England. Zaciekawilo mnie to. – Jeszcze coś na temat Ashtona?

– Nic istotnego. Ale przecież to nie jego napadnięto, no nie? – Pochylił się do przodu. – A czy rozważał pan taką możliwość, że Gillian Ashton przespała się w niewłaściwym łóżku? Kiedy słyszę o oblaniu kwasem, dwie rzeczy przychodzą mi na myśl: pierwsza, że to jakaś rozgrywka w wojnie gangów, a druga, że to jedna pani mści się na drugiej pani.

– Brałem to pod uwagę, ale Penny wyklucza taką możliwość, mnie też wydaje się ona mało prawdopodobna. To nie ten typ.

– Być może; w każdym razie węszyłem trochę i na nic jeszcze nie trafiłem, ale wykluczyć tej

możliwości nie mogę.

– Oczywiście, że nie.

Wstałem Honnister zaś powiedział: – Proszę zbyt wiele nie oczekiwać ani zbyt szybko. Szczerze mówiąc, niech pan niczego nie oczekuje. W tej sprawie nie liczę na wielkie sukcesy. A w ogóle – przecież nawet doba nie upłynęła od wypadku.

Faktycznie; i ogromnie mnie to zdziwiło. Ten dzień tak obfitował w wydarzenia, że wydawał się niewiarygodnie długi. – Dobrze – powiedziałem. – Skontaktuję się z panem wieczorem.





Ruszyłem w kierunku domu Ashtonów. Jechałem wolno, krążyłem po okolicy, przemierzałem wiejskie drogi nieustannie rozglądając się, czy nie zauważę czegoś niezwykłego. Mógłby to być na przykład samochód zaparkowany na poboczu, a w nim pasażerowie, którzy siedzą i nic nie robią. Ale niczego takiego nie wypatrzyłem, więc po godzinie jałowych poszukiwań dałem spokój i pojechałem już prosto do Ashtonów.

Brama była zamknięta, ale z boku znajdował się dzwonek, więc go nacisnąłem. Czekając, aż mi otworzą, przyglądałem się bramie pod kątem tego, co mi powiedział Honnister o zabezpieczeniach przeciw włamywaczom. Brama była ozdobna, z kutego żelaza z ostrymi szpikulcami na górze. Miała ze trzy i pół metra wysokości i zawieszona była między dwoma masywnymi kamiennymi słupami. Ogrodzenie z metalowej siatki, było tej samej wysokości co brama i najwyraźniej biegło wokół całej posiadłości, choć nie rzucało się w oczy, gdyż przysłaniały je drzewa. Wszystko to pięknie, tylko, niestety, poprzedniego dnia brama nie była zamknięta.

Wkrótce do bramy zbliżył się mężczyzna w prostym wiejskim ubraniu. Nie widziałem go przedtem. Spojrzał na mnie przez sztachety i zapytał krótko: – O co chodzi?

– Nazywam się Malcolm Jaggard. Chciałbym się zobaczyć z panem Ashtonem.

– Nie ma go, wyszedł.

– A panna Ashton?

– Nie ma ani jednej, ani drugiej.

Zamyśliwszy się skubałem koniuszek ucha. – A Benson?

Przyglądał mi się przez chwilę i wreszcie powiedział: – Sprawdź. – Schował się za jednym z kamiennych słupów, skąd po chwili dobiegł mnie terkot obracanej tarczy telefonicznej. Można powiedzieć, że nieco spóźnione środki ostrożności.

Mężczyzna wyszedł zza słupa i bez słowa zaczął otwierać bramę. Wróciłem więc do samochodu i podjechałem pod sam dom. Benson z właściwą sobie kurtuazją a la Borys Karloff wprowadził mnie do salonu. – Przypuszczam, że panna Penny wkrótce się zjawi. Zawiadomiła mnie telefonicznie, że będzie o piątej.

– Nie mówiła przypadkiem, jak się czuje Gillian?

– Nie, proszę pana. – Zrobił pauzę, a potem z wolna pokręcił głową. – To bardzo paskudna sprawa, proszę pana. Haniebna.

– Niestety tak. – Zawsze mnie uczono, że nie należy wypytywać służących o ich pracodawców, ale

w tym przypadku nie miałem skrupułów. Benson nigdy nie sprawiał na mnie wrażenia zwykłego służącego. Zwłaszcza w tym momencie, gdyż albo przez noc wyrósł mu pod lewą pachą wielki guz – co było mało prawdopodobne, albo nosił przy sobie rewolwer. – Widzę, że postawiliście przy bramie strażnika.

– Tak; to Willis. Uprzedzę go, że ma pana wpuszczać.

– Jak się czuje pan Ashton po tym wszystkim?

– Zdziwiająco dobrze. Pojechał rano do pracy, jak zwykle. Napije się pan czegoś?

– Chętnie. Poproszę whisky.

Przeszedł przez pokój, otworzył barek i wrócił z tacą, którą postawił przy mnie na stoliku. – Jeśli pan pozwoli, pójdę do swoich zajęć.

Benson nie zamierzał czekać, aż zacznę go wypytywać. Zresztą, nawet gdyby został, wątpię, czy zdołałbym cokolwiek z niego wyciągnąć. Mówił używając wyświechtanych zwrotów i zdawkowych ogólników, ale czy równie schematycznie myślał, to już zupełnie inna sprawa.

Nie musiałem długo czekać na przyjazd Penny; weszła do pokoju zanim zdążyłem opróżnić szklaneczkę do połowy.

– Och, Malcolm, jak to dobrze, że jesteś. Cudowny z ciebie człowiek. – Była zmęczona i wyglądała mizernie.

– Przecież obiecałem, że przyjadę. Jak się czuje Gillian?

– Odrobinę lepiej; tak mi się zdaje. Zaczyna wychodzić z szoku.

– Bardzo się cieszę. Rozmawiałem z Honnisterem, to ten inspektor, który prowadzi sprawę. Chciałby ją przesłuchać.

– Malcolm, nie żądajcie tego od niej. Jeszcze za wcześnie.

Podeszła do mnie, a ja ją przytuliłem. – Jest aż tak źle?

Oparła mi głowę na piersi, a potem popatrzyła w oczy. – Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jakie to koszmarnie przeżycie dla kobiety. Kobiety przywiązują znacznie większą wagę do swego wyglądu niż mężczyźni; i pewnie muszą tak robić. W końcu każda, albo prawie każda, stara się złowić mężczyznę. Dla Gillian to był nie tylko szok w sensie fizycznym; był to także szok psychiczny.

– Nie myśl, że nie zdaję sobie z tego sprawy – powiedziałem. – Ale postaw się na miejscu Honnistera. Nie ma punktu zaczepienia – musi mieć jakiś rysopis. W tej chwili nie wie nawet, czy ma szukać kobiety czy mężczyzny.

Penny była wyraźnie zaskoczona. – Nie przyszło mi to do głowy. Z góry założyłam, że to mężczyzna.

– Honnister nie przyjął takiego założenia. Honnister nie przyjął żadnego założenia, bo jest w punkcie zerowym. Czy Gillian w ogóle z tobą rozmawia?

– Trochę. Dzisiaj trochę rozmawialiśmy. – Penny skrzywiła się. – Starannie unikałam tematu kwasu solnego.

– Czy mogłabyś wybrać się dzisiaj do szpitala i spróbować coś z niej wyciągnąć? Honnister naprawdę jest w beznadziejnej sytuacji. Twój ojciec nic mu nie potrafił powiedzieć, więc nie może ruszyć z miejsca.

– Mogłabym pojechać na ósmą. Czy to nie będzie dla ciebie za późno?

– Jestem cały czas do twojej dyspozycji. – Nie dodałem tylko, że należy to rozumieć dosłownie, że jest to dzięki niejakiemu Ogilvie'emu i za pieniądze podatników. – Chyba dobrze by ci zrobiło, gdybyś się czegoś napiła.

– Może być dzin z tonikiem. Przynies mi go, proszę, do kuchni, dobrze? Muszę się zakrzętnąć koło kolacji – tata niedługo wróci z pracy.

Wyszła, ja przygotowałem jej drinka i zaniósłem go do kuchni. Zapytałem, czy mógłbym jej w czymś pomóc, ale Penny roześmiała się i przegoniła mnie. – Tylko byś mi się pętał pod nogami. Niedługo przyjdzie Mary, to mi pomoże.

– Jaka Mary?

– Służąca, Mary Cope. Znajdź sobie jakieś zajęcie.

Wyszedłem z kuchni. Pomyślałem, że najchętniej zająłbym się dokładnym przetrząśnięciem gabinetu Ashtona. Skoro jednak wypytywanie służby uchodzi już za nietakt, to ciekawe jakby określono wertowanie prywatnych papierów gospodarza domu w jego sanctum sanctorum. Zrezygnowany więc poszedłem do ogrodu.

Turlałem po trawniku kule od krokiet, kiedy pojawił się Ashton. Wyraźnie zmarniał i stracił blask, jakby mu duszę przepuszczono przez wyżymaczkę. Opalenizna wprawdzie nie znikła, ale skórę miał znacznie bledszą niż zwykle, a w jego spojrzeniu wciąż malowało się rozżalenie. Było to spojrzenie chłopca, którego ukarano za coś, czego nie zrobił, ból spowodowany niesprawiedliwością świata. Trudno komukolwiek wytłumaczyć, że światem wcale nie rządzi sprawiedliwość, ale w końcu Ashton wystarczająco długo po nim chodzi, żeby to wiedzieć.

Poinformowałem go, że Penny jest w kuchni.

– Już się z nią widziałem – odpowiedział krótko.

– Podobno Gillian ma się dzisiaj odrobinę lepiej.

Wbił wzrok w ziemię, czubkiem buta kopał darń. Milczał przez dłuższą chwilę i już zacząłem podejrzewać, że nie dosłyszał mojej uwagi. Wreszcie podniósł wzrok i odezwał się szorstko: – Straciła wzrok.

– O, Boże, to straszne!

Kiwnął głową. – Sprowadziłem do niej dzisiaj okulistę.

– Czy ona wie o tym? Czy Penny wie?

– Ani jedna, ani druga nic jeszcze nie wiedzą. Umyślnie to przed nimi ukrywam.

– Rozumiem, dlaczego pan to ukrywa przed Gillian, ale dlaczego Penny ma nie wiedzieć?

– W przeciwieństwie do wielu sióstr, moje córki zawsze były zżyte, mimo że się tak bardzo różnią usposobieniem – a może właśnie dlatego. Obawiam się, że gdyby Penny wiedziała, Gillian by to z niej wyciągnęła. A w tej chwili taka wiadomość byłaby dla niej zbyt wielkim ciosem. – Spojrzał mi prosto w oczy. – Niech jej pan tego nie mówi.

Było to bardzo logiczne, bardzo rozsądne, a pan Ashton bez owijania w bawełnę wydał mi właśnie rozkaz – co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. – Nie powiem jej – obiecałem. – Ale i tak może się dowiedzieć. W końcu ma przygotowanie medyczne i nie jest głupia.

– Chcę tylko, żeby to się stało możliwie najpóźniej.

Pomyślałem, że powinienem wreszcie zacząć coś robić, żeby zasłużyć na pensję. – Po południu widziałem się z Honnisterem. Powiedział, że rano niewiele zdołał się od pana dowiedzieć. Nie domyśla się pan, jaki powód mógł ktoś mieć, żeby zaatakować Gillian?

– Nie – odpowiedział bezbarwnie. Przyjrzałem mu się uważnie. Marynarkę miał nieporównanie lepiej skrojoną niż Benson, ale nawet najlepszy krój nie mógł zatuszować rysującego mu się pod pachą wybrzuszenia. – Czy nie otrzymywał pan ostatnio na przykład listów z pogrózkami?

– Nic w tym rodzaju – odparł zniecierpliwiony. – Nie potrafię tego zrozumieć.

Korciło mnie, żeby go zapytać, dlaczego w takim razie nosi broń. Problem polegał jednak na tym, że nie wiedziałem, z jakiego powodu mamy go w kartotece. Różni ludzie tam trafiają i z bardzo różnych powodów – jeśli ktoś występuje w naszej kartotece, to wcale jeszcze nie znaczy, że jest przestępcą; często bywa wręcz przeciwnie. Kłopot w tym, że nikt nie chciał mi powiedzieć, z jakiego tytułu mamy tam Ashtona, i to mi ogromnie utrudniało zadanie. Trudno mi było zgadnąć, jak się do niego dostać; trudno mi było znaleźć jakikolwiek punkt zaczepienia.

Robiłem jednak, co mogłem. – Więc przyczyna musi być gdzieś w życiu samej Gillian – stwierdziłem z rozmysłem. – Może się zadała z jakimś towarzystwem?

Rozgniewało go to. – Bzdura! – powiedział ostro. – To ohydna sugestia. Jakże by mogła bez mojej wiedzy zadać się z takimi typami? Z kimś zdolnym do tak podłego czynu?

Grałem rolę bezstronnego obserwatora. – Bo ja wiem? – powiedziałem spokojnie. – Sądząc po tym, co czytamy w prasie, takie rzeczy są na porządku dziennym. Policja zatrzymuje przypadkiem jakiegoś dzieciaka, a przy okazji odkrywa całą serię przestępstw, począwszy od tego, że delikwent zażywa heroinę, a skończywszy na tym, że kradnie, po potrzebuje forsy na narkotyki. Rodzice są

wstrząśnięci, twierdzą, że nic nie wiedzieli; nie mieli pojęcia, że ich Johnny czy Mary mają z czymś takim do czynienia. W dodatku ja im wierzę.

Wziął głęboki oddech. – Po pierwsze, Gillian nie jest dzieckiem; to dorosła kobieta, ma dwadzieścia sześć lat. Po drugie, doskonale znam swoją rodzinę. Wczoraj powiedziałeś mi komplement. Stwierdziłeś, że zbyt dobrze wychowałem Penny. To samo odnosi się do Gillian. – Z całej siły wbił czubek buta w darń. – Czy coś takiego przyszłoby ci do głowy w związku z Penny?

– Nie, chyba nie.

– W takim razie dlaczego podejrzewasz o to Gillian? To kompletna bzdura!

– Bo nie Penny oblano kwasem – przypomniałem mu – tylko Gillian.

– Koszmar – wymamrotał.

– Przepraszam, nie chciałem zrobić panu przykrości. Proszę mi wybaczyć.

Podniósł dłonie do twarzy i tarł oczy. – Już dobrze, Malcolmie, nic się nie stało. – Ręce opadły mu gwałtownie. – Widzisz, ona zawsze była taką dobrą, grzeczną dziewczynką. Nie tak jak Penny; Penny bywała chwilami trudna. Zresztą nadal się to zdarza. Penny potrafi być bardzo uparta; przekonasz się, jeśli się z nią ożenisz. Ale Gillian – pokręcił głową – z Gillian nigdy nie było najmniejszych kłopotów.

Słowa Ashtona uprzytomniły mi, jak bardzo muszą cierpieć rodzice, gdy mają jakieś problemy z dziećmi. Współczułem mu, ale jednocześnie zauważyłem, że powiedział: „JEŚLI się ożenisz z Penny”, a nie „KIEDY się ożenisz”. Widać wczorajsza obsesja już mu przeszła.

Natychmiast jednak rozwiał moje złudzenia. – Czy myślałeś choć trochę o mojej wczorajszej propozycji?

– Trochę.

– I do czego doszedłeś?

– Właściwie nie zmieniłem zdania – powiedziałem. – Chyba nie należy w tej chwili stawiać Penny przed nowymi problemami. Zwłaszcza jeśli ona i Gillian są tak bardzo zżyte. Sam pan wie, że Penny też bardzo cierpi.

– Pewnie masz rację – stwierdził z rezygnacją i znów kopnął trawnik. Butowi wyraźnie to nie służyło i aż przykro było patrzeć na tak bezceremonialne traktowanie arcydzieła firmy Lobb. – Zostaniesz na obiedzie?

– Jeśli pan pozwoli – odpowiedziałem oficjalnie. – Potem zawiozę Penny do szpitala.

Kiwnął głową. – Tylko nic jej nie mów o wzroku Gillian. Obiecuj mi.

– Już obiecałem.

Nic na to nie odpowiedział, tylko odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę domu. Patrzyłem za nim i zrobiło mi się go straszliwie żal. W tym momencie było mi dokładnie obojętne, czy Nellie miała go w rubryce „przestępcy” czy „bohaterowie”; było mi go żal jako człowieka ogarniętego najgłębszą rozpaczą.

Do szpitala dojechaliśmy koło wpół do dziewiątej. Nie wchodziłem z Penny do środka, tylko poczekałem na nią w samochodzie. Dość długo jej nie było, bo ponad godzinę, i zaczynałem się już niecierpliwic, gdyż obiecałem Honnisterowi, że zadzwonię. Kiedy wreszcie przyszła, powiedziała cicho: – Dowiedziałam się tego, co chciałeś.

– A powtórzysz to Honnisterowi? – zapytałem. – Jestem z nim umówiony.

– Tak.

Honnistera zastaliśmy w pubie „Pod Karocą”. Stał przy barze i patrzył z zadumą w szklanek z piwem. Kiedy podeszliśmy, powiedział: – Mój znajomy już był i poszedł. Sterczę tu i czekam na pański telefon.

– Panie inspektorze, panna Ashton przyszła tu ze mną, bo chce panu coś powiedzieć.

Spojrzał na nią z powagą. – Dziękuję pani. Chyba nie muszę pani zapewniać, że dokładamy wszelkich starań, żeby tę sprawę wyjaśnić, ale jest ona dość skomplikowana i każdą pomoc przyjmujemy z wdzięcznością.

– Rozumiem – odparła Penny.

Zwrócił się do mnie: – Czego się państwo napiją?

– Whisky i... – Spojrzałem na Penny.

– Dżin z tonikiem.

Honnister zawołał do barmana: – Monte, podaj nam dużą szkocką i dżin z tonikiem. – Potem odwrócił się z lustrował salę. – Zajmijmy szybko tamten stół, bo zaraz się tu zwałą tłumy.

Zaprowadziłem Penny do stolika, a Honnister z drinkami wkrótce do nas dołączył. Nie tracił ani chwili i gdy tylko usiadł przy stoliku, natychmiast zwrócił się do Penny: – Więc, co może mi pani powiedzieć?

– Gillian mówi, że to był mężczyzna.

– Aah! – ucieszył się Honnister; mógł już wyłączyć ze śledztwa ponad połowę ludności Wielkiej Brytanii. – Jaki mężczyzna? Młody? Stary? Najdrobniejszy strzęp informacji jest ważny.

Kilkakrotnie wypytał ją o przebieg całego zdarzenia, za każdym razem wyłuskiwał jakiś drobny szczegół. Mówiąc w skrócie, rzecz odbyła się następująco: Gillian wracała z kościoła pieszo. Na

podjeździe przed domem zobaczyła samochód; miał otwartą maskę, a stojący obok mężczyzna zaglądał do silnika. Pomyślała, że pewnie ma jakąś awarię, więc postanowiła zaproponować mu pomoc. Gdy podeszła bliżej, mężczyzna się wyprostował i uśmiechnął do niej. Nigdy go przedtem nie widziała. Właśnie zamierzała się do niego odezwać, gdy on jedną ręką gwałtownie zatrzasnął maskę samochodu, a drugą chlusnął na nią kwasem. Nie odezwał się ani słowem; miał około czterdziestki, ziemistą cerę i zapadnięte oczy. Nie zauważyła marki samochodu i pamięta tylko tyle, że był ciemnowy.

– Cofnijmy się trochę – powiedział już któryś raz z rzędu Honnister. – Pani siostra zobaczyła mężczyznę, który zaglądał pod maskę, do silnika. Czy wspomniała coś o jego rękach?

– Nie, chyba nie. A to ważne?

– Może się okazać ważne – powiedział Honnister wymijająco. Dobry był z niego zawodnik; nie wkładał w usta świadków własnych koncepcji.

Penny zmarszczyła brwi, obserwowała bąbelki gazu w swojej szklance, jej wargi poruszały się nieznacznie, jakby w myślach coś sobie przepowiadała. Nagle się odezwała. – Otóż to. Gillian powiedziała, że kiedy podeszła bliżej i nieznajomy się do niej uśmiechnął, to wyciągnął ręce z kieszeni marynarki.

– Znakomicie – ucieszył się Honnister. – Doskonale.

– Nie rozumiem, dlaczego to takie ważne – zdziwiła się Penny.

Honnister odwrócił się do mnie. – W niektórych samochodach otwartą maskę podtrzymuje wspornik na zawiasie, w innych jest specjalne urządzenie sprężynowe. Jeśli więc trzymał ręce w kieszeniach, to znaczy, że nie podtrzymywał nimi maski; a skoro wyjął ręce z kieszeni, żeby jednocześnie zatrzasnąć maskę i chlusnąć kwasem, to znaczy, że w samochodzie musiało być urządzenie sprężynowe. Nie starczyłoby mu czasu, żeby odblokować wspornik i złożyć go. Wobec tego, szukając samochodu, możemy wyeliminować bardzo wiele marek. – Wypił do końca swoje piwo. – Czy ma mi pani jeszcze coś do powiedzenia?

– Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

– Spisałyście się znakomicie, i pani, i siostra – powiedział Honnister wstając od stolika. – Muszę już iść. Mam spotkanie w sprawie psa. – Uśmiechnął się do mnie. – Mówię poważnie, skradziono charta.

– Zawiadomi nas pan, gdyby... – powiedziała Penny.

– Gdybyśmy na coś trafili, pani dowie się pierwsza – obiecał Honnister. – Kogo jak kogo, ale tego drania koniecznie chcę dostać w swoje ręce.

– To znakomity gliniarz – powiedziałem, gdy wychodził.

– Na to wygląda – odrzekła Penny. – Nie podejrzewałabym, że sposób, w jaki się otwiera maskę samochodu, może mieć jakiegokolwiek znaczenie.



Gapilem się w szklankę. Myślałem, że gdybym pierwszy dorwał tego bandytę z kwasem, to niewiele by z niego zostało dla Honnistera. Po chwili odezwała się Penny: – O czym tak myślisz?

Odpowiedziałem jej całkiem mechanicznie, prawie bezmyślnie: – Zastanawiam się, czy to dobry pomysł, żebyśmy się pobrali.

– Malcolm!

Jestem niezły w odgadywaniu niuansów, ale w tym jednym dwusylabowym słowie było ich stanowczo za wiele jak na moje możliwości. Było w nim i zdziwienie, i zaskoczenie zarazem; było też, niestety, niezadowolenie i – mam nadzieję – radość. Wszystko to przemieszane razem.

– Więc według ciebie to nie jest dobry pomysł?

Obserwowałem ją, widziałem, jak szuka słów. – Tylko mi nie mów, że to się stało tak nagle.

– Właśnie stało się nagle – powiedziała wskazując ręką pomieszczenie, w którym byliśmy. – W dodatku tutaj!

– Według mnie to całkiem niezły pub – powiedziałem. – Zresztą, czy miejsce ma tu jakiegokolwiek znaczenie?

– Chyba nie – wyszeptała. – Ale ważny jest czas, właściwy moment.

– Pewnie mógłbym wybrać bardziej odpowiedni moment – przyznałem. – Ale tak mi wyszło. Zresztą, nie tylko ja uważam, że to niezły pomysł. Twój ojciec też jest tego zdania; wczoraj wieczorem chciał, żebym natychmiast ci się oświadczył.

– Czyli, że rozmawialiście sobie o mnie za moimi plecami. Wcale mi się to nie podoba.

– Bądź rozsądna. Taka jest tradycja i dobry obyczaj, że mężczyzna informuje przyszłego teścia o swoich zamiarach. – Nie dodałem tylko, że to Ashton poruszył ten temat.

– A co byś zrobił, gdyby ojciec był temu przeciwny?

– I tak bym cię zapytał – oznajmiłem spokojnie. – Żenię się z tobą, a nie z twoim ojcem.

– Z nikim się nie żenisz. Jeszcze. – To ostatnie słowo natchnęło mnie otuchą. Położyła swoją dłoń na mojej. – Ty idioto, myślałam, że już nigdy mi się nie oświadczysz.

– Miałem już wszystko przygotowane, ale przeszkodziły mi okoliczności.

– Wiem. – W jej głosie zabrzmiał smutek. – Byłam dzisiaj taka strasznie nieszczęśliwa, kiedy myślałam o Gillian, gdy zobaczyłam jak bardzo cierpi. A potem to koszmarnie zadanie, którym mnie obarczyłeś. Rozumiem, że trzeba było ją wypytać, więc ją wypytałam – ale zrobiłam to z największą przykrością. I do tego jeszcze tatuś... mówi niewiele, widzę jednak, że przeżywa piekło, i bardzo się o niego martwię. A teraz na dodatek ty i nowe problemy.

– Przykro mi, Penny; naprawdę bardzo cię przepraszam. Schowajmy moje pytanie do

zamrażalnika. Postawiłem ci je, ale możemy je na razie odstawić.

– Nie, Malcolmie – odezwała się Penny. – Nie można odstawić raz postawionego pytania. W pewnym sensie na tym właśnie polega moja praca. – Przez chwilę milczała. Nie rozumiałem, co chce przez to powiedzieć, ale ciałem na tyle rozsądku, żeby milczeć. Wreszcie się odezwała. – Wyjdę za ciebie, Malcolmie; wyszłabym za ciebie nawet jutro. Nie zależy mi na wielkiej fecie, na sukni z trenem i tak dalej. Chcę wyjść za ciebie, ale w tej chwili nie jest to możliwe. Co więcej, nie wiem, kiedy to będzie możliwe. Najpierw musi się skończyć ta sprawa z Gillian.

Wziąłem ją za rękę. – Rozumiem i przyjmuję to do wiadomości.

Uśmiechnęła się do mnie z lekkim grymasem. – Obawiam się, że będzie to dość nietypowe narzeczeństwo. Nie jestem w nastroju do beztrudnych zabaw. Być może za jakiś czas, ale nie w tej chwili. – Ścisnęła moją rękę. – Pamiętasz, kiedy cię tu zaprosiłam, żeby cię przedstawić tatusiowi? To było u ciebie w mieszkaniu, tego wieczoru, kiedy poczęstowałeś mnie kolacją z chińskiej restauracji.

– Pamiętam.

– To był wybieg. Musiałam się przed czymś pohamować.

– Na miłość boską – przed czym?

– Przed tym, żeby nie pomaszerować do twojej sypialni i nie wpakować ci się do łóżka.

Uwolniła swoją rękę z mojej i dokończyła drinka. – A teraz zawieź mnie szybko do domu, zanim zmienię zdanie i zaczniemy być niegrzeczni.

Gdy odprowadzałem ją do samochodu, serce śpiewało mi z radości jak ptak i działały się z nim różne inne głupoty opisywane niegdyś przez poetów. Teraz już poeci dali sobie z tym spokój, a zastąpili ich, niestety, autorzy przebojów. Odwiozłem ją do domu, zatrzymałem samochód przed bramą i zanim wysiadła, przez pięć minut rozkoszowaliśmy się tym, że się kochamy. Nie miała klucza, więc musiała nacisnąć dzwonek, żeby ktoś wyszedł jej otworzyć.

– Nie będziemy ogłaszać naszych zaręczyn – powiedziałem – ale twój ojciec chyba powinien się o nich dowiedzieć.

– Zaraz mu o tym powiem.

– Będziesz jutro w Londynie?

Pokręciła głową. – Lumsden zwolnił mnie na kilka dni. Jest bardzo wyrozumiały.

– Wpadnę, żeby się z tobą zobaczyć.

– A co z twoją pracą?

Uśmiechnąłem się. – Też mam bardzo wyrozumiałego szefa.

Dobiegł nas zgrzyt klucza w zamku i skrzydło bramy się uchyliło, pchnięte przez Willisa, tego antypatycznego ponuraka, który mnie wpuścił po południu. Penny pocałowała mnie, wśliznęła się do środka, a brama zatrzasnęła się za nią ze szczękiem. Podeszedłem bliżej i odezwałem się do Willisa: – Proszę odprowadzić pannę Ashton aż do samych drzwi, zaczekać, aż wejdzie do środka, i upewnić się, czy wszystkie zamki zostały zamknięte.

Przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu, wreszcie uśmiechnął się. Wyglądało to, jakby pękła kora. – Dobrze, proszę pana, tak zrobię.



Następnego dnia przyszedłem do biura wcześniej i zacząłem od dłuższej pogawędki z Nellie. Ledwie zdążyłem przesiąść się do maszyny do pisania, wparował Larry. Zwalił na swoje biurko wielki plik gazet. – Myślałem, że jesteś na jakiejś akcji w terenie.

– I słusznie, bo mnie tu wcale nie ma. To, co widzisz, to tylko wytwór twojej wyobraźni.

Skończyłem przepisywać listę, którą przygotowałem, zaniósłem ją Ogilvie'emu i od razu przystąpiłem do rzeczy. – Mogę walczyć z jedną ręką zawiązaną za plecami – oświadczyłem – ale nie z obiema. Muszę mieć pełną informację na temat jawnej działalności i powiązań Ashtona.

Ogilvie uśmiechnął się i podsunął mi teczkę z aktami. – Spodziewałem się twojej wizyty.

Zrewanżowałem się i podałem mu przygotowaną listę. – To kolejne zamówienie – wyjaśniłem.

Rzucił okiem na moją kartkę. – Sześciu ludzi, sześć samochodów, telefon, taaa... – urwał w pół słowa. – Co ty sobie wyobrażasz, że my tu jesteśmy jakieś CIA, czy jak?

Pilnie przypatrywałem się swoim rękom. – Czy pan kiedykolwiek działał w terenie? – spytałem.

– Jasne, że... – Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że uśmiecha się leciuteńko. Jego uśmiech zgasł i Ogilvie odezwał się tonem pełnym irytacji: – Wiem, wiem, wam się wszystkim zdaje, że tu, za biurkiem straciliśmy kontakt z rzeczywistością. Może i masz rację. – Stuknął palcem w kartkę. – Uzasadnij mi to!

– Muszę prowadzić całodobową obserwację trzech albo czterech osób. Trzeba będzie...

– Jakich trzech albo czterech osób, konkretnie?

– Po pierwsze, Ashtona i Penny Ashton. Następnie Gillian Ashton. Fakt, że padła ofiarą zamachu, wcale jej nie eliminuje po wieczne czasy. Jeśli ładnie poproszę Honnistera, to może uda się załatwić, żeby ktoś z jego ludzi dyżurował w szpitalu. To by nas trochę odciążyło.

– A kto czwarty?

– Benson. Sprawdziłem ich wszystkich w komputerze, ale utknąłem na Strefie Fioletowej.

– W przypadku Bensaona także? – Ogilvie zastanowił się nad tym przez chwilę. – Wiesz, w komputerze może się liczyć adres. Wszystkie osoby zamieszkałe razem z Ashtonem mogą być razem z nim zakwalifikowane.

– Też tak pomyślałem, ale się nie sprawdza. Mary Cope, służąca, mieszka na miejscu, więc kontrolnie zapytałem Nellie o nią. Nikt taki nie figuruje. Jeśli Ashton jest tak cholernie ważny, to wart jest tych sześciu ludzi.

– Zgadzam się z tobą, ale jeśli masz prowadzić obserwację czterech osób, to sześciu ludzi ci nie wystarczy. Dam ci ośmiu. – Uśmiechnął się lekko. – Chyba zgłupiałem. Gdyby tę sprawę prowadził Harrison, dałby ci tylko czterech.

Byłem zaskoczony, jednocześnie poczułem się pewnie, zabrałem się więc do wyłożenia, kogo to chciałbym mieć do współpracy. – Chętnie widziałbym w tej akcji Laurence’a Godwina – powiedziałem.

– Myślisz, że już można go wziąć?

– Tak. Jeśli wkrótce nie zacznie dostawać jakichś zadań, to wpadnie we frustrację. Przyglądałem mu się ostatnio i widzę, że często ma słuszość, rzadko się myli, a w tym zawodzie to się liczy.

– Doskonale. – Ogilvie przeglądał dalej moją listę. – Zgadzam się, że trzeba Ashtonowi założyć podsłuch na telefon. Jeśli ktoś mu grozi, musimy o tym wiedzieć. Ale na to konieczna jest zgoda z góry; postaram się to możliwie szybko załatwić. Jeśli idzie o pocztę, sprawa będzie znacznie trudniejsza, zobaczę jednak, co się da zrobić. – Przycisnął kartkę palcem. – Ten ostatni punkt mnie niepokoi. Musisz mieć jakiś niebywale istotny powód, żeby prosić o pozwolenie na broń.

– Benson nosi pistolet pod pachą i Ashton też. Skoro obaj spodziewają się, że broń może im być potrzebna, to myślę, że i my powinniśmy być przygotowani.

– Jesteś tego pewien?

– Absolutnie. Chciałbym wiedzieć, czy mają pozwolenie na broń.

Ogilvie zastanowił się przez chwilę. – Zważywszy okoliczności, Ashton pewnie ma pozwolenie. Co do Bensaona – nie wiem. Sprawdzę. – Dałbym wiele, żeby się dowiedzieć, jakie okoliczności miał na myśli, ale go nie zapytałem, bo i tak by mi nie powiedział.

Uzgodniliśmy jeszcze kilka drobniejszych szczegółów. – Dobra, wszystko załatwione – podsumował rozmowę Ogilvie. – Zbierz teraz swoich chłopców i przedstaw im sprawę. Chcę, żebyś to nagrał na taśmę, i przed wyjściem daj mi ją do rąk własnych. No już, zabieraj się do roboty. – Kiedy byłem w drzwiach, dodał: – Dam zgodę na dwa pistolety.

Wróciłem do swojego pokoju i dałem Larry’emu listę nazwisk. – Rusz się, stary, siadaj do telefonu, chcę mieć tych ludzi u siebie w biurze dziesięć minut temu. – Zrobiłem pauzę. – I dopisz siebie na końcu listy.

Jego twarz wyrażała czysty zachwyt. – To znaczy, że...

Uśmiechnąłem się. – Tak, to znaczy, że. A teraz bierz się do roboty. – Siadłem przy swoim biurku i otworzyłem teczkę z materiałami dotyczącymi Ashtona. Była cieniusieńka. Zawierała nazwy i adresy jego przedsiębiorstw, ale o jego innych powiązaniach i kontaktach informacji było bardzo mało. Głównie były to kontakty zawodowe – jacyś prawnicy, księgowi i tak dalej. Nie należał do żadnego klubu sportowego, stowarzyszenia ani związku. Słowem – milioner-samotnik.

Gdy wszyscy się zeszli, włączyłem magnetofon. Wprowadziłem ich w sprawę, co nie trwało

długo. Naszkicowałem problem i przedstawiłem plan działań, potem rozdzieliłem zadania i ustaliłem, kto kogo i kiedy zmienia. Ustaliłem też, że jeden pistolet będzie miał zawsze ten, kto w danej chwili ma pod obserwacją Ashtona. Drugi zachowałem dla siebie.

– Dostaliśmy radiotelefony – powiedziałem – więc będziemy ich używać. Utrzymujcie stałą łączność i możliwie często składajcie meldunki, żeby wszyscy na bieżąco wiedzieli, co się dzieje. Poza służbą proszę być pod telefonem i zawsze informować o miejscu pobytu. Może się zdarzyć, że będziecie pilnie potrzebni.

– Czy po zejściu ze służby będziemy mogli iść do domu? – spytał Simpson, który właśnie wrócił z podróży poślubnej.

– Nie. Wszyscy zamieszkają w hotelach w Marlow albo w okolicy. – Rozległ się zbiorowy jęk. – Natychmiast po zameldowaniu się w hotelu proszę mi podać jego nazwę i numer telefonu, tak żeby każdego w każdej chwili można było znaleźć. Ja będę w hotelu „Royal”.

– Wreszcie użyjemy sobie na koszt firmy – powiedział Brent.

Uśmiechnąłem się, a potem powiedziałem poważnie: – Wątpię, żebyśmy podczas tej akcji mieli okazję sobie użyć. Jest to ważna akcja, czego najlepiej dowodzi fakt, że Ogilvie sam z siebie, bez nacisków z mojej strony, powiększył nam obsadę z sześciu ludzi do ośmiu. Zważywszy nasze ograniczenia kadrowe, jest to bardzo znamienne. Więc – nie wolno nam nikogo stracić – uważajcie na siebie. Dobra, to wszystko. – Wyłączyłem magnetofon i przewiałem taśmę.

Odezwał się Larry: – Nie przydzieliłeś mi żadnego zadania.

– Ty zostaniesz ze mną. Za moment wracam – idę do Ogilvie’ego.

– O, pan Jaggard – powitała mnie od progu sekretarka. – Właśnie miałam do pana dzwonić. Pan Ogilvie chciałby się z panem zobaczyć.

– Dziękuję. – Wszedłem do Ogilvie’ego. – Przyniosłem taśmę z nagraniem.

Ogilvie miał ponurą minę i zapytał mnie obcesowo: – Czy to ty zwolniłeś inspektora Honnistera z obowiązku dostarczania kopii raportów w sprawie Ashtona?

Położyłem mu kasetę na biurku. – Tak.

– Dlaczego?

– Bo uznałem, że to nonsens. Utrudniało mi to nawiązanie dobrych stosunków. Harrison już i tak narobił dość szkód.

– Harrison? A co on takiego zrobił?

Opowiedziałem mu o nietaktach Harrisona i o tym, jak Honnister na nie zareagował, tudzież, co Honnister myśli o sporządzaniu dodatkowych kopii raportów. Potem zaś dodałem: – Jeśli chcemy, żeby Honnister postawił kogoś ze swoich ludzi w szpitalu, to musimy dbać o jego przychyłość.

– Bardzo słusne rozumowanie – stwierdził Ogilvie. – Jest tylko jeden szkopuł. To nie nasz wydział zażądał dodatkowych kopii. Rozkaz przyszedł skądinąd i teraz to ja dostaję opieprz przez telefon.

– Aha – zareagowałem raczej bez sensu. – A od kogo?

– Musisz pytać? – powiedział Ogilvie zgryźliwie. – Jegomość, którego miałeś przyjemność wczoraj poznać, wtrąca swoje trzy grosze, do czego, nawiasem mówiąc, ma pełne prawo. – Potarł szczękę i skorygował swoją wypowiedź. – To znaczy, ma prawo, o ile ogranicza się do żądania informacji i nie podejmuje żadnych działań.

Przez moment się nad czymś zastanawiał, a potem pozwolił mi się odmeldować. – Dobra, idź już. Ale nie rób nic pochopnie, bez porozumienia ze mną.

– Dobrze, przepraszam pana.

Odprawił mnie gestem.





Prawie całą godzinę spędziliśmy z Lanym na załatwianiu papierków, zanim mogliśmy wreszcie wyruszyć do Marlow. Po drodze opowiedziałem mu dokładnie, jak się sprawy mają. Larry był oburzony. – Przecież to kompletna bzdura! To znaczy, że Ogilvie nie chce ci powiedzieć, co się za tym wszystkim kryje?

– Wydaje mi się, że on ma związane ręce – wyjaśniłem. – to jest sprawa najwyższej wagi. Jakiś facet z Whitehall siedzi mu na karku.

– Cregar, tak?

Spojrzałem na Larry'ego z ukosa. – Kto?

– Lord Cregar. Niski, taki pucułowaty kurdupel.

– Może to on. Jak na niego wpadłeś? Założyłeś Ogilvie'emu podsłuch?

Uśmiechnął się. – Wczoraj, kiedy byłeś u Ogilvie'ego, przeszedłem się do toalety i widziałem Cregera, jak wychodził od niego z gabinetu.

Powiedziałem z zadumą: – Ogilvie mówił o nim „lordowska mość”, ale myślałem, że sobie żartuje. A skąd wiesz, że to właśnie Cregar?

– W zeszłym tygodniu rozszedł się z żoną – wyjaśnił Larry. – Jego zdjęcia były na rozkładówce w „Telegraphie”.

Kiwnąłem głową. „Daily Telegraph” wykazuje szczególne zainteresowanie perypetiami małżeńskimi klas wyższych. – Czy wiesz o nim coś więcej, prócz tego, że nie ma żony?

– Owszem – odparł Larry. – Nie ma żony, ale to wcale nie znaczy, że nie ma kobiety. Wyszło to na jaw w całej okazałości podczas rozprawy. Ale nic więcej nie wiem.

Przejechaliśmy na drugą stronę Tamizy w Marlow. – Najpierw wpadniemy do szpitala – powiedziałem. – Potem podskoczmy do komisariatu i poznasz świetnego gliniarza.

Parking przy szpitalu był dokładnie zajęty, więc na choma zaparkowałem na miejscu zarezerwowanym dla jakiegoś lekarza. Z daleka zobaczyłem Jacka Brenta, który ochraniał Penny, więc już wiedziałem, że Penny jest w szpitalu, Jack rozmawiał z kimś przez radiotelefon. Zamierzałem właśnie do niego podejść, kiedy usłyszałem, że ktoś mnie woła. Odwróciłem się; tuż obok mnie stał Honnister. Był chyba w niezłym humorze.

Przedstawiłem mu Larry'ego i wyjaśniłem: – Narobiłem wczoraj trochę zamieszania. Nikt od nas z wydziału nie prosił o kopie raportów; żądanie przyszło skądinąd.

Uśmiechnął się. – Teraz już wiem, dlaczego szef był rano taki wkurzony. Ale niech się pan nie przejmuj. Wiem, że chciał pan jak najlepiej.

– Coś się ruszyło?

– Chyba ustaliliśmy markę samochodu. Mamy świadka, który widział Hillmana Sceptre w pobliżu domu Ashtonów w sobotę po południu. Kierowca odpowiada opisowi podejrzanego. Ciemnoniebieski samochód z pokrywą silnika na sprężynę, więc pasuje. – Zatarł dłonie. – Tak sobie myślę, że może jednak mamy w tej sprawie jakąś szansę. Muszę postawić tego faceta przed panną Ashton i doprowadzić do identyfikacji.

Pokręciłem głową. – Nic z tego, panna Ashton jest niewidoma.

Honnister był wyraźnie wstrząśnięty. – Chryste Panie! – Powiedział z wściekłością. – Niech ja tylko dostanę tego skurwysyna w swoje ręce!

– Chwileczkę, kolego, mamy już kolejkę.

– Właśnie idę do panny Ashton. Lekarz powiedział, że mogę już z nią porozmawiać.

– Tylko proszę jej nie mówić, że straciła wzrok – ona jeszcze o tym nie wie. I siostrze też niech pan nie mówi. – Zastanowiłem się przez moment. – Mamy powody przypuszczać, że napastnik może powtórzyć swój atak. Czy mógłby pan dać jej w szpitalu obstawę?

– Dużo pan żąda – westchnął Honnister. Milczał przez chwilę, a potem zapytał: – Wie pan, na czym polega nieszczęście w tej naszej firmie? Mamy samych generałów, tylko że armii jakoś nie widać. Gdyby na autostradzie tutaj doszło do większego karambolu, z trudem zebralibyśmy czterech mundurowych do kierowania ruchem. Za to w komisariacie w Slough – gdzie spojrzeć, to gliniarz, a co gliniarz to nadinspektor albo i lepiej. – Był wyraźnie rozgoryczony. – Ale zobaczę, co się da zrobić.

– Gdyby się panu nie udało zapewnić jej obstawy – powiedziałem – to proszę poinstruować personel szpitala. Nie wolno im wpuszczać do Gillian Ashton nikogo obcego bez zgody pana, mojej albo rodziny Ashtonów. I niech im pan to mocno wbije do głowy.

Brent wysiadł z samochodu i podszedł do nas. Przedstawiłem go Honnisterowi. – Wszystko w porządku? – zapytałem.

– Jest teraz u siostry, tam stoi jej samochód. Tylko, że to miasto to piekło na kółkach. Po drodze załatwiała zakupy, a ja myślałem, że kota dostanę. Przecież tu w ogóle nie ma gdzie parkować! W pół godziny zarobiłem dwa mandaty!

– Cholera, tak się nie możemy bawić. – Oczyma duszy już widziałem, jak mi uprowadzają Penny, gdy tymczasem mój człowiek wyklóca się o mandat za nieprzepisowe parkowanie. Zwróciłem się do Larry'ego: – Zorganizuj mi raz dwa tablice z CD na wszystkie nasze samochody.

– Sprytny pomysł – stwierdził z podziwem Honnister.

Larry uśmiechnął się. – Foreign Office nie będzie tym zachwycone.

– Foreign Office nie ma tu nic do gadania – zauważył Honnister. – Takie tablice to kwestia umowna i nie ma żadnego znaczenia prawnego. Jeden gliniarz zatrzymał kiedyś samochód z tablicami CD. Za kierownicą siedział typowy cockney, więc funkcjonariusz go pyta, co oznaczają te tablice. „Jak to co? – mówi cockney – Ciastka Dostarczam”. I rzeczywiście. – Wzruszył ramionami. – Więc nic nie można mu było zrobić. To co, wchodzi pan ze mną?

– Za chwilę do pana dołączę.

Jack Brent odczekał, aż Honnister się oddali, i dopiero wtedy się odezwał: – Pomyślałem, że lepiej przy nim nie mówić, ale do tej pory nie udało się zlokalizować Ashtona ani Bensona.

– Ashton nie jest u siebie w biurze?

– Nie. I w domu też go nie ma.

Zastanowiłem się nad tym przez moment. W związku ze swoją pracą Ashton mógł być gdziekolwiek na terenie hrabstw Essex, Middlesex, Kent albo Surrey, mógł też pojechać do Londynu. Natomiast Benson nie był przecież w areszcie domowym i naturalne było, że od czasu do czasu gdzieś wychodzi. Niemniej wcale mi się to nie podobało.

– Jadę do Ashtonów – oznajmiłem. – Chodź, Larry, jedziemy. – A Brentowi przykazałem, żeby nie spuszczał z oczu Penny Ashton. – Nie odstępuj jej. Na miłość boską, nie strać jej z oczu.

Jechałem przekraczając trochę dozwoloną szybkość, a kiedy dotarliśmy do domu Ashtonów, oparłem się o dzwonek i stałem tak, dopóki Willis się nie zjawił. Miał wyraźnie niezadowoloną minę. – Nikogo nie ma w domu – burknął.

– Chcę się sam przekonać. Proszę mnie wpuścić. – Willis zawahał się przez moment, a potem z ociąganiem otworzył bramę. Podjechałem pod dom.

– Straszny gbur – zauważył Larry.

– Ale, moim zdaniem, można na nim polegać. – Zatrzymałem wóz przed frontowymi drzwiami, wysiadłem i nacisnąłem guzik dzwonka. Sporo czasu minęło, nim drzwi się otworzyły. W progu stała służąca, wyraźnie zdziwiona moim widokiem. – O, to pan! Panny Ashton nie ma w domu. Pojechała do szpitala.

– Wiem. A może jest pan Ashton?

– Nie, też go nie ma, wyszedł.

– A Benson?

– Przez cały ranek go nie widziałam.

– Czy możemy wejść? – spytałem. – Chciałbym skorzystać z telefonu.

W odpowiedzi otworzyła szerzej drzwi i weszliśmy z Larrym do holu. – Pani się nazywa Mary Cope, prawda? – spytałem.

– Tak, proszę pana.

– Czy w ogóle widziała pani dzisiaj pana Ashtona albo Bensona?

– Nie, proszę pana.

– Kiedy ich pani widziała po raz ostatni?

– Widzieć, to ich nie widziałam – odparła. – Za to ich słyszałam. Wczoraj wieczorem byli u pana Ashtona w gabinecie; słyszałam, jak rozmawiali. Było około dziewiętej. Właściwie dochodziła dziewiąta, bo szłam właśnie do siebie na górę, żeby obejrzeć dziennik o dziewiętej, i włączyłam telewizor pięć minut przed czasem. – Zamilkła i wyraźnie zastanawiała się, czy słusznie robi informując mnie o życiu rodzinnym Ashtonów. W końcu nie byłam tam aż tak bardzo zadowolony. Zapytała nerwowo: – Czy to ma coś wspólnego z tym nieszczęściem, które spotkało pannę Gillian?

– Nie wykluczone.

– Łóżko pana Ashtona jest od wczoraj nietknięte – powiedziała z własnej inicjatywy.

Spojrzałem na Larry’ego, który uniósł brwi. – A łóżko Bensona?

– Nie sprawdzałam, ale on zawsze sam sobie ściele.

– Rozumiem. Jeśli można, to skorzystam z telefonu.

Zadzwoiłem do szpitala i poprosiłem, żeby mnie połączono z Penny. Wyjaśniłem telefonistce, że znajdzie ją na oddziale intensywnej terapii albo gdzieś w pobliżu. Dość długo trwało, nim usłyszałem jej głos w słuchawce. – Mam nadzieję, że nie musiałeś długo czekać – powiedziała. – Wymknęłam się na moment, żeby się napić herbaty. Gillian czuje się znacznie lepiej. Właśnie rozmawia z panem Honnisterem i widzę, że robi to bez oporów.

– Czy wczoraj wieczorem powiedziałaś ojcu o nas? – spytałem.

– Nie, już spał, kiedy wróciłam.

– A dzisiaj rano mu powiedziałaś?

– Nie, wstałam bardzo późno i kiedy zeszałam na dół, już go nie było. Pewnie Mary zrobiła mu śniadanie.

Nie skomentowałem tego. – A kiedy widziałaś ostatnio Bensona? W jej głosie zabrzmiał niepokój. – Co się stało, Malcolm? Co się dzieje?

– Słuchaj, Penny – powiedziałem. – Dzwonię od ciebie z domu. Przyjedź tu. Muszę z tobą porozmawiać. Przypuszczam, że Honnister jeszcze przez jakiś czas zostanie w szpitalu, a twoja obecność tam i tak niczego nie zmieni.

– Coś się stało, tak? – spytała.

– Właściwie to nie. Powiem ci, kiedy przyjedziesz.

– Już jadę. – Rozłączyła się.

Odłożyłem słuchawkę i odwróciłem się. Zobaczyłem, że Mary Cope stoi na końcu holu i przygląda mi się z zainteresowaniem. Kiwnąłem głową na Larry'ego i dałem mu kluczyki od samochodu. – W skrytce w moim samochodzie znajdziesz akta dotyczące Ashtona. Jest tam spis jego samochodów – chyba na stronie piątej. Skocz do garażu i sprawdź, którego z nich brakuje, potem przejdź się do bramy i zapytaj Willisa, o której Ashton i Benson wyjechali.

Larry poszedł nie tracąc czasu, a ja udałem się do gabinetu Ashtona. Na biurku leżały dwie koperty. Jedna była zaadresowana do Penny, a druga do mnie. Wziąłem tę, która była przeznaczona dla mnie, i rozerwałem ją.

Wewnątrz znajdował się liścik, który komukolwiek innemu mógłby się wydać enigmatyczny, ale dla mnie jego treść była jasna jak słońce. Brzmiał on tak:

*Mój drogi Malcolmie,*

*jesteś zbyt inteligentny, żeby nie rozumieć, do czego zmierzałem podczas naszych ostatnich rozmów. Być może znasz francuskie przysłowie: „Celui qui a trouve un bon gendre a gagne un fils; mais celui qui en a rencontre un mauvais a perdu une filie”.*

*Ożeń się z Penny. Masz moje błogosławieństwo. Uczyń ją szczęśliwą – ale, dla jej dobra, bądź złym zięciem.*

*Twój*

*George Ashton.*

Opadłem ciężko na fotel. Poczulem przykry skurcz w żołądku, bo wiedziałem, że zawaliliśmy robotę. Podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do Ogilvie'ego.



Nie owijałem niczego w bawełnę. – Ptaszki nam wyfrunęły – oznajmiłem. Nie mógł uwierzyć. – Co, wszystkie?

– Nie, tylko dwa koguciki.

Po dłuższej chwili odezwał się cedząc słowa: – Niestety, chyba to moja wina. Powinienem ci być wczoraj przydzielić tych ludzi. Jesteś pewien, że wywiali?

– Zostawił mi list. – Odczytałem mu go.

Ogilvie przetłumaczył francuszczyznę: – „Komu się trafił dobry zięć, ten zyskał syna, a komu się trafił zły zięć, ten stracił córkę”. Co to ma znaczyć, do jasnej cholery?

– Być może to moja wina, że dał nogę. Wczoraj wieczorem znowu mnie naciskał, żebym ożenił się z Penny, a ja znów mu odmówiłem. Robił wszystko, żeby Penny znalazła się jak najdalej od niego. To mu się nie udało, więc usunął się sam. Proszę przeczytać ten list w takim kontekście, to zrozumie pan, co mam na myśli.

– Hmmm. A jak się zachowywał wczoraj wieczorem?

– Jak chodzące nieszczęście.

– Ile czasu przewagi mają nad nami?

Zrobiłem w myślach szybki bilans tego, czego zdołałam się dowiedzieć, i sprawdziłem czas. – Nie wiem jak Benson – powiedziałem – ale Ashton ma najwyżej piętnaście godzin przewagi. Być może w ciągu najbliższych kilku minut będę więcej wiedział.

– Wcale nie wiemy, czy wyjechał – zauważył Ogilvie. – Równie dobrze mógł zostać wywieziony. Ten list do ciebie może być mistyfikacją. Tak czy inaczej sprawa jest jednakowo poważna.

– Myślę jednak, że nie został wywieziony. List jest zbyt precyzyjnie sformułowany, a dom cały czas był strzeżony.

– No, tak, naturalnie. – Ogilvie wiedział dostatecznie dużo o Ashtonie, żeby uważać to za rzecz oczywistą. – A jak dziewczyna to zniosła?

– Nic jeszcze nie wie. Ashton zostawił także list do niej. Nie otwierałem go, niech sama to zrobi. Dam panu znać, jeśli będzie w nim coś istotnego.

– Myślisz, że ci go pokaże?

– Tak. Może to zabawne, ale wczoraj poprosiłem ją, żeby za mnie wyszła, a ona się zgodziła.



Miała powiedzieć o tym Ashtonowi, ale kiedy wróciła do domu, okazało się, że ojciec już poszedł spać. Myślę, że już go wtedy nie było. Gdyby poczekał kilka godzin, może by się nie zdecydował na wyjazd.

– Tak – powiedział Ogilvie w zamyśleniu. – Ale nie powinieneś poczuwać się do winy. – Podniosłem wzrok, gdyż do gabinetu wszedł Larry. – Czy ujawniłeś się wobec Penny? – spytał Ogilvie.

– Nie.

Nastąpiła pauza. – Bardzo poważnie traktujesz swoje obowiązki, prawda?

– Staram się. Proszę chwileczkę poczekać. – Spojrzałem na Larry’ego. – No i?

– Brakuje jednego Astona Martina, a Benson i Ashton wyjechali wczoraj wieczorem koło wpół do dziesiątej i do tej pory nie wrócili.

Aston Martin to samochód Penny. Odezwałem się do Ogilvie’ego: – Mamy dość dokładną godzinę wyjazdu. Wyjechali razem wczoraj wieczorem o dziewiątej trzydziści, prawdopodobnie wynajętym samochodem. – Ogilvie potrzebował chyba sporo czasu, żeby to przetrwać, więc zapytałem: – Jaki ma być następny ruch?

– Oczywiście będzie piekielna awantura. – Z jego głosu nie wynikało, żeby się tym szczególnie przejął. – Biorę to na siebie. A ty przekop dom dokładnie, przeczesz go, szukaj czegoś, co by wskazało, dokąd Ashton mógł pojechać. Jeśli znajdziesz coś, czego nie rozumiesz, to przywieź do oceny.

– To mnie zdekonspiruje wobec Penny – powiedziałem. – Nie mogę ni z tego, ni z owego przeszukiwać domu.

– Wiem.

– Proszę chwilę zaczekać. – Zwróciłem się do Larry’ego: – Weź radiotelefon i połącz się ze wszystkimi. Ściągnij ich tu jak najprędzej.

– Wszystkich? Tych, co nie są w tej chwili na służbie, też?

– Tak. A potem stań przy bramie, żeby nie mieli trudności z wejściem.

Zanim podjąłem na nowo rozmowę z Ogilviem, ze smutkiem pomyślałem o tym, jak się będę tłumaczył przed Penny. Jak wyznam coś takiego dziewczynie, której właśnie się oświadczyłem? Miałem poczucie, że nasze stosunki będą musiały się zmienić, i to na gorsze.

Odsunąłem od siebie tę myśl i zapytałem: – A co z policją? Wprowadzamy ich w sprawę, czy nie?

Zanim Ogilvie odpowiedział, miałem wrażenie, że słyszę, jak mu zgrzytają tryby w mózgu. Wreszcie przemówił: – Nie, nie na tym etapie. Będę musiał skonsultować to z górą i uzyskać pozwolenie. W policji nie jest najlepiej z tajnością. Dziennikarze wiecznie siedzą glinom na karku.

Jak myślisz, ile czasu tam będziesz?

– Nie wiem. To duży dom i z tego miejsca widzę już jeden sejf. Jeśli nie znajdziemy kluczy, to być może trzeba będzie zastosować metody nadzwyczajne. Zadzwońię do pana za godzinę. Będę miał wtedy lepszą orientację.

– Godzina to za długo. Nie powstrzymam wybuchu przez tyle czasu. Spójrz za piętnaście minut w stronę Londynu, to zobaczysz płomienie nad Whitehall. Postaraj się. – I odłożył słuchawkę.

Ja też odłożyłem słuchawkę i w zamyśleniu patrzyłem na list adresowany do Penny, a potem podszedłem do sejfu. Miał zamek szyfrowy i nie otworzył się, kiedy przekręciłem rączkę. Wróciłem do biurka, przejrzałem je z grubsza w nadziei, że może znajdę coś, co będzie użyteczne od razu. Ale nic takiego nie znalazłem. Po pięciu minutach usłyszałem, że pod dom zajechał samochód, myślałem, że to Penny, więc wyszedłem na dwór.

Nie była to Penny, tylko jeden z moich ludzi, Peter Michaelis. Spojrzał na mnie pytającym wzrokiem. Kazałem mu, aby na razie nigdzie nie odchodził. Larry się z nim zabrał od bramy, więc go zawołałem i poleciłem wziąć akta Ashtona. – Idź do telefonu – kazałem – i obdzwon wszystkie jego biura, fabryki, dzwoń pod każdy numer, który figuruje w tych papierach. Wszędzie zostawiaj wiadomość, że gdyby się Ashton pojawił, niech natychmiast zadzwoni do domu. – Wzruszyłem ramionami. – Nic to nie da, ale wykonać trzeba.

– Okay.

Na podjazd wjechał Aston Martin, więc zebrałem się w sobie. – Tylko idź, może, do telefonu w holu – poprosiłem Larry'ego. – Chciałbym zająć gabinet.

Larry poszedł do domu dzwonić. Samochód Penny zatrzymał się gwałtownie; bardzo ostro zahamowała. Niemal wytoczyła się na zewnątrz, spojrzała niepewnie na Michaelisa i podbiegła do mnie. – Ktoś mnie śledzi – krzyknęła i odwróciła się wskazując nadjeżdżający od bramy samochód. – Wjechał za mną aż tutaj!

– Nie denerwuj się – uspokoiłem ją, gdy samochód Brenta zatrzymał się pod domem. – Wiem, kto to jest.

– Co się dzieje? – spytała. – Co to za ludzie? – Głos jej się łamał. – Co się stało z tatusiem?

– O ile mi wiadomo, nic mu się nie stało. – Wziąłem ją pod rękę. – Chodź.

Poszliśmy w stronę domu. Na widok Larry'ego przy telefonie w holu przystanęła na sekundę, a potem znów przyspieszyła kroku. Weszliśmy do gabinetu i podałem jej list leżący na biurku. – Chyba powinnaś to przeczytać.

Spojrzała na mnie z niepokojem i dopiero potem popatrzyła na list. – To od tatusia – powiedziała i rozdarła kopertę. Zaczęła czytać; zmarszczyła brwi i twarz jej pobleadła. – Ale ja nie... Ja nic nie rozumiem. Ja nie...

– Co ci napisał?

Bez słowa podała mi list, potem podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Obserwowałem ją przez chwilę, a potem zacząłem czytać:

*Moja najdroższa Penny,*

*z powodów, których nie mogę wyjawić, muszę na pewien czas wyjechać. Nie zrobiłem nic złego, nie popełniłem żadnego przestępstwa, choć zapewne będą mi to zarzucać. Wszystkie swoje sprawy uporządkowałem i moja nieobecność nie pociągnie za sobą żadnych trudności finansowych. Wszystko również przygotowałem: gdybyś potrzebowała porady prawnej, zwracaj się do pana Veassey i firmy Michaelmore, Veasey i Templeton, w sprawach finansowych konsultuj się z panem Howardem z firmy Howard i Page. Obu uprzedziłem o takiej ewentualności. Nie wiem, jak długo będę musiał zostać. Zrezygnuj ze wszystkich prób odnalezienia mnie; będę Ci za to bardzo wdzięczny. Przede wszystkim, o ile to możliwe, nie angażuj w to policji. Zapewniam Cię raz jeszcze, że powody mojego wyjazdu są wyłącznie natury osobistej. Nic mi nie grozi, ponieważ opiekować się mną będzie mój stary przyjaciel Benson.*

*Byłbym znacznie spokojniejszy, gdybyś możliwie jak najprędzej wyszła za Malcolma. Wiem, że go kochasz, i wiem, że on chce się z Tobą ożenić. Bardzo go szanuję za jego inteligencję i siłę charakteru. Nie pozwól, by sprawa biednej Gillian opóźniła realizację Waszych planów. Gdy już ustalicie datę ślubu, zamieść odpowiedni anons w „Timesie”. Jestem absolutnie pewien, że będziecie ze sobą bardzo szczęśliwi, jak również, że razem zapewnicie Gillian opiekę. Przepraszam za ten nagły wyjazd, ale tak będzie najlepiej dla nas wszystkich.*

*Twój kochający ojciec,*

*George.*

Podniosłem wzrok. – Bardzo mi przykro, Penny.

– Nic z tego nie rozumiem – zawołała z rozpaczą. – Malcolm, powiedz, co się z nim dzieje?

Przez chwilę stała tak nieruchomo, ale odsunęła się ode mnie, gdy usłyszała, jak dwa samochody niemal równocześnie zajechały pod dom. Wpatrywała się przez okno w mężczyzn tworzących coraz liczniejszą grupkę.

– Co to za ludzie, powiedz? Zawiadomiłeś policję? Tatuś prosił, żeby tego nie robić.

– Nie, nie zawiadomiłem policji – odparłem cicho. – Usiądź, mam ci bardzo dużo do powiedzenia. – Spojrzała na mnie zdumiona, zawahała się, ale siadła na fotelu za biurkiem. Ja też się zawahałem, nie wiedząc, od czego zacząć, zdecydowałem jednak, że najlepiej będzie zreferować jej wszystko jak najprościej i jak najszybciej.

– Pracuję w firmie McCulloch i Ross. Mówiłem ci już, czym się ta firma zajmuje, i to, co ci powiedziałem, było prawdą. Moja firma robi wszystko to, o czym ci mówiłem, a w dodatku robi to

znakomicie. Nasi klienci są z nas bardzo zadowoleni i tak też być powinno, zważywszy, jak dużo państwowych pieniędzy przeznaczają się na nasze usługi.

– Do czego zmierzasz?

– McCulloch i Ross jest przykrywką dla pewnej dyskretnie działającej placówki rządowej, zajmującej się głównie sprawami gospodarczymi i przemysłowymi, ale tylko takimi, które mogą stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa.

– Dla bezpieczeństwa państwa! Jesteś tajnym agentem? Szpiegiem?

Roześmiałem się i podniosłem rękę. – Nie jestem szpiegiem. Żaden z nas nie jest romantycznym bohaterem, agentem oznaczonym numerem zaczynającym się na zero i upoważnionym do zadawania śmierci. Nic z tych rzeczy!

– Ale obserwowałeś mojego ojca, śledziłeś go jak najzwyklejszy szpieg. – Narastał w niej gniew. – A ja byłem tylko środkiem prowadzącym do celu, tak? Przyłgnałeś do mnie po to, żeby go lepiej poznać?

Mój uśmiech zgasł natychmiast. – Nie, skądże! Aż do wczoraj nic absolutnie o nim nie wiedziałem, a i teraz wiem niewiele. Wierz mi, że natknąłem się na to wszystko zupełnym przypadkiem.

W jej głosie zabrzmiało niedowierzanie i pogarda. – Więc na co się tak przypadkiem natknąłeś?

– Nie mogę ci powiedzieć, bo sam nie wiem.

Pokręciła głową, jakby nagle świat jej zawirował przed oczami. – A ten człowiek w holu i ci mężczyźni przed domem to twoi koledzy?

– Tak.

– Więc chciałabym porozmawiać z ich przełożonym. – Wstała z fotela. – Chcę mu powiedzieć, co ja o tym wszystkim myślę. Wiem, że tatuś przeżywał ostatnio potworny stres. Teraz już wiem, z jakiego powodu.

– Właśnie rozmawiasz z ich przełożonym – powiedziałem rozmyślnie. – I grubo się mylisz.

Zaniemówiła. Z impetem siadła z powrotem. – Ty jesteś ich przełożonym?

– Tak.

– I nie wiesz, co robisz? – Wybuchnęła histerycznym śmiechem.

– Wiem, co robię, ale nie wiem dlaczego. Istnieje pewna hierarchia. Są kręgi zewnętrzne i wewnętrzne. Pozwól, Penny, że ci powiem, w jaki sposób zostałem w to uwikłany.

No i powiedziałem jej. Powiedziałem jej wszystko, niczego nie ukrywając. Opowiedziałem jej o Nellie i o strefach w różnych kolorach; opowiedziałem jej o Ogilviem i o lordzie Cregarze. Powiedziałem jej znacznie więcej, niż mi wolno było; niech diabli wezmą tajemnicę służbową!

Wysłuchała mnie i po namyśle stwierdziła: – Wasza firma nie bardzo ufa ludziom, co?

– Taka jest nasza praca. – Zapaliłem papierosa. – To nie z naszego powodu ojciec był zestresowany. Nie my oblaliśmy Gillian kwasem. Wkroczyliśmy dopiero potem i miałem polecenie pilnować twojego ojca i ochraniać go – twojego ojca i ciebie, i Gillian, a także, w razie potrzeby, Bena. – Podeszedłem do okna i spojrzałem na samochody. Wszyscy już się zjechali. – Jak dotychczas niezbyt dobrze się spisałem.

– To nie twoja wina, że tatuś wyjechał. – Jej słowa zawisły w powietrzu i odniosłem wrażenie, że ujrzała swego ojca w innym świetle. – Że tata uciekł.

– Nie wiń go. Nawet nie wiesz, za co byś go miała winić.

– Ciekawe – powiedziała w zamyśleniu – czy gdyby tata wiedział to co ja, nadal by chciał, żebym za ciebie wyszła.

– Zapytam go, gdy tylko się z nim zobaczę.

– Chyba nie zamierzasz go szukać. Wyraźnie napisał, że...

– Dobrze wiem, co napisał. Wiem także, że moi szefowie uważają go za niesłuchanie ważnego człowieka i że być może całkiem nieświadomie naraża się na jakieś niebezpieczeństwo. Mam swoją robotę do wykonania.

– Ale on nie chce...

– Nieważne, czego on chce czy nie chce – powiedziałem zniecierpliwiony. Wziąłem jej list z ręki i przebiegłem go wzrokiem. – Napisał, że nie chce, żebyś go szukała. Więc nie będziesz go szukała, tylko ja. Prosi, żeby nie mieszać w to policji. I w porządku. Policja nic nie wie. Wreszcie mówi, że „nic mu nie grozi, ponieważ opiekować się nim będzie jego stary przyjaciel Benson”. Na miłość boską, Penny, ile lat ma ten stary przyjaciel? Z sześćdziesiąt pięć? Jak on się może kimś opiekować? Niedługo sam będzie potrzebował opieki!

Zaczęła płakać. Nie szlochała, nie zawodziła, tylko łzy ciurkiem płynęły jej po twarzy. Płakała w milczeniu i bezradnie, drżała przy tym, jakby nagle ogarnął ją chłód. Otoczyłem ją ramieniem, a ona przywarła do mnie z całych sił. Jedną z najgorszych rzeczy, jakie mogą człowieka spotkać, jest rozpad bezpiecznego i przytulnego świata. Odniosłem wrażenie, jakby do tego sympatycznego, wyłożonego boazerią gabinetu wtargnął nagle mroźny wiatr.

– Och, Malcolmie, co ja mam teraz zrobić?

– Zrobisz to, co uznasz za słuszne – powiedziałem cicho. – Jeśli mi ufasz, pomożesz mi go znaleźć, ale nie będę miał do ciebie żalu – nie mógłbym mieć do ciebie żalu – gdybyś nie zechciała mi pomóc. Nie byłem wobec ciebie dostatecznie szczery; powinienem był wczoraj ci o tym powiedzieć.

– Wypełniałeś rozkaz.

– Pospolita wymówka – powiedziałem. – Wszyscy hitlerowcy tak się usprawiedliwiali.

Dodatkowo utrudniałem sobie sprawę. Nie rób tego, to niepotrzebne. – osunęła moje ramię, wstała i podeszła do okna. – Na co twoi ludzie czekają?

Wziąłem głęboki oddech. – Na twoją decyzję. Chcę przeszukać dom i nie chcę tego zrobić bez twojej zgody.

Wróciła do biurka i ponownie przeczytała list od ojca. – Do mnie też napisał – poinformowałem ją i pokazałem jej swój list. – Przeczytaj go, jeśli chcesz.

Przeczytała list i oddała mi go. – Wprowadź swoich ludzi – powiedziała bezbarwnym głosem.



Znaleźliśmy w domu sporo rzeczy niezwykłych, ale nic, co by nam się mogło przydać. W każdym razie nie wtedy. W piwnicy znajdowało się zdumiewająco dobrze wyposażone laboratorium i warsztat chemiczny. Jego standard w niczym nie przypominał pracowni amatorskiej. Był tam również niewielki komputer wyposażony w szereg urządzeń peryferyjnych. Na ploterze widniał wykonany przez komputer szkic; na moje oko przedstawiał on schemat jakiejś skomplikowanej molekuly i nic z niego nie rozumiałem, ale w końcu nie jestem w tej dziedzinie ekspertem. Do trudniejszych zadań, przerastających możliwości komputerka, przeznaczony był modem, dzięki któremu to małe urządzenie mogło funkcjonować jako końcówka dużego komputera, z którym był połączony linią telefoniczną.

W warsztacie znajdowała się ława, na której rozpoczęto montaż jakiegoś skomplikowanego urządzenia. Nie mam pojęcia, do czego to coś miało służyć, ale w każdym razie miało być sterowane komputerem, bo zawierało co najmniej piętnaście mikroprocesorów, a to już daje niezłe możliwości przetwarzania informacji. Do tego jeszcze dochodził laser, lampa elektropromieniowa, sporo szkła laboratoryjnego i kilka drobnych przyrządów, których nie umiałem zidentyfikować.

Nie naciskałem żadnych guzików, nie dotykałem żadnych przełączników, ponieważ nie wiedziałem, jaki to by mogło wywołać skutek. Spytałem natomiast Larry'ego: – Czy którakolwiek z firm Ashtona ma do czynienia z elektroniką albo z komputerami?

– Nie, tylko chemikalia i formowanie tworzyw sztucznych. Ale niektóre reakcje chemiczne mogą być sterowane komputerem.

Westchnąłem jedynie i kazałem zaplombować całą piwnicę. Niech nasi mądrale obejrzą to sobie dokładnie, do tego czasu nie zamierzałem niczego ruszać.

Penny знаła szyfr od sejfów w gabinecie, więc z góry można było przewidzieć, że nie będzie tam nic istotnego. Nie myliłem się. Znaleźliśmy trochę pieniędzy – niecałe pięćdziesiąt funtów, a więc przy dochodach Ashtona sumę niewielką. Domyślałem się, że to taka podręczna kasa awaryjna. Znalazłem tam również kilka ksiąg rachunkowych i zmarnowałem trochę czasu na przeglądanie ich, dopóki się nie zorientowałem, że dotyczą tylko gospodarstwa, stajen i garażu. Wszystko było zresztą rejestrowane bardzo skrupulatnie. Znalazłem też cały plik wyciągów bankowych i rachunków z nadrukiem firmy buchalteryjnej Howard i Page. Rzut oka na sumy przekonał mnie, że mimo recesji George Ashton radzi sobie, dzięki Bogu, doskonale.

I to wszystko.

W części domu zajmowanej przez Ashtona poszczęściło mi się trochę bardziej. Ashton przeznaczył dla siebie sypialnię, łazienkę, garderobę i salonik. Wszędzie panował idealny porządek. Wyglądało na to, że żył trochę po spartańsku. W jego pokojach nie było rupieci, jakie zwykle ludzie wokół siebie gromadzą, było czysto i schludnie. Dokładnie niczego nie znalazłem w kieszeniach ubrań; jego



służący – zapewne Benson – spisywał się znakomicie.

Jednakże opukiwanie boazerii przyniosło nam pewne rezultaty. Natrafiliśmy na fragment, który rezonował głucho. Podczas dalszych poszukiwań stwierdziliśmy, że dość skomplikowana operacja zapalania i gaszenia w odpowiedniej kolejności światel we wszystkich czterech pomieszczeniach zwalniała zamek elektryczny i część boazerii odsuwała się na bok. Z tyłu za boazerią ukazały się masywne metalowe drzwi zbrojone stalą. Z mojego opisu mogłoby się wydawać, że odkrycie drzwi zawdzięczamy wyłącznie szczęściu. Nie był to jednak szczęśliwy traf. Po prostu nasi chłopcy znają swoją robotę.

Ale drzwi nie udało się otworzyć. Simpson wykonał pomiary architektoniczne, z których wynikało, że kryje się za nimi nie tylko sejf, ale całkiem spory pokój. Jeśli ktoś zdecydował się na zainstalowanie takich drzwi, to z pewnością zadbał także o różne inne środki ostrożności. Ściany, podłoga i sufit z pewnością wykonane były z grubej warstwy betonu, dobrze wzmocnionego i zbrojonego stalą, a cała ta zabawka nieźle musiała ważyć, nawet jeśli wewnątrz była zupełnie pusta. Pomieszczenie znajdowało się na piętrze, co oznaczało, że poniżej trzeba było zbudować cały system podpór. Zanotowałem sobie, że trzeba odszukać architekta Ashtona.

Kiedy pokazaliśmy Penny stalowe drzwi, była równie zaskoczona jak my. Nawet nie podejrzewała ich istnienia.

Wszystko to nie oznacza bynajmniej, że osobiście chodziłem po domu i opukiwałem ściany. Zostawiłem tę robotę chłopcom, a sam sprawdzałem rezultaty ich poszukiwań. Nadzorowałem także przeszukanie gabinetu Ashtona – w obecności Penny, a potem siadłem, żeby z nią porozmawiać – w końcu kto jak kto, ale ona dobrze знаła swojego ojca.

Zacząłem od Bensa. – Powiedz mi, od jak dawna znasz Bensa?

Spojrzała na mnie ze zdumieniem. – Benson jest u nas od zawsze.

– Ile to jest lat to „zawsze”.

– Zawsze, to znaczy zawsze. Malcolm, nie pamiętam, żeby w tym domu nie było Bensa.

– Aż tyle lat? Dwadzieścia pięć albo sześć lat?

Penny uśmiechnęła się. – Jeszcze dłużej. Benson był u tatusia, jeszcze zanim się urodziłam.

– Zawsze to rzeczywiście bardzo wiele lat – przyznałem. – Benson bezbłędnie wywiązuje się z obowiązków oddanego sługi, ale chyba jest czymś więcej, co?

Zmarszczyła brwi. – Nie wiem. Bardzo trudno to ocenić. Jeśli ktoś jest tak długo związany z rodziną, to traktuje się go bardziej jak przyjaciela niż służącego.

– Czy ojca łączy z Bensonem aż taka zażyłość, że zasiadłby z nim razem do whisky?

– Nie przypuszczam, żeby ojciec kiedykolwiek pił z nim whisky.

– Pił z nim. W niedzielę wieczorem – powiedziałem i zaraz zapytałem: – Czy Benson zawsze był osobistym służącym twojego ojca?

Zastanowiła się przez chwilę. – Wprowadziliśmy się tu w 1961 roku – miałam wtedy dwanaście lat. Wtedy też wprowadził się Benson jako kamerdyner taty i jego totumfacki. Przedtem mieszkaliśmy w Slough; mieliśmy nieduży dom, nie taki wspaniały jak ten. Benson pracował w jednej z fabryk tatusia, ale dość często u nas bywał – przynajmniej raz na tydzień. – Uśmiechnęła się. – Bardzo go lubiliśmy. Przynosił nam słodycze. To był zakazany owoc, bo tatuś nie pozwalał nam jadać dużo słodczy. Ale Benson zawsze coś w kieszeniach dla nas przemycił.

– A co Benson robił w fabryce?

– Nie wiem. Byłam wtedy dzieckiem.

– Kiedy umarła twoja matka?

– Jak miałam cztery lata.

Pomyślałem, że Ashtonowi niełatwo było samotnie wychować dwie córeczki. Ale trzeba przyznać, że mu się udało. Wygląda na to, że wszystko mu się udawało. Pytałem dalej: – Czy wiesz, kiedy ojciec zaczął robić interesy? To znaczy, jak i od czego zaczął? Na przykład – czy odziedziczył pieniądze?

Gwałtownie pokręciła głową. – Tatuś niewiele mówił o swojej młodości i dzieciństwie, ale wiem, że niczego nie odziedziczył, bo był sierotą i wychowywał się w sierocińcu. Podczas wojny służył w wojsku, a po wojnie poznał mojego dziadka i wspólnie rozpoczęli interesy. Wiem od dziadka, że nie mieli wtedy dużo pieniędzy. Dziadek powiedział mi też, że sukces odnieśli dzięki inteligencji i wiedzy ojca.

– A czym był twój ojciec w wojsku? – zapytałem od niechcienia.

– Szeregowcem.

To mnie zdziwiło. Ashton miał dwadzieścia sześć albo siedem lat, kiedy go zdemobilizowano; zdumiewające, że człowiek o jego energii i charakterze nie awansował. Być może trzeba będzie zajrzeć do akt wojskowych.

– Czy twój ojciec kiedykolwiek używał broni?

Nie zrozumiała mojego pytania. – Raz czy drugi był na strzelnicy i to wszystko.

– Nie chodzi mi o karabin. Pytam o rewolwer albo pistolet automatyczny.

– Boże, uchowaj! Nawet nie ma czegoś takiego.

– A gdyby miał, to byś o tym wiedziała?

– Oczywiście, że tak.

– Ale o istnieniu tego pancernego pokoju na piętrze nie wiedziałaś.

Nie zareagowała i tylko zagryzła wargi. Odezwała się dopiero po chwili.

– Myślisz, że ma przy sobie broń?

Na szczęście nie musiałem odpowiadać, bo Larry wetknął głowę w drzwi.

– Malcolm, pozwól na słówko. – Skinąłem głową i wyszedłem za nim do holu. Powiedział, że przejrzał pokoje Gillian. – Nic ważnego tam nie ma. Przeczytałem jej dziennik; wygląda na to, że prowadzi spokojne, mieszczańskie życie – teatr, balet, opera i tak dalej. Dużo czyta.

– Już nie będzie czytała. Jakies kontakty?

– Z nikim nie ma bliższych kontaktów; pojawiali się różni mężczyźni, ale wszyscy się po jakimś czasie wykruszali. – Uśmiechnął się. – Nie ma też żadnych tajemniczych zapisków, osób wymienianych tylko z inicjałów i tym podobnych cudów.

– A jak pokoje Penny? Sprawdzales już?

Larry spojrzał na mnie trochę dziwnie. – Myślałem, że...

– Nie obchodzi mnie, co myślałeś – powiedziałem obojętnie. – Bierz się do roboty.

– Okej. – Wrócił na dół i skonstatowałem, że młody Larry musi się jeszcze bardzo dużo nauczyć.

Właśnie miałem wrócić do gabinetu, kiedy w holu pojawił się Michaelis. – Znalazłeś coś? – spytałem.

– Dla nas nic, ale na strychu jest coś nieprawdopodobnego – model kolejki z gigantyczną makietą krajobrazową. Tak wielkiej w życiu nie widziałem.

– Model kolejki? – spytałem z niedowierzaniem.

– I to jaki. Robota prawdziwego zapaleńca. Sam się trochę bawię takimi rzeczami – wyjaśnił Michaelis. – Ale coś takiego widzę po raz pierwszy. Szyny mają w sumie z milę i są poplątane jak pajęczyna. Trzeba się było nieźle nagłowić, żeby to wszystko mogło bezkolizyjnie funkcjonować.

Do głowy by mi nie przyszło, że Ashton zajmuje się takimi rzeczami, ale nie miało to najmniejszego związku ze sprawą, więc przeszedłem nad tym do porządku. – Gdzie jest Brent?

– Przeczesuje pozostałe budynki – garaże i stajnie.

– Niech tu do mnie przyjdzie, jak skończy. – Wróciłem do gabinetu i pomyślałem, że należałoby znowu spróbować połączyć się z Ogilviem. Dzwoniłem do niego co godzinę o równej godzinie, ale wciąż nie mogłem go zastać, więc przekazałem wszystko Harrisonowi. Właśnie zamierzałem wykręcić numer, kiedy odezwał się telefon.

Dzwonił Ogilvie. – I co masz? – spytał bez żadnych wstępów.

– Przekazałem wszystko Harrisonowi. Rozmawiał pan z nim?

– Nie. Jak się domyślasz, bomba wybuchła o czasie, więc przez ostatnich kilka godzin miałem urwane głowy. Mów w skrócie.

– Nadzialiśmy się tu na potężny skarbiec – zacząłem. – Nie żaden sejf, tylko normalny bankowy skarbiec. – Żeby go otworzyć, potrzebni będą fachowcy i pewnie z tydzień im to zajmie.

– Nie ma tyle czasu – zaprotestował Ogilvie. – Będziesz ich tam miał za godzinę. Co jeszcze?.

– Chciałbym też specjalistów – chemików i elektroników. W piwnicy jest pełno jakiejś aparatury naukowej, którą trzeba obejrzeć. I proszę przysłać kogoś, kto się zna na komputerach. – Uśmiechnąłem się. – I może jeszcze kogoś od modeli kolejek.

– Co takiego? – warknął.

– Ashton ma na strychu model kolejki z makietą krajobrazową. Nie widziałem go, ale podobno jest niezwykły.

– Nie czas na wygłupy – burknął Ogilvie. – Co jeszcze?

– To wszystko. Nic więcej, co mogłoby mieć dla nas jakieś znaczenie.

– Rozglądaj się dalej – rozkazał ostrym tonem. – To niemożliwe, żeby piętnaście lat mieszkać w jakimś domu i nie zostawić żadnego śladu swojej osobowości. Musi gdzieś być jakaś wskazówka, dokąd się wybrać. – Chwilę się zastanowił. – Chcę cię mieć tutaj. Wyznacz kogoś, żeby cię zastąpił.

– Przekażę wszystko Gregory’emu – powiedziałem – ale wpierw muszę jeszcze załatwić kilka drobiazgow. Będę w Londynie za dwie godziny. – Odłożyłem słuchawkę i zwróciłem się do Penny. – I tak to jest, kochanie. Szef mnie wzywa.

– Przed samym wyjściem wspomniałeś, że tatuś ma przy sobie broń. O co właściwie chodzi? – spytała pełna niepokoju.

– Jest uzbrojony – powiedziałem.

Pokręciła głową z niedowierzaniem, w ciągu ostatniego dnia wydarzyło się jednak tyle dziwnych rzeczy, że nawet nie próbowała protestować. – Ale znajdziesz go?

– O tak, znajdziemy go. Martwi mnie jednak, że być może oprócz nas jeszcze ktoś go szuka i może nas uprzedzić. A najgorsze, że działamy zupełnie po omacku.

Wszedł Brent. „Wzywałeś mnie?”

Skinąłem na niego i wyszliśmy razem do holu. Zdejmując marynarkę spytałem: – Masz coś?

– Nic.

Odpiąłem kaburę spod lewej pachy. – Masz; może ci się przydać. – Zaczekałem, aż Brent przypnie

sobie kaburę, i wprowadziłem go do gabinetu. – Penny, przedstawiam ci Jacka Brenta. Od tej chwili Jack będzie twoim aniołem stróżem. Będzie ci towarzyszył na każdym kroku, wszędzie, z wyjątkiem łazienki i sypialni – ale sprawdzi te pomieszczenia, zanim pozwoli ci do nich wejść.

Penny spojrzała na mnie, jakby podejrzewała, że robię sobie żarty. – Mówisz poważnie?

– Musisz znaleźć jakiś pokój dla Jacka. Będzie tu mieszkał, dopóki się stąd nie wyprowadzisz. – Zwróciłem się do Jacka: – Obejrzyj zabezpieczenia przeciw włamaniom i upewnij się, czy działają.

Brent skłonił głowę. – Bardzo mi przykro, panno Ashton – powiedział – ale muszę wykonywać rozkazy.

– Jeszcze jeden wykonawca rozkazów – oburzyła się Penny, a na policzki wystąpiły jej różowe plamy. – Mówisz poważnie, że ten pan ma mi wszędzie towarzyszyć?

– Owszem, jeśli chcesz mieć nadal dziewczęcą cerę.

Być może wyraziłem się zbyt brutalnie, ale sens mojego stwierdzenia dotarł do niej z całą mocą. Nagle zbladła. – O Boże, powiedz, kim jest mój ojciec?

– Nie wiem; ale choćbym miał zdechnąć, wyduszę to z Ogilvie'ego.

Jack Brent spojrzał na mnie tak, jakbym rzeczywiście miał zdechnąć.

Wywieranie presji na własnym szefie nie jest w żadnej instytucji metodą uzyskania awansu i specjalnej emerytury.

Powiedziałem Penny, że mam jeszcze kilka spraw do załatwienia, że przed odjazdem przyjdę się z nią pożegnać i poszedłem zapoznać Gregory'ego z najnowszymi szczegółami oraz przekazać mu kierowanie całością spraw. Zastałem go wraz z Simpsonem przy przeszukiwaniu pokoi Bensona. Jak na służącego Benson mieszkał w zaskakująco dobrych warunkach. Miał do dyspozycji trzypokojowy apartament. Na moje polecenie Gregory i Simpson przewrócili tam wszystko do góry nogami, gdyż osobą Bensona byłem szczególnie zainteresowany. – Znaleźliście coś?

Gregory tylko jęknął. – Bardzo mało. Mamy to. – Pokazał mi puszczkę oleju z napisem „Zaleca się jako środek do konserwacji broni”. – Znaleźliśmy też amunicję; jeden nie wystrzelony pocisk. Musiał się potoczyć pod łóżko i wpaść w szparę przy ścianie.

Był to nabój do dziewięciomilimetrowego Parabellum, broni używanej przez policję i wojsko. – Wiedzieliśmy, że ma broń – stwierdziłem – a teraz wiemy nawet jaką, tyle że nic nam to nie daje. Coś więcej?

– Na razie nic.

Wprowadziłem Gregory'ego w najnowsze szczegóły i poszedłem sprawdzić, co wskórała reszta mojego zespołu. Musiałem koniecznie znaleźć coś, z czym mógłbym się stawić u Ogilvie'ego. Na strychu znalazłem dwóch moich pracowników bawiących się kolejką. – Kochani, dajcie może spokój – powiedziałem. – Przyjechaliśmy tu pracować.

Michaelis uśmiechnął się. – To jest praca, szefie. Wszystko zgodnie z poleceniem służbowym. Jeśli chcesz, żebyśmy przeczესali dokładnie to pomieszczenie, to musimy zajrzeć do każdej lokomotywy, do każdego wagonika. Można to zrobić tylko w jeden sposób, to znaczy wprowadzić po kolei każdy skład do tego centralnego punktu rozdzielczego.

Przyjrzałem się makiecie i stwierdziłem, że Michaelis ma rację. Bardziej skomplikowaną i rozbudowaną makietę znalazło by się – może – na międzynarodowej wystawie inżynieryjnej, ale też wątpię. Szyny przebiegały mniej więcej na dziesięciu poziomach, mnogość bocznic, rozjazdów i krzyżówek przyprawiała o zawrót głowy. Do sterowania całością służyła konsola, wyglądająca jak deska rozdzielcza samolotu Concorde. Michaelis najwyraźniej zdołał już opanować zasadę jej działania. Widać ma zadatki na geniusza.

– Ile tu jest tych wagoników?

– Przejrzelismy dotychczas około trzystu – odparł. – Przypuszczam, że to mniej więcej jedna czwarta. Mamy szczęście, że jest tu system automatycznego szepiania i rozczepiania taboru. Widzisz wagoniki na tamtej bocznicy? – Wskazał na miejsce znajdujące się wśród płataniny torów jakieś osiem metrów od nas. – W żaden sposób nie sięgnęlibyśmy do nich bez niszczenia całej tej zabawki. Możemy jednak posłać po nie lokomotywę, która nam je tu przyprowadzi. Patrz.

Zaczął naciskać różne guziki i lokomotywa, licząca mniej więcej dwanaście centymetrów długości, wjechała na bocznicę i z cichym szcękaniem przyczepiła się do stojącego tam składu wagoników. Powoli zmieniła kierunek biegu, ciągnąc wagoniki wycofała się z bocznicy. Michaelis uśmiechnął się i wyraźnym zadowoleniem. – Teraz problem polega na tym, jak ściągnąć ją stamtąd tutaj.

„Mój Boże – pomyślałem – co też przyszło nam robić w ramach obowiązków służbowych!”

Zostawiłem ich, niech się dalej bawią, i poszedłem szukać Penny, bo chciałem się z nią pożegnać. Ktoś mi powiedział, że jest u siebie w sypialni. Zastukałem i usłyszawszy jej głos uchyliłem drzwi. Nigdy jeszcze nie widziałem jej tak zagniewanej. – Wejdz – powiedziała niecierpliwie, więc wszedłem, a ona zatrasnęła za mną drzwi. – Ktoś przeszukiwał mój pokój.

– Wiem. Wszystkie pomieszczenia w tym domu są przeszukiwane.

– Na twoje polecenie?

– Tak.

– No, nie! Nie zasłużyłam na to, żebyś mnie tak traktował. Miałeś rację, że w waszym fachu nie istnieje nic takiego jak zaufanie. Wczoraj wieczorem poprosiłeś mnie o rękę, a w niecałą dobę później pokazujesz mi, jak bardzo mi ufasz. Co z ciebie za człowiek, że nasyłasz kogoś, żeby szperał w moich rzeczach?

– To nie kwestia zaufania czy braku zaufania – wyjaśniłem. – Wykonuję swoje zadania tak, jak mnie nauczono.

– Więc postępujesz zgodnie z instrukcją! Mnie takie postępowanie nie odpowiada.

Doszło więc do piekielnej awantury – była to nasza pierwsza kłótnia. Wpadłem w taką wściekłość, że wreszcie wybiegłem na dwór, wskoczyłem do samochodu i z piskiem opon ruszyłem spod domu. Dojechałem do Londynu w rekordowym czasie; miałem szczęście, że mnie policja nie zatrzymała za przekraczanie dozwolonej prędkości.

Nie byłem w najlepszym nastroju, kiedy wszedłem do gabinetu Ogilvie’ego. – Masz coś nowego? – zapytał, gdy tylko mnie zobaczył.

Upuściłem mu na biurko znaleziony pocisk. – Benson chodzi z zabawką, do której używa takich naboii.

– Dobra – powiedział – zacznijmy od początku.

Zrelacjonowałem mu ze szczegółami, co się działo, a potem zastanawialiśmy się, co z tego może wynikać. Ściśle mówiąc, to Ogilvie się zastanawiał bo ja za mało wiedziałem o Ashtonie, żeby wyciągać jakiegokolwiek wnioski. Stwierdziłem tylko, że Ashton najwyraźniej już od dawna się przygotowywał. – Poinformował Penny, że wydał odpowiednie dyspozycje swojemu adwokatowi i księgowemu, a tego nie mógłby zrobić w jeden dzień. Nie wiem, czy spodziewał się, że ktoś mu obleje córkę kwasem, ale z pewnością przygotowywał się do ucieczki. Ktoś go musiał przestraszyć.

Ogilvie nie skomentował mojej uwagi. – Być może wiesz – a może i nie – zaczął – że w takich firmach jak nasza istnieje międzywydziałowa rada, która rozpatruje wszelkie problemy związane z nakładaniem się zakresu działania i kompetencji.

– Nie wiedziałem o tym, ale chyba to ma sens.

– Dziś popołudniu zwołano specjalne posiedzenie i musiałem mówić dużo, prędko i ostro. Opozycja była bardzo silna.

– Ze strony lorda Cregara?

Ogilvie uniósł brwi. – Jak go rozpoznałeś?

– Jego zdjęcia trafiają do gazet – oznajmiłem głosem pełnym jadu.

– Rozumiem. Czy wiesz cokolwiek o historii tego wydziału?

– Niewiele.

Pochylił się do przodu i złożył dłonie tak, że stykały się tylko czubki palców. – Brytyjski wywiad i system ochrony państwa jest dość osobliwy. Przez lata zyskaliśmy reputację dobrych w tej robocie, dobrych i dość wyrafinowanych. Taka jest opinia naszych amerykańskich i rosyjskich rywali. Oczywiście, jest to opinia fałszywa. To, co oni biorą za wyrafinowanie, wynika z faktu, że najczęściej dzieje się u nas tak, że nie wie lewica, co czyni prawica.

Wyjął papierośnicę i poczęstował mnie papierosem. – Politycy śmiertelnie się boją scentralizowanej organizacji wywiadowczej; nie chcą niczego na wzór CIA czy KGB, bo wiedzą już, co się dzieje, gdy taka instytucja nadmiernie się rozrasta i staje się zbyt silna. Toteż w Wielkiej

Brytanii, zgodnie z klasyczną zasadą – dziel i rządź – działalnością wywiadowczą zajmują się stosunkowo niewielkie liczebnie służby – każda swoją cząstką.

Przypaliłem mu papierosa. – Takie rozwiązanie też ma swoje wady. Prowadzi do amatorszczyzny, rywalizacji między poszczególnymi wydziałami, dublowania działań, budowania imperiów i prywatnych armii, braku współpracy, zakłóceń w obiegu informacji – słowem do całej masy drobnych grzechów. A to wszystko szalenie utrudnia mi pracę.

Z jego tonu przebijało rozgoryczenie zmieszane z rezygnacją.

– Wyobrażam sobie – powiedziałem.

– Na początku lat pięćdziesiątych zaczęto dostrzegać zagrożenia wynikające ze szpiegostwa przemysłowego. W gruncie rzeczy nie interesowaliśmy się zbytnio tym, że jedna firma podkrada innej jakieś tajemnice produkcji. Rzecz w tym, że u naszych przyjaciół na wschodzie nie istnieją w ogóle przedsiębiorstwa prywatne. Wszelkie szpiegostwo przemysłowe z tamtej strony było więc ipso facto inspirowane i sterowane przez państwo. A tego nie mogliśmy już tolerować. Wobec tego, zgodnie z naszymi niepowtarzalnymi brytyjskimi obyczajami, powołaliśmy do życia zupełnie nowy wydział, który miałby się tym zajmować. To właśnie ten wydział.

– Dobrze wiem, co robimy, ale nie wiedziałem, od czego się to zaczęło.

Ogilvie zaciągnął się papierosem. – Jest pewien bardzo istotny aspekt. Aby uniknąć dublowania wysiłków, kilka innych wydziałów musiało przekazać nam sporą część swojego raison d'être i w rezultacie uległo likwidacji. Nie były to żadne wielkie ani znaczące placówki. Niemniej zamknięcie ich wywołało sporo rozgoryczenia i zawiści; uczucia te, w takiej czy innej formie, przetrwały aż do dzisiaj. W taki oto sposób odziedziczyliśmy problem Ashtona.

– Komu zgarnęliśmy Ashtona? – spytałem.

– Wydziałowi lorda Cregara. – Ogilvie znów pochylił się do przodu. – Dzisiaj minister wzięł naszą stronę. Ashton pozostaje naszym podopiecznym i musimy go znaleźć. Ponieważ jesteś związany z rodziną, nie jesteś człowiekiem z zewnątrz, więc to ty go znajdziesz. Jeśli będziesz potrzebował jakiegokolwiek pomocy, wystarczy, że powiesz.

– To mi odpowiada – oświadczyłem. – Proszę o zezwolenie na dostęp do akt ze strefy fioletowej.

Ogilvie pokręcił głową – Niestety, muszę odmówić.

Wściekłem się. – Na miłość boską, jak mam szukać faceta, jeśli nic o nim nie wiem? W Marlow musiałem wysłuchać interesującego wykładu na temat zaufania; omal mnie od tego nie pokręciło, a ta akcja już i tak wprowadziła zamęt w moje życie osobiste. Więc albo macie do mnie zaufanie, albo nie – stawiam sprawę jasno. Albo otrzymam dostęp do strefy fioletowej, albo jutro rano znajdzie pan na biurku moją rezygnację.

W głosie Ogilvie'ego zabrzmiał smutek. – Mówiłem ci, żebyś nie był porywczy. Po pierwsze, w tak krótkim czasie nie zdołałbym uzyskać dla ciebie takiego zezwolenia, a po drugie – nie znalazłbyś tam tego, czego szukasz, bo Ashton jest w strefie czarnej. A zezwolenie na dostęp do



strefy czarnej dałoby się załatwić nie prędzej niż za trzy miesiące – o ile w ogóle by się dało.

Strefa czarna! Mogłoby się wydawać, że jest to nieosiągalna kraina po drugiej stronie tęczy, a Ashton jest skarbem, który tam ukryto. Zapadła cisza, którą przerwałem stwierdzając obojętnie: – Więc to załatwia sprawę. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko iść do siebie i napisać wymówienie.

– Nie wygłupiaj się! – warknął na mnie Ogilvie. – Zabębnił palcami w biurko i powiedział: – No, dobrze. Raz kozie śmierć. Jeśli się to wyda, mogą mnie wywalić. Poczekaj tu chwilę.

Wstał, podszedł do niepozornych drzwi znajdujących się za jego biurkiem i znikł. Czekałem długo, cały czas zastanawiając nad tym, co zrobiłem. Wiem, że rzuciłem na szalę swoją karierę. Byłem przygotowany na to, że mogę stracić pracę, ale przy moich zasobach finansowych nie oznaczało to dla mnie tragedii. Być może nie zdecydowałbym się na taki krok, gdybym musiał żyć z pensji. Sam nie wiem. W dodatku pchnąłem Ogilvie'ego do zrobienia czegoś, czego być może będzie żałował, i było mi z tego powodu przykro, ponieważ go lubiłem.

Wkrótce Ogilvie otworzył drzwi i powiedział, żebym wszedł. Znalazłem się w niewielkim pokoju, gdzie zainstalowana była niezwykle skomplikowana końcówka komputera. – Mam dostęp do strefy czarnej – powiedział. – Dossier Ashtona zaraz się pojawi. Posiedź tu, to dowiesz się wszystkiego, czego potrzebujesz. Komputer nie wie, kto naciska guziki. – Spojrzał na zegarek. – Wróć za dwie godziny.

Byłem trochę skonsternowany. – Dobrze – powiedziałem.

– Ale obiecaj mi – zażądał – że nie będziesz buszował po całej strefie czarnej. Chcę mieć pewność, że przestajesz na dokumentacji dotyczącej Ashtona. W strefie czarnej jest mnóstwo różnych spraw, o których lepiej, żebyś nie wiedział – dla twojego własnego spokoju.

– Może pan mieć pewność, tylko jeśli pan tu ze mną zostanie.

Uśmiechnął się. – Powiedziałeś przed chwilą coś o zaufaniu. Albo mam do ciebie zaufanie, albo go nie mam, i tyle.

– Ma pan moje słowo.

Skinął głową i wyszedł zamykając za sobą drzwi.

Rzuciłem okiem na Nellie, która gapiła się na mnie wielkim zielonym znakiem zapytania. Potem rozejrzałem się po pokoju, który był niemal klatką. Po jednej stronie komputera znajdował się niewielki plotter, bardzo podobny do tego w piwnicy Ashtona, a po drugiej drukarka.

Siadłem przy klawiaturze i pomyślałem, że jeśli Ashton jest taki ważny i interesowano się nim od tak dawna, jeszcze zanim utworzono nasz wydział, to pewnie trzewia Nellie zawierają nieskończoną ilość informacji na jego temat. Potwierdzał to fakt, że Ogilvie dał mi aż dwie godziny na przejrzenie dokumentacji. Włączyłem więc drukarkę i wystukałem:

DRUK

Nellie dostała ataku logorei. Wyrzuciła z siebie:

STREFA CZARNA WYKLUCZA DRUK

UWAGA: STREFA CZARNA – ZAKAZ ROBIENIA NOTATEK

UWAGA: STREFA CZARNA – ZAKAZ NAGRAŃ DŹWIĘKOWYCH

UWAGA: STREFA CZARNA – ZAKAZ DOKUMENTACJI FOTOGRAFICZNEJ

Westchnąłem i wyłączyłem drukarkę.

Opisałem już ze szczegółami, jak się obcuje z Nellie, więc nie będę tego powtarzał. Jednej rzeczy tylko nie powiedziałem, że Nellie niezwykle chętnie idzie człowiekowi na rękę – jeśli pracuje za szybko, można ją poprosić, żeby zwolniła tempo, i na odwrót – jeśli przynudza, można ją pogonić. Można też swobodnie poruszać się po dokumentacji w przód i w tył, wracać do rzeczy, o których się zapomniało lub które się pominęło. W sumie – to bardzo sympatyczna zabawka.

Przyglądając się życiu Ashtona wykorzystałem w pełni te umiejętności Nellie i skakałem tam i z powrotem po jego biografii. Była niezwykle bogata.



Aleksandr Dmitrijewicz Czeluskin przyszedł na świat jako syn ubogich, lecz godnych szacunku rodziców w miasteczku Tiesewo-Netylskij, na północ od Nowogrodu. Było to w roku 1919. Oboje rodzice byli nauczycielami; matka pracowała w szkole podstawowej, ojciec natomiast uczył starszych chłopców matematyki i innych przedmiotów ścisłych.

W 1919 wciąż jeszcze trwała rewolucja i nie było wiadomo, czy górą będą biali czy czerwoni. Armie cudzoziemskie – brytyjska, francuska, amerykańska – przewalały się przez ziemię rosyjską, był to czas zamętu i pożogi. Podczas nawałnicy wojennej mały Aleksandr omal nie rozstał się z życiem. W każdym razie w nieznanym bliżej okolicznościach zginęło jego rodzeństwo – starszy brat oraz dwie siostry.

W 1923 trzyosobowa rodzina Czeluskinów znalazła wreszcie bezpieczne schronienie w miejscowości Aprielowka pod Moskwą. Ponieważ Aleksandr był późnym dzieckiem, a matka przekroczyła już wiek prokreacji, rodzice Aleksandra nie spodziewali się więcej potomstwa i wychowywali syna jak jedynaka. Ojciec znalazł pracę jako nauczyciel matematyki i Czeluskinowie zaczęli prowadzić względnie bezpieczne i spokojne życie.

Wprawdzie Dmitrij Iwanowicz Czeluskin uczył matematyki, ale wybitnym matematykiem nie był, gdyż nie tworzył niczego oryginalnego. Pomagając sobie ostrym słowem i ciężką ręką, wbijał chłopcom do głowy podstawy arytmetyki, algebry i geometrii. Był jednak w swoim zawodzie wystarczająco dobry, żeby się szybko zorientować, iż Aleksandrowi nie trzeba niczego dwa razy powtarzać. A gdy nadszedł czas, że chłopcu nawet raz nie trzeba było mówić i zaczął zadawać pytania, na które nie było odpowiedzi, Dmitrij Iwanowicz pojął, że ma do czynienia z cudownym dzieckiem.

Aleksandr miał wtedy z dziesięć lat.

Doskonale grał w szachy, wstąpił w Aprielowce do klubu szachowego i ogrywał niemiłosiernie wszystkich starszych od siebie rywali. Dmitrij Iwanowicz zapomniał o matematyce i pomyślał, że dobrze byłoby mieć w rodzinie arcymistrza szachowego; w Rosji to powód do wielkiej dumy.

Jeden z członków klubu szachowego, niejaki Susłow, był odmiennego zdania. Nakłonił starego Czeluskina, by napisał do Moskwy do jego przyjaciela zatrudnionego w Ministerstwie Szkolnictwa. Nastąpiła wymiana korespondencji, mijały miesiące i wreszcie po serii niezwykle trudnych egzaminów, które Aleksandr zdał bez wysiłku, przyjęto go do liceum w Moskwie; liczył sobie zaledwie dwanaście lat i dziesięć miesięcy. Nie wiadomo, jaki związek miał z tym fakt, że przed pojawieniem się Aleksandra niekwestionowanym mistrzem szachów w Aprielowce był Susłow. W każdym razie Susłow nawet się nie zająknął na ten temat, a w następnym roku zdobył mistrzostwo klubu.

W Wielkiej Brytanii lewica zwalcza elitaryzm, w Rosji komuniści mu sprzyjają. Gdy pojawia się

ktoś nieprzeciętnie zdolny, natychmiast umieszcza się go w specjalnej szkole, gdzie jego umysł może się rozwijać. Taki młodzian nie może już liczyć na to, że prześlizgnie się przez szkołę lekko, bez wysiłku, błyszcząc z różnych przedmiotów, gdy tymczasem jego mniej zdolni koledzy, mimo ciężkiej pracy, wlec się będą w ogonie. Aleksandra poddano intensywnej edukacji.

Odpowiadało mu to. Uwielbiał zmagać się ze wszystkim, co niejasne i trudne, a znajdował to głównie w czystej matematyce. Otóż czysta matematyka jest zabawą dla dorosłych i nie musi mieć związku z rzeczywistym światem fizycznym. Jej związki z tym światem bywają tylko kwestią szczęśliwego trafu. Matematyka interesuje pojęcie liczby w sensie abstrakcyjnym i Aleksandr przez jakiś czas z radością bawił się abstrakcjami. Mając szesnaście lat napisał rozprawę pod tytułem „Kilka uwag na temat związków między funkcjami Mathieu, a eliptycznymi funkcjami Weierstrassa”. Praca składała się z trzech akapitów tekstu oraz dziesięciu stron obliczeń matematycznych i została dość dobrze przyjęta. W następnym roku napisał kolejną rozprawę, która zwróciła na niego uwagę Piotra Kapicy i spowodowała drugą zasadniczą zmianę w jego życiu.

Był rok 1936 i Kapica był wielką nadzieją rosyjskiej fizyki. Urodził się w Kronsztadzie i studiował w Kronsztadzie oraz w Piotrogradzie, jak się to miasto wówczas nazywało. W 1925 podjął jednak decyzję dość niezwykłą, jak na Rosjanina w tamtym okresie: wyjechał do Cambridge, uniwersytetu, ze słynnym na cały świat wydziałem fizyki. Został członkiem Trinity College i zastępcą dyrektora do spraw badań w Cavendish Laboratory pod kierunkiem Rutherforda. W 1929 wybrano go członkiem Royal Society i zdołał zgarnąć bodaj wszystkie tytuły i zaszczyty naukowe, które były do wzięcia, prócz nagrody Nobla. W 1936 wrócił do Rosji, rzekomo na roczny urlop naukowy, i już nigdy się stamtąd nie ruszył. Podobno Stalin postawił mu szlaban.

Ten to człowiek wywarł wpływ na Aleksandra Czeluskin. Być może chłopak przypominał mu jego własne młodzieńcze lata. W każdym razie odciągnął Aleksandra od jego zabaw w czystą matematykę i pokazał mu, że są na świecie prawdziwe problemy, które warto by było rozwiązać. Kapica wprowadził go w świat fizyki teoretycznej. Fizyka jest dziedziną doświadczalną, większość fizyków ma talenty mechaniczne i paznokcie połamane od majsterkowania. Ale są też tacy – bardzo nieliczni – którzy zajmują się wyłącznie myśleniem. Ci na ogół tylko siedzą, patrzą w przestrzeń, a ich ulubione pomoce naukowe, to kreda i tablica. Po kilku godzinach, dniach lub latach takiego myślenia nieśmiało sugerują, że należałoby przeprowadzić jakieś doświadczenie.

Domeną fizyka teoretycznego jest wszechświat jako całość i dobrych fizyków jest bardzo niewielu; jednym z nich był niewątpliwie Aleksandr Czeluskin.

Pod kierunkiem Kapicy studiował własności pola magnetycznego oraz fizykę niskich temperatur. Zastosowawszy teorię kwantową do wcześniejszych Prac Kammerlingha-Onnesa poczynił ważne spostrzeżenia dotyczące przejścia fazowego helu w hel II; zapoczątkowało to badania nad nieznanym dotąd zjawiskiem nadprzewodnictwa. Ale była to tylko jedna z wielu rzeczy, nad którymi łamał sobie głowę. Jego prace obejmowały zdumiewająco szeroki zakres zagadnień. Publikował bardzo dużo, co nie znaczy, że ogłaszał drukiem wszystkie rezultaty swoich rozważań; lubił publikować tylko to, co przemyślał do końca i starannie opracował. Niemniej niektóre jego robocze notatki, ogłoszone w takiej postaci, jak je na bieżąco zapisywał, wyraźnie wyprzedzają kosmologiczne koncepcje Freda Hoyle'a z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. W innych jego zapiskach zawarte były koncepcje dotyczące natury reakcji katalitycznej, był też krótki szkic rozciągający te obserwacje na organiczną

sferę enzymów.

W 1941 w Rosji nastąpiła wojna. Państwo, które w czas pokoju tak pieczołowicie troszczyło się o dobro cennego dla siebie umysłu, zadbało też o to, by nie narazić go na niebezpieczeństwo w czasach wojny. Czeluskin nigdy więc nie był świadkiem strzału oddanego w gniewie. Niemal całą wojnę spędził za Uralem, gdzie mógł sobie spokojnie myśleć. Interesowała go w tym okresie struktura metali. Rezultatem było wyraźne udoskonalenie opancerzenia czołgów rosyjskich.

W 1945 roku odwiedził go wysokiej rangi przedstawiciel władz i oznajmił, że dobrze by było, gdyby się dokładnie zastanowił nad budową atomową pewnych rzadkich metali. Stalin właśnie powrócił z Konferencji Jałtańskiej, na której usłyszał o istnieniu bomby atomowej.

Tuż po zakończeniu wojny Czeluskin zaczął ogarniać coraz większe niezadowolenie, głównie dlatego, że mimo iż ustały działania wojenne, musiał nadal zajmować się badaniami nad bronią. Nie lubił tego, co robił, i rozmyślnie zwolnił tempo pracy. Ale nie potrafił przestać myśleć, więc jego umysł zwrócił się ku problemom nie związanym z fizyką – między innymi ku socjologii. Krótko mówiąc, przestał myśleć o rzeczach i zaczął o ludziach.

Rozejrzył się po otaczającym go świecie i to, co zobaczył, wcale mu się nie spodobało. Był to czas, kiedy Stalin przeprowadzał powojenny remanent. Rosjanie, którzy mieli nieszczęście trafić do niewoli, zaczęli wracać, ale zanim zdążyli się przywitać z rodziną, lądowali w obozach na Syberii. Byli oficerowie w tajemniczy sposób znikali. Czeluskin doszedł do przekonania, że nieustanna czystka jest równie szkodliwa dla społeczeństwa, co ciągłe podawanie środków przeczyszczających dla ludzkiego organizmu, wiedział też, że niesławna czystka w armii w 1936 roku znacznie osłabiła wojsko, walenie przyczyniając się do sromotnych klęsk poniesionych na początku wojny. Niemniej Stalin nie przestawał rozliczać.

Czeluskin postanowił – ze względów moralnych – nie kontynuować badań atomowych, co więcej – nabrał pewności, że nie chce oddawać potężnej broni w ręce takiego człowieka jak Stalin. Ale był też absolutnie pewien, że nie chce, wzorem kilku swych kolegów, trafić do obozu pracy. Stanął więc przed niezwykle trudnym problemem, który rozwiązał w typowy dla siebie, precyzyjnie przemyślany i wykalkulowany sposób.

Popełnił samobójstwo.

Zaplanowanie własnej śmierci zajęło mu trzy miesiące i przeprowadził to zadanie z całą bezwzględnością. Potrzebne mu było ciało człowieka mniej więcej w jego wieku i o zbliżonych cechach fizycznych. Rzecz była tym bardziej skomplikowana, że musiało to być ciało żywego człowieka, aby można było dokonać odpowiednich zabiegów plastycznych oraz stomatologicznych i jeszcze mieć trochę czasu na to, by ślady po zabiegach przestały wyglądać jak świeże. Zwłoki nie wchodziły więc w rachubę.

To, czego potrzebował, znalazł podczas wizyty w Apriewce. Jeden z jego szkolnych kolegów, jego rówieśnik, zapadł na białaczkę i miał bardzo niewielką szansę, aby odzyskać zdrowie. Czeluskin wybrał się do szpitala i porozmawiał z kolegą. Początkowo mówili o rzeczach ogólnych, a potem rozmowa zesłała na sprawy bardziej konkretne i niebezpieczne – na politykę. Czeluskin miał szczęście, ponieważ okazało się, że kolega podziela jego przekonania. Zachęcony tym, zadał

krytyczne pytanie. Zapytał go, czy w końcowych stadiach śmiertelnej choroby zgodziłby się oddać swoje ciało po to, by Czeluskin mógł przeżyć.

W aktach nie figuruje nazwisko kolegi Czeluskina, ale myślę, że był to człowiek niezwykle odważny. Czeluskin wykorzystał swoje znajomości i załatwił mu przeniesienie do innego szpitala, gdzie miał umówionego lekarza. Następnie dokonano fałszywych wpisów do kartoteki, zagubiono dokumentację i zmylono biurokrację, niezwykle metodycznie i precyzyjnie wprowadzono taki bałagan, że w efekcie wszystko przemawiało za tym, że przyjaciel Czeluskina odszedł z tego świata.

Następnie pod znieczuleniem i z zachowaniem wszelkich środków ostrożności złamano nieszczęśnikowi nogę i wykonano szereg zabiegów stomatologicznych. Złamanie odpowiadało dokładnie urazowi, jakiego niegdyś doznał Czeluskin, a dzięki zabiegom dentystycznym układ plomb i budowa szczęki kolegi była identyczna jak u Czeluskina. Kość się zrosła i teraz jedyne, co pozostało Czeluskinowi, to czekać na śmierć kolegi.

Tymczasem zaś, korzystając z tajnych kanałów, Czeluskin nawiązał kontakt z wywiadem brytyjskim i poprosił o azyl polityczny. Niezwykle chętnie się zgodziliśmy, przystając nawet na jego warunki. Afiszowanie się tym, że przyhołubiliśmy zbiegłego rosyjskiego naukowca nie jest wcale najlepszą taktyką, więc przychylił się do jego prośby o utrzymanie wszystkiego w najgłębszej tajemnicy – byle go dostać. Poczyniono niezbędne przygotowania.

Długo trwało, nim kolega Czeluskina zmarł. Nastąpiła nawet u niego – niezbyt długa, ale wyraźna – poprawa, co zapewne doprowadziło do szału moich przełożonych. Wątpię, żeby zmartwiło to Czeluskina. Kontynuował swoje normalne zajęcia, uczestniczył w naradach i posiedzeniach, które zabierały mu coraz więcej czasu i nerwów, i dalej markował robotę. Jego przyjaciele zwrócili jednak uwagę, że jest na najlepszej drodze, by zapisać się na śmierć.

Siedem miesięcy później rosyjskie środowisko naukowe z głębokim żalem przyjęło do wiadomości, że akademik A.D. Czeluskin zginął w płomieniach podczas pożaru swojej dachy, gdzie spędzał krótki urlop. Dokonano sekcji zwłok i przeprowadzono dochodzenie. Rozeszła się plotka, że Czeluskin, leżąc pijany w łóżku palił papierosa i że wódka, którą miał przy łóżku, podsycała płomień. Historyjka ta brzmiała dla każdego prawdopodobnie.

W miesiąc później Czeluskin prześlizgnął się przez granicę z Iranem. Po trzech dniach był w Teheranie, a następnego dnia, dzięki uprzejmości Dowództwa Wojsk Transportowych, wylądował na lotnisku RAF-u w Northolt. Niewielka grupka starannie dobranych osób zgotowała entuzjastyczne przyjęcie temu genialnemu człowiekowi, liczącemu sobie wówczas dwadzieścia osiem lat. Miał przed sobą perspektywę długich lat pracy.

Szefów z lekka zaskoczył stosunkowo młody wiek Czeluskina. Nie pamiętali, że twórcza myśl abstrakcyjna, zwłaszcza na polu matematyki, to zabawa dla młodych i że Einstein ogłosił swoją szczególną teorię względności mając zaledwie dziewiętnaście lat. Nawet ci spośród nich, którzy zajmują się polityką, zapomnieli, że Pitt został premierem mając dwadzieścia cztery lata.

Jeszcze bardziej zaskoczyła ich i zirytowała postawa Czeluskina. Wkrótce bowiem dał on wyraźnie do zrozumienia, że jest rosyjskim patriotą, a nie zdrajcą, i że nie ma najmniejszego zamiaru ujawniać żadnych tajemnic atomowych ani też jakichkolwiek innych. Oznajmił, że wyjechał z Rosji,

bo nie chciał kontynuować badań jądrowych, i że gdyby teraz przekazał to, co wie, to przekreśliłby sens swojego czynu. Temat teorii atomowej wykluczono z rozmów.

Narastała irytacja i zaczęto wywierać na Czeluskiną presję. Okazało się jednak, że nie można go było ani zmusić do uległości, ani złamać. Im mocniej go naciskano, tym silniejszy był jego upór, aż wreszcie w ogóle odmówił rozmów na temat swoich prac. Nawet ostateczna groźba nie skłoniła go do ustępstw. Kiedy mu powiedziano, że wciąż jeszcze mogą go wydać w ręce Rosjan, Czeluskin tylko wzruszył ramionami i dał do zrozumienia, że Brytyjczycy oczywiście mogą tak postąpić, jeśli zechcą, ale że jego zdaniem byłoby to ich niegodne.

Władze zmieniły taktykę. Ktoś go zapytał, co by chciał robić. Czy chciałby, na przykład, dostać do dyspozycji laboratorium? Ale Czeluskin odnosił się nieufnie do Brytyjczyków i do motywów, którymi się kierowali. Wydaje mi się, że w pewnym sensie był naiwny oczekując innego traktowania, ale też ludzie genialni stosunkowo często bywają naiwni. Wylądował nie wśród naukowców, których rozumiał, lecz wśród ludzi wyrachowanych, wśród maklerów władzy z Whitehall. Brak wzajemnego zrozumienia był całkowity.

Stanowczo odrzucił propozycję przyjęcia laboratorium. Widział wyraźnie, że grozi mu zamiana jednego więzienia intelektualnego na drugie. Kiedy znów go zapytano, czego by chciał, powiedział rzecz interesującą: – Chcę żyć jak normalny obywatel, chcę się zanurzyć w morzu zachodniego kapitalizmu i albo utonę, albo wypłynę.

Mocodawcy wzruszyli ramionami i dali za wygraną. A w ogóle, kto tam zrozumie tych pociesznych cudzoziemców? Przyjęto postawę psa ogrodnika – sami się nie pożywimy, ale Rosjanie też nie skorzystają z mózgu tego człowieka. I to nam wystarczało. Można go będzie mieć stale na oku i być może kiedyś na coś nam się jednak przyda.

Czeluskin dostał więc wszystko, o co prosił.

W wypadku samochodowym w Niemczech zginął żołnierz Królewskich Wojsk Inżynieryjnych nazwiskiem George Ashton. Miał dwadzieścia siedem lat i wychował się w sierocińcu. Nie był żonaty, nie miał żadnych bliższych ani dalszych krewnych, którzy mogliby go opłakiwać, więc idealnie odpowiadał potrzebom. Czeluskiną przetransportowano samolotem do Niemiec, ubrano w mundur szeregowca Armii Brytyjskiej i przywieziono z powrotem do Anglii pociągiem oraz statkiem – cały czas pod dyskretną obserwacją. Przeszedł przez ośrodek demobilizacyjny, gdzie otrzymał tani garnitur, skromny zaległy żołd oraz uścisk dłoni ponurego sierżanta.

Wręczono mu także 2000 funtów.

Zanim go puszczono na szerokie wody, dano mu jeszcze jedną rzecz, o którą poprosił. Ze względu na studia i lektury naukowe nauczył się angielskiego. Miał doskonałą bierną znajomość języka, ale nigdy się nim nie posługiwał czynnie. Niewykluczone, że, gdy poszedł na półroczny intensywny kurs konwersacji stanowiło to dla niego pewien plus, bo nie miał żadnych tych nawyków, które musiałby wykorzenić. Ukończywszy kurs mówił akcentem wykształconego mieszkańca południowo-wschodniej Anglii i wyruszył na podbój kapitalistycznego świata.

Dwa tysiące funtów to w dzisiejszych czasach niewielka kwota, ale w 1947 roku był to niezły



kapitał. Niemniej George Ashton wiedział, że musi ostrożnie gospodarować swoimi zasobami; złożył więc pieniądze w banku i żył bardzo skromnie, dopóki nie rozejrzał się w tym dziwnym nowym świecie. Nie był już człowiekiem ogólnie szanowanym, akademikiem, któremu przysługiwał samochód oraz dacza, i musiał znaleźć sposób zarabiania na życie. Nie mogła to być posada, dla której uzyskania potrzebne by były dyplomy czy inne dokumenty, gdyż żadnych papierów nie miał. Jego sytuacja była absurdalna.

Przyjął pracę księgowego w magazynie niewielkiej fabryki w Luton. W tamtych czasach nie było jeszcze komputerów i bilanse robiono ręcznie, jak za czasów Dickensa. Dobry księgowy potrafił jednym rzutem oka zsumować potrójną kolumnę cyfr, złożoną z funtów, szylingów i pensów. Ale takich było niewielu. Ashtona przyjęto z otwartymi ramionami, gdyż wbrew powszechnej opinii o naukowcach, potrafił doskonale dodawać i zawsze mu się reszta zgadzała. Dla niego była to praca idiotycznie łatwa, jeśli nie nudna, ale zostawiała mu dużo czasu na myślenie.

W fabryce poznał majstra na wydziale obrabiarek, niejakiego Johna Franklina, człowieka mniej więcej pięćdziesięcioletniego. Ich stosunki układały się znakomicie i po pracy zazwyczaj chodzili razem na drinka do miejscowego pubu. Po jakimś czasie został zaproszony do Franklina na niedzielny obiad – poznał tam żonę Franklina, Jane, i jego córkę, Mary. Mary Franklin miała wtedy dwadzieścia pięć lat i była panną, ponieważ w ostatnich dniach wojny jej narzeczony został zestrzelony nad Dortmundem.

Przez cały ten czas Ashton pozostawał pod obserwacją. Jeśli był tego świadom, to w każdym razie nie dawał tego po sobie poznać. Obserwowano także i innych ludzi. Wzięto pod lupę między innymi rodzinę Franklinów, gdyż każdy, kto interesował się Ashtonem, automatycznie wzbudzał zainteresowanie. Nie odkryto jednak niczego, prócz tego, co było oczywiste – że Jack Franklin był fenomenalnym rzemieślnikiem, że miał inteligencję w palcach, że Jane Franklin była dobra i opiekuńcza, a Mary Franklin przeżyła wielką tragedię.

Po sześciu miesiącach znajomości Ashton i Franklin porzucili fabrykę, w której pracowali, by otworzyć własne przedsiębiorstwo. Ashton zainwestował tysiąc pięćset funtów i swój intelekt, a Franklin pięćset funtów i swoje zdolności manualne. Postanowili otworzyć fabryczkę wyrobów z tworzyw sztucznych; Franklin miał wytwarzać formy i proste maszyny niezbędne do produkcji, natomiast Ashton miał się zająć wzornictwem i prowadzeniem firmy.

Fabryczka jakoś tam funkcjonowała nie przynosząc oszałamiających zysków, dopóki Ashton, niezadowolony z granulatów plastikowych otrzymywanych z wielkiej fabryki chemicznej, nie wymyślił własnego preparatu. Zaraz też opatentował go, utworzył osobną firmę zajmującą się produkowaniem go i już od tej chwili szło im znakomicie.

Ashton ożenił się z Mary Franklin i mogę dać głowę, że pracownik takiego czy innego wydziału dyskretnie obserwował ceremonię ślubną. W rok później przyszła na świat córka, której dali na imię Penelope, a po dwóch latach druga córka, którą ochrzcili Gillian. Mary Ashton zmarła kilka lat później przy porodzie trzeciego dziecka. Dziecko też zmarło.

Przez całe życie Ashton trzymał się na uboczu. Nie należał do żadnych klubów ani stowarzyszeń zawodowych; nie angażował się w politykę – ani na skalę państwową, ani lokalną, chociaż

regularnie chodził głosować. Ogólnie rzecz biorąc dzielił czas między pracę i dom. Mógł dzięki temu swobodnie zajmować się dwiema małymi dziewczynkami. W wychowaniu ich pomagała mu niania, którą sprowadził do niewielkiego podmiejskiego domku w Slough, gdzie wówczas mieszkali. Z dokumentów wynika, że Ashton był niezwykle oddany córkom.

Okolo roku 1953 sięgnął zapewne do swoich starych notatników i znów zaczął myśleć. Jako Czeluskin nie opublikował żadnej ze swoich prac na temat katalizatorów i uznał zapewne, że na ten grunt może wkroczyć bezpiecznie. Katalizatory to substancje, które przyspieszają reakcje chemiczne między innymi substancjami – czasem nawet tysiąckrotnie. Katalizatory stosuje się szeroko w procesach chemicznych, zwłaszcza w przemyśle naftowym.

Ashton zrobił dobry użytek ze swoich dawnych zapisków. Opracował całą serię nowych katalizatorów do konkretnych celów. Niektóre sam wytwarzał i sprzedawał, na inne udzielał licencji. Wszystkie opatentował, co dało mu równomierny dopływ pieniędzy. Wyglądało na to, że ta egzotyczna rybka nieźle pływa w kapitalistycznym morzu.

W 1960 nabył dom, w którym obecnie mieszka, i po piętnastu miesiącach remontów i przeróbek wprowadził się do niego wraz z rodziną. Od tej pory działo się chyba niewiele, prócz tego, że był świadkiem odkrycia ropy na Morzu Północnym, w 1970 uruchomił kolejną fabrykę, opatentował wiele nowych wynalazków i systematycznie się bogacił. Zainteresował się również naturalnymi katalizatorami, jakimi są enzymy i prawdopodobnie rozwinął którąś ze swoich wczesnych, ledwie naszkicowanych teorii oraz znalazł dla niej praktyczne zastosowanie.

Po 1962 zapiski stają się raczej bezbarwne i ogólnikowe. Wiadomo dlaczego. Władze przestały się nim interesować i jego nazwisko figurowało tylko w kartotece osób sprawdzanych rutynowo raz do roku. Dopiero moje nieopatrzone pytania wprawiły w ruch wszystkie dzwonki i sprawiły że ktoś się ocknął.

Tak oto wyglądała biografia George'a Ashtona, niegdyś Aleksandra Dmitrowicza Czeluskina, mojego przyszłego teścia.



Zreferowałem tu w skrócie to, co na temat Ashtona-Czeluskiina znalazłem w komputerze, i tylko dla zachowania ciągłości narracji uzupełniłem swoją relację kilkoma własnymi domysłami. Gdybym mógł posłużyć się drukarką, otrzymałbym pewnie maszynopis grubości rodzinnej Biblii.

Przelanie na papier szczegółów czyjegoś życia wymaga dużej ilości papieru. Myślę jednak, że najważniejsze fakty zdołałem przedstawić.

Gdy dobrnąłem do końca, myślałem, że mi głowa pęknie. Długotrwałe wpatrywanie się w monitor komputera jest bardzo męczące dla oczu, w dodatku paliłem papierosa za papierosem, więc po dwu i pół godzinie, które spędziłem w tym maleńkim pokoiku, było tam straszliwie duszno. Z ulgą wszedłem do gabinetu Ogilvie'ego.

Siedział przy biurku i czytał książkę. Podniósł na mnie wzrok i uśmiechnął się. – Pewnie chętnie byś się czegoś napił.

– O, tak, z przyjemnością – przyznałem.

Wstał, otworzył szafkę, wyjął z niej butelkę whisky i dwie szklaneczki; potem postawił na biurku dzbanek z zimną wodą, który wyjął z obudowanej małej lodówki. Stanowisko daje pewne przywileje. – No i co ty o tym myślisz?

– Myślę, że Ashton to niezwykły gość. Jestem dumny, że miałem okazję go poznać.

– Coś jeszcze?

– Jest jeden fakt tak absolutnie oczywisty, że pewnie go przeoczono.

– Wątpię – powiedział Ogilvie i podał mi szklaneczkę. – Tę dokumentację analizowało wielu facetów z głową.

Rozcieńczyłem sobie whisky i usiadłem. – Czy to jest całość dokumentacji na temat Ashtona?

– Jest tam wszystko, co o nim wiemy.

– Ano właśnie. Więc przyjrzałem się dość szczegółowo pracom Ashtona, dotyczą one wyłącznie nauki stosowanej albo, jeśli ktoś woli, technologii. Wszystkie opracowania na temat katalizatorów wywodzą się z jego wcześniejszych nie opublikowanych prac; na dobrą sprawę nie ma w nich nic, co by było całkiem nowe. Jeśli się mylę, proszę mnie skorygować.

– Masz całkowitą rację, chociaż tylko człowiek o takim umyśle, jak Ashton, mógł tak je wykorzystać. Daliśmy fotokopie jego notatek naszym najlepszym chemikom. Stwierdzili, że zawarte w nich pomysły są doskonale od strony teoretycznej, tylko że do niczego nie prowadzą. Ashton sprawił, że do czegoś jednak doprowadziły; między innymi do bogactwa. Ogólnie rzecz biorąc, masz

jednak rację; jego obecne opracowania, łącznie ze stosunkowo późnymi badaniami dotyczącymi enzymów, są pochodną prac wcześniejszych.

Skinałem głową. – Ale Czeluskin był teoretykiem. Powstaje więc pytanie – czy przestał teoretyzować, a jeśli nie, to nad czym – do diabła – rozmyślał? Dobrze rozumiem, dlaczego panu zależy na otwarciu tego skarbcza.

– Trafiłeś w samo sedno – powiedział Ogilvie. – Masz rację, nie można sprawić, by człowiek przestał myśleć. Ale też nie sposób zgadnąć, nad czym konkretnie mógł się zastanawiać. Na pewno nie nad atomistyką.

– Dlaczego nie?

– Wiemy, co czyta; wiemy, jakie czasopisma prenumeruje, jakie książki kupuje. Wiemy, że nie czyta na bieżąco żadnej literatury naukowej prócz tego, co dotyczy katalizatorów. A przecież nikt nie myśli w próżni. Od czasu gdy Ashton wydostał się z Rosji, atomistyka poczyniła ogromne postępy. Ażeby stworzyć coś oryginalnego, musiałby czynić jakieś starania, żeby nie pozostawać w tyle – ciężko pracować, brać udział w seminariach i tak dalej. Ale Ashton nic takiego nie robił. – Upił nieco whisky. – A co ty byś zrobił, gdybyś był w sytuacji Ashtona i miał jego umysł?

– Najważniejszą rzeczą byłoby przetrwanie – powiedziałem. – Znalazłbym sobie miejsce w społeczeństwie i stworzył podstawy bezpiecznej egzystencji. Osiągnąwszy te cele, pewnie znów zacząłbym myśleć – teoretyzować.

– Na jaki temat? Podczas kiedy ty walczyłeś o przetrwanie, świat nauki poszedł do przodu; straciłeś z nim kontakt. Co więc, nie śmiesz tego kontaktu odnowić. Więc o czym byś myślał?

– Nie wiem – odrzekłem wolno. – Gdybym miał taki umysł jak on, to być może zacząłbym myśleć o rzeczach, o których inni jeszcze nie myśleli, szukałbym jakiejś nowej dziedziny.

– Taaak – odparł Ogilvie. – To ciekawe, prawda?

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Było późno; światło odpływało z letniego nieba nad City i byłem zmęczony. Z przyjemnością popijałem whisky i myślałem o Ashtonie. Wreszcie Ogilvie przerwał ciszę. – Czy natrafiłeś na jakąkolwiek wskazówkę, dokąd on mógł pojechać?

– Nic mi nie przychodzi na myśl. Chciałbym to przespać – niech się podświadomość weźmie do roboty. – Dokończyłem whisky. – A gdzie w tym wszystkim jest Cregar?

– To do jego ludzi zwrócił się Ashton, kiedy chciał uciec z Rosji. Cregar pojechał po niego osobiście. Był wtedy młody, rzecz jasna, no i nie był jeszcze lordem Cregarem, tylko posłem Jamesem Palltonem. Teraz kieruje własnym wydziałem.

Czytając dokumentację Ashtona natknąłem się na nazwisko Pallton, ale nie skojarzyłem go z Cregarem. – Od samego początku podchodził do Ashtona niewłaściwie. Potraktował go z subtelnością taniej kurwy. Najpierw mu groził, a potem usiłował przekupić. Nie rozumiał, z jakiego typu człowiekiem ma do czynienia, i zraził do siebie Ashtona dokumentnie.

Ogilvie kiwnął głową. – Między innymi to jest przyczyną jego wściekłości. Zawsze uważał, że potrafi odzyskać Ashtona; dlatego tak się złościł, kiedy jego sprawę przekazano naszemu wydziałowi. Z tego też powodu ciągle wtyka nam tu swoje trzy grosze.

– A co zrobiono dotychczas, żeby odnaleźć Ashtona?

– Podjęto zwykłe kroki. Special Branch prowadzi obserwację portów i lotnisk; od dwudziestu czterech godzin sprawdza wszystkie listy pasażerów. W tej sprawie powinieneś się jutro z nimi skontaktować.

– Dobrze. Zrobię też podejście z drugiej strony. Jedną rzecz tylko chciałbym wiedzieć.

– Co takiego?

– Kto wpędził Ashtona w taką panikę? Kto oblał Gillian kwasem?

Byłem przemęczony i nie mogłem zasnąć tej nocy. Gdy tak przewracałem się z boku na bok, a sen nie przychodził, moje myśli wciąż biegły ku Penny. Z tego, co mi mówiła, jasno wynikało, że nie ma pojęcia o larwalnej postaci Ashtona, czyli o Czeluskinie. Jej opowieść o jego wczesnej młodości odpowiadała biografii żołnierza, który zginął w Niemczech.

Zastanawiałem się, jak też się między nami ułoży. Tego popołudnia wykazałem się okropnym brakiem delikatności. Jej pokój trzeba było przeszukać, ale powinienem był to zrobić osobiście i najlepiej w jej obecności. Miała pełne prawo rozżłościć się i zastanawiałem się tylko, co by tu zrobić, żeby naprawić sytuację. Czułem się tym bardzo przygnębiony.

Większość osób, które padły ofiarą włamania, przejmują się nie tyle utratą skradzionych przedmiotów, ile pogwałceniem ich prywatności, wtargnięciem do domu, który jest czymś najbardziej osobistym. Myśl, że obce ręce mogły grzebać w najtajniejszych sekretach, przetrząsać szuflady, otwierać drzwi w intymnych zakątkach domu – wszystko to wywołuje głęboki wstrząs. Wiedziałem o tym i powinienem był wziąć to pod uwagę, gdy w grę wchodziła Penny.

Wreszcie usiadłem na łóżku, spojrzałem na zegarek i sięgnąłem po telefon. Mimo późnej pory postanowiłem z nią porozmawiać. Telefon odebrała Mary Cope. – Mówi Malcolm Jaggard; chciałbym rozmawiać z panną Ashton.

– Momencik, proszę pana – powiedziała i oddaliła się. Po krótkiej chwili usłyszałem: – Panny Ashton nie ma w domu. – W jej głosie dało się wyczuć zdenerwowanie, jakby obawa, że mógłbym jej nie uwierzyć. Nie wierzyłem, ale co mogłem począć.

Był już wczesny poranek, kiedy wreszcie zdołałem zasnąć.

Niemal całe przedpołudnie spędziłem w Scotland Yardzie w towarzystwie oficera kierującego obserwacją punktów granicznych. Nie miałem wielkiej nadziei na sukces, podobnie zresztą jak i on,

ale wykonaliśmy wszystkie niezbędne czynności. Jego ludzie cały czas działali, raporty napływały jednak powoli. W ciągu doby mnóstwo ludzi opuszcza kraj przez Heathrow, a przecież jest to tylko jedno z wielu przejść granicznych.

– Ashton i Benson – powiedział ponuro, odkreślając jakieś nazwisko. – Cholera, prawie tak pospolite jak Robinson i Smith. Psiakrew, dlaczego ludzie, którymi się interesujemy, nigdy się nie nazywają Moneypenny albo Gotobed?

Sześć osób nazwiskiem Benson i cztery o nazwisku Ashton wyjechało przez Heathrow. Połowę spośród szóstki Bensonów można było od razu wyeliminować z powodu płci, a czwórka Ashtonów stanowiła rodzinę. Ale dwóch Bensonów trzeba było sprawdzić; jeden z nich poleciał do Paryża, drugi do Nowego Jorku. Zasiadłem do telefonu.

Heathrow to wielkie lotnisko, ale jest ono w końcu tylko jednym z wielu angielskich lotnisk. Są jeszcze porty morskie, których wyspiarska Anglia ma bez liku. Zapowiadała się długa i zmudna praca, nie dająca gwarancji pewnego wyniku.

Oficer ze Special Branch zauważył filozoficznie: – Oczywiście mogli wyjechać pod fałszywymi nazwiskami. W końcu zdobyć lewy paszport to nie trudnego.

– Równie dobrze mogli wcale nie wyjechać – powiedziałem. – Niech pan powie swoim ludziom, żeby mieli oczy szeroko otwarte.

Zjadłem lunch w kantynie w Scotland Yardzie i wróciłem do siebie. Czekają mnie pracowite popołudnie. O trzeciej zadzwonił Ogilvie. – Będą dziś otwierali ten skarbiec. Chcę, żebyś przy tym był.

Jazda do Marlow była znacznie miłszą perspektywą niż przeglądanie list pasażerów. – Dobrze, jadę.

– A teraz posłuchaj mnie uważnie. Chcę, żeby przy samym otwieraniu drzwi obecne były tylko dwie osoby: szef grupy specjalistów od sejfów i ty. Nikt więcej. Jasne?

– Absolutnie jasne.

– Potem podziękujesz mu i zawartość skarbca sprawdzisz bez świadków. Jeśli w środku będzie coś, co się da wynieść, to przywieź wszystko tutaj – pod obstawą. Jeśli nie, to zamknij skarbiec z powrotem i tylko upewnij się, że zdołamy go otworzyć ponownie już bez takich zachodów.

– Jak długo zostanie pan dzisiaj w biurze?

– Jeśli będzie trzeba, to nawet do rana. – Rozłączył się.

Pojechałem więc do Marlow, prosto do domu Ashtona. Jechałem już na pamięć. Bramy pilnował Simpson, który mnie wpuścił do środka. Podjechałem pod dom. W holu spotkałem Gregory'ego. – Znaleźliście coś interesującego?

Wzruszył ramionami. – Zupełnie nic.

– Gdzie jest panna Ashton?

– W szpitalu. Jack Brent z nią pojechał.

– W porządku. – Poszedłem na górę do apartamentu Ashtona i natknąłem się na nasz zespół włamywaczy uwijający się przy skarbcu. Nie wiem, gdzie nasz wydział tych ludzi przechowuje, kiedy nie korzysta z ich usług, ale wiem jedno, że zawsze są w pogotowiu, kiedy ich potrzeba. Znam szefa tej grupy, nazywa się Frank Lillywhite. – Cześć, Frank – przywitałem go. – Dużo czasu ci to jeszcze zajmie?

Chrząknął. – Godzinę. – Zamilkł na chwilę. – Albo dwie. – Nastąpiła dłuższa pauza, podczas której wykonał jakąś skomplikowaną operację trzymanym w ręku narzędziem. – Albo trzy.

Uśmiechnąłem się. – Albo cztery. Skomplikowany, co?

– Wszystkie są skomplikowane. Ten jest po prostu sejfem dwudziestoczworgodzinnym.

Zaciekawiło mnie to i poprosiłem o bliższe wyjaśnienia.

Lillywhite odsunął się od drzwi skarbcza i dopuścił do nich jednego ze swoich pomocników. – Producenci sejfów nie oferują swoim klientom bezpieczeństwa – oferują im czas. Każdy sejf można otworzyć; jedyne, co producent gwarantuje, to czas potrzebny, żeby to zrobić. Włamanie się do tego sejfu zajmuje, według nich, dwadzieścia cztery godziny; ja to zrobię w dwadzieścia – przy odrobinie szczęścia. Najtrudniejsza sprawa to ominąć pułapki.

– Jakie pułapki?

– Jeśli popełnię błąd, to drzwi zostaną zablokowane przez dwanaście potężnych sztab ze stali wolframowej. A wtedy już tylko producent będzie mógł to otworzyć.

– To dlaczego od razu nie sprowadziliśmy go do tej roboty?

Lillywhite westchnął i cierpliwie odpowiedział: – Bo trzeba by mu dostarczyć do fabryki cały skarbiec. Mają tam specjalny gigantyczny otwieracz do konserw, ważący z tysiąc ton. Oczywiście, po takim zabiegu skarbiec nie bardzo by się do czegokolwiek nadawał.

Zastanowiłem się nad ponurą możliwością wyjęcia całego skarbcza. – Dom pewnie też byłby do niczego. Nie będę już zadawał głupich pytań. Muszę być obecny przy otwarciu drzwi.

– Tak jest, zrozumiałem.

Zszedłem do piwnicy, gdzie zastałem kilku facetów pilnie badających aparaturę Ashtona, która wyraźnie stanowiła dla nich trudną do rozwikłania zagadkę. Ich rozmowa, jeśli można tak to określić, toczyła się po angielsku albo raczej w języku, który nieco angielski przypominał. Przerzucali się terminami technicznymi i określeniami żargonowymi; ani w ząb nie rozumiałem, o czym mówią, więc ich zostawiłem – niech się sami bawią. Inny facet pakował do pudła kasety magnetofonowe;



szkował je do zabrania. – Co to za kasety? – zapytałem.

Wskazał na komputer. – To są programy i taśmy z danymi do tego urządzenia. Zabieramy je do laboratorium.

– Mam nadzieję, że robicie dokładne spisy tego, co zabieracie. Trzeba będzie zostawić pannie Ashton pokwitowanie. – Skrzywił się, gdy to usłyszał, – więc dodałem dość ostrym tonem: – Nie jesteśmy złodziejami ani włamywaczami. Gdyby nie uprzejmość panny Ashton, w ogóle by nas tu nie było.

Wychodząc z piwnicy widziałem, że wyjmuje kasety z pudła i ustawia je w stosiki na stole.

W półtorej godziny później do gabinetu Ashtona, gdzie siedziałem, przyszedł Gregory z wiadomością, że za jakieś piętnaście minut będą otwierali skarbiec.

– Chodźmy – powiedziałem i wyszliśmy do holu, nadzialiśmy się na lorda Cregara; towarzyszył mu potężny mężczyzna, zbudowany jak bokser wagi ciężkiej. Cregar miał dziarską i radosną minę, ale na mój widok cała radość z niego uszła. – Aaa, pan Jaggard – powiedział – muszę przyznać, że paskudnie spaprano sprawę.

Wzruszyłem ramionami. – Wypadki potoczyły się szybciej, niż przewidywaliśmy.

– Najwyraźniej. Rozumiem, że jest tu skarbiec, który nasza ekipa otwiera. A może już zdołała go otworzyć?

Ciekaw byłem, skąd o tym wie. – Nie.

– To dobrze. Znaczący, że akurat zdążyłem.

– Czy mam rozumieć, że chce pan być obecny przy otwieraniu skarbcza? – zapytałem.

– Dobrze pan rozumie.

– Bardzo mi przykro, ale to nie takie proste – powiedziałem. – Trzeba to rozważyć.

Spojrzał na mnie pytająco: – Pan wie, kim ja jestem?

– Tak, milordzie.

– Dobra – powiedział. – Niech pan idzie dzwonić.

Kiwnąłem głową na Gregory'ego i wycofaliśmy się do gabinetu. – Nie muszę nigdzie dzwonić – wyjaśniłem. – Otrzymałem od Ogilvie'ego precyzyjne instrukcje i nie było w nich mowy o obecności Cregara.

– Znam tego osiłka – powiedział Gregory. – Nazywa się Martins. Lepiej z nim nie zadzierać. Zamilkł na moment. – Może jednak powinieneś skontaktować się z Ogilviem.

– Nie. Powiedział mi, co mam zrobić, i postąpię tak, jak mi kazał.

– A co będzie, jeśli lord Cregar się na to nie zgodzi? Przepychanki z członkiem Izby Lordów mogą się źle skończyć.

Uśmiechnąłem się. – Wątpię, żeby do tego doszło. Chodź, przekazemy jego lordowskiej mości złą wiadomość.

Wróciliśmy do holu, ale okazało się, że Cregara i Martinsa tam nie ma. – Na pewno poszli na górę – zauważył Gregory.

– Chodźmy. – Wbiegliśmy na piętro i znaleźliśmy ich w apartamencie Ashtona. Cregar stał, stukając niecierpliwie stopą o podłogę. Podszedłem do niego i odezwałem się bardzo oficjalnie: – Niezwykle mi przykro, milordzie, ale niestety nie będzie pan mógł być obecny przy otwieraniu skarbcza.

Wybałuszył oczy. – Ogilvie tak powiedział?

– Nie rozmawiałem ostatnio z panem Ogilvie. Po prostu postępuję zgodnie z instrukcjami.

– Odważny pan – stwierdził.

Zwróciłem się do Lillywhite'a. – Na długo masz jeszcze tej zabawy?

– Daj mi dziesięć minut.

– Nie, przerwij na razie. Zaczнеш znowu, kiedy ci powiem. – Odwróciłem je do Cregara. – Gdyby pan chciał sam porozmawiać z panem Ogilviem, może pan skorzystać z aparatu tutaj albo w gabinecie.

Cregar nawet się uśmiechnął. – Dobrze pan wie, kiedy się zasłonić szefem. Ma pan rację, lepiej będzie, jeśli porozmawiam z Ogilviem. Pójdę do gabinetu.

– Zaprowadź jego lordowską mość do gabinetu – poleciłem Gregory'emu i wszyscy trzej opuścili pokój.

– Co tu jest grane? – spytał Lillywhite.

– Mała przepychanka między wydziałami; nie ma to nic wspólnego ze skromnymi, szeregowymi pracownikami, takimi jak my. Bierz się z powrotem do roboty. Cokolwiek się stanie, skarbiec i tak trzeba otworzyć.

Wrócił do przerwanej roboty, a ja podszedłem do okna i spojrzałem na podjazd. Niebawem z domu wyszedł Cregar z Martinsem, wsiedli do samochodu i odjechali. Po chwili wrócił Gregory. – Cregar wyszedł z gabinetu z dość kwaśną miną – poinformował mnie. – Ogilvie prosi cię o telefon.

Podszedłem do aparatu znajdującego się przy łóżku Ashtona, podniosłem słuchawkę. – Tu Jaggard.

Ogilvie powiedział szybko: – W żadnym razie Cregar nie może się dowiedzieć, co jest w skarbcu. Nie daj mu się zastraszyć. To nie jest jego sprawa.

– Nie ma obawy – uspokoilem go – już odjechał.

– Doskonale. Kiedy będziecie otwierać?

– Za pięć minut.

– Informuj mnie na bieżąco. – Odłożył słuchawkę.

Gregory wyciągnął paczkę papierosów i zapaliliśmy – czekaliśmy, aż Lillywhite wraz z dwoma pomocnikami skończą majstrować przy drzwiach. Wreszcie rozległ się głośny szcęk i Lillywhite oznajmił: – Jesteśmy w domu.

Podniosłem się. – Dobra, kochani, wszyscy prócz Franka i mnie wychodzą. – Zaczekałem, aż wszyscy opuścili pokój, podszedłem do skarbca i powiedziałem do Franka: – No, to do dzieła.

– Już się robi. – Lillywhite położył rękę na dźwigni i nacisnął ją. Nic się nie stało. – Gotowe.

– To znaczy, że już otwarte?

– Tak, spójrz tylko. – Pociągnął drzwi, które zaczęły się z wolna otwierać.

Miały prawie trzydzieści centymetrów grubości.

– Czekaj – powstrzymałem go. – Czy teraz można je łatwo otworzyć, a potem łatwo zamknąć?

– Jasne, teraz to już żadna filozofia.

– To wszystko, co muszę wiedzieć. Przepraszam cię, Frank, ale ciebie też muszę prosić, żebyś wyszedł.

Uśmiechnął się z grymasem. – Jeśli tego, co tu jest, nie może obejrzeć nawet członek Izby Lordów, to z pewnością nie jest to dla oczu Franka Lillywhite'a.

Wyszedł i zdecydowanie zamknął za sobą drzwi.

Otworzyłem skarbiec.



– Pusty! – Ogilvie zaniemówił z wrażenia.

– Pusty, puścusięki. Nic w nim nie ma. – Zastanowiłem się przez chwilę. – Oprócz warstwy drobnego kurzu na podłodze.

– Sprawdziłeś wszystkie półki, szuflady, szafki?

– Nie ma żadnych półek. Nie ma żadnych szafek ani szuflad. Jest to po prostu pusty sześcian. Nawet nie wchodziłem do środka; wetknąłem tylko głowę, rozejrzałem się i tyle. Potem przymknąłem drzwi i poprosiłem Franka, żeby je ponownie zamknął. Pomyślałem, że lepiej, żebym niczego nie dotykał, bo może pan zechce, żeby go jeszcze obejrzel nasi koledzy z laboratorium. Założę się, że nie był używany od chwili, kiedy go tu wbudowano piętnaście lat temu.

– No cóż, mój Boże! – Ogilvie zamilkł. Wyglądał, jakby odebrało mu mowę, ale jego rozum pracował intensywnie.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na pustą ulicę. Było już późno, fala ubranych w meloniki urzędników odpłynęła z City; w wyludnionej dzielnicy trafiali się tylko nieliczni maruderzy. Żadna dzielnica wielkiego miasta na świecie nie bywa tak opustoszała jak londyńskie City.

Wreszcie Ogilvie odezwał się z namysłem: – Więc wiesz o tym tylko ty, szef grupy otwierającej skarbiec, a teraz ja.

– Nawet pański Główny Włamywacz o tym nie wie. Wyprawiłem Lillywhite’a z pokoju, zanim otworzyłem skarbiec.

– Więc wiemy tylko my dwaj. Choroba ciężka!

Przeklinał z taką wściekłością, że zapytałem:

– Co się stało?

– Już gorzej nie mogłem tego rozegrać! Cregar w życiu mi nie uwierzy, kiedy mu powiem prawdę o tym przeklętym skarbcu. Teraz żałuję, że go przy tym nie było.

Nic mnie to nie obchodziło, czy Cregar uwierzy, czy nie. Wyjąłem z portfela arkusik papieru, rozpostarłem go i położyłem Ogilviemu na biurku. – To jest nowa kombinacja zamka od skarbcu. Lillywhite ją zmienił.

– Czy to jedyny egzemplarz?

– Lillywhite pewnie ma kopię.

Ogilvie pokręcił głową. – Trzeba to wszystko dokładnie przemyśleć. Tymczasem nadal szukaj Ashtona i Bersona i pamiętaj, że wcale nie jest powiedziane, że są razem. Doszedłeś już do czegoś?

– Tylko do tego, że zdołałem to i owo wyeliminować.

– Dobrze – powiedział Ogilvie znużonym głosem. – Szukaj dalej. – Miałem już rękę na klamce, kiedy się odezwał: – Malcolm.

– Tak?

– Uważaj na Cregara. Nie chciałbym mieć w nim wroga.

– Ja z Cregarem nie walczę – odparłem. – Nie mam z nim nic wspólnego. Pan i on walczyacie w innej lidze.

– Był bardzo zły, że mu się przeciwstawiłeś.

– Ale mi tego nie okazał. Był całkiem uprzejmy.

– To dla niego typowe. Poklepie cię po plecach tylko po to, żeby wymacać, gdzie najlepiej wbić nóż. Uważaj na niego.

– Nie mam z nim nic wspólnego – powtórzyłem.

– Być może – odparł Ogilvie – tylko że Cregar zapewne jest innego zdania.

Potem przez dłuższy czas niewiele się działo. Akcja Scotland Yardu nie przyniosła właściwie rezultatów, choć nadal strzeżono pilnie wszystkich przejść granicznych, na wypadek gdyby nasze ptaszki próbowały jeszcze dać nogę. Honnister też nic nie miał. Kiedy po raz trzeci do niego zadzwoniłem, powiedział szorstko: – Proszę do nas nie dzwonić. Odezwiemy się, gdy tylko coś będzie.

Dwa i pół dnia ślezczałem nad zwałami papierów, które Gregory przywiózł z domu Ashtona. Były to notesy z adresami, terminarze, rachunki, kalendarzyki, listy i tak dalej. Czytałem je starannie i na ich podstawie podjęliśmy wiele czynności śledczych, które, niestety, nie przyniosły nic interesującego, wzięliśmy pod lupę prowadzone przez Ashtona przedsiębiorstwa i też nic nam to nie dało.

W tydzień po zniknięciu Ashtona mój zespół został podzielony na pół. Brenta zostawiłem przy Penny, Michaelis ochraniał Gillian, a dwóch ludzi miało dalej pracować w terenie. Sam też wykonywałem mnóstwo pracy w terenie, byłem na nogach przez szesnaście godzin na dobę, kręciłem się jak w ukropie – zupełnie jak Królowa Kier z „Alicji w Krainie Czarów”, biegłem lecz wciąż stałem w miejscu. Larry Godwin znów tkwił za swoim biurkiem i czytał prasę wschodnioeuropejską. Jego wypad na wolność trwał żałośnie krótko.

Nasi eksperci też nie mieli nam wiele do powiedzenia. Na taśmach komputerowych nie znaleziono

nic szczególnego, prócz dość zmyślnie zaprojektowanych programów, których użyto jednak do całkiem banalnych zadań. Urządzenie, które Ashton konstruował, wywołało lawinę hipotez, lecz przyniosło niewiele wniosków konkretnych. Według zgodnej opinii było to prototypowe urządzenie przeznaczone do syntezy insuliny, niezwykle pomysłowe i z pewnością warte opatentowania, ale będące zaledwie w fazie wstępnego projektu. Mnie ono nic nie dało.

Następnego dnia po otwarciu pustego skarbca zadzwoniłem do Penny. – Dzwonisz, żeby mnie zawiadomić, że znalazłeś tatusia? – zapytała.

– Niestety, nie mam ci nic do powiedzenia na ten temat. Bardzo mi przykro.

– Mnie też jest przykro, mój drogi, ale nie bardzo mamy o czym rozmawiać – oznajmiła i zanim zdążyłem zareagować, odłożyła słuchawkę. W tym momencie nie wiedziałem, czy jesteśmy jeszcze zaręczeni, czy już nie.

Od tej chwili o wszystkich jej poczynaniach dowiadywałem się od Brenta. Wróciła do pracy w University College w Londynie, ale na ogół dojeżdżała samochodem, nie pociągiem. Chyba nie czuła do Brenta niechęci: był jej pasażerem na trasie Marlow – Londyn i z powrotem, i skrupulatnie informowała go o swoich zamierzeniach. On natomiast wykonywał swoje obowiązki z przyjemnością i uważał ją za bardzo sympatyczną osobę. W jego przekonaniu Penny nie wiedziała, że jest uzbrojony. A na mój temat ani razu się nie zająknęła.

Gillian przeniesiono do szpitala oftalmologicznego w Moorfields. Wybrałem się tam do niej w odwiedziny. Porozumiawszy się z Michaelisem, poszedłem porozmawiać z prowadzącym ją lekarzem-okulistą nazwiskiem Jarvis. – Wciąż jest zabandażowana – poinformował mnie Jarvis. – I konieczna będzie operacja plastyczna, ale jeszcze nie teraz i nie tutaj. Nas interesują wyłącznie jej oczy.

– A jakie są rokowania?

– Istnieje niewielka szansa, że zdołamy przywrócić jej pewien procent widzenia w lewym oku – powiedział ostrożnie. – Jeśli idzie o prawe oko, nie ma żadnej nadziei. – Spojrzał mi prosto w oczy. – Panna Ashton jeszcze o tym nie wie i proszę jej nie mówić.

– Oczywiście. A czy wie, że jej ojciec – hm – wyjechał?

– Wie. I wcale mi to nie ułatwia zadania – powiedział Jarvis cierpkim tonem – Jest bardzo przygnębiona, a mówiąc między nami jej przypadek jest sam w sobie niezwykle trudny, nawet bez ciężkiej depresji. Ojciec postąpił wyjątkowo niedelikatnie wyjeżdżając właśnie teraz w interesach.

„Więc to taką wersję przedstawiła Penny siostrze. Chyba lepsze to niż oznajmić jej po prostu, że tatuś prysnął”. – Może mi się uda poprawić jej humor – powiedziałem.

– Mam taką nadzieję – odparł Jarvis ciepło. – Bardzo by jej to pomogło.

Poszedłem porozmawiać z Gillian. Leżała na wznak, całkiem płasko. Nie miała ani poduszki, ani twarzy: zabandażowana była dokładnie, jak Claude Rains w filmie „Niewidzialny człowiek”. Pielęgniarka szepnęła jej, że przyszedłem, i opuściła pokój. Nawet się nie zająknęła na temat

przyczyn, dla których się tu znalazła, i nie zadawałem jej żadnych pytań. Przypuszczam, że Honnister znacznie lepiej niż ja potrafi prowadzić przesłuchanie i jestem przekonany, że wycisnął z niej wszystko. Ja natomiast pogadałem z nią o głupstwach, opowiedziałem jej różne śmieszne nowinki z porannych gazet i zrobiłem jej ogólną prasówkę.

Była mi bardzo wdzięczna. – Tęsknię już za prasą. Penny przychodzi codziennie i czyta mi gazety.

Brent mi o tym mówił. – Wiem.

– Dlaczego twoje stosunki z Penny się popsęły?

– Nic się między nami nie popsęło – zbyłem ją. – Powiedziała ci, że się pokłóciliśmy?

– Nie, tylko przestała o tobie mówić, a kiedy ją o ciebie zapytałam, odparła, że się z tobą nie widziała.

– Oboje mieliśmy masę zajęć – wyjaśniłem.

– Więc to pewnie dlatego – powiedziała Gillian. – Ale ważne jest też, w jaki sposób to powiedziała.

Zmieniłem temat, jeszcze trochę pogawędziliśmy i miałem wrażenie, że kiedy wychodziłem, była w nieco lepszym nastroju.

Michaelis uznał – nie bez powodu – że ma piekielnie nudne zajęcie. Wobec personelu szpitala był policjantem strzegącym bezpieczeństwa dziewczyny, która już raz padła ofiarą brutalnej napaści. Siedział na krześle przy wejściu na salę, gdzie leżała, czytał czasopisma i książki.

– Codziennie po południu przez godzinę czytam pannie Ashton – poinformował mnie.

– Jesteś niezwykle szlachetny.

Wzruszył ramionami. – Nie mam nic do roboty. A w ogóle mogę sobie teraz godzinami rozmyślać, o czym chcę. Zastanawiałem się nad tym modelem kolejki na strychu u Ashtona. W życiu nie widziałem kolejki, która mogłaby się z nią równać. Ashton, to, rzecz jasna, „rozkładowiec”.

– Nie bardzo rozumiem.

– Wśród miłośników modeli kolejek są bardzo różni ludzie. Jednych interesuje głównie krajobraz i precyzyjne odtworzenie go w miniaturze. Sam się do takich zaliczam. Istnieje też typ inżynierski. Tym chodzi głównie o wierne odtworzenie konstrukcji; jest to bardzo kosztowna zabawa. Ale znam jednego gościa, który zbudował model Dworca Paddington i interesuje go tylko to, żeby pociągi wjeżdżały na stację i opuszczały ją zgodnie z rozkładem jazdy. Podobnie jak Ashton, jest „rozkładowcem”, tyle że Ashton robi to rzeczywiście na wielką skalę.

Hobbyści zazwyczaj fanatycznie oddają się swoim zamiłowanym; z pozoru takie namiętności do Ashtona nie pasowały. Ale przecież nie wiedziałem też o Michaelisie, że jest miłośnikiem modeli kolejek. – Co to według ciebie „wielka skala”? – zapytałem.



– Gigantyczna. Znalazłem na górze stos rozkładów jazdy, od których w głowie mi się zakręciło. Dzięki nim mógł odwzorować niemal cały system kolei brytyjskich – nie cały na raz, lecz okręgami. Wygląda na to, że specjalizował się w rozkładach przedwojennych; ma tam na przykład rozkład London-Midland and Scottish Railway; ma Great Western Railway i London and North-Eastern Railway. Wymaga to nieprawdopodobnej zonglerki. Wobec tego wiesz, co zrobił?

Michaelis spojrział na mnie wyczekująco, więc go spytałem:

– No, co?

– Na tej tablicy rozdzielczej zamontował całą masę mikroprocesorów, wiesz, takich mini-mini komputerów, do których mógł wprowadzić te swoje rozkłady jazdy.

To było w stylu Ashtona: zręczne i skuteczne. W żaden sposób jednak nie pomagało mi to Ashtona odnaleźć. – Wiesz co? – powiedziałem – skup się może lepiej na pracy. Nie chcemy, żeby naszą panią spotkało jakieś nieszczęście.

Dwa tygodnie po zniknięciu Ashtona zadzwonił do mnie Honnister. Bez żadnych wstępów oznajmił: – Mamy zamiar na faceta, którego szukamy.

– Świetnie. Kiedy się pan z nim będzie widział? – Chciałbym być przy tym.

– Wcale się z nim nie będę widział – odparł Honnister. – To nie moja parafia. Mieszka w Londynie, więc londyńska policja się nim zajmie. Facet z Yardu ma się z nim zobaczyć dzisiaj wieczorem; inspektor Crammond. Oczekuje pańskiego telefonu.

– Dobra, zadzwonię. A jak się nasz klient nazywa i jak pan na niego trafił?

– Nazywa się Peter Mayberry, ma ze czterdzieści – pięćdziesiąt lat; mieszka w Finsbury. Nic więcej nie wiem. Od tego momentu przejmuje go Crammond. Mayberry wypożyczył samochód na weekend – nie z jakiejś dużej firmy, tylko z garażu w Slough. Tamtejsi gliniarze trafili na to podczas rutynowej kontroli. Zadali kilka pytań właścicielowi garażu; był wściekły, bo ktoś mu zalał tylne siedzenie kwasem akumulatorowym, więc zainteresowaliśmy się.

Zastanowiłem się przez moment. – Czy wynajmując samochód, Peter Mayberry podał prawdziwe nazwisko?

– Tak, ten kretyn podał swoje nazwisko – odparł Honnister. – Zresztą musiał okazać prawo jazdy. Odnoszę wrażenie, że to kompletny amator; nie wygląda mi na zawodowca. Zresztą Crammond mówi, że pod tym adresem rzeczywiście mieszka Peter Mayberry.

– Natychmiast do niego dzwonię. Dziękuję, świetna robota.

– Nie ma co dziękować. Najważniejsze, żeby pan dał temu sukinsynowi porządny wycisk – stwierdził z całą powagą Honnister. Już chciałem odłożyć słuchawkę, kiedy znów się odezwał. – Nie widział się pan ostatnio z Ashtonem?

Było to niewinne i dość naturalne z jego strony pytanie. Znałem go jednak na tyle dobrze, że wiedziałem, iż nigdy nie marnuje czasu na jałowe pogaduszki. – Nie – powiedziałem. – A bo co?

– Pomyślałem, że może by go ta wiadomość zainteresowała, ale co do niego zadzwonię, to go nie ma, a posterunkowy mi doniósł, że w domu dzieją się dziwne rzeczy. Jakiś ciągły ruch, wciąż ktoś przyjeżdża, ktoś wyjeżdża.

– O ile mi wiadomo, wyjechał w interesach. A jeśli idzie o dom, to niewiele wiem, bo dawno tam nie byłem.

– Domyślam się, że taka jest pańska wersja i że będzie się pan jej trzymał – powiedział. – Kto ma powiadomić panny Ashton, pan czy ja?

– Ja to zrobię, ale dopiero kiedy sprawdzę, co z tym Mayberrym.

– Dobrze. Gdyby pan był gdzieś w pobliżu, proszę do mnie zajrzeć, skoczylibyśmy sobie znów „Pod Karocę”. Z ciekawością wysłucham wszystkiego, co uzna pan za możliwe, aby mi wyjawić. – Odłożył słuchawkę.

Uśmiechnąłem się. Jasne, że Honnister jest ciekaw. W końcu na jego terenie dzieją się dziwne rzeczy, a on prawie nic o nich nie wie; intryguje go to.

Wykręciłem numer Scotland Yardu i połączyłem się z Crammondem. – O, pan Jaggard; w sprawie tej napaści z kwasem. Wybieram się do Mayberry’ego dzisiaj wieczorem. Gospodyni mi powiedziała, że zawsze wraca dopiero po wpół do siódmej. Proponuję, żebyśmy się spotkali tutaj o szóstej i pojechali razem.

– Doskonale.

– Jeszcze jedno – dodał Crammond. – Czyja jurysdykcja tu obowiązuje – wasza czy nasza?

Odpowiedziałem mu po namyśle: – To zależy, co nam Mayberry powie. Oblanie kogoś kwasem jest pospolitą napaścią i wtedy – jeśli o mnie chodzi – nic do niego nie mam, więc należy do was. Ale są i inne sprawy, o których nie mogę mówić, i – być może – zanim go postawicie w stan oskarżenia, zechcemy go jeszcze przesłuchać. Nieoficjalnie, rzecz jasna.

– Rozumiem – powiedział Crammond. – Wolę mieć jasną sytuację. Do zobaczenia o szóstej.

Ostrożność Crammonda była w pełni uzasadniona. Współpracując z nami policja często stawiana była w niezręcznej sytuacji. Przy rygorystycznej interpretacji prawa niektóre nasze poczynania należałoby uznać za nielegalne i policja bardzo niechętnie przymykała na to oczy. Ponadto policja na ogół uważa się za jedyną wyspecjalizowaną siłę; nas traktuje z pogardą jako amatorów. A w końcu – w przekonaniu policji – nie po to ona jest, żeby bandzie amatorów pomagać w łamaniu prawa.

Zatelefonowałem do Ogilvie’ego i przekazałem mu wiadomość. Powiedział tylko: – Aha, to dobrze, zobaczymy, co z tego wyniknie.

Spotkałem się z Crammondem tak, jak się umówiliśmy. Był średniego wzrostu, tęgawy i o nijakich

rysach – idealny tajniak. Pojechaliśmy do Finsbury jego samochodem; zabraliśmy też jednego policjanta mundurowego. Po drodze opowiedział mi, co wie.

– Kiedy dostałem wiadomość od Honnistera, kazałem sprawdzić tego Mayberry’ego. Było to dziś rano, więc Mayberry przebywał poza domem. Mieszka na ostatnim piętrze domu, który podzielono na mieszkania. To znaczy nazywają to mieszkaniami, ale na ogół są to pojedyncze pokoje. Jego gospodyni mówi, że to spokojny człowiek, typowy mól książkowy.

– Żonaty?

– Nie. I według niej chyba nigdy żony nie miał. Pracuje w jakiejś firmie w City jako urzędnik. Nie jest tego całkiem pewna.

– To mi nie pasuje.

– Ale jest notowany na policji – dodał Crammond.

– To już lepiej.

– Chwileczkę, niech pan najpierw posłucha do końca. Trafił do naszej kartoteki za napaść na funkcjonariusza policji.

Przyjrzałem się sprawie i stwierdziłem, że wprawdzie uznano go winnym, ale zarzut postawiono mu niesłusznie. Kilka lat temu podczas jednego z marszów w Aldermaston wdał się w jakąś bójkę i został zgarnięty z grupą innych.

– Wichrzyciel – powiedziałem w zamyśleniu. – Zawodowiec czy amator?

– Raczej amator. Nie mamy go na naszej liście znanych rozrabiaczy, a zresztą ma do tego nieodpowiednią pracę. Nie jest dostatecznie ruchliwy i dyspozycyjny. Jego wygląd zgadza się jednak z rysopisem podanym przez świadka. Niedługo się przekonamy. Kto zadaje pytania?

– Pan – powiedziałem. – Ja pozostanę w cieniu. Niech mu się zdaje, że jestem zwykłym gliniarzem.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, Mayberry’ego jeszcze nie było, więc gospodyni zaprosiła nas do swojego saloniku. Oczywiście umierała z ciekawości i zapytała filuternie: – Czyżby pan Mayberry coś napsocił?

– Chcemy tylko, żeby nam pomógł w jednej sprawie – odpowiedział Crammond uprzejmie. – Nawiasem mówiąc, proszę mi zdradzić, czy dobry z niego lokator?

– Komorne płaci regularnie, jest spokojny. Czego więcej mogę wymagać?

– Jak dawno tu mieszka?

– Pięć lat, zaraz... a może sześć? – Po dłuższym namyśle uznała, że jednak sześć.

– Czy ma jakieś hobby? Jak spędza wolny czas?

– Dużo czyta; wciąż siedzi z nosem w książce. I jest pobożny – w każdą niedzielę chodzi do kościoła; dwa razy.

Byłem zdruzgotany. Coraz mniej mi to pasowało do człowieka, którego szukaliśmy.

– A w niedzielę dwa tygodnie temu też był w kościele? – spytał Crammond.

– Pewnie tak, ale nie wiem dokładnie, bo wyjechałam na cały weekend. – Przechyliła głowę. – To chyba on.

Ktoś przeszedł korytarzem i zaczął wspinać się na górę po schodach. Daliśmy mu trochę czasu, żeby zdążył się rozgościć we własnym domu, ruszyliśmy za nim. Na pierwszym podejściu Crammond przystanął i wydał polecenie towarzyszącemu nam mundurowemu policjantowi: – Czekać pod drzwiami, Shaw. Gdyby próbował zwać, łap go. Nie przypuszczam, żeby do tego doszło, ale jeśli to jest facet, który potrafi oblać kogoś kwasem, to może się okazać niebezpieczny.

Stałem za plecami Crammonda, gdy stukał do drzwi Mayberry’ego. Shaw rozpląszczył się przy ścianie tak, żeby Mayberry nie mógł go zauważyć. Przyjemnie jest patrzeć na fachową robotę. Mayberry zbliżał się do pięćdziesiątki, miał ziemistą cerę, jakby się źle odżywił i zapadnięte oczy.

– Pan Peter Mayberry?

– Tak.

– Jesteśmy z policji – poinformował go uprzejmym tonem Crammond. – Liczymy, że może nam pan pomóc. Czy możemy wejść?

Zobaczyłem, jak Mayberry’emu bieleją stawy na palcach ręki, którą przytrzymał drzwi. – W jaki sposób mógłbym panom pomóc?

– Wystarczy, że odpowie pan na kilka pytań. Czy możemy wejść?

– Chyba tak. – Mayberry otworzył szeroko drzwi.

Wnętrze prezentowało się nienajlepiej. Na podłodze leżał wyleniały dywan, a umeblowanie składało się z najtańszych drewnianych sprzętów. Wszędzie jednak było czysto i schludnie. Przy jednej ze ścian stał regał, na którym znajdowało się ze czterdzieści-pięćdziesiąt książek; w oczach kogoś takiego jak pani Jackson, która, w najlepszym razie czytała jedną książkę rocznie, posiadacz tak bogatej biblioteki mógł uchodzić za mola książkowego.

Spojrzałem na tytuły. Część z nich to były książki religijne o wyraźnie fundamentalistycznym profilu; był też zbiorek publikacji ekologicznych, między innymi kilka broszur wydanych przez Przyjaciół Ziemi. Resztę stanowiły tanie wydania powieści, wśród których nie było ani jednej współczesnej – sama klasyka.

W całym pokoju nie było żadnych obrazków, prócz plakatu przymocowanego do ściany taśmą klejącą. Przedstawiał Ziemię sfotografowaną z kosmosu. Pod spodem widniał napis: „Dbaj o mnie. Nic innego nie masz”.

Crammond przystąpił do przesłuchania. – Czy mógłby mi pan pokazać swoje prawo jazdy?

– Nie mam samochodu.

– Nie pytałem pana o samochód – powiedział Crammond. – Proszę mi pokazać prawo jazdy.

Mayberry, którego marynarka wisiała na oparciu krzesła, schylił się i z wewnętrznej kieszeni wyjął portfel, a z niego prawo jazdy; podał je Crammondowi. Crammond starannie obejrzał dokument i odezwał się dopiero po dłuższej chwili, wręczając go mnie: – Czyste, bez żadnych adnotacji.

– Zawsze jeżdżę bardzo ostrożnie – wyjaśnił Mayberry.

– Nie wątpię. A często pan jeździ?

– Już panu mówiłem. Nie mam samochodu.

– Słyszałem, co pan powiedział. Pytam, czy często pan jeździ?

– Nie. O co tu w ogóle chodzi?

– Kiedy ostatnio prowadził pan samochód?

– Chwileczkę – zachnął się Mayberry – jeśli ktoś twierdzi, że spowodowałem wypadek, to z góry uprzedzam, że się myli, bo nie miałem żadnego wypadku. – Wydawał się bardzo zdenerwowany, ale wiele Bogu ducha winnych osób denerwuje się, gdy ma do czynienia z władzą. Pewność siebie zachowują ci, którzy mają coś na sumieniu.

Położyłem prawo jazdy na stole i wziąłem do ręki książkę, którą czytał Mayberry. Dotyczyła ona tak zwanej alternatywnej techniki i otwarta była na rozdziale poświęconym sposobom pozyskiwania metanu z gnoju. Dla mieszkańca Finsbury był to dość osobliwy przedmiot zainteresowań.

– Kiedy pan ostatnio prowadził samochód? – zapytał Crammond.

– Nie pamiętam, kilka miesięcy temu.

– Czyj to był samochód?

– Nie pamiętam. To było tak dawno.

– A czym samochodem pan zazwyczaj jeździ?

Mayberry przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. – Zazwyczaj nie jeżdżę. – Zaczął się pocić.

– Czy zdarza się panu wynajmować samochód?

– Tak. – Mayberry przełknął ślinę. – Tak, zdarzało mi się wynajmować samochód.

– Ostatnio coś pan wynajmował?

– Nie.

– A co by było, gdybym stwierdził, że dwa tygodnie temu wynajmął pan na weekend samochód w Slough. Co by pan powiedział?

– Że się pan myli – oświadczył Mayberry posepnie.

– Tak, mógłby pan tak powiedzieć – powiedział Crammond. – Ale czy rzeczywiście bym się mylił?

Mayberry wyprostował ramiona. – Tak – odparł Mayberry wyzywająco.

– A gdzie pan był podczas tamtego weekendu?

– Tutaj; jak zwykle. Może pan zapytać moją gospodynię, panią Jackson.

Crammond przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu. – Ale pani Jackson na ten weekend wyjechała, prawda? Więc pan był tutaj przez cały weekend. W tym pokoju? Wcale pan nie wychodził?

– Nie.

– Przez cały czas? Nawet nie poszedł pan, jak w każdą niedzielę, do kościoła?

Mayberry zaczynał tracić grunt pod nogami. – Nie czułem się dobrze – wymamrotał.

– Kiedy po raz ostatni zrezygnował pan z pójścia do kościoła w niedzielę?

– Nie pamiętam.

– Czy może mi pan wskazać choćby jednego świadka, który potwierdzi pańską obecność tutaj przez całą niedzielę?

– Jakim cudem? Przecież stąd nie wychodziłem.

– Nic pan nie jadł?

– Już panu mówiłem, że źle się czułem. Nie byłem głodny.

– A w sobotę? W sobotę też pan nie wychodził?

– Nie.

– Więc w sobotę pan też nic nie jadł?

Mayberry nerwowo przestępował z nogi na nogę; był już wytracony z równowagi nie kończącą się lawiną pytań. – Zjadłem kilka jabłek.

– Zjadł pan kilka jabłek – powtórzył Crammond bezbarwnie. – A gdzie i kiedy pan kupił te jabłka?

– W piątek po południu w supermarkecie.

Crammond nie pytał dalej, tylko powiedział: – Panie Mayberry, moim zdaniem naopowiadał mi pan kłamstw. Moim zdaniem w sobotę rano wsiadł pan w pociąg i pojechał do Slough, gdzie wynajął pan w garażu Joliffe’a samochód marki Hillman Sceptre. Pan Joliffe jest bardzo rozzalony, ponieważ tylne siedzenie samochodu zostało zniszczone kwasem. Gdzie pan kupił kwas?

– Nie kupowałem żadnego kwasu.

– Ale samochód pan wynajął?

– Nie.

– Więc jak pan wytłumaczy fakt, że dane spisane z prawa jazdy, z tego oto prawa jazdy – Crammond wziął leżący na stole dokument i zaczął machać nim Mayberry’emu przed nosem – to są właśnie pańskie dane, to pańskie nazwisko i adres?

– Nie mogę tego wytłumaczyć. Wcale nie muszę tego tłumaczyć. Być może ktoś się za mnie podał.

– Dlaczego ktoś by się miał za pana podawać?

– Skąd ja to mogę wiedzieć?

– Sądzę, że nikt tego nie może wiedzieć – zauważył Crammond. – Jednakże w prosty sposób możemy ustalić fakty. Mamy odciski palców kierowcy samochodu i bez trudu możemy je porównać z pańskimi. Jestem przekonany, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, żeby udać się z nami na komisariat i pozwolić nam pobrać od pana odciski palców.

Pierwszy raz słyszałem o jakichś odciskach palców i domyśliłem się, że Crammond blefuje.

– Nie... nie pójdę – zaproponował Mayberry. – Na komisariat nie pójdę.

– Rozumiem – odparł cicho Crammond. – Czy uważa się pan za człowieka o silnym poczuciu obowiązku obywatelskiego?

– Tak, oczywiście.

– Ale odmawia pan pójścia na komisariat.

– Miałem ciężki dzień – tłumaczył się Mayberry. – Źle się czuję. Właśnie chciałem się położyć do łóżka, kiedy panowie przyszli.

– Aaa – powiedział Crammond, jakby go nagle olśniło. – jeśli tylko na tym polega problem, to możemy załatwić sprawę na miejscu. Mam w samochodzie wszystko, co trzeba, do pobrania odcisków palców.

– Nie będzie mi pan pobierał żadnych odcisków palców. Nie muszę ich panu dawać. A teraz

chciałbym, żeby panowie sobie poszli.

– Aha, więc to o to panu chodzi.

– Chcę, żeby panowie sobie poszli, bo jak nie, to... – Mayberry urwał nagle.

– Wezwie pan policję? – zapytał Crammond ironicznie. – Kiedy pan poznał pannę Ashton?

– Nie znam żadnej panny Ashton – powiedział Mayberry szybko. Zbyt szybko.

– Ale pan wie, kto to jest.

Mayberry cofnął się o krok i zawadził o stół. Leżąca na nim książka spadła na podłogę. – Nie znam nikogo o takim nazwisku.

– Może nie zna jej pan osobiście, ale słyszał pan o niej?

Schyliłem się, by podnieść książkę. Spomiędzy kartek wysunęła się cieniutka broszura. Rzuciłem na nią okiem, zanim położyłem książkę z powrotem na stole.

– Nie znam nikogo o takim nazwisku – powtórzył Mayberry.

Było to sprawozdanie parlamentarne opublikowane przez Wydawnictwa Rządowe. Pod herbem królewskim widniał tytuł: „Sprawozdanie zespołu badawczego z doświadczeń nad możliwościami dokonywania zmian składu genetycznego mikroorganizmów”.

Mnóstwo pozornie nie związanych ze sobą faktów nagle złożyło się w sensowną całość: religijny fundamentalizm Mayberry’ego, jego zainteresowania ekologiczne, praca Penny Ashton. – Panie Mayberry – odezwałem się. – Jak pan ocenia stan współczesnych nauk przyrodniczych?

Crammond, który już otworzył usta, by zadać kolejne pytanie, gapił się na mnie zbity z tropu. Mayberry raptownie odwrócił głowę w moją stronę. – Jest niedobry – powiedział: – Bardzo niedobry.

– W jakim sensie?

– Biologowie łamią boskie prawa – wyjaśnił. – To, co robią, jest profanacją życia.

– Dlaczego?

– Bo mieszają różne gatunki, bo tworzą potwory. – Głos Mayberry’ego nasilił się. – A Bóg powiedział „Niechaj ziemia wyda istoty różnego rodzaju: bydło, płazy i dzikie zwierzęta według ich rodzaju!” Tak powiedział – według ich rodzaju. Według ich rodzaju! I to jest na pierwszej stronie Pisma Świętego.

Crammond spojrzał na mnie zdumionym wzrokiem, a potem znów popatrzył na Mayberry’ego. – Chyba nie bardzo rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć.

Mayberry był podniecony. – I Bóg rzekł do Noego: „Z ptactwa, według rodzaju jego”, według



rodzaju jego – „i z bydła według rodzaju jego”, według rodzaju jego – „i ze wszystkiego ziemnopłazu, według rodzaju jego”, według rodzaju jego. „Po dwojgu z każdego wnikną, aby mogły żyć”. To bezbożnica! Ona niszczy Boskie dzieło, dzieło opisane w Piśmie Świętym.

Wątpię, czy Crammond rozumiał, co mówi Mayberry. Ale ja rozumiałem, więc zapytałem: – W jaki sposób?

– Ona brała nasienie stworzone przez Boga, rozkładała je, mieszała jeden rodzaj z drugim i tworzyła potwory – chimery i różne paskudztwa.

Z trudem opanowywałem drżenie głosu. – Rozumiem, że mówiąc „ona” ma pan na myśli doktor Ashton?

Crammond nagle poderwał głowę. Mayberry, wciąż jeszcze uniesiony zapałem religijnym, powiedział bez zastanowienia: – Między innymi.

– Takimi, na przykład, jak profesor Lumsden – odpowiedziałem.

– To jest jej zły duch.

– Skoro uważał pan, że ona źle postępuje, dlaczego pan z nią nie porozmawiał? Może dzięki panu zrozumiałaby, że błędzi.

– Nie chcę brukać sobie uszu jej głosem – powiedział z pogardą.

– A czy w Piśmie Świętym nie jest napisane, że Bóg stworzył człowieka, „aby panował nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym, nad bydłem i nad wszelkim płazem pełzającym po ziemi”? Więc być może doktor Ashton miała prawo tak robić?

– Diabeł też potrafi powoływać się na Pismo Święte – odparł Mayberry i odwrócił się do mnie plecami. Zrobiło mi się niedobrze.

Crammond rozumiał wreszcie, co się dzieje. – Panie Mayberry, czy przyznaje się pan do oblania kwasem twarzy kobiety nazwiskiem Ashton?

Z miny Mayberry’ego widać było, że rozumiał, że się zdradził. – Tego nie powiedziałem.

– Dostatecznie dużo pan powiedział. – Crammond obrócił się w moją stronę. – Chyba powiedział dostatecznie dużo, żeby go zamknąć.

Kiwnąłem głową i odezwałem się do Mayberry’ego: Jest pan człowiekiem religijnym. Chodzi pan do kościoła regularnie, co niedziela – i to dwa razy, podobno. Czy oblanie twarzy młodej kobiety kwasem z akumulatora to czyn godny chrześcijanina?

– Nie będę odpowiadał przed panem za swoje czyny – powiedział Mayberry. – Odpowiadam przed Bogiem.

Crammond z powagą skinął głową. – Niemniej, jak mi się zdaje, ktoś powiedział, że trzeba „oddać

cesarzowi, co cesarskie”. Chyba jednak będzie pan musiał udać się ze mną na komisariat.

– I niech Bóg ma pana w swojej opiece – dodałem – bo zaatakował pan nie tę kobietę, o którą panu chodziło. Oblał pan kwasem siostrę doktor Ashton, która właśnie wracała z kościoła.

Mayberry wbił we mnie wzrok. Gdy mówił o odpowiedzialności przed Bogiem, miał wyniosłą minę, ale teraz jego twarz stała się jakby zmięta, a w oczach zaczęło się malować przerażenie. Wyszeptał: – Nie ta... nie ta... – Nagle drgnął konwulsyjnie i wydał głośny, przeraźliwy wrzask.

– O, Boże! – jęknął Crammond, gdy do pokoju wpadł Shaw.

Mayberry osunął się na podłogę i monotonnym głosem wyrzucał z siebie strumień przekleństw. Kiedy Crammond odwrócił się do mnie, zobaczyłem, że się poci. – On się nie nadaje do pudła – powiedział. – Trzeba go będzie odstawić do czubków. Chce go pan jeszcze o coś spytać?

– Broń Boże – powiedziałem. – Nie teraz.

Crammond odwrócił się do Shawa. – Dzwon po karetkę. Powiedz im, że to przypadek obsesji religijnej i być może będzie potrzebny kaftan.



Kiedy zapakowaliśmy Mayberry'ego do karetki, spróbowałem porozumieć się z Ogilviem, ale okazało się, że już wyszedł z biura. Nie chciałem dzwonić do niego do domu, zadzwoniłem za to do Penny, bo pomyślałem, że powinna wiedzieć o Mayberrym. Znowu telefon odebrała Mary Cope i poinformowała mnie, że Penny nie ma w domu. Tym razem jednak nie dałem za wygraną – wydusiłem z niej, że Penny pojechała na jakiś wykład do Oksfordu i wróci późno. Odłożyłem słuchawkę z uczuciem zadowolenia, że nie zostałem spławiony.

Następnego dnia rano, zanim poszedłem do Ogilvie'ego, zadzwoniłem do Crammonda. – Co nowego z Mayberrym?

– Jest w szpitalu King's College, pod strażą i w separacie.

– Czy wrócił do siebie?

– Nie wygląda na to. Według mnie doznał kompletnego załamania nerwowego, ale w końcu nie jestem psychiatrą.

– Szkoda. Wie pan, że będę musiał jeszcze z nim porozmawiać.

– Najpierw będzie się pan musiał przedrzeć przez zastęp najprzeróżniejszych lekarzy – ostrzegł mnie Crammond. – Nasz Mayberry cierpi, jak się zdaje, na wszystkie możliwe choroby, począwszy od zanokcicy, a na violamentalis skończywszy.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że ma fijoła – wyjaśnił z goryczą Crammond. – Psychiatrzy trzymają go w izolacie i pod kluczem.

Podziękowałem mu za pomoc i poszedłem zobaczyć się z Ogilviem. Powiedziałem mu o Mayberrym; jego twarz wyrażała totalne zdumienie. – Jesteś pewien, że Mayberry nie robi nas w konia?

Pokręciłem głową. – To kompletny świr. Ale mamy go i psychiatrzy go dla nas rozpracują.

– Na razie w porządku. – Ogilvie pokręcił głową. – Ale nie uważam psychiatrii za naukę ścisłą. Zwróciłeś pewnie uwagę w sądzie, że na każdego psychiatrę wezwanego przez obronę jest psychiatra wezwany przez oskarżenie, który stwierdza coś wręcz przeciwnego? Ale nawet jeśli przyjmiemy, że Mayberry zostanie jednogłośnie i bez wątpliwości uznany za niepoczytalnego, to i tak trzeba będzie zadać kilka pytań.

– Wiem. Dlaczego wybrał akurat Penny, to znaczy dziewczynę, którą wziął za Penny? Czy działał z własnej inicjatywy, czy też ktoś go zainspirował i popchnął? Już ja dopilnuję, żeby go rozłożyli na

części pierwsze, gdy tylko będzie można z nim gadać. Ale unika pan rozmowy na temat sprawy zasadniczej.

Ogilvie chrząknął i zaczął odliczać na palcach. – Załóżmy, że Mayberry rzeczywiście jest wariatem, i założmy, że nikt nim nie kierował, że wszystko zrobił z własnej inicjatywy i że Penelope Ashton wybrał spośród genetyków mniej lub bardziej przypadkowo. Wobec tego znaleźliśmy się znów w punkcie zerowym, nie?

– Tak. – Wypowiedziałem podstawowe pytanie: – W takim razie, dlaczego Ashton zwiął?

Miałem już kompletny mętlik w głowie.

Rozmyśliłem się i nie zatelefonowałem do Penny; nie była to sprawa na telefon. Ale zanim wybrałem się do University College, zadzwoniłem do Honnistera i zrelacjonowałem mu stan meczu. Zareagował gwałtownie. Zaczął krzyczeć. – Coś podobnego! Pomylił dziewczyny! Ten drań, ten idiota, ten baran się pomylił! – I bluznął potokiem niecenzuralnych słów.

– Chciałem tylko, żeby pan wiedział. Będę pana dalej informował.

Pojechałem do University College i właśnie zamierzałem zapytać o Penny w recepcji, kiedy na końcu korytarza zobaczyłem Jacka Brenta. Podeszedłem do niego. – Są jakieś problemy?

– Absolutnie żadnych.

– Gdzie jest Penny Ashton?

Wskazał mi kciukiem drzwi. – U swojego szefa. To gabinet Lumsdena.

Kiwnąłem głową i wszedłem do środka. Penny i profesor Lumsden w białych kitlach laboratoryjnych wyglądali niezwykle profesjonalnie, jak aktorzy reklamujący w telewizji pastę do zębów. Siedzieli przy biurku nad jakimiś papierami, które wyglądały jak wydruki komputerowe, i popijali kawę. Lumsden był znacznie młodszy, niż myślałem, młodszy ode mnie. Wytyczanie pionierskich szlaków w nauce to zajęcie dla młodych.

Penny podniosła wzrok. Na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia, który wkrótce ustąpił miejsca obojętności, ale dostrzegłem skurcz mięśnia na jej szczęce i mocno zaciśnięte wargi. – Dzień dobry, doktor Ashton, dzień dobry, panie profesorze – powiedziałem. – Penny, czy mógłbym zamienić z tobą dwa słowa?

– Słucham? – odrzekła chłodno.

Spojrzałem na Lumsdena. – Obawiam się, że to sprawa służbowa. Może byśmy przeszli do twojego pokoju?

Odpowiedziała mi krótko: – Skoro służbowa, to... – spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Tak, służbowa – odparłem równie zwięźle.

Przeprosiła Lumsdena i opuściliśmy jego gabinet. – Nie odchodź stąd – nakazałem Brentowi i ruszyłem za Penny. Poprowadziła mnie korytarzem do swojego pokoju. Rozejrzałem się. – A gdzie jest mikroskop? – zapytałem.

Bez cienia uśmiechu wyjaśniła: – Tego, nad czym pracujemy, nie widać przez mikroskop. Czego chcesz? Znalazłeś tatusia?

Pokręciłem głową. – Znaleźliśmy napastnika.

– Och! – Siadła na biurku. – I kto to jest?

– Nazywa się Peter Mayberry. Słyszałaś o nim kiedykolwiek?

Zastanowiła się przez moment. – Nie, tego nie mogę powiedzieć. Kto to jest?

– Urzędnik w jakimś biurze w City. To wariat. Z obsesją religijną.

Skrzywiła się, a potem powiedziała niepewnie: – Wariat z obsesją religijną? Ale co on ma wspólnego z Gillian? Ona jest anglikanką. Czym mogła sprowokować maniaka?

Siadłem. – Posłuchaj, Penny, kwas nie był przeznaczony dla Gillian, przeznaczony był dla ciebie.

– Dla mnie! – Zmarszczyła czoło, a potem pokręciła głową, jakby nie dosłyszała. – Powiedziałeś... że dla mnie?

– Tak. Czy jesteś pewna, że nigdy o tym człowieku nie słyszałaś?

Zignorowała moje pytanie. – Ale dlaczego by ktoś z obsesją religijną...? – Dławiła się słowami. – Dlaczego akurat ja?

– Miał obsesję... Uroił sobie, że ingerujesz w boskie prawa.

– Aha. – I po chwili: – Miał obsesję? Co mu jest, nie żyje?

– Owszem, żyje, tyle że w jakimś własnym urojonym świecie.

Pokręciła głową. – Były zastrzeżenia do tego, co robimy, ale były to zastrzeżenia natury naukowej. Paul Berg, Brenner, Singer i kilku innych zdecydowanie oponowało przeciwko... – Nagle dotarło do niej. – O, mój Boże! – jęknęła. – Biedna Gillian!

Siedziała przez chwilę sztywno z ciasno splecionymi dłońmi, a potem zaczęła się trząść, drżenie ogarnęło całe jej ciało. Wydała z siebie przenikliwy jęk i opadła do przodu na biurko, leżała na nim całym ciałem z głową opartą na przedramionach. Jej ramiona drżały konwulsyjnie i szlochała gwałtownie. W rogu pokoju dostrzegłem umywalkę, podszedłem do niej, nalałem wody do szklanki i natychmiast powróciłem do biurka. Niewiele jednak mogłem zrobić, dopóki nie minął pierwszy szok.

Zaczęła szlochać trochę mniej intensywnie. Objąłem ją ramieniem. – No, już, spokojnie, wypij to.

Uniosła głowę, wciąż szlochając i odwróciła do mnie zapłakaną twarz, i Och, Gillian! Byłaby... byłaby zdrowa... gdybym... gdybym ja nie...

– Cicho – powiedziałem. – I przestań już. Napij się wody.

Wypiła kilka łyków i wykrztusiła: – Och, Malcolmie, i co ja mam zrobić?

– Co masz zrobić? Nic nie można zrobić. Możesz tylko żyć i pracować tak jak przedtem.

– Och, nie. Jakżebym mogła?

– Nie możesz obarczać siebie winą za to, co spotkało Gillian, bo się wykończysz. Nie możesz obarczać siebie winą za czyn szaleńca.

– O, Boże, jak ja żałuję, że to nie na mnie trafiło! – zawołała.

– Nie zwracaj głowy – powiedziałem ostro. – I żebyś mi już nigdy takich rzeczy nie wygadywała.

– Jakże ja jej to powiem?

– Nie powiesz jej. Nie powiesz jej, dopóki nie wyzdrowieje; a i wtedy też nie wiadomo. – Znow zaczęła płakać. – Weź się w garść, Penny – powiedziałem. – Potrzebuję twojej pomocy.

– A co ja mogę zrobić?

– Możesz doprowadzić się do porządku. Potem możesz poprosić tu profesora Lumsdena, bo chcę wam obojgu zadać kilka pytań.

Pociągnęła nosem i spytała: – O co chcesz nas pytać?

– Dowiesz się, kiedy Lumsden tu przyjdzie. Nie chcę wszystkiego dwa razy powtarzać. Wciąż jeszcze nie wiemy, dlaczego twój ojciec wyjechał, ale wszystko wskazuje na to, że bezpośrednią przyczyną jego wyjazdu była ta napaść. Więc chcemy mieć jak najwięcej informacji.

Podeszła do umywalki i obmyła sobie twarz. Kiedy doprowadziła się do jakiegoś takiego wyglądu, zadzwoniła do Lumsdena. – Wolałbym, żebyś przy Lumsdenie nie mówiła o swoim ojcu. – Nic nie odpowiedziała i siadła przy biurku.

Lumsden wszedł, spojrzawszy na Penny od razu dostrzegł jej zaczerwienione oczy i bladą twarz i zwrócił się do mnie: – Co się tu dzieje? Kim pan jest?

– Nazywam się Malcolm Jaggard, jestem swego rodzaju policjantem. – I żeby nie zaczął mnie wypytywać o legitymację, natychmiast dodałem: – A poza tym jestem narzeczonym Penny.

Penny nie zaprotestowała, natomiast Lumsden był wyraźnie zaskoczony. – Ooo, nie wiedziałem...

– Od niedawna – wyjaśniłem. – Oczywiście wie pan o tym, że siostra Penny została oblana kwasem.

– Tak, to wprost przerażająca sprawa.

Opowiedziałem mu o Mayberrym. Wysłuchał mnie z wielką powagą i smutkiem. – To straszne – powiedział. – Ogromnie mi przykro, Penny. – Penny skinęła głową bez słowa.

– Proszę mi powiedzieć, czy ktokolwiek na pańskim wydziale otrzymywał jakieś pogróżki, na przykład anonimowe listy, telefony albo coś w tym rodzaju.

Wzruszył ramionami. – Wariatów nigdy nie brak, ale na ogół się nimi zanadto nie przejmujemy.

– Może to błąd – stwierdziłem. – Chciałbym dowiedzieć się kilku rzeczy. Czy przechowujecie tego rodzaju korespondencję? Jeśli tak, to czy mógłbym te listy obejrzeć.

– Nie – powiedział z żalem. – Zazwyczaj się je wyrzuca. Widzi pan panie... panie inspektorze?

– Wystarczy „pan”.

– No więc, widzi pan, wariaci, którzy do nas piszą, na ogół nam nie grożą – snują tylko jakieś dywagacje i tyle.

– Na jaki temat?

– Na temat rzekomych występków przeciw Bogu, jak się łatwo domyślić. Cytują Pismo Święte, zazwyczaj Księgę Rodzaju. W sumie nic nadzwyczajnego.

Zwróciłem się do Penny: – Też dostawałaś takie listy?

– Tak, kilka dostałam – wyszeptała. – Ale bez pogróżek. Wyrzuciłam je.

– Może miałaś jakieś głuche telefony? Ktoś dzwonił i tylko dyszał w słuchawkę?

– Z pół roku temu ktoś do mnie wydzwaniał, ale po miesiącu przestał.

– I co mówił?

– Łatwo się domyślić: mniej więcej to, co powiedział Lummy.

– Dzwonił tu czy do domu?

– Tutaj. Nasz domowy numer jest zastrzeżony.

Dla odmiany zwróciłem się do Lumsdena. – Oboje użyliście tego samego zwrotu: „łatwo się domyślić”. Panie profesorze, czego właściwie jest się tak łatwo domyślić?

– Cóż, zważywszy na to nad czym, tutaj pracujemy... – gestem pełnym ekspresji wyrzucił ręce do przodu.

Do tej pory rozmawialiśmy na stojąco. – Proszę, niech pan siada, panie profesorze – zachęciłem go. – I niech mi pan opowie, co właściwie tu robicie. W każdym razie proszę mi opowiedzieć



wszystko, co pan może bez naruszenia tajemnicy państwowej.

– Nie ma obawy o naruszenie żadnej tajemnicy państwowej! W każdym razie nie tutaj.

– Więc nie będzie pan miał oporów, żeby mi o tym opowiedzieć, prawda?

– Chyba nie – powiedział niezbyt pewnie i usiadł.

Przez chwilę milczał, porządkował myśli, a ja doskonale wiedziałem, co się dzieje. Szukał prostych słów, by laikowi wytłumaczyć skomplikowane zagadnienie. Odezwałem się: – Potrafię zrozumieć słowa złożone z trzech sylab, a nawet z czterech, jeśli się ich nie wypowiada zbyt szybko. Pan pozwoli, że panu pomogę. Dziedziczenie cech odbywa się za pomocą chromosomów, w chromosomach znajduje się kwas nazywany DNA. Decydującym czynnikiem jest coś, co się nazywa genem. Geny mają specyficzne właściwości; poszczególne geny decydują o wytwarzaniu różnych związków chemicznych niezbędnych organizmowi. Geny są niejako nawleczone na sznurek DNA, są jak paciorki nanizane na spiralnie skręconą nitkę. Przynajmniej tak je sobie wyobrażam. Do tego miejsca umiem, dalej już się gubię, więc oddaję głos panu.

Lumsden uśmiechnął się. – Nienajgorzej, panie Jaggard, całkiem nienajgorzej – Początkowo mówił z przestankami, ale po chwili coraz płynniej. Robił sporo dygresji, wówczas jednak przerywałem mu i naprowadzałem z powrotem na główny wątek.

Bywało też, że musiałem go prosić, by w bardziej przystępny sposób się wysłowił. Koncepcja zasadnicza była dość prosta, ale zrozumiałem, że jej konkretna, laboratoryjna realizacja bynajmniej nie jest łatwa.

W skrócie rzecz przedstawiała się następująco. Łańcuch DNA zawiera kilka tysięcy genów, z których każdy wykonuje swoją konkretną robotę, taką na przykład jak sterowanie produkcją acetylocholino, związku, który decyduje o przekazywaniu impulsów nerwowych z jednej komórki nerwowej do drugiej. Istnieją tysiące takich związków chemicznych, a każdy z nich ma swój gen.

Biologia molekularna odkryła enzymy pozwalające dzielić łańcuch DNA na krótsze odcinki oraz enzymy pozwalające łączyć je z powrotem. Biolodzy odkryli również, że mogą przyczepić taki krótki odcinek DNA do bakteriofaga, czyli nieskończenie małego organizmu zdolnego przeniknąć ściankę komórki. Po wtargnięciu do wnętrza komórki geny odłączałyby się od bakteriofaga i wtapiały w łańcuch DNA tej komórki.

W takim ujęciu sprawa wygląda dość prosto, ale konsekwencje praktycznego zastosowania takich operacji mogą być wręcz fantastyczne, co Lumsden z całym naciskiem podkreślał. – Widzi pan, geny wprowadzone do komórki niekoniecznie muszą pochodzić od tego samego gatunku. W tym laboratorium mamy kultury bakteryjne zawierające materiał genetyczny pochodzący od myszy. Sam pan rozumie, bakteria to bakteria, a mysz to ssak, ale nasze stworzonka są w części bakteriami, a w części ssakami.

– Bierzecie nasienie stworzone przez Boga, rozkładacie je, mieszacie jeden rodzaj z drugim, tworząc potwory, chimery – powiedziałem prawie do siebie.

– Chyba można tak to określić – zgodził się Lumsden.

– Nie ja to tak określiłem – zastrzegłem się – lecz Mayberry. – Wtedy nie rozumiałem, o co mu chodzi. Ale właściwie po co wy to robicie?

Lumsden skrzywił się, uznając (pewnie nie bez racji) moje pytanie za przejaw tępoty. Odezwała się Penny: – Lummy, a może byś mu opowiedział o rhizobium?

Oblicze Lumsdena rozjaśniło się. – Tak, to dobry przykład. – powiedział i zrobił mi wykład.

Wprawdzie do wzrostu roślin niezbędny jest azot, ale nie mogą go one czerpać z powietrza, mimo iż powietrze w siedemdziesięciu ośmiu procentach składa się z azotu. Rośliny muszą go mieć w postaci azotanów, które na terenach uprawnych podaje im się w formie sztucznego nawozu. Jednakże pewne rośliny, zwłaszcza warzywa, takie jak groch, fasola i tym podobne, gromadzą w swoich korzeniach bakterie zwane rhizobium. Otóż rhizobium ma zdolność przeobrażania atmosferycznego azotu w postać przyswajalną dla rośliny.

– No więc – wyjaśniał Lumsden – w korzeniach wszystkich roślin żyją bakterie, tyle że niektóre z tych bakterii mają szczególne właściwości. Założmy teraz, że weźmiemy bakterię rhizobium, wyodrębnimy gen odpowiedzialny za zdolność przyswajania azotu i ulokujemy go w bakterii właściwej dla pszenicy. W rezultacie, gdyby wszystko przebiegło pomyślnie, otrzymalibyśmy pszenicę, która potrafiłaby sama użyźnić sobie ziemię. W dzisiejszych czasach, gdy na świecie brakuje żywności, chyba dobrze by było mieć taką roślinę.

Też byłem tego zdania, ale odezwała się Penny: – Może to jednak być dość niebezpieczne. Trzeba mieć absolutną pewność, że się wyodrębnił właściwy gen. Niektóre geny rhizobium wywołują nowotwory. Gdyby ten właśnie gen wyodrębniono, można by doprowadzić do tego, że całą pszenicę na świecie wyniszczyłby rak.

– Tak – dodał Lumsden. – Musimy mieć absolutną pewność, zanim wypuścimy z laboratorium wyhodowane specjalnie organizmy. Niedawno wybuchła na tym tle piekielna awantura. – Wstał. – No to co, panie Jaggard, dowiedział się pan tego, czego pan chciał?

– Chyba tak, ale nie wiem, czy będę miał z tego jakikolwiek pożytek. Dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić tyle czasu.

– Uśmiechnął się. – Gdyby miał pan jeszcze jakieś pytania, proponuję, by zwracał się pan do Penny. – Spojrzał na nią. – Penny, weź może dzień wolny Miałaś bardzo ciężkie przeżycie. Nie wyglądasz zbyt dobrze.

– Przerazenie mnie ogarnia na myśl, że są na świecie ludzie, którzy chcieliby mi coś takiego zrobić – powiedziała Penny i widać było, jak przeszedł ją dreszcz.

– Odwiozę cię do domu – zaproponowałem. – Jack Brent może pojechać za nami twoim samochodem. – Nie oponowała, a ja zwróciłem się do Lumsdena: – Wszystkie listy od wariatów, nawet te najgłupsze, trzeba przekazywać policji. Proszę też informować o telefonach.

– Dobrze – powiedział. – Zajmę się tym.

Odwiozłem Penny do domu.



Stosunki między Penny a mną poprawiły się, choć ani ona, ani ja nie wspominaliśmy o ślubie. Pomyłka Mayberry'ego była dla niej miażdżącym ciosem, więc zostałem, żeby jej pomóc się pozbierać; reszty dokonała już nasza bliskość. Lumsden nakłonił ją, by nadal pracowała, i odtąd jej życie toczyło się w trójkącie: dom, praca oraz kolejny szpital, w którym w danej chwili przebywała Gillian.

Mayberry został dokładnie przebadany przez grupę psychiatrów i przesłuchał go Mansell, nasz najlepszy śledczy, człowiek o miłym głosie i kolosalnym uroku. Wszyscy doszli do zgodnego wniosku, że Mayberry jest rzeczywiście kompletnym świrem. – A na dodatek tchórzem – oznajmił Mansell. – Początkowo chciał zaatakować Lumsdena, ale uznał, że łatwiej mu pójdzie z kobietą.

– Dlaczego w ogóle zawziął się na zespół Lumsdena? – zapytałem.

– Był to naturalny wybór. Po pierwsze Lumsden jest bardzo dobrze znany. W odróżnieniu od większości naukowców dość chętnie rozmawia z dziennikarzami. Jego nazwisko często trafia do gazet. Po drugie, dość dużo i często opowiada o swoich badaniach. Lumsden to pierwsze nazwisko, jakie przychodzi na myśl, jeśli się szuka specjalisty od genetyki.

Mayberry okazał się najfałszywszym z fałszywych tropów. Stanęliśmy więc przed problemem, który obaj z Ogilviem przewidzieliśmy. Skoro Gillian zupełnym przypadkiem padła ofiarą zamachu, to dlaczego Ashton zwał? Jaki miał powód? To było całkiem bez sensu. Gdy tylko uporaliśmy się z Mayberrym, zdjęliśmy obstawę, która pilnowała Gillian i Penny, a moich ludzi przeniesiono do innej pracy. Ogilvie miał tak wielkie trudności kadrowe, że nie mógł sobie pozwolić na rozrzutne dysponowanie ludźmi. Zespół badający sprawę Ashtona został więc zredukowany do jednej osoby – tą osobą byłem ja. Ja natomiast marnowałem mnóstwo czasu na sprawdzanie fałszywych tożsamości. Kryjówka Ashtona była doskonała.

Mijały tygodnie, a potem miesiące. Gillian przebywała na przemian w domu i w różnych szpitalach, aż wreszcie mogła zamieszkać w domu na stałe. Lekarze zdołali przywrócić jej jedną czwartą zdolności widzenia, więc jakoś sobie radziła.

Zamierzały z Penny wybrać się do Nowego Jorku, gdzie Gillian miała poddać się operacji plastycznej.

Raz, gdy udało mi się nakłonić Penny do wspólnej kolacji, zapytała: – No i co znalazłeś w tym wielkim skarbcu tatusia?

Po raz pierwszy przejawiała jakiegokolwiek zainteresowanie sprawą.

– Nic.

– Kłamiesz. – W jej głosie pobrzmiwał gniew.

– Nigdy ci nie skłamałem – powiedziałem z powagą. – Ani razu. Jeśli zgrzeszyłem, to tylko przemilczeniem, ale nie zmyśleniem. Być może dopuściłem się na wspólną kolację suppressioveri, ale nie suggestio falsi.

– Widać, że masz wykształcenie klasyczne – powiedziała zgryźliwie, ale uśmiechnęła się przy tym i najwyraźniej gniew jej minął. – To przedziwne. Po co by tatuś budował coś takiego i potem nigdy z tego nie korzystał? Może spróbował, a potem uznał, że to zbyt kłopotliwe.

– O ile zdołaliśmy się zorientować, sejf nigdy nie był używany – powiedziałem. – Było w nim tylko zatęchłe powietrze i kurz. Mój szef jest kompletnie zdeorientowany i zdruzgotany.

– Malcolmie, tak bym chciała wiedzieć, dlaczego on znikł. Minęły już przeszło trzy miesiące.

Wybąkałem kilka banalnych słów na pocieszenie i czymś tam ją zagadałem. Po jakimś czasie wróciła jednak do sprawy. – Pamiętasz, kiedy mi powiedziałaś, czym się naprawdę zajmujesz? – zapytała. – Wspomniałaś wtedy o kimś, kto się nazywa lord Cregar.

– Zgadza się.

– No, więc ten Cregar przychodził do Lumsdena.

Zainteresowało mnie to. – W jakiej sprawie?

Pokręciła głową. – Nie wiem. Lummy nic mi nie powiedział.

– Czy to dotyczyło Mayberry’ego?

– O, nie. Pierwszy raz był u nas, zanim powiedziałaś cokolwiek o Mayberrym. – Zmarszczyła brwi. – To było jakieś dwa albo trzy dni po tym, jak otworzyłeś skarbiec.

– A nie dwa albo trzy tygodnie po tym?

– Nie, to było kilka dni. Kto to jest ten lord Cregar?

– Człowiek dość wysoko postawiony w rządzie, jeśli się nie mylę. – Mógłbym jej powiedzieć, że ćwierć wieku temu Cregar przesmugłował jej ojca z Rosji do Zjednoczonego Królestwa, ale tego nie zrobiłem. Gdyby Ashton chciał, żeby jego córki wiedziały o jego rosyjskim pochodzeniu, z pewnością by im o tym powiedział. Nie do mnie należało ujawnianie tajemnic. A zresztą nie mogłem rozpowiadać tego, co wyczytałem w czarnej strefie; mogłoby to być niebezpieczne dla mnie, dla Ogilvie’ego, a być może i dla samej Penny. Nie miałem prawa o tym wiedzieć.

Niemniej było to niezwykle interesujące, że lord Cregar spotykał się z Lumsdenem, zanim wpadliśmy na trop Mayberry’ego. Czyżby między Ashtonem a Lumsdenem istniał jakiś związek, o którym nic nie wiedzieliśmy?

Przywołałem kelnera i poprosiłem o rachunek. Dopijając kawę powiedziałem: – Pewnie to nic ważnego. Chodźmy dotrzymać towarzystwa Gillian.

Następnego ranka Ogilvie wezwał mnie do siebie. Wziął do ręki jakąś kopertę, wyjął z niej fotografię i szurnął ją przez biurko w moim kierunku.

– Kto to jest?

Człowiek na zdjęciu ubrany był w palto, a na głowie miał futrzaną czapkę uszankę. Tam, gdzie zdjęcie zrobiono, padał śnieg; na fotografii, wyraźnie robionej na czas, widoczne były białe smugi.

– To George Ashton – powiedziałem.

– Nieprawda – zaprzeczył Ogilvie. – Nazywa się Fiodor Kozłow i mieszka w Sztokholmie. Ma służącego, starego boksera nazwiskiem Howell Williams.

Podsunał mi drugą fotografię.

Wystarczył mi jeden rzut oka. – A niechże mnie wszyscy diabli! – wykrzyknąłem. – Przecież to Benson. Skąd pan to ma?

– Chcę, żebyś się upewnił – powiedział Ogilvie. Wyjął cały plik fotografii i rozłożył je w wachlarz. – Jak wiesz, mieliśmy kilka marnych fotografii Ashtona i ani jednego zdjęcia Bensa. Jesteś jedyną osobą w wydziale, która może ich zidentyfikować.

Wszystkie fotografie przedstawiały albo Ashtona, albo Bensa, a na dwóch byli razem. – Mogę ich z całą pewnością zidentyfikować – oświadczyłem. – Jest to Ashton i Benson.

Ogilvie był zadowolony. – Niektóre współpracujące z nami wydziały są bardziej koleżeńskie, inne mniej – stwierdził. – Rozesłałem wszędzie fotografie Ashtona. Te zdjęcia przysłał nam ze Sztokholmu gość nazwiskiem Henty. Widać, że nieźle sobie radzi z aparatem fotograficznym.

– Nie tylko nieźle, ale znakomicie. – Fotografie robiono z ukrycia, mimo to były bardzo ostre. – Mam nadzieję, że zachował ostrożność. Byłoby fatalnie gdyby nam znowu prysnęli.

– Pojedziesz do Sztokholmu i przejmiesz sprawę od Henty'ego. Otrzymał polecenie, żeby ci pomagać.

Wyrząłem przez okno na ponure londyńskie niebo i aż mi dreszcz przeszedł po plecach. Nie miałem ochoty na wyjazd do Sztokholmu o tej porze roku. – Czy mam się skontaktować z Ashtonem? Czy mam mu powiedzieć o Mayberrym i namówić do powrotu?

Ogilvie zastanowił się. – Nie. Jest za blisko Rosji. Może go zaskoczyć to, że wywiad brytyjski nadal się nim interesuje. Może być tym tak zaskoczony, że robi jakieś głupstwo. Trzydzieści lat temu miał o nas fatalną opinię i być może do tej pory zdania nie zmienił. Nie, przyjrzyj mu się tylko i dowiedz się, co teraz robi.

Wziąłem kartkę ze sztokholmskim adresem Henty'ego oraz jego numerem telefonu i zapytałem: – Czy domyśla się pan, co mogłoby łączyć Cregara z profesorem Lumsdenem? – Następnie powtórzyłem mu, czego się dowiedziałem od Penny.

Ogilvie popatrzył w sufit. – Od czasu do czasu docierają do mnie różne plotki. Nie jest wykluczone, że coś ich łączy, ale to, o czym myślę, nie ma najmniejszego związku z Ashtonem. To nie może mieć nic wspólnego z Ashtonem.

– A co to jest?

Oderwał wzrok od instalacji elektrycznej, która najwyraźniej fascynowała go bez reszty, i spojrzał na mnie. – Malcolm, już i tak wiesz za dużo, tak dużo, że może ci to zaszkodzić. Ale zaspokoję twoją ciekawość, bo jak ci powiedziałem, są to tylko plotki. Utworzenie tego wydziału poważnie ograniczyło zasięg działania Cregara i kierowanej przez niego instytucji, gdyż przejęliśmy sporą część jego kompetencji. Cregar zaczął więc budować sobie inne imperium. Podobno zaangażował się bardzo w problemy broni chemicznej i bakteriologicznej. To by tłumaczyło jego zainteresowanie Lumsdenem.

I to jeszcze jak! Broń chemiczna i bakteriologiczna idealnie pasowała do zainteresowań badawczych Lumsdena. – Czy on nadal pracuje w wywiadzie?

– Nie, teraz jest urzędnikiem, pośredniczy między ministrem a naukowcami. Oczywiście, z uwagi na jego doświadczenie podlegają mu też kwestie dotyczące bezpieczeństwa państwa.

Już sobie wyobrażałem Cregara, jak umiera ze szczęścia na widok jakiegoś nieszkodliwego mikroba, który dzięki inżynierii genetycznej potrafi teraz niszczyć i zabijać. – Czy on ma coś wspólnego z facetami z Porton Down?

– Ministerstwo Obrony zamierza zamknąć Porton Down – oznajmił Ogilvie. – Nie mam pojęcia, gdzie Cregar bawi się w żonglowanie życiem i śmiercią. Mikrobiologia to nie to samo co fizyka jądrowa; nie wymaga akceleratora za setki milionów ani elektrowni zdolnej dostarczyć tyle prądu, ile pobiera średniej wielkości miasto. Do prac z dziedziny mikrobiologii nie potrzeba ani wielkiej placówki, ani wielkich inwestycji. Cregar może więc mieć laboratoria porozrzucane po całym kraju. Nic na ten temat nie mówi – w każdym razie nie mnie.

Zastanowiłem się nad tym i usiłowałem doszukać się powiązań z Ashtonem; bezskutecznie. Jedyńm łącznikiem pozostawała Penny, co też powiedziałem Ogilvie'emu, który zapytał: – Czy Cregar z nią rozmawiał?

– Nie.

– Już ci mówiłem, to nie może mieć najmniejszego związku z Ashtonem. W drogę, kochany. Do Szwecji.

Ale ja chciałem poruszyć jeszcze jedną sprawę. – Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o Bensonie. Pewnie jego dossier też jest w strefie czarnej.

Ogilvie przyjrzał mi się badawczo i bez słowa poszedł do pokoiku na tyłach swojego gabinetu. Po chwili wrócił kręcąc głową. – Musiałeś się pomylić. Bensoną w ogóle tam nie ma, nawet w strefie zielonej.

– Ale ja go przeszedłem aż do fioletowej – powiedziałem. – Widać ktoś majdruje przy tym



komputerze.

Ogilvie zacisnął wargi. – To mało prawdopodobne – powiedział krótko.

– Jak mało prawdopodobne?

– Nie jest łatwo nakłonić komputer do fałszu. Do tego trzeba fachowca.

– Fachowców jest na pęczki, a w dodatku można ich kupić.

Ogilvie był wyraźnie stropiony. Powiedział wolno: – Nie tylko nasz wydział jest podłączony do tego komputera. Już od kilku lat domagam się dla nas własnego komputera, ale bez skutku. Jakiś inny wydział... – Urwał nagle i usiadł.

– Kto decyduje o uzupełnieniu lub wykreśleniu danych z komputera?

– Istnieje międzywydziałowy komitet, który spotyka się raz na miesiąc. Nikt nie ma prawa nic dodać ani usunąć bez jego zgody.

– Ktoś jednak usunął dane Bensona – powiedziałem. – Albo, co jest bardziej prawdopodobne, dane Bensona zostały zablokowane. Założę się, że Ktoś wprowadził do komputera miniprogram, bardzo trudny do wytropienia, który sprawia, że na pytanie o Bensona pada odpowiedź, że takie dossier nie istnieje.

– Już ja się tym zajmę – zapewnił Ogilvie. – W piątek mamy właśnie zebranie komitetu i zrobię o to małe piekło. – Wyciągnął w moją stronę palec wskazujący. – Z tym, że ty nic o tym nie wiesz. A teraz zjeżdżaj. Jazda do Szwecji.

Wstałem do wyjścia, ale zatrzymałem się przy drzwiach. – Podzielę się z panem pewnym spostrzeżeniem. W sprawę Ashtona zostałem zamieszany, kiedy zapytałem o niego Nellie. W dwie godziny później wylądowałem już na dywaniku w pańskim gabinecie i odpowiadałem Cregarowi na trudne pytania. Czy to Cregar przyszedł z tym do pana?

– Tak.

– W dwie godziny? Skąd mógł wiedzieć, kto wypytuje o Ashtona? Tylko z komputera. Chyba nie musi pan daleko szukać tego, kto w nim majstruje.

Wyszedłem; w gabinecie został bardzo zmartwiony Ogilvie.



O tej porze roku w Sztokholmie było zimno i ciemno. Przez cały czas mojego pobytu w Szwecji padał śnieg; na ogół nie były to opady obfite, ale z zasnutego ołowianymi chmurami nieba wciąż prószył biały pył, jak gdyby Pan Bóg nieustannie przesiewał mąkę przez sito. Zamieszkałem w hotelu „Grand”, gdzie było całkiem ciepło. Po telefonie do Henty’ego wyrząłem przez okno na pałac królewski, widoczny po drugiej stronie zamarzniętej Zatoki Strommen. Edward VII nie lubił Pałacu Buckingham i nazywał go „przeklętą fabryką”. Nie wiadomo, czy wypowiadał się w ogóle na temat pałacu w Sztokholmie, ale tego popołudnia pałac ten wyglądał jak jakiś ponury szatański młyn.

Na Strommen pełno było łabędzi, dreptały niezdarnie po lodzie i zbijały się w gromadki, jakby w poszukiwaniu ciepła. Jeden przycupnął na krze, którą prąd znosił w stronę Riddarfjarden; obserwowałem go, aż znikł mi z oczu pod mostem Strom. Odwróciłem się od okna i mimo że w pokoju było ciepło, nagle ogarnął mnie chłód. Szwecja zimą tak na mnie działała.

Zjawił się Henty i wymieniliśmy listy uwierzytelniające. – Rzadko mamy do czynienia z ludźmi od was – powiedział oddając mi moją legitymację. Miał wyraźny akcent zamorski.

– Na ogół działamy tylko w kraju – wyjaśniłem. – Zajmujemy się głównie kontrwywiadem. Ta sprawa jest nieco inna. Jeśli mnie pan zaprowadzi do George’a Ashtona, to stawiam skrzynkę Fostera.

Henty aż zamrugał ze zdziwienia. – To dobre piwo. Skąd pan wie, że pochodzę z Australii? Od dwudziestu lat nie byłem w kraju. Musiałem już stracić akcent.

Uśmiechnąłem się. – Już całkiem nieźle mówi pan po angielsku. Gdzie jest Ashton?

Podszedł do okna i wskazał na pałac królewski. – Tam, po drugiej stronie. Na Gamla Stan.

Gamla Stan – Stare Miasto. Płatanina wąskich uliczek wijących się wśród prastarych domów. Najmodniejsza dzielnica Sztokholmu. Mieszkają tam ministrowie i reżyserzy filmowi – jeśli ich na to stać. Adres pałacu królewskiego brzmi „Gamla Stan 1”. – Jak go pan znalazł? – zapytałem.

– Dostałem z Londynu kilka marnych zdjęć i jeszcze tego samego dnia dosłownie wpadłem na tego gościa na Vasabron.\*[\*Jeden z mostów w Sztokholmie (przy p. tłum.).]

Henty wzruszył ramionami. – A więc czysty przypadek.

– Zgodnie z regułami statystyki musi nam się kiedyś poszczęścić.

– Ma mieszkanie przy jednej z przecznic Vasterlanggatan. Podaje się za Rosjanina nazwiskiem Fiodor Kozłow – i to jest błąd.

– Dlaczego?

Henty skrzywił się. – Bo się tym zdradził. W każdym razie wzbudził moje podejrzenia, więc sfotografowałem go i wysłałem zdjęcia do Londynu. Dziwnie brzmi ten jego rosyjski, jakoś tak nienaturalnie.

Zastanowiłem się nad tym. Po trzydziestu latach pewnie trochę mu trudno mówić po rosyjsku; zdarza się przecież, że ludzie zupełnie zapominają ojczystego języka. – Benson mieszka z nim w tym samym mieszkaniu?

– Benson? To on tak się nazywa? Tutaj nosi nazwisko Williams. Starszy facet, wygląda trochę na bandziora; stuprocentowy Anglik.

– Gdzie i jak mógłbym ich zobaczyć?

Henty wzruszył ramionami. – Niech się pan wybierze do Gamla Stan 1. Połazi koło ich domu. Wcześniej czy później będą wychodzili... albo też wchodzili.

Pokręciłem głową.

– To niemożliwe. Znają mnie i nie chcę, żeby mnie zobaczyli. Jaki jest pański status tutaj?

– Jestem bardzo nisko w hierarchii – wyjaśnił Henty z kwaśną miną. – Występuję jako wspólnik w firmie importowo-eksportowej. Mam kontakt na ambasadę, ale do wykorzystania tylko w sytuacji awaryjnej. Dyplomaci tutaj nie lubią takich jak my. Twierdzą, że sprawiamy im same kłopoty.

– Pewnie tak jest – powiedziałem sucho. – Z kim mam się kontaktować w ambasadzie?

– Z drugim sekretarzem; nazywa się Cutler. Taki zarozumiały bęcwał. – Henty nie ukrywał niechęci.

– Oprócz ambasady, na jakie siły może pan jeszcze liczyć?

– Jakie siły! – Henty uśmiechnął się. – Jedyne siły to ja. Moje zadanie to obserwować. Nie jesteśmy przygotowani do podejmowania jakichkolwiek akcji.

– Więc muszę się zdać na ambasadę.

Henty odkaszlnął, a potem spytał: – A właściwie – kto to jest ten Ashton? – Popatrzyłem na niego nic nie mówiąc. Po chwili znów się odezwał: – Jeśli tak się mamy bawić...

– Zawsze się tak bawimy, nie?

– Chyba tak – stwierdził ponuro. – Ale chciałbym chociaż raz wiedzieć, dlaczego robię to, co robię.

Spojrzałem na zegarek. – Akurat zdążę jeszcze spotkać się z Cutlerem. Niech pan tymczasem zlokalizuje Ashtona i Bensona i kiedy ich pan znajdzie, proszę mnie zawiadomić – tu albo w ambasadzie. Aha, i proszę ich nie spłoszyć – to bardzo ważne.

– Okay, ale niech pan nie liczy na to, że Cutler panu pomoże.

Uśmiechnąłem się. – Na pańskim miejscu, a także na miejscu Cutlera, wcale nie byłbym tego taki pewny.

Ambasada mieściła się na Skarpoatan, Cutler zaś okazał się wysokim szczupłym blondynem, mniej więcej w moim wieku. Był bardzo angielski w stylu, świadczącym o wychowaniu w elitarnej szkole prywatnej. Teoretycznie zachowywał się bez zarzutu, ale zdawał się nieobecny duchem, jakby myśli miał zaprzątnięte innymi, ważniejszymi sprawami, o których ktoś, kto nie jest dyplomata, nie może mieć najmniejszego pojęcia. Ten mini Metternich przypominał mi bardzo pewnego ekspedienta w jednym ze snobistycznych sklepów londyńskich.

Kiedy podałem mu legitymację – tę specjalną – zacisnął wargi i powiedział chłodno: – Chyba źle pan trafił. W czym my akurat moglibyśmy panu pomóc?

Zabrzmiało to tak, jakby był przekonany, że w żaden absolutnie sposób nie może mi pomóc.

Odezwałem się milutkim tonem: – Pewien drobiazg nam się zawieruszył i chcielibyśmy go odzyskać – z pańską pomocą. Przy czym sprawa jest delikatna i wymaga wielkiego taktu. – Wyłożyłem mu najniezbędniejsze, gołe fakty dotyczące Bensona i Ashtona.

Gdy skończyłem, był nieco skonsternowany. – Ale ja nie widzę, w jaki sposób... – urwał i zaczął od nowa: – Proszę pana, jeśli ten człowiek oraz jego służący postanowili opuścić Anglię i osiąść w Szwecji pod przybranym nazwiskiem, to nie bardzo wiem, co moglibyśmy na to poradzić. Nie sądzę, by szwedzkie prawo zabraniało komukolwiek żyć pod przybranym nazwiskiem. Z całą pewnością w Anglii nie jest to wykroczeniem. Konkretnie czego pan chce?

– Kilku ludzi – powiedziałem. – Chcę mieć Ashtona pod obserwacją. Chcę wiedzieć, co robi i dlaczego.

– To wykluczone – odparł Cutler. – Nie mamy ludzi do roboty policyjnej. Na podstawie tego, co mi pan opowiedział, doprawdy nie rozumiem przyczyn pańskiego zainteresowania tym człowiekiem.

– Nie jest pan upoważniony do tego, żeby wiedzieć więcej – oświadczyłem bez ogródek. – Ale niech mi pan wierzy, że ten Ashton jest niezwykle ważny.

– Obawiam się, że nie mogę panu pomóc – oznajmił lodowato. – Przyszedł pan tu z ulicy, opowiedział mi jakąś nieprawdopodobną historyjkę – i co? Mam zaraz postawić na nogi całą ambasadę?

Wskazałem na moją legitymację, która nadal leżała przed nim na biurku.

– Mimo to?

– Mimo to – odpowiedział, ale odniosłem wrażenie, że właśnie dlatego. – Ludzie od was zdumiewają mnie. Każdy uważa się za Jamesa Bonda. Ja natomiast wcale nie mam poczucia, że żyję w samym środku kolorowego filmu.

Nie zamierzałem z nim dyskutować. – Czy mogę skorzystać z telefonu? – Zmarszczył brwi i usiłował wymyślić jakiś powód, żeby mi odmówić, więc dodałem: – Zapłacę za połączenie.

– Nie ma potrzeby – oświadczył krótko i popchnął stojący na biurku aparat w moją stronę.

Jeden z naszych specjalistów zapytał mnie kiedyś, jaka jest największa maszyna na świecie. Nie udało mi się zgadnąć i po kilku próbach poddałem się – Wtedy powiedział, że największą maszyną, jaka istnieje, jest międzynarodowy system telefoniczny. Na świecie funkcjonuje 450 milionów telefonów, z czego – dzięki systemowi kabli i central automatycznych – 250 milionów stanowi jednolitą sieć. Możemy sobie psioczyć na jakość różnych lokalnych połączeń, ale faktem jest, że w półtorej minuty rozmawiałem z Ogilviem.

– Ashton tu jest – powiedziałem – ale jest też pewien drobny kłopot. Henty jest tu solo, a ja, ze znanych powodów, nie mogę podejść blisko.

– W porządku, zwróć się o pomoc do ambasady. Chcemy, żeby był pod obserwacją, ale sam trzymaj się z daleka.

– Właśnie jestem w ambasadzie. Nie mam szansy na żadną pomoc.

– Jak się nazywa przeszkoda?

– Cutler, drugi sekretarz.

– Czekaj moment. – Dobiegł mnie szelest wertowanych w odległym Londynie papierów. Po chwili znów odezwał się Ogilvie: – To zajmie z pół godziny. Wysadzę w powietrze przeszkodę. Na miłość boską, tylko nie zgub z oczu Ashtona!

– Nie ma obawy – zapewniłem go i odłożyłem słuchawkę. Wstałem i zabrałem z biurka Cutlera swoją legitymację. – Jestem w „Grandzie”. W razie czego tam mnie pan znajdzie.

– Nie widzę powodu, dla którego miałbym pana szukać – odparł Cutler wyniośle.

Uśmiechnąłem się. – Jeszcze pan zobaczy. – Nagle poczułem, że mam go dość. – Chyba że chce pan przez najbliższe dziesięć lat liczyć spinacze biurowe na Samoa.

W hotelu czekała na mnie krótka notatka od Henty’ego: „Spotkajmy się w Moderna Museet na Skeppsholmen”. Złapałem taksówkę i byłem na miejscu w pięć minut. Henty stał przed głównym wejściem z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie i z fioletowym od mrozu czubkiem nosa. Kiwnął głową w stronę galerii. – Pański klient się ukulturalnia.

Sprawa wymagała delikatności. Nie chciałem się natknąć na Ashtona twarzą w twarz. – Benson też tam jest?

– Nie, tylko Ashton.

– Dobra, niech pan skoczy do środka i zlokalizuje go. Czekam na pana. – Henty wszedł do muzeum, niewątpliwie zadowolony, że się ogrzeje. Po pięciu minutach był z powrotem. – Studiuję

Picassa, okres błękitny. – Wręczył mi plan muzeum z zaznaczoną ekspozycją Picassa.

Wszedłem do muzeum i poruszałem się w środku niezwykle ostrożnie. W chłodne zimowe popołudnie było tam, niestety, niewielu zwiedzających, więc nie mogłem się zgubić w tłumie. Z drugiej strony – przynajmniej nikt mi nie zasłaniał widoczności. Wyjąłem chusteczkę do nosa, żeby w razie czego zakryć twarz, przeszedłem z jednej sali do drugiej i w dali zobaczyłem Ashtona. Z zainteresowaniem kontemplowałem obraz. W chwili kiedy ruszył, przejść do następnego, zobaczyłem wyraźnie jego twarz. Ulżyło mi; rzeczywiście był to Ashton. Gdyby się okazało, że bez powodu napuściłem Ogilwiego na Cutlera, wybuchłaby piekielna awantura.





Cutler poderwał się jak spłoszona żaba. W godzinę później, kiedy w gorącej kąpeli rozgrzewałem zmarznięte kości i ze współczuciem myślałem o biednym Hentym, który nadal obstawiał Ashtona, odezwał się telefon. Dzwonili z recepcji, że Cutler czeka na dole. Poprosiłem, żeby przyszedł na górę. Wytarłem się szybko i włożyłem szlafrok.

Przyprowadził ze sobą dwóch facetów; jeden nazywał się Askrigg, drugi Debenham. Nie przeprosił mnie za to, jak mnie poprzednio potraktował, i żaden z nas nie powiedział jednego słowa na ten temat. Przez cały czas naszych kontaktów zachowywał się z taką samą lodowatą i uprzejmą dezaprobatą; mogłem to znieść, jeżeli robił wszystko, co mu kazałem, i robił to szybko, a na to akurat nie mogłem narzekać. Jedyne kłopot polegał na tym, że i on, i jego ludzie byli kompletnymi amatorami.

Natychmiast zabraliśmy się do rzeczy. Zreferowałem im sprawę, a Askrigg od razu zauważył: – Całodobowa obserwacja dwóch ludzi to zajęcie dla sześciu osób.

– Co najmniej dla sześciu – przytaknąłem. – I to oprócz Henty’ego i mnie. Ashton i Benson mnie znają, więc odpadam, a Henty już i tak się napracował. To on wypatrzył Ashtona i od tej pory odmraża sobie tyłek, bo łązi za nim na okrągło. Zdejmuję go z roboty; najpierw niech trochę odpocznie, a potem będziemy go mieli w rezerwie.

– Sześć osób – powiedział Cutler niepewnie. – No, cóż, chyba uda nam się je zorganizować. A na co właściwie mamy zwracać uwagę?

– Chcę wiedzieć o nich wszystko. Dokąd chodzą, co jedzą, z kim się spotykają, czy mają jakiś stały harmonogram zajęć, co się dzieje, jeśli ten harmonogram naruszają, do kogo pisują. Chcę wiedzieć wszystko, dosłownie wszystko.

– Strasznie dużo zawracania głowy z jednym drobnym przemysłowcem – zauważył kwaśno Cutler.

Uśmiechnąłem się do niego i odpowiedziałem cytatem: – „Nie twoja rzecz pytać dlaczego. Masz rozkaz wykonać lub zginąć, mój drogi kolego”. Co może się zdarzyć, bo nasi klienci prawdopodobnie są uzbrojeni.

Wszyscy zamilkli na moment, a po twarzy Cutlera przemknął grymas. W jego przekonaniu dyplomacja i broń nie stanowiły dobranej pary. I jeszcze jedno – dodałem. – Chcę zajrzeć do mieszkania Ashtona. Ale musimy przedtem poznać ich tryb życia, żeby wybrać na to odpowiedni moment.

– Włamanie! – przeraził się Cutler. – Ambasada nie może być w to zamieszana.

– I nie będzie – zapewniłem go stanowczo. – Proszę to mnie zostawić. Dobra, musimy zorganizować sobie pracę.

A więc Ashton i Benson znaleźli się pod obserwacją, każdy ich ruch był odnotowywany. Dla nas było to zajęcie męczące i frustrujące, jak większość tego typu operacji. Nasi podopieczni prowadzili niezwykle przykładne życie. Ashton odwiedzał muzea i galerie sztuki, chodził do teatru i do kina, dużo czasu spędzał w księgarniach, gdzie sporo wydawał kupując literaturę piękną oraz inne książki, głównie biografie. Były to pozycje wydawane w różnych językach, przeważnie po angielsku, niemiecku i po rosyjsku. Nawet przez moment jednak nie zajął się czymś, co można by nazwać pracą.

Benson był idealnym służącym. Robił zakupy, oddawał do prania bieliznę i garderobę, od czasu do czasu, gdy Ashton nie jadł na mieście, przygotowywał jakiś posiłek. Znalazł sobie ulubioną knajpkę, do której zaglądał ze trzy, cztery razy tygodniowo; była to piwiarnia, o wyjątkowo intelektualnym profilu, gdyż działało w niej kółko szachowe. Benson przychodził zagrać kilka partyjek i stosunkowo wcześniej wychodził.

Ani jeden, ani drugi nie pisał listów i nie otrzymywał żadnej korespondencji.

Wyglądało także na to, że ani jeden, ani drugi z nikim się nie styka, prócz osób, z którymi muszą się kontaktować przy załatwianiu zwykłych codziennych spraw.

Ani jeden, ani drugi nie zrobił nic, co by odbiegało od normy – z jednym zasadniczym i podstawowym wyjątkiem: Sama ich obecność w Sztokholmie nie była czymś normalnym.

Na początku trzeciego tygodnia, kiedy już poznaliśmy ich tryb życia – wzięłem ze sobą Henty'ego i włamaliśmy się do mieszkania. Ashton poszedł do kina, a Benson bawił się w Bobby Fischera przy dużym kuflu Carlsberga. Mieliśmy więc dobre pół godziny. Przeszukaliśmy mieszkanie od podłogi do sufitu i znaleźliśmy niewiele.

Głównym fantem był paszport Ashtona. Wydano go w Izraelu przed trzema laty; wystawiony był na Fiodora Antonowicza Kozłowa, urodzonego w Odessie w 1914 roku. Przfotografowałem go strona po stronie, włącznie pustymi stronami i odłożyłem tam, gdzie go znaleźliśmy. Fantem mniej atrakcyjnym był grzbiet książeczki czekowej, który też dokładnie sfotografowałem. Ashton wydawał pieniądze lekką ręką; tygodniowo przepuszczał około pięciuset funtów.

Zadzwoił telefon. Henty podniósł słuchawkę i zapytał niepewnie: – Vilket nummer vill ni ha? – Nastąpiła pauza. – Okay. – Odłożył słuchawkę. – Benson wyszedł z baru, jest w drodze do domu.

Rozejrzałem się po pokoju. – Wszystko na miejscu?

– Chyba tak.

– To spływamy. – Wyszliśmy z budynku i w samochodzie Henty'ego poczekaliśmy do przyjścia Bersona. Zobaczyliśmy, jak wszedł do środka, sprawdziliśmy jego obstawę i odjechaliśmy.

Nazajutrz rano dałem Cutlerowi filmy, poprosiłem, żeby je wywołał i zrobił mi po dwie odbitki. Otrzymałem je po godzinie; miałem sporo czasu, żeby się im starannie przyjrzeć, zanim o umówionej

godzinie zatelefonował Ogilvie. Trzeba było umawiać się na telefon, bo Ogilvie musiał używać kodera odpowiadającego urządzeniom zainstalowanym w ambasadzie.

Złożyłem mu krótką relację z tego, co się działo dotychczas, a potem powiedziałem: – Przełom nastąpi w wyniku czegoś niezwykłego, czegoś odbiegającego od normy, a takich rzeczy jest bardzo niewiele. Mamy ten izraelski paszport. Chciałbym wiedzieć, czy jest autentyczny. Poczta dyplomatyczną prześlę panu jego fotografię.

– Wydany trzy lata temu, powiadasz.

– Zgadza się. Mniej więcej w tym samym czasie otwarto tu konto bankowe na nazwisko Kozłów. W rok później wynajęto mieszkanie, również na nazwisko Kozłów; odnajmowano je do niedawna, to znaczy do czasu, kiedy cztery miesiące temu zjawił się tu Ashton. Nasz przyjaciel miał wszystko przygotowane. Przejrzałem grzbiety czeków z ostatnich dwóch miesięcy; Ashton nie żałuje sobie.

– Jak on się zachowuje? Mam na myśli, jakie robi wrażenie z psychologicznego punktu widzenia.

– Widziałem go tylko trzy razy, i to ze znacznej odległości. – Zastanowiłem się przez chwilę. – Mam wrażenie, że jest bardziej zrelaksowany niż wtedy, kiedy go ostatnio widziałem w Anglii. Wydaje się jakby mniej zestresowany.

– Chyba nie miałem już nic do dodania. – Co mam robić dalej?

– To samo – rozkazał Ogilvie zwięźle.

Westchnąłem. – To może tak trwać tygodniami, miesiącami. A co by było gdybym sam się do niego dobrał? Nie muszę zdradzać, kim jestem. Mogę zdobyć akredytację na międzynarodową konferencję, która się tu zaczyn w przyszłym tygodniu.

– Nie rób tego – powstrzymał mnie Ogilvie. – On jest bardziej cwany, niż się zdaje. Po prostu nie przestawaj go obserwować; coś się musi wydarzyć.

– Tak jest, panie Micawber\*[\* Pan Micawber, jeden z bohaterów powieści „Dawid Copperfield” Dickensa, znany ze swoich wielkich przemówień oraz planów zrobienia wielkiej fortuny, które zawsze kończyły się fiaskiem (przyp. tłum.).] – pomyślałem, ale powiedziałem zupełnie coś innego: – Negatywy i odbitki wysyłam panu natychmiast pocztą dyplomatyczną.

Minęły kolejne dwa tygodnie i nic się nie wydarzyło. Ashton spokojnie żył jak dotychczas, nie robiąc nic konkretnego. Miałem okazję przyjrzeć mu się jeszcze raz, przez nieco dłuższą chwilę, i odniosłem wrażenie, że w pewnym sensie rozkoszuje się swoim obecnym położeniem. Po raz pierwszy chyba pozwolił sobie na urlop, był wolny od trosk i zajęć związanych z firmami, które powołał do życia. Benson niemal co rano buszował po sklepach i targowiskach Gamla Stan, gdzie robił zakupy nie licząc się z pieniędzmi. Mieliśmy już względnie dokładny obraz gustów kulinarnych domu Ashtona. Ale nic nam z tego nie przychodziło.

Henty zajmował się dalej swoimi tajemniczymi sprawami, o które się zbytnio nie dopytywałem. Wiedziałem tylko, że ma do czynienia z jakimś wywiadem wojskowym, ponieważ wyjechał na

tydzień na północ do Laplandii, gdzie armia szwedzka odbywała zimowe manewry. Po powrocie widziałem się z nim króciutko; oznajmił mi, że będzie zajęty, bo musi pisać raport.

Cztery dni później przyszedł do mnie z niepokojącymi wiadomościami. – Czy pan wie, że wokół naszych klientów robi się tłok? Ktoś oprócz nas się nimi interesuje.

Spojrzałem na niego z zaciekawieniem. – Proszę dokładniej.

– Jestem z natury ciekawy – zaczął Henty. – Wczoraj wieczorem, miałem nadmiar wolnego czasu, więc postanowiłem sprawdzić, jak spisują się chłopcy Cutlera. Okazało się, że Ashton ciągnie za sobą niezły ogon – nasz człowiek śledzi Ashtona, a jego z kolei śledzi ktoś inny. – Już chciałem się odezwać, ale Henty powstrzymał mnie gestem i kontynuował: – Postanowiłem więc sprawdzić, co z Bensonem; okazało się, że sytuacja wygląda dokładnie tak samo.

– Cutler nic mi o tym nie mówił.

– A niby skąd by miał wiedzieć? – zauważył Henty zjadliwie. – On czy którykolwiek z nich. Przecież to amatorzy.

Zadałem zasadnicze pytanie: – Kto to jest?

Henty wzruszył ramionami. – Domyślam się, że to szwedzki wywiad. Całkiem niezłe chłopaki. Pewnie rutynowo sprawdzali faceta z rosyjskim nazwiskiem, a dodatkowo się zainteresowali, kiedy zobaczyli, że jest pod obserwacją. Już na pewno odkryli powiązania z naszą ambasadą.

– Cholera! – zakląłem. – Lepiej, żeby się Cutler nie dowiedział, bo dostanie dyplomatycznej biegunki. Chyba musimy wkroczyć do akcji.

Następnego ranka, podczas porannego spaceru Ashtona, przystąpiliśmy do działania. Ashton pojawił się w drzwiach domu i w chwilę potem przykleił się do niego pierwszy członek ogona, którym tym razem był Askrigg. Henty szturchnął mnie i wskazał nieznanego, który właśnie przyłączył się do towarzystwa. – Jest nasz koleś. Przejdę przez ulicę i pójdę za nim. Niech pan zostanie po tej stronie, idzie równolegle i ma nas obu na oku.

Henty był nieprawdopodobnie dobry! Usiłowałem obserwować i jego, i faceta, którego śledził, ale Henty był na ogół niewidoczny, chociaż wiedziałem, że ani na moment nie gubi tropu. Zbliżał się i oddalał od swojego obiektu, znikał w wejściach do sklepów i pojawiał się ponownie w najmniej oczekiwanych miejscach. Krótko mówiąc, dokonywał cudów, żeby go w ogóle nie było. Ze dwa, trzy razy pojawiał się nawet przed człowiekiem, którego śledził.

Tego akurat dnia Ashton wyruszył w swój obchód po księgarniach. Odwiedził dwie, spędzając w każdej mniej więcej trzy kwadransy, a potem ze swoimi łupami skrył się w kawiarni, by przy kawie i drożdżówkach przyjrzeć się dokładniej zdobyczom. Sytuacja była dość zabawna. Kawiarnia mieściła się na rogu. Askrigg czekał na zewnątrz, a jego ogon ulokował się na przeciwległym rogu i przytupywał dla rozgrzewki udając, że starannie przygląda się wystawie sklepowej. Na trzecim rogu to samo mniej więcej robił Henty, a ja okupowałem róg czwarty. Znalazłem się w idiotycznym położeniu ze względu na charakter sklepu, przed którym przyszło mi sterczeć. Henty wylądował

przed sklepem z aparatami fotograficznymi. Mnie natomiast przypadła w udziale witryna z koronkową frywolną damską bielizną typu „goło ale wesoło”.

Wreszcie Ashton wyszedł z kawiarni, tren ruszył za nim w komplecie i doszliśmy do punktu wyjścia, tyle że dla urozmaicenia wracaliśmy inną trasą, przez Vasabron. Do tego momentu cała impreza była niewypałem, ale dalszy rozwój wypadków nam to zrekompensował. Nasz koleś, jak go nazwał Henty, wszedł do sklepiku z papierosami, a ja za nim. Gdy kupowałem paczkę papierosów, zorientowałem się, że rozmawia przyciszonym głosem przez telefon. Nie słyszałem, co mówi, ale nie brzmiało to ani jak angielski, ani jak szwedzki.

Wyszedł ze sklepu i ruszył zdecydowanym krokiem przed siebie. Szedłem równoległe do niego po przeciwnej stronie ulicy. Po przejściu stu metrów przeszedł przez jezdnię, więc zrobiłem to samo, a on ruszył w kierunku z którego przyszedł. Widać było, że w ten sposób prowadzi niewidoczną – jak mu się zdawało – obserwację domu Ashtona.

Po piętnastu minutach nastąpiło to, na co czekaliśmy – pojawił się jego zmiennik. Obaj mężczyźni stali przez chwilę razem i rozmawiali, widać było, jak ich oddechy parują i mieszają się na zimnie. Potem mój „frajer” ruszył żwawym krokiem, a ja za nim. Skręcił za róg i poszedł ulicą biegnącą na tyłach pałacu królewskiego i kiedy znów go zobaczyłem, rozmawiał z taksówkarzem.

Już zacząłem się zastanawiać, jak jest po szwedzku „Proszę jechać za tą taksówką”, kiedy nagle zatrzymał się przy mnie samochód. Za kierownicą siedział Henty. Wskoczyłem do środka, a Henty oznajmił z dumą: – Pomyślałem sobie, że on tak robi. Wszyscy mieliśmy dzisiaj dość łązenia.

Już przedtem mówiłem, że ten Henty to cholernie dobry agent.

Więc przejechaliśmy przez Sztokholm za taksówką, co nie było zbyt trudne. Zresztą nie musieliśmy jechać bardzo daleko. Taksówka zatrzymała się wreszcie przed jakimś budynkiem, taksówkarz zainkasował należność, a nasz „frajer” wszedł do środka. Henty nawet nie zwolnił i pojechał dalej. – No, przynajmniej mamy jasną sprawę! – oznajmił dobitnie.

Odwróciłem się na siedzeniu, żeby zobaczyć dom, który minęliśmy. – Dlaczego? Co to za budynek?

– Przecież to ambasada sowiecka, do cholery!



Spodziewałem się, że mój raport w tej sprawie sprowokuje jakieś działanie – ale nie przypuszczałem, że sprowokuje przyjazd Ogilvie’ego. Zadzwoiłem do niego o trzeciej po południu; dochodziła północ, kiedy stawiał się w moim pokoju, a czterech innych facetów z naszego wydziału rozpełzło się po całym hotelu. Ogilvie wycisnął ze mnie wszystkie najdrobniejsze szczegóły. Zakończyłem swoją relację wiadomością, że właśnie sprawdziliśmy też faceta, który chodził za Bensonem. – Wrócił do mieszkania na Upplandsgatan. Popytaliśmy o niego i okazało się, że jest attache handlowym Ambasady Sowieckiej.

Ogilvie był zdenerwowany i niezdecydowany, co mu się bardzo rzadko zdarza. Splótł ręce za plecami i krążył po pokoju tam i z powrotem, jak tygrys w klatce. Potem z impetem siadł na fotelu. – Niech to wszystko jasny piorun strzeli! Jestem kompletnie rozdarty.

Cierpliwie czekałem, ale Ogilvie nic nie zrobił, żeby mi wyjaśnić powód i naturę swego wewnętrznego rozdarcia, więc zapytałem nieśmiało: – Na czym polega problem?

– Słuchaj, wyciągnęliśmy Ashtona z Rosji, ale w pewnym sensie zawiedliśmy się na nim. Nie dał nam tego, na co liczyliśmy. Faktem jest, że bardzo wiele zdziałał, ale jako przemysłowiec, a nam zależało na nim jako uczonym. Więc, na dobrą sprawę, co nas obchodzą jego harce po Sztokholmie i to, że zwraca na siebie uwagę Rosjan?

Patrząc na to chłodno i bez sentymentów, pytanie miało sens. – Gdyby nie dwie sprawy – powiedział Ogilvie – najchętniej dałbym sobie z nim spokój, niech Rosjanie go biorą; koniec, kropka. Tylko że, po pierwsze, nie wiem, dlaczego on zwiął, a ponadto – to jest najgorsze, że powód może się okazać całkowicie nieistotny. Najpewniej kieruje mną czysta ciekawość i wcale nie wiem, czy powinienem zaspokajać ją kosztem podatników. Ta operacja kosztuje majątek.

Wstał i znów zaczął krążyć po pokoju. – Po drugie, nie mogę przestać myśleć o tym pustym skarbcu. Po co on go budował, skoro nie zamierzał z niego korzystać? Zastanawiałeś się nad tym?

– Tak, ale do żadnych wniosków nie doszedłem.

Ogilvie westchnął. – Od kilku miesięcy czytam w kółko dokumenty Ashtona i już zeza od tego dostaję. Usiłuję wejść w jego sposób rozumowania. Czy wiesz, że to on sam zaproponował, że wcieli się w tego nieżyjącego angielskiego żołnierza?

– Nie. Myślałem, że to był pomysł Cregara.

– To był pomysł Czeluskina. Czytając jego dossier doszedłem do przekonania, że zawsze, tak jak magik, robi coś, by odwrócić uwagę od tego, co dzieje się naprawdę. Zobacz, w jaki sposób wy dostał się z Rosji. Jestem coraz bardziej przekonany, że ten skarbiec to kolejny fałszywy trop.

– Raczej dość kosztowny – zauważyłem.

– Dla Ashtona to małe piwo. On śpi na pieniądzach. Jeśli coś montował to zupełnie gdzie indziej.

Byłem już wściekły. – Więc po co on w ogóle ten skarbiec instalował? – Żeby dać do zrozumienia temu, który go otworzy, że zabrnął w ślepią uliczkę, że dalej nic już nie ma, że nie ma żadnych tajemnic. Tak jak powiedziałem, odwraca uwagę.

– Chyba to trochę zbyt wydumane – powiedziałem. Czuję się zmęczony bo zrobiło się już późno, a ja cały dzień ciężko pracowałem. Szlifowanie śliskich, oblodzonych bruków Sztokholmu nie należało według mnie do największych przyjemności i nie miałem już siły analizować fantazji Ogilvie’ego na temat Ashtona. Żeby wrócić do konkretów, zapytałem: – Więc, co my teraz robimy z Ashtonem? – W końcu to on był szefem i on musiał podjąć decyzję.

– W jaki sposób ci Rosjanie go tu znaleźli?

– Skąd ja to mogę wiedzieć? – Wzruszyłem ramionami. – Domyślam się, że wpadł im w oko rozrzutny rodak, o którym nikt w Moskwie nie słyszał, więc postanowili mu się lepiej przyjrzeć. Ku swojemu zdumieniu zobaczyli, że interesuje się nim także wywiad brytyjski. No i to dopiero ich podnieciło.

– Albo – ponieważ są piekielnie podejrzliwi – dla zasady obserwują Ambasadę Brytyjską i być może zwróciła ich uwagę nadzwyczajna aktywność Cutlera i jego chłopców, którzy, niestety, do orłów nie należą. – Ogilvie wzruszył ramionami. – Chyba zresztą nie ma to większego znaczenia, w jaki sposób na niego trafili; grunt, że go śledzą. Obserwują Kozłowa, ale, jak sądzę, nie wyniuchali jeszcze powiązania z Ashtonem, a już z pewnością nie wyniuchali Czeluskina.

– I to załatwia sprawę. Nigdy nie trafią na ślad Czeluskina. Komu by przyszło do głowy sięgać trzydzieści lat wstecz?

– Ich kartoteki obejmują więcej niż trzydzieści lat i na pewno mają w nich odciski palców Czeluskina. Jeśli kiedykolwiek porównają odciski palców Kozłowa z odciskami Czeluskina, będą wiedzieli, że to nie on zginął w tym pożarze. I to ich może zainteresować.

– Myśli pan, że to prawdopodobne?

– Nie wiem. – Zrobił ponurą minę. Patrzył na mnie nie widzącym wzrokiem. – Ten paszport izraelski jest autentyczny – powiedział. – Tyle że został skradziony właśnie trzy lata temu. Prawdziwy Kozłow jest profesorem, lingwistą na uniwersytecie w Tel Awiwie. Właśnie tam jest teraz i odcyfrowuje aramejskie pergaminy.

– Czy Izraelczycy wiedzą o Kozłowie? Może to być interesujące.

– Nie sądzę – powiedział z roztargnieniem, a potem pokręcił głową z irytacją. – Nie masz przekonania do moich teorii na temat Ashtona, co?

– Nie bardzo.

Zrobił jeszcze bardziej ponurą minę. – Ja też nie – przyznał. – To wszystko razem jest jedną wielką zagadką. Dobra. Mamy dwie możliwości: możemy wycofać się i zostawić Ashtona, żeby



sobie radził, jak potrafi, albo możemy go stąd wydostać. – Ogilvie spojrział na mnie wyczekująco. Jest to decyzja zasadnicza i nie leży w moich kompetencjach – powiedziałem. – Mam jednak kilka uwag. Po pierwsze, to my sprowokowaliśmy zainteresowanie Rosjan Ashtonem, więc uważam, że w pewnej mierze jesteśmy za niego odpowiedzialni. A poza tym – cenię Ashtona i przy odrobinie szczęścia ożenię się z jego córką. Mam więc niezależnie od wszystkiego innego, osobisty powód, żeby go stąd wydostać.

Ogilvie z powagą skinął głową. – Jasne. Więc decyzja należy do mnie. Jeśli Ashton rzeczywiście coś ma i zostawimy go tu na pastwę Rosjan, to popełnię wielki błąd. Jeśli go stąd wydostaniemy i być może z powodu metod, które będziemy musieli zastosować, zaryzykujemy wywołanie międzynarodowego skandalu, a okaże się, że on nic nie ma, też popełnię wielki błąd. Ale pierwszy błąd byłby większy niż ten drugi, więc odpowiedź brzmi, że go stąd wydostajemy. Już postanowione.



Ogilvie przywiózł ze sobą Brenta, Gregory'ego, Michaelisa i – ku mojemu zaskoczeniu – Larry'ego Godwina, którego rozpierała radość, bo nie tylko wy dostał się z za biurka, ale w dodatku wyrwał się za granicę. Wcześniej rano urządziliśmy naradę, by omówić szczegóły naszej akcji.

Przed naradą jeszcze raz zapytałem Ogilvie'ego, dlaczego mi nie pozwoli po prostu pójść do Ashton i powiedzieć mu, że ma na karku Rosjan. – To by go ruszyło.

– W jakim kierunku? – spytał Ogilvie. – Nawet najmniejszy cień podejrzenia, że wywiad brytyjski usiłuje nim manipulować, mógłby go sprowokować do nieprzewidywalnej reakcji. Ashton mógłby nawet dojść do wniosku, że woli wrócić do Rosji. Tęsknota za ojczyzną to szczególna rosyjska przypadłość.

– Nawet po trzydziestu latach?

Ogilvie wzruszył ramionami. – Rosjanie to dziwni ludzie. A czy zastanowiłeś się, jaki może być jego stosunek do ciebie? Natychmiast wyciągnąłby fałszywe wnioski – nie mogę sobie pozwolić na takie ryzyko. Nie; trzeba to będzie załatwić inaczej.

Ogilvie otworzył naradę i z grubsza nakreślił sprawę, a potem rozejrzał się po zebranych wyczekująco. Nastąpiła dłuższa pauza, podczas której wszyscy się zastanawiali. Wreszcie odezwał się Gregory: – Żeby cokolwiek zrobić musimy najpierw odseparować go od Rosjan.

– Czy mamy przyjąć założenie, że on może zechce zwać do Rosji? – zapytał Brent.

– Jeśli będziemy ostrożni, to nie ma takiego niebezpieczeństwa – odparł Ogilvie – ale nie możemy tego wykluczyć. Według mnie, gdyby się zorientował, że Rosjanie go śledzą, to mógłby się przestraszyć.

Brent rzucił następne pytanie w moją stronę. – Jak dobrzy są ci Rosjanie tutaj?

– Całkiem niezli – powiedziałem. – O niebo lepsi od Cutlera i jego bandy.

– Więc jest mało prawdopodobne, że popełni błąd – stwierdził Brent ponuro. – Przyszło mi na myśl, że gdyby się dowiedział, że Rosjanie mu depczą po piętach, to może by próbował dać nogę. Mielibyśmy wtedy pretekst, żeby wkroczyć i go stąd wyrwać.

Odezwał się Ogilvie. – Rozważaliśmy z Malcolmem taki scenariusz, ale go odrzuciliśmy.

– Momencik – wtrąciłem i zwróciłem się do Larry'ego. – Jak sobie radzisz z rosyjskim, chodzi mi o język mówiony?

– Całkiem niezle – powiedział skromnie.

– Nieźle to za mało – ostrzegłem go. – Być może będziesz musiał odstawić Rosjanina przed rodowitym Rosjaninem. – Nie powiedziałem mu, że Ashton jest Rosjaninem.

Larry uśmiechnął się. – O jaki akcent regionalny ci chodzi?

Ogilvie załapał. – Rozumiem – powiedział w zamyśleniu – jeśli Rosjanie nie popełnią błędu, to my to zrobimy za nich. Kupuję.

Jeszcze przez chwilę gadaliśmy o planie działania, aż w pewnym momencie odezwał się Michaelis. – Konieczny jest plan wspomagający. Jeśli mamy go stąd wywieźć wbrew jego woli, to potrzebujemy środka transportu, bezpiecznego domu i, być może, lekarza.

Wywołało to kolejną długą dyskusję, w trakcie której analizowano plany i przydzielano role. Porwanie może być niesłychanie skomplikowaną operacją. – A co z Bensonem? – zapytał Gregory. – Czy on jest też w to wkalkulowany?

– Myślę, że raczej tak – powiedział Ogilvie. – Benson zaczyna mnie coraz bardziej interesować. Niemniej naszym pierwszym i najważniejszym celem jest Ashton. Jeśli w jakiejś sytuacji trzeba będzie wybierać między Ashtonem a Bensonem, to odpuście sobie Bena. – Zwrócił się do Michaelisa: – Ile czasu potrzebujesz?

– Jeśli zastosujemy wariant trzeci, to nie potrzebujemy domu, a krytą furgonetkę mogę wynająć w niecałą godzinę. Ale żeby załatwić łódź, będę musiał pojechać do Helsingborg albo do Malmö, a to mi zajmie sporo czasu, powiedzmy, jakieś trzy dni.

– Ile czasu trzeba na przepłyniecie cieśniny do Danii?

– Mniej niż godzinę; jest tak wąska, że można pluć na drugi brzeg. Ale ktoś będzie musiał zorganizować w Danii komitet powitalny.

– Zajmę się tym. – Ogilvie wstał i oświadczył tonem kończącym wszelkie dyskusje: – A więc, trzy dni i ani słowa Cutlerowi.

Po trzech dniach nasza akcja rozpoczęła się zgodnie z planem i wszystko szło dobrze. Sytuacja stawała się zdecydowanie absurdalna: dwaj faceci od Cutlera pętali się po antykwariatach, czekając na pojawienie się Ashtona i Bena. Byli całkowicie nieświadomi tego, że obserwuje ich dwóch Rosjan, którzy z kolei nie mieli pojęcia, że śledzi ich dwóch facetów z naszego wydziału. Mogłaby to być komedia z udziałem Petera Sellersa.

Wszyscy nasi mieli miniaturowe radiotelefony oraz ścisły zakaz korzystania z nich bez niezbędnej potrzeby, takiej jak przekazanie meldunku. Nie chcieliśmy, żeby Szwedzi zorientowali się, że odbywa się jakaś tajna akcja; gdyby przypadkiem się włączyli, wąskie uliczki Gamla Stan byłyby tak pełne tajnych agentów, że nie starczyłoby już miejsca dla turystów.

Siedziałem w samochodzie tak ustawionym, żebym mógł obserwować mosty wiodące z Gamla Stan do głównej części miasta; równocześnie miałem prowadzić nasłuch radiowy. Ogilvie został

u siebie w pokoju i dyżurował przy telefonie.

O dziesiątej trzydzieści ktoś się odezwał w radiotelefonie: – Sroka Dwa. Szpak idzie na północ po Vasterlangatan. – Ashton zmierzał w moim kierunku, więc obróciłem się na siedzeniu, żeby go dojrzeć. Wkrótce wyszedł zza rogu i poszedł ulicą prowadzącą wzdłuż Pałacu Królewskiego. Przeszedł koło mnie szybkim krokiem w odległości trzech metrów. Obserwowałem go do chwili, gdy skręcił na Norrbro\*<sup>[\* Most w Sztokholmie]</sup>, by przejść przez Helgeandsholmen, i włączyłem silnik. Zobaczyłem, jak Larry rusza z parkingu i zmierza w stronę Norrbro. Miał za zadanie znaleźć się przed Ashtonem.

Ja jechałem za nim, minąłem Ashtona, który już włókł za sobą ogon jak kometa, przejechałem po Norrbro i kilkakrotnie objechałem Gustav Adolfs Torg, by sprawdzić, czy wszystko przebiega zgodnie z planem. Zobaczyłem, jak Gregory rusza, żeby zrobić Larry’emu miejsce do parkowania; niezwykle ważne było, żeby Larry znalazł się w odpowiednim miejscu o odpowiednim czasie. Michaelis też trzymał dla niego miejsce do parkowania nieco dalej na zachód, na wypadek, gdyby Ashton wybrał się do miasta przez Vasabron. Włączyłem nadajnik i powiedziałem: – Sroka Cztery do Sroki Trzy, zwijaj się do domu.

Sam też tak zrobiłem, bo nie miałem nic do roboty. Od tego momentu wszystko było w rękach Larry’ego. Przejechałem tych kilka metrów, które mnie dzieliły od hotelu „Grand”, zaparkowałem samochód i poszedłem do pokoju Ogilvie’ego. Na pozór zachowywał spokój, ale w gruncie rzeczy był bardzo zdenerwowany. Przez chwilę gadaliśmy o niczym, aż nagle zapytał: – Myślisz, że Godwin sobie poradzi? Nie jest zbyt doświadczony.

– I nigdy nie zdobędzie doświadczenia, jeśli mu się nie da okazji. – Uśmiechnąłem się. – Będzie dobrze. Lada moment odegra rolę niedoświadczonego agenta KGB. Z tego punktu widzenia jego brak doświadczenia stanowi zaletę.

Czas mijał. O dwunastej trzydzieści Ogilvie zamówił do pokoju smörgasbord. – Nie ma powodu, żebyśmy rezygnowali z lunchu. Jeśli coś pieprznie, to nie będziesz miał czasu na jedzenie.

Za pięć pierwsza zadzwonił telefon. Przed odebraniem go Ogilvie podał mi dodatkową słuchawkę. Dzwonił Brent. – Szpak je lunch w operze – poinformował – podobnie zresztą jak ja i reszta towarzystwa. Na oko jest lekko przerażony.

– Jak Godwin poradził sobie z pierwszym spotkaniem?

– Szpak wszedł do narożnej księgarni przy Nybroplan. Godwin znalazł się przy nim, rąbnął się łydką o półkę i bluznął po rosyjsku; Szpak aż podskoczył. Larry się natychmiast zmył, zgodnie z planem.

– Co było dalej?

– Szpak położył trochę po mieście i przyszedł tutaj. Zobaczyłem, że się sadowi na dłużej, i wezwałem Larry’ego. Ten się zjawiał i zajął stolik dokładnie naprzeciw Szpaka. Na widok Larry’ego wyraźnie zrzędała mu mina. Larry właśnie odstawił piekielną kłótnię z kelnerem po szwedzku, z silnym rosyjskim akcentem. Wszystko na pełny regulator. Szpak jest wyraźnie zaniepokojony.

– A co na to reszta towarzystwa?

– Prawdziwe Ruski są cholernie zaskoczone. Chłopak od Cutlera... chwileczkę. – Po krótkiej pauzie Brent zachichotał. – Chłopak od Cutlera idzie do telefonu. Pewnie chce zameldować, że pojawili się Rosjanie. Chyba odstąpię mu ten aparat.

– Zostań na miejscu – polecił mu Ogilvie. – Trzymaj się Ashtona. – Odłożył słuchawkę i podniósł wzrok. – Zaczęło się.

– Wszystko jest przygotowane – uspokoilem go. Podniosłem słuchawkę i poprosiłem telefonistkę, żeby wszelkie rozmowy do mnie przełączała do pokoju Ogilvie'ego.

Nie musieliśmy długo czekać. Telefon zadzwonił i tym razem ja odebrałem. Usłyszałem głos Cutlera. – Panie Jaggard, możliwe, że w interesującej nas sprawie pojawił się istotny nowy element.

– A co takiego? – zapytałem z całkowitą powagą.

– Mój człowiek, który towarzyszy Ashtonowi, ma wrażenie, że pojawili się Rosjanie.

– Chodzą za Ashtonem?

– Tak.

– Ach! To fatalnie! A gdzie jest teraz Ashton?

– Na lunchu w operze. Czy mam obstawić Rosjanina? Może bym jeszcze zdążył.

Ogilvie, który trzymał przy uchu dodatkową słuchawkę, gwałtownie pokręcił głową. Uśmiechnąłem się i powiedziałem: – Chyba nie. Szczerze mówiąc, myślę, że najlepiej będzie, jeśli jak najprędzej wycofa pan wszystkich swoich ludzi. Przecież nie chce pan, żeby Rosjanie się zorientowali, że interesuje się pan Ashtonem?

– O, mój Boże! Oczywiście, że nie chcę! – zareagował Cutler błyskawicznie. – Ambasada nie może być w to zamieszana. Natychmiast zastosuję się do pańskiej rady. – Z wyraźną ulgą odłożył słuchawkę.

Ogilvie aż jęknął. – Co za idiota. Dobrze, że się go pozbyliśmy.

– Mamy teraz czyste pole – powiedziałem i włożyłem kurtkę. – Idę na Gamla Stan na początek drugiego aktu. Jeśli Larry odegra swoją rolę jak trzeba, to Ashton wykona jakiś zdecydowany krok. – Zrobiłem pauzę. – Wie pan, że nie jestem zadowolony, że załatwiamy to w ten sposób. Wolałbym po prostu z nim porozmawiać.

– Wiem – odparł Ogilvie z powagą. – Ale twoje preferencje nie mają tu nic do rzeczy. Bierz się do roboty, Malcolm.

No, więc wziąłem się do roboty. Poszedłem na Gamla Stan i spotkałem się z Hentym w barku w restauracji przy Vasterlanggatan. Zamówiliśmy po wódeczce i śledziku. Henty obserwował

mieszkanie, więc go zapytałem, gdzie jest Benson.

– Benson siedzi sobie spokojnie w domu. Rosjanin nadal go pilnuje, ale chłopak od Cutlera znikł. Może Benson go zgubił.

– Nie, Cutler już odpadł z gry. – Opowiedziałem mu dokładnie, co się wydarzyło.

Henty uśmiechnął się. – Więc lada moment coś tu pęknie. – Dokończył piwo i wstał. – Muszę już wracać.

– Pójdę z panem. – Wychodząc zapytałem go: – Pan wie wszystko o Szwecji; jeśli Ashton zechce zwiać, to jakie ma możliwości?

– Może zwiać drogą powietrzną z lotniska Bromma lub Arlanda, w zależności od tego, dokąd zechce się wybrać. Może także wsiąść do pociągu Samochodu nie ma.

– W każdym razie nic nam o tym nie wiadomo. Mógłby także skorzystać z drogi morskiej.

Henty pokręcił głową. O tej porze roku to mało prawdopodobne. W tym roku na Bałtyku jest bardzo dużo lodu – dziś rano Saltsjon był zamrożony. W takiej sytuacji nie można liczyć na przestrzeganie rozkładu rejsów. Na miejscu Ashtona nie ryzykowałbym. Gdyby się zdecydował na drogę morską, mógłby utknąć na statku, który nie ma szansy odpłynąć.

Mikrosłuchawka, którą miałem za uchem, nagle ożyła. – Sroka Dwa. Szpak przy pałacu, idzie w stronę Vasterlanggatan. Idzie szybko. – Sroka Dwa był Brent.

Powiedziałem do Henty'ego: – Nadchodzi. Niech pan idzie przodem, wypatrzy go i przyklei się do tego Rosjanina. Nie chcę, żeby mnie Ashton zobaczył.

Henty przyspieszył kroku, ja natomiast zwolniłem, snułem się od wystawy do wystawy. Wkrótce otrzymałem wiadomość, że Ashton dotarł bezpiecznie do domu, a zaraz potem pojawił się Henty z Larrym Godwinem. Obaj byli uśmiechnięci od ucha do ucha, a Henty oznajmił: – Ashton ma cholernego pietra.

Zapytałem Larry'ego: – Jak to zrobiłeś?

– Wyszedłem z opery za Ashtonem; bardzo ostentacyjnie. Usiłował mnie zgubić. Dwa razy nawet mu się udało, ale Brent zdołał mnie ponownie na niego naprowadzić.

Henty zachichotał. – Ashton tak zasuwał po Vasterlanggatan, że chyba pobił rekord świata w chodzie, a Godwin za nim, jakby walczył o wicemistrzostwo. Wpadł do siebie do bramy, jak królik do nory.

– Rozmawiałeś z nim, Larry?

– Przy samej mecie zawołałem: „Grażdanin Ashton, ostanowities!”, jakbym chciał, żeby się zatrzymał, ale tylko dodał gazu.

Uśmiechnąłem się lekko. Nie sądzę, żeby Ashton był zadowolony, że ktoś go nazywa „obywatelem”, zwłaszcza w połączeniu z jego angielskim nazwiskiem. – Następny ruch należy teraz do Ashtona, ale wątpię, żeby coś zrobił przed zapadnięciem zmroku. Larry, idź pod jego dom i prowadź obserwację, ale tak, żeby cię na pewno zobaczył. Tylko zrób trochę zamieszania, to znaczy pojawiaj się w nieregularnych odstępach czasu.

Zamieniłem jeszcze kilka słów z Hentym, potem zrobiłem obchód, żeby sprawdzić, czy wszyscy są na swoich miejscach i czy Rosjanie są dobrze kryci, a wreszcie zadzwoniłem do Ogilvie’ego i złożyłem mu meldunek.

Mniej więcej po godzinie zgłosił się Larry. – Jeden z tych Rusków mnie zaczepił – oznajmił. – Zapytał mnie, co ja wyprawiam.

– Po rosyjsku?

– Jasne. Więc ja go zapytałem, jakim prawem mnie wypytuje i komu podlega. Powołał się na towarzysza Latiewa z Ambasady Sowieckiej. Na to ja się wściekłem i powiedziałem, że Latiew nie ma już nic do gadania, że został zdjęty z tej roboty i że skoro dotychczas o tym nie wie, to znaczy że jest jeszcze głupszy, niż w Moskwie myślano. Potem oświadczyłem, że nie mam już czasu, i błyskawicznie się zmyłem.

– Całkiem nieźle – pochwaliłem go. – To powinno przyhamować towarzysza Latiewa na jakiś czas. A co z mieszkaniem Ashtona? Coś się tam dzieje? Jakoś zareagowali?

– Firanka lekko drgnęła.

– Okay. A teraz, jeśli Ashton będzie pryskał, nie chcę, żeby cię widział. Nie ma potrzeby wprawiać go w jeszcze większą panikę. Weź samochód Gregory’ego, niech cię wprowadzi w sytuację i zamelduje się u mnie.

Przyszło nam czekać długo i porządnie przy tym zmarznąć. Śnieg padał równo i wraz z zapadnięciem mroku od strony Riddarfjarden zakradła się mgła, która ogarnęła całe Gamla Stan, otoczyła mętnym pierścieniem światła uliczne i skutecznie ograniczała widoczność. Przez cały okres oczekiwania analizowałem wciąż w myślach wszystkie możliwości ucieczki, jakie miał Ashton, i zastanawiałem się, czy prawidłowo przewidziałem ewentualności. Razem z Hentym było nas sześciu, więc wystarczająco dużo, żeby obstawić dwóch Rosjan i nie spuścić z oczu Ashtona, gdziekolwiek się ruszy. Widząc, jak mgła gęstnieje, zacząłem myśleć o tym, żeby zgarnąć Ashtona od razu, na miejscu, ale zrezygnowałem z tego pomysłu. Dyskretne porwanie w centrum wielkiego miasta to bardzo trudne zadanie, a już na pewno nie jest to coś, co można zaimprovizować. Lepiej będzie działać zgodnie z planem i odizolować Ashtona.

Za dziesięć dziewiąta stało się! Gregory doniósł, że Ashton i Benson są na Lilia Nygatan i idą na południe. Obaj mają bagaże. Włączył się Michaelis i zameldował, że obaj Rosjanie też się ruszyli. Przywołałem w myślach plan manila Stan i doszedłem do wniosku, że nasi klienci zmierzają do postoju taksówek na Centralbron\*[\* Most w Szokholmie], więc samochodom w części południowej kazałem być



w pogotowiu. Ciekawe też, że po drugiej stronie Centralbron, w głównej części miasta, mieści się Dworzec Główny.

Następnie kazałem Michaelisowi i Henty'emu, dwóm naszym najsilniejszym zawodnikom, wyeliminować Rosjan z gry. Oświadczyli, że dzięki mgłę to żaden problem i że obu Rosjan będzie jutro nieźle bolała głowa.

Ale dalej sprawy zaczęły się nieco gmatwać. Kiedy Ashton i Benson dotarli na postój, wsiedli do osobnych taksówek. Benson pojechał po Centralbron w stronę dworca kolejowego, Ashton natomiast kazał się wieźć w kierunku dokładnie przeciwnym, w stronę Södermalm. Larry pojechał za Bensonem, a Brent za Ashtonem. Ja skontaktowałem się z resztą chłopaków i kazałem wszystkim kierować się na dworzec, bo w tych okolicznościach ta droga wydała mi się najbardziej prawdopodobna.

Kiedy dotarliśmy do dworca, zostałem w samochodzie i wysłałem Henty'ego, żeby poszukał w środku Larry'ego. Wrócił z Larrym, który natychmiast wszedł do auta i zameldował: – Benson kupił dwa bilety do Göteborga.

Wybierali się na zachód. Z mojego punktu widzenia było to dobrze; zawsze lepiej, że nie na wschód. – O której mają pociąg? – zapytałem.

Larry spojrzał na zegarek. – Za trzydzieści kilka minut. Kupiłem cztery bilety – i wziąłem rozkład jazdy.

Przyjrzałem się dokładnie rozkładowi i zacząłem głośno myśleć. – Pierwszy postój – Södertälje, następny – Eskilstuna. W porządku. – Dałem bilety Gregory'emu i Henty'emu. – Wsiądźcie do tego pociągu, odszukajcie Bena i Ashona, zameldujcie się radiotelefonem i trzymajcie się ich.

Gdy Henty i Gregory oddalili się w stronę hali dworcowej, Larry zapytał:

– A co my robimy?

– Siedzimy cicho jak mysz pod miotłą. – Odwróciłem się do Michaelisa:

– Przeleć się po dworcu i spróbuj wypatrzeć Ashona. Upewnij się, czy wszedł do tego pociągu i odjechał nim, a potem wróć tutaj.

Poszedł, a ja zastanawiałem się, jak też radzi sobie Brent. Wkrótce odezwał się w radiotelefonie Gregory. – Jesteśmy w pociągu, namierzyliśmy Szpaka dwa, ale Szpaka Jeden nie ma.

Zgubiliśmy Ashona. – Szukajcie dalej!

Czas mijał. Pięć minut przed odjazdem pociągu zacząłem się denerwować, zachodziłem w głowę, co się mogło stać z Ashtonem. Dwie minuty przed odjazdem pociągu zgłosił się Brent. – Zgubiłem go – powiedział ponuro.

– Gdzie?

– Cholera, zrobił sobie wycieczkę po wyspach: Södermalm – Langholmen i Kungsholmen, i tam właśnie mi się urwał. Odniosłem wrażenie, że w sumie – mierzą jakby w tym kierunku, więc zaryzykowałem i przyjechałem.

– Nie widzieliśmy go i jak na razie nie ma go w pociągu.

Za to jest Benson z dwoma biletami do Göteborga.

– O której jest odjazd?

Spojrzałem ponad jego ramieniem i zobaczyłem, że zbliża się do nas Michaelis. Pokręcił głową przecząco, a ja powiedziałem: – Właśnie odjechał, ale bez Ashtona.

– O, Boże! Co teraz robimy?

– Jedyne, co nam pozostało, to trzymać się Bensaona i prosić Boga o pomoc. Robimy tak: weźcie sobie z informacji rozkład jazdy i będziemy sprawdzać wszystkie postoje tego pociągu. Ty i Michaelis obstawicie pierwszy postój, czyli Södertälje. Porozumcie się z Gregorem i Hentym, którzy są w pociągu, i gdyby Benson wysiadł, działajcie razem. Meldujecie się Ogilvie’emu. Tymczasem ja z Larrym jedziemy do następnej stacji, to znaczy do Eskilstuna, i działamy analogicznie. A wy bierzecie na siebie kolejną stację i tak na przemian, aż pociąg dojedzie do Göteborga albo coś innego się wydarzy. Jasne?

– Okay.

– Koniecznie pamiętajcie, żeby meldować się Ogilvie’emu, bo tylko on może skoordynować nasze działania. Zaraz idę zadzwonić do niego.

Ogilvie bynajmniej nie był zadowolony, ale powstrzymał się od komentarzy. Przynajmniej na razie. Opowiedziałem mu, jak zamierzamy teraz działać. Wyraził swoją aprobatę chrząknięciem. – Działajcie dalej i informujcie mnie na bieżąco.

Wróciłem do samochodu, zwałem się na przednie siedzenie i powiedziałem do Larry’ego, który siedział za kierownicą: – Jedź do Eskilstuna i pamiętaj, że musimy przegonić pociąg.



Ze Sztokholmu do Eskilstuna jest około stu kilometrów.

Pierwsze czterdzieści jechaliśmy autostradą, więc przebyliśmy je dość szybko. Potem jednak rozpoczęła się zwykła szosa, z ruchem dwukierunkowym toteż mieliśmy znacznie mniejszą średnią prędkość. Noc była bezksiężycowa. Ale nawet gdyby świecił księżyc, i tak niewiele by to pomogło, bo niebo zakrywała gruba warstwa chmur, z których nieprzerwanie sypał gęsty śnieg.

Podobnie jak wszystkie nowoczesne szwedzkie samochody, nasz także był przystosowany do jazdy przy takiej pogodzie. Opony były uzbrojone w stalowe kolce, a reflektory wyposażone w wycieraczki, które zgarniały z nich nawarstwiający się śnieg. Nie oznaczało to jednak, że mogliśmy jechać szybko, i przypuszczam, że nasza prędkość, nieznacznie przekraczająca siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, była w tych warunkach nieco ryzykowna. Ani Larry, ani ja nie możemy uchodzić za kierowców rajdowych i cały czas bałem się, że nie zdążymy przed pociągiem. Na szczęście obejrawszy mapę stwierdziłem, że pociąg ma do przebycia dłuższą trasę, gdyż tory zataczają spory łuk. W dodatku pociąg musiał zaliczyć postój w Södertalje.

Po godzinie jazdy kazałem Larry'emu podjechać pod stację benzynową. Kiedy Larry brał paliwo, ja zatelefonowałem do Ogilvie'ego. Wróciłem do samochodu uśmiechnięty. – I co, dobre wiadomości? – zapytał Larry.

– Trudno o lepsze. Daj, ja poprowadzę. – Kiedy odjeżdżaliśmy spod stacji, dodałem: – Ashton próbował nas wykiwać. Gdy Brent stracił go z oczu, wcale nie jechał na dworzec w Sztokholmie. Kazał taksjarszowi zawieźć się na dworzec w Södertalje i tam wsiadł do pociągu. Teraz mamy ich obu.

Byłem więc w całkiem niezłym nastroju, kiedy zajechaliśmy pod budynek dworca kolejowego w Eskilstuna. Pociąg już stał na stacji. Włączyłem radiotelefon i wywołałem swoich współpracowników. – Sroki, jesteście tam? Odezwijcie się, Sroki.

W słuchawce usłyszałem: – Szpak z kolegą zwiali z pociągu.

– Co takiego?

– Co mam teraz robić? – spytał Henty.

– Wyskakuj z tego cholernego pociągu i chodź tu do nas. Stoimy przed stacją. – Zanim skończyłem mówić, szczęknęły wagony i pociąg wolno ruszył. Zacząłem się zastanawiać, czy Henty zdążył wysiąść, gdy zobaczyłem go, jak biegnie w naszą stronę. Opuściłem szybkę. – Wsiadaj! Na miłość boską, co się stało? Mów!

Henty siadł z tyłu. Ten cholerny pociąg nie wiadomo dlaczego zatrzymał się w szczerym polu, w jakiejś dziurze pod nazwą Akerssytkebruk. Nic się nie działo do chwili, kiedy znów ruszył; wtedy

Benson i Ashton zerwali się i wyskoczyli. Gregory rzucił się za nimi, ale ja już nie zdążyłem, zresztą rzucił się w takim stylu, że pewnie złamał nogę.

Rozłożyłem mapę drogową i zacząłem się jej przyglądać.

– Akersstykkebruk! Przecież tej dziury nawet nie ma na mapie. Zameldowałeś Ogilvie’emu?

– Nie. Właśnie zamierzałem to zrobić, kiedy się odezwałeś.

– Więc pewnie ja to muszę zrobić.

Wszedłem do budynku dworca, zadzwoniłem do Ogilvie’ego i usłyszałem jego rozdrażniony głos: – Co się dzieje, do jasnej cholery? Przed chwilą dzwonił do mnie Gregory z jakiejś zapadłej wiochy. Ma kłopoty z nogą – złamał ją albo skręcił, a w dodatku zgubił Ashtona. Przypuszcza, że chcą się dostać do miejscowości pod nazwą Strangnas.

Strangnas minęliśmy po drodze, a właściwie objechaliśmy obwodnicą. – Będziemy tam za godzinę – powiedziałem.

– To może być za późno – warknął Ogilvie. – Ale rusz się.

Wróciłem biegiem do samochodu. – Daj gazu, Larry, wracamy tą samą trasą. – Larry przesiadł się za kierownicę i ruszył, zanim zdążyłem zatrzaskać drzwi. Odwróciłem się do Henty’ego – Co może mi pan powiedzieć o Strangnas? Czy jest coś, co powinniśmy wiedzieć?

Strzelił palcami. – No, jasne! Z Akersstykkebruk do Strangnas prowadzi bocznicą kolejowa. Nie chodzą tam pociągi pasażerskie, tylko od czasu do czasu raslbuss.

– Co to takiego?

– Pojedynczy wagon z silnikiem dieslowskim.

– Powiedziałeś, że to bocznicą. To znaczy, że tory się kończą w Strangnas?

– Muszą. Inaczej wylądowałyby w jeziorze Malaren.

Pomyślałem chwilę. – Inaczej mówiąc ślepy tor. Dalej już się nie pojedzie.

– Koleją się nie pojedzie, ale samochodem tak. Jest droga, która z wyspy na wyspę prowadzi na północny brzeg jeziora Malaren. Tyle, że zrobiło się już późno, więc wątpię, czy o tej porze zdołają wynająć samochód.

– Racja – powiedziałem – ale daj do dechy, Larry. Wsłuchany w hipnotyzujący rytm wycieraczek zgarniających śnieg z szyby obserwowałem, jak z ciemności przede mną wyłania się droga. Światła naszych reflektorów rozjaśniły się, gdy Larry uruchomił umieszczone na nich wycieraczki. – Czy w Strangnas jest jeszcze coś ciekawego?

– To mała miejscowość – wyjaśnił Henty. – Ma ze dwanaście tysięcy mieszkańców; trochę przemysłu lekkiego – leki, penicylina, klisze do zdjęć rentgenowskich i tak dalej. Jest to także miasto

garnizonowe, gdzie stacjonuje Pułk szkoleniowy i Dowództwo Wschodniego Okręgu Wojskowego. – Nagle ożywił się. – Czy Ashton ma jakieś powiązania z wojskiem?

– Nie – odpowiedziałem.

Henty nie ustępował. – Ale gdyby miał, to by mi pan powiedział, co? To moja działka, a sporo wam pomogłem.

– Już panu mówiłem, że nie. Ashton nie interesuje się sprawami wojskowymi, podobnie zresztą jak ja. Nic nas nie obchodzą wasze tereny łowieckie.

Chyba go to przekonało. – Grunt, żeby wiedział.

Nie wracaliśmy aż do Akersstykkebruk; musieliśmy przede wszystkim odszukać Ashtona, natomiast nogą Gregory’ego mogliśmy się zająć później. Dotarliśmy do przedmieść Strangnas i pojechaliśmy ostrożnie zasypianymi śniegiem ulicami do brzegu jeziora i centrum miasteczka. Kilka rundek po centrum wystarczyło nam, żeby stwierdzić, że w mieście jest tylko jeden hotel. Zaparkowaliśmy więc naprzeciw „Hotelu Rogge” i posłałem Henty’ego, żeby zbadał sytuację.

Po pięciu minutach wrócił z wiadomością. – Obaj tu są, zameldowali się jako Ashton i Williams.

– A więc powrót do punktu wyjścia – stwierdziłem. – Znowu posługuje się swoim paszportem. Kozłów nagle stał się zbyt niebezpieczny.

– Wziąłem dla nas trzech pokoje.

– Nie; niech pan tu zostanie, a my z Larrym pojedziemy poszukać Gregory’ego. Zadzwoń do Ogilvie’ego i poproszę go, żeby ściągnął tu Michaelisa i Brenta. Bóg jeden wie, gdzie oni teraz są. Niech skorzystają z tych dwóch pozostałych pokoi. My z Larrym będziemy z powrotem na szóstą rano i chcę, żeby hotel był obstawiony dokładnie w środku i na zewnątrz. Gdzie są teraz Ashton i Benson?

– Nie widać ich w żadnym holu, kawiarni ani restauracji – powiedział Henty. – Najprawdopodobniej poszli spać.

– Tak, są już trochę za starzy na takie zabawy – skonstatowałem. – Prawdę mówiąc ja chyba też.



Gregory zachował się bardzo rozsądnie; siedział cierpliwie na stacji w Akersstyckebruk i czekał, aż ktoś go stamtąd zabierze. Zmarzył i zdrętwiał od tego czekania, był zmęczony i piekielnie go bolała kostka, więc pojechaliśmy prosto do hotelu. O piątej rano we dwóch z Larrym wyruszyliśmy powrotem do Strangnas. Gregory nie musiał się zrywać tak wcześnie, bo postanowiłem odesłać go z powrotem do Sztokholmu. Nie mógł nam się przydać, gdyż z jego kostką było naprawdę kiepsko, ale miał przynajmniej tę satysfakcję, że się dowiedział, iż to dzięki niemu zaczęliśmy się na Ashtona Bensona.

Dochodziła szósta, kiedy zaparkowałem samochód za rogiem koło „Hotelu Rogge”, a punktualnie o szóstej odezwał się przez radiotelefon. – Cześć – powiedziałem wesoło. – Jak tam Sroki, już się pobudziły?

W słuchawce zabrzmiał ponury głos Henty’ego: – Co się pan tak cholernie cieszy? – Ci dwaj dojechali?

– Tak, o drugiej w nocy. Jeszcze śpią.

– A Szpak ze swoim przyjacielem?

– Są tu, jak najbardziej. Upewniłem się. Też jeszcze nie wstali. – Zamilkł na moment. – A ja, cholera, muszę wstawać.

– Niech pan do nas przyjdzie. Jesteśmy zaraz za rogiem, na... – Wyciągnąłem szyję, żeby odczytać nazwę ulicy. – Na Kallagatan.

Nic mi nie odpowiedział, ale szum radiowy ucichł, wobec czego wyłączyłem radiotelefon. Minął dobry kwadrans, zanim się pojawił, więc pogadaliśmy sobie z Larrym o wszystkim i o niczym. Nie było wiele do powiedzenia, bo mieliśmy już sprawę przemaglowaną tam i z powrotem. Henty przyszedł świeżo ogolony i był chyba w niezłej formie, choć nadal trochę naburmuszony. – Bry – mruknął ładując się na tylne siedzenie samochodu.

Podaliśmy mu przez ramię termos. – Niech się pan rozchmurzy.

Odkręcił korek i z uznaniem powąchał zawartość. – Aaa, kawa po irlandzku! – Nalał sobie pełen kubeczek i przez chwilę nic nie mówił. Wreszcie odezwał się: – No, już lepiej.

Jaki mamy gryplan?

– O której jest śniadanie?

– Nie wiem. Powiedzmy, od siódmej albo wpół do ósmej. W tych prowincjonalnych hotelach bywa różnie.



– Chcę, żebyście wszyscy trzej zeszli na śniadanie, gdy tylko otworzą restaurację; pan siądzie przy jednym stoliku, Michaelis z Brentem przy drugim. Mają ze sobą rozmawiać i jeden z nich na bieżąco relacjonuje przez radiotelefon wszystko, co będą robić Ashton i Benson od momentu, kiedy zejda na śniadanie. Chcę wiedzieć dokładnie, jak się Ashton będzie zachowywał i jak reagował.

– Możemy to zrobić – powiedział Henty – ale nie bardzo rozumiem po co.

Wyjaśniłem mu więc. – Mniej więcej w połowie śniadania przyjdzie Larry i powtórzy swój rosyjski numer.

– O, rany! Przecież on dostanie zawału!

– Musimy kontynuować presję – powiedziałem. – Nie chcę, żeby mieli czas wynająć samochód, i muszę ich dość wcześnie wyprowadzić poza teren miasta. Gdzie jest furgonetka, którą załatwił Michaelis?

Henty machnął ręką, wskazując przeciwległą stronę ciemnej ulicy. – Na parkingu hotelowym.

– W porządku. Niech siedzi w furgonetce i czeka gotowy w każdej chwili ruszyć za Ashtonem. Gdyby się dało, chciałbym zakończyć tę cholerną imprezę przed ósmą. A teraz niech pan idzie budzić te śpiące królewny.

Kiedy zostaliśmy sami, Larry przyjrzał mi się z zaciekawieniem. – Wiem, że starasz się pozostać w cieniu – powiedział – ale jeśli to wszystko wyjdzie kiedyś na jaw, to wątpię, żebyś miał dobre notowania u Ashtonów.

– Wiem – powiedziałem krótko – ale Ogilvie chce, żeby to w taki sposób załatwić. A ja w dodatku mam własny interes, żeby się nie ujawnić. – „O, Boże! – pomyślałem. – Gdyby Penny się o tym dowiedziała, to by mi do końca życia nie przebaczyła”.

Czas mijał, a my dzieliliśmy się zawartością termosy. Strangnas zaczęło się budzić i na ulicach pojawiły się pierwsze samochody oraz pierwsi przechodnie. Kilku z nich rzuciło w naszą stronę zaciekawione spojrzenia. Sądzę, że rzadko się zdarza, żeby dwóch facetów siedziało o tak wczesnej porze w zaparkowanym samochodzie, więc kazałem Larry’emy wjechać na parking hotelowy, gdzie byliśmy nieco mniej wystawieni na oczy ciekawskich.

Śniadanie w hotelu podawano od wpół do ósmej. Dowiedziałem się tego, ponieważ Jack Brent zaczął nadawać opisując mi ze szczegółami, co je. Opisał mi śledzia i gotowane jajka, ser i kawę oraz wszystkie dodatki, aż mi zaczęła ślinka lecieć. Drań robił to z premedytacją.

Ponieważ nie reagowałem, znudziło mu się i przestał nadawać, ale za dziesięć ósma znów się włączył i oznajmił: – Właśnie weszli. Usiedli; dzielą ich ode mnie dwa stoliki. Benson ma kwaśną minę, ale Ashton jest chyba w całkiem dobrym humorze.

Nikt by się nie domyślił, że Brent nadaje; wyglądało jakby prowadził ożywioną rozmowę z Michaelisem, ale każde jego słowo chwytał mikrofon krtaniowy, umieszczony pod węzłem krawata. Dźwięk z mikrofonu krtaniowego był wyjątkowo płaski i martwy; nie wychwytywał żadnych odgłosów w tle – nie było słychać szczęku sztućców czy filiżanek z kawą – dochodził tylko silnie

wzmocniony głos Brenta i świst jego oddechu. Każde jego słowo docierało wyraźnie, nawet gdy mówił szeptem.

Słuchałem jego opisu i czułem się coraz bardziej niezręcznie. Nie ze względu na Ashtona, który, z tego co mówił Brent, był na luzie. Czułem się niezręcznie ze względu na siebie i rolę, jaką odgrywałem w tej szopce. Wiele bym dał, żeby móc wejść do „Hotelu Rogge”, usiąść przy stoliku Ashtona i pogadać z nim po ludzku. Byłem przekonany, że w rozmowie potrafiłbym nakłonić go, by wrócił do Anglii, ale Ogilvie się na takie rozwiązanie nie zgadzał. Nie chciał, żebyśmy się zdekonspirowali.

Byłem w bardzo ponurym nastroju, kiedy zwróciłem się do Larry’ego i powiedziałem cicho: – Dobra, idź na śniadanie. – Larry wysiadł i wszedł do hotelu.

– Ashton właśnie dolał sobie kawy – zakomunikował Brent. – Nie stracił apetytu, to pewne. Ho, ho! Właśnie wszedł Larry Godwin. Ashton jeszcze go nie zauważył, Benson też nie. Larry rozmawia z kelnerką przy drzwiach. Boże, jak on się pastwi nad szwedzkim – aż tutaj go słyszę. Ashton też go słyszy. Odwrócił się i patrzy na Larry’ego. Nie widzę jego twarzy. Odwrócił się znowu i teraz trąca łokciem Bensa. Zrobił się blady jak ściana. Teraz zbliża się kelnerka z Larrym, prowadzi go do stolika. Larry przechodzi obok stolika Ashtona, odwraca się i coś do niego mówi. Ashton przewrócił filiżankę z kawą. Benson ma cholernie ponurą minę. Chyba tak wygląda człowiek zdolny do morderstwa. Nigdy nie był piękny, ale szkoda, że teraz go nie widzisz. Ashton chce wstać i wyjść, ale Benson go powstrzymuje.

Zmieniłem falę w moim aparacie i głos Brenta nagle umilkł. – Henty – powiedziałem – niech pan kończy śniadanie i wyjdzie. Obstawia pan front hotelu. Michaelis, ty też wychodź, idź do furgonetki i obstawiaj tył.

Wyjechałem z parkingu hotelowego, podjechałem kawałek po Kallagatan i ustawiłem samochód w takim miejscu, że miałem widok na wejście do hotelu. Kiedy przełączyłem się z powrotem na falę Brenta, usłyszałem jego głos: – ...wydaje się kompletnie zdruzgotany, a Benson coś do niego mówi z ożywieniem. Mam wrażenie, że z trudem usiłuje zapanować nad sytuacją. Powinno chyba być odwrotnie, bo w końcu Benson jest tylko służącym Ashtona. W każdym razie z tego miejsca tak to wygląda – Ashton chce się zerwać, a Benson go powstrzymuje. Larry nie przejawia żadnej aktywności – spokojnie konsumuje śniadanie – ale od czasu do czasu spogląda na Ashtona i posyła mu uśmiech. Chyba Ashton już długo tego nie zniesie. Będę musiał kończyć nadawanie, bo Michaelis wychodzi i wyglądałoby to idiotycznie, gdybym gadał sam do siebie.

Przestał mówić i umilkł szum radiowy. Zmieniłem falę. – Larry, kiedy Benson i Ashton będą wychodzili, idź za nimi razem z Brentem. – Zobaczyłem, jak Henty wychodzi z hotelu i przechodzi na drugą stronę ulicy. Wkrótce po nim hotel opuścił Michaelis, obszedł budynek i udał się na parking znikając mi z pola widzenia.

Dziesięć minut później w drzwiach pojawili się Ashton i Benson z bagażami. Wyszli na chodnik i Ashton rozejrzał się niepewnie w prawo i w lewo. Powiedział coś do Bensa, który tylko pokręcił głową. Wyglądało na to, że się w jakiejś sprawie nie zgadzają. W tyle za nimi w drzwiach hotelu ukazał się Larry.

– Podejdz do Ashtona i zagadnij go – poinstruowałem Larry’ego. – Powiedz mu, żeby poszedł za tobą. Jeśli się zgodzi, zaprowadź go do furgonetki i każ mu usiąść z tyłu.

– A co z Bensonem?

– To samo, jeśli się uda.

Ashton zorientował się, że Larry mu się przygląda, i szarpnął Bensa za rękaw. Benson kiwnął głową i obaj ruszyli ulicą, ale zatrzymali się na dźwięk głosu Larry’ego. Larry zbliżył się do nich szybkim krokiem i zaczął mówić. Natychmiast potem z hotelu wyszedł Brent i zatrzymał się opodal.

Docierała do mnie jednostronna rozmowa. Larry mówił szybko po rosyjsku, a Ashton dwukrotnie skinął głową, ale Benson wtrącał się, przecząco kręcił głową i usiłował odciągnąć swego pracodawcę. Wreszcie mu się to udało i obaj ruszyli szybkim krokiem, zostawiając Larry’ego na środku ulicy. Szli prosto na mnie, więc dałem nura.

Leżąc na podłodze samochodu odezwałem się do Larry’ego:

– Co się stało?

– Ashton już chciał iść, ale Benson się sprzeciwił. Wszystko nam popsuł.

– Czy Benson mówi po rosyjsku?

– Nie, ale dostatecznie dużo rozumie.

– Gdzie są teraz?

– Idą ulicą, minęli cię, są jakieś trzydzieści metrów za twoim samochodem

Usiadłem normalnie i spojrzałem w lusterko wsteczne. Ashton i Benson oddalali się szybko w stronę dworca.

Dalej wydarzenia przybrały niezbyt sympatyczny obrót, ponieważ dosłownie wypchnęliśmy ich z miasta. Kiedy dotarli do dworca, natknęli się na Brenta, a kiedy próbowali cofnąć się do centrum, nadziali się na Larry’ego i Henty’ego. Wkrótce zdali sobie sprawę, że mają czterech przeciwników i choćby nie wiem jak się starali, w którąkolwiek stronę się ruszą, są konsekwentnie spychani na obrzeża miasta. I cały czas to ja dyrygowałem tym przedziwnym tańcem, manipulowałem nimi jak kukielkami. Wcale się sobie nie podobałem.

Wreszcie dotarliśmy do głównej szosy Sztokholm-Eskilstuna i Ashton z Bensonem rzucili się biegiem przez jezdnię. Benson omal nie został potrącony przez samochód, który przemknął z jękiem klaksonu. Po drugiej stronie nie było już domów ani ulic, tylko sosny i sosny bez końca. Kazałem Michaelisowi wrócić po furgonetkę, a pozostałych trzech wysłałem do lasu. Sam zaparkowałem samochód i ruszyłem ich śladem. Zdawało się, że nasza obława dobiega końca – nigdzie chyba człowiek nie może być tak samotny jak w szwedzkim lesie.

Ci dwaj niemłodzi faceci poruszali się w trudnym terenie znacznie szybciej, niż się spodziewałem. Ashton już przedtem dowiedział mi swojej sprawności fizycznej, ale nie podejrzewałem Bensona o taką dobrą kondycję, bo w końcu był o kilka lat starszy od Ashtona. W zalesionym terenie widoczność była zła, a Ashton z Bensonem mylili pościg zmieniając co chwila kierunek. Dwa razy zgubiliśmy ich. Za pierwszym razem odnaleźliśmy ich ślad zupełnym przypadkiem, za drugim razem natknęliśmy się na bagaże, które porzucili. Przez cały czas to ja dowodziłem z zaplecza, kierowałem akcją przez radio.

Zagłębiliśmy się w las na jakieś trzy kilometry i zaledwie mogliśmy się poruszać. Było ślisko – albo z powodu warstwy lodu i śniegu, albo – co było jeszcze gorsze – z powodu warstwy igieł sosnowych. Teren wznosił się i opadał; nieznacznie zresztą, ale wystarczająco stromo, żebyśmy dostawali zadyszki, kiedy trzeba się było wspinać. Zatrzymałem się na szczycie jednego z pagórków i usłyszałem w słuchawce głos Brenta: – Co to było, do cholery?

– Co?

– Posłuchaj!

Zacząłem nasłuchiwać próbując opanować zadyszkę. Gdzieś z oddali dobiegł mnie grzechot wystrzałów. Zdawały się dochodzić z głębi lasu przed nami.

– Ktoś poluje – stwierdził Larry.

– Za pomocą karabinu maszynowego? – zapytał Brent z niedowierzaniem.

– Cicho! – przerwałem im. – Czy wiadomo, gdzie jest Ashton?

– Stoję nad wąwozem – odezwał się Henty. – Jest tu mało drzew, widzę Ashtona i Bensona, są jakieś czterysta metrów ode mnie.

– Wszystko pięknie, ale gdzie pan jest, do cholery?

– Idźcie prosto przed siebie. To długi wąwóz, natkniecie się na niego.

– Wszyscy naprzód – powiedziałem.

Znów rozległy się strzały, tym razem były to pojedyncze salwy oddawane w nierównomiernych odstępach. Z całą pewnością nie były to strzały z broni maszynowej, jak sugerował Brent.

Brzmiało to jak strzelanina z westernu. W każdym razie zachodziłem w głowę, co się dzieje. Myśliwi nigdy nie urządzą takiej pukaniny.

Nie przerywałem marszu, aż dotarłem na szczyt pagórka, z którego ukazał mi się widok na wąwóz. Henty miał rację; drzewa rosły tu stosunkowo rzadko a warstwa śniegu była znacznie grubsza. W dali zobaczyłem Bensona i Ashtona, którzy poruszali się bardzo wolno; być może zwolnili tempo z powodu śniegu, ale myślę, że pościg ich zmęczył. Henty znajdował się w wąwozie pod miejscem, w którym stałem, a Brent i Larry zbiegali skosem po stoku odcinając drogę naszej zwierzynie.

Znów rozległy się strzały; bez wątpienia były to strzały z karabinu maszynowego, i to nie jednego. Potem nastąpiły jakby głuche kaszlnięcia, a po nich dudniące eksplozje. W pewnej odległości, ale wcale nie tak daleko, po drugiej stronie wąwozu, zobaczyłem nad czubkami drzew mgiełkę dymu.

Henty zatrzymał się, obejrzał się na mnie i zamachał do mnie, a potem odezwał się przez radiotelefon: – Wiem, co to jest. To poligon. Mają ćwiczenia.

– Z ostrą amunicją?

– Sądząc po odgłosach, myślę, że tak. To były mózdzierze.

Ruszyłem biegiem, potykając się na nierównościach i ślizgając się po zboczu. Kiedy dotarłem na dno wąwozu, zobaczyłem, że Brent i Larry są z pięćdziesiąt metrów od Ashton'a i szybko go doganiają. Ashton zmienił kierunek, a ja krzyknąłem: – Brent, Larry, do tyłu!

Zawahali się przez moment, ale pościg ich tak wciągnął, że nie przerwali biegu. Znowu krzyknąłem: – Do tyłu! Tam strzelają!

Zatrzymali się, ale ja biegłem dalej. Postanowiłem porozmawiać z Ashtonem osobiście, bez względu na instrukcje Ogilvie'ego. Trzeba było położyć kres tej okrutnej grze, zanim ktokolwiek zginie. Ashton wspinał się na zbocze po drugiej stronie wąwozu ku rosnącym na górze drzewom, ale posuwał się bardzo wolno. Bensaona nigdzie nie było widać. Biegłem tak forsownie, że myślałem, że mi płuca pękną z wysiłku, i zacząłem go doganiać.

Znalazłszy się wreszcie dostatecznie blisko, krzyknąłem – Ashton! George Ashton, stać!

Odwrócił głowę i obejrzał się na mnie, a w tej samej chwili rozległa się kolejna seria wystrzałów i kolejne wybuchy pocisków z mózdzierzy. Zrzuciłem z głowy futrzaną czapkę, żeby mógł mnie rozpoznać. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia i zawahał się na moment, a potem zatrzymał się i odwrócił. Brent i Larry zbliżali się do mnie z lewej strony, a z prawej nadbiegał Henty.

Właśnie zamierzałem znowu krzyknąć do niego, kiedy rozległ się pojedynczy strzał, tym razem z niewielkiej odległości, i Ashton poleciał do przodu, jakby się potknął. Dzielilo mnie od niego zaledwie dziesięć metrów i usłyszałem jak jęknął. Potem rozległ się drugi strzał, Ashton obrócił się gwałtownie, upadł i stoczył po zboczu prosto pod moje stopy.

Uprzytomniłem sobie, że Henty mija mnie, i kątem oka dostrzegłem w jego ręce pistolet. Pochyliłem się nad Ashtonem. Kaszlnął i z kącika ust pociekła mu krew. W jego oczach wciąż malowało się zdumienie wywołane moim widokiem. Wykrztusił: – Malcolm... co...

– Spokojnie, George, spokojnie – powiedziałem i wsunąłem rękę pod jego płaszcz. Natrafiłem na coś ciepłego i mokrego.

Zaczął szukać czegoś w kieszeni na piersi i wymamrotał: – Po...po... – Jego zaciśnięta ręka znalazła się na wysokości mojej twarzy. – Po...po... – Potem opadł do tyłu, a jego oczy, wciąż otwarte i wyrażające jeszcze większe zdumienie, patrzyły prosto w niebo. Ashton nie mrugnął, kiedy płatek śniegu osiadł mu na gałce lewego oka.

W dali dudniły moździerze i grzechotały karabiny maszynowe, gdzieś bliżej rozbrzmiewały także pojedyncze wystrzały. Spojrzałem w dół na Ashtona i zakląłem cicho. Brent kucnął w śniegu obok: – Nie żyje?

Wyjąłem mu rękę z za pazuchy i spojrzałem na krew. Zanim ją wytarłem o śnieg, powiedziałem: – Sprawdź mu tętno.

Gdy Brent ukląkł przy Ashtonie, ja się podniosłem i pomyślałem, jak haniebnie zawaliliśmy, jak haniebnie ja zawałem robotę. Śnieg wokół ciała Ashtona zmieniał barwę z białej na czerwoną. Brent spojrzał na mnie. – Tak, nie żyje. Ilość krwi wskazuje, że chyba dostał w aortę. Dlatego poszło tak szybko.

Nigdy w życiu nie czułem się tak podle. Zapędziliśmy Ashtona, wystawiliśmy go prosto na strzał, jak nagonka zwierzynę. Co za idiotyzm. W tym momencie nie czułem się człowiekiem.

Śnieg chrzęścił pod butami Henty'ego, gdy schodził ku nam ze zbocza. W prawej ręce niedbale trzymał pistolet. – Załatwiłem go – powiedział rzeczowo.

Gdy podszedł bliżej, poczułem lekki zapach prochu. – Kogo? Na miłość boską! Kogo pan załatwił?

– Bersona.

Wbiłem w niego wzrok. – Zastrzelił pan Bersona!

Spojrzał na mnie zdziwiony. – Przecież strzelił do Ashtona, nie?

Całkiem zgłupiałem. – Naprawdę?

– Jasne. Sam widziałem. – Henty odwrócił się i spojrzał w górę na zbocze.

– Może z tej perspektywy nie mógł pan dostrzec, ale ja widziałem dokładnie.

Wciąż jeszcze do mnie nie docierało. – Benson strzelał do Ashtona!

– Cholernik byłby mnie też załatwił – powiedział Henty. – Strzelił do mnie, jak tylko się pojawiłem tam na górze. A jeśli ktoś do mnie strzela, to zawsze się rewanzuję.

Nigdy nie przyszło mi do głowy zapytać Henty'ego, czy ma broń. Zgodnie z rozkazami Ogilvie'ego żadna z pozostałych osób nie była uzbrojona, ale Henty był z innego wydziału. Wciąż jeszcze stałem i gapiłem się na niego kiedy z góry doszedł nas zgrzyt i grzechot. Czołg wysunął nos nad szczyt pagórka, a potem ruszył w głąb wąwozu. Tym nosem była lufa 105-milimetrowego szybkostrzelnego działa, które wyglądało, jakby miało 16 cali, gdy wieżyczka obróciła się i wycelowała w naszą gromadkę. Ale po co się aż tak wysilali? Karabin maszynowy z wieżyczki tego Centuriona rozprawiłby się z nami równie skutecznie i znacznie tańszym kosztem.

Gdy czołg się zatrzymał, ukląknę przy ciele Ashtona.

Otworzyła się klapa wjazdu, wysunęła się z niego głowa, a następnie tułów. Oficer zsunął na czoło gogle i ogarnął nas nieco zdziwionym spojrzeniem. Henty zrobił ruch, ale czołgista warknął: – Stopp – Henty z westchnieniem rzucił pistolet w śnieg.

Rozchyliłem zaciśniętą rękę Ashtona i spojrzałem, co on takiego wygrzebał z kieszeni. Był to zmięty rozkład jazdy pociągów na trasie Sztokholm – Göteborg.





Nie wiem, jakie sprężyny poruszono i na jak wysokich szczeblach, ale faktem jest, że Szwedzi traktowali mnie niezwykle uprzejmie – lodowato uprzejmie. Gdybym się choć przez moment zastanowił, to ta lodowata poprawność w stosunku do mnie przeraziłaby mnie bardziej niż cokolwiek innego. Ale w tym czasie w ogóle nie myślałem – byłem wewnątrz martwy, a mózg zamarł mi na kość.

Szwedzi znaleźli na terenie wojskowym zwłoki dwóch facetów oraz czterech żywych osobników. Jeden z denatów miał przy sobie dwa paszporty, jeden skradziony i jeden autentyczny, drugi miał natomiast trzy paszporty, wszystkie fałszywe. Paszporty żywych były autentyczne. Jeden z nieżyjących facetów podobno strzelił i zabił drugiego, a następnie sam zginął z rąk jednego z czwórki żyjących, pewnego Australijczyka zamieszkałego i zatrudnionego w Szwecji. Australijczyk nie miał pozwolenia na broń.

W sumie sytuacja była paskudna.

Ogilvie nie był w to zamieszany, rzecz jasna, podobnie zresztą jak Michaelis i Gregory. Michaelis czekał z furgonetką na szosie, ale dyskretnie się wycofał, kiedy oddział piechoty z pełnym wyposażeniem bojowym wypadł z lasu i zaczął metodycznie rozbierać na części pierwsze mój samochód. Michaelis pojechał do Strangnas, skąd zadzwonił do Ogilvie'ego, który wycofał go do Sztokholmu. To, co Ogilvie usłyszał w ambasadzie, przekonało go o wyższości klimatu londyńskiego nad chłodem Sztokholmu. Wszyscy trzej jeszcze tego samego wieczoru wylądowali w Londynie, Cutler zaś powtarzał: – A nie mówiłem?

Nas czterech przewieziono do koszar wojskowych w Strangnas, do kwatery głównej Królewskiego Regimentu Södermanlandzkiego i Dowództwa Wschodniego Okręgu Wojskowego. Tu poddano nas rewizji; duże zdziwienie wywołał nasz sprzęt radiowy. Niewątpliwie wyciągnięto z tego odpowiednie wnioski. Źle nas nie traktowano; Jeśli jedzenie, jaki nam dali, jest typowe dla kuchni wojskowej, to żołnierzom szwedzkim żyje się o niebo lepiej niż angielskim. Nie wolno nam było tylko rozmawiać, a nad przestrzeganiem tego zakazu czuwali dwaj krzepcy wojacy uzbrojeni w karabiny półautomatyczne.

Następnie wprowadzono mnie do pustego pomieszczenia i kiedy myślałem, że zaraz zacznie się przesłuchanie, pojawił się jakiś cywil i zaczął obtańcowywać wojskowych. Przynajmniej takie miałem wrażenie słysząc podniesione głosy dochodzące ze znajdującego się obok pokoju biurowego. Potem do mojego pokoju wszedł pułkownik w asyście cywila. Przyjrżeli mi się bez słowa i wyszli, a mnie przeniesiono do celi, w której przesiedziałem trzy tygodnie – z godziną przerwą każdego dnia na spacer. Przez cały ten czas nie widziałem nikogo z naszych, Szwedzi zaś nie chcieli mi nawet powiedzieć, która godzina, więc teoretycznie powinna mi być dokuczać samotność. Ale nic z tych rzeczy. Nic absolutnie mi nie dokuczało, bo czułem się tak, jakby mnie wcale nie było.

Pewnego ranka obudzono mnie o trzeciej nad ranem, zaprowadzono do łaźni i kazano się wykapać.

Kiedy wyszedłem spod prysznic, zobaczyłem swoje ubranie – drelichy wojskowe, które mi przydzielono w więzieniu, znikły. Ubrałem się, sprawdziłem zawartość portfela i przekonałem się, że niczego w nim nie brakuje. – Oprócz paszportu i radiotelefonu. Przeprowadzono mnie przez mroczny, pokryty śniegiem plac apelowy i wprowadzono do pokoju biurowego, w którym czekał na mnie jakiś cywil. Nie był jednak cywilem, bo przedstawił mi się jako kapitan Morelius. Miał bystre szare oczy i kaburę z pistoletem pod pachą. – Pójdzie pan ze mną – powiedział.

Wyszliśmy na zewnątrz i wsiedliśmy do Volvo z szoferem za kierownicą. Kapitan Morelius odezwał się do mnie po raz drugi dopiero po trzech godzinach, kiedy znaleźliśmy się na płycie lotniska Arlanda. Wskazał mi wówczas samolot marki Trident, należący do British Airways, i oznajmił: – To pański samolot, panie Jaggard. Domyśla się pan, że nie jest pan już mile widziany w Szwecji. – I ani jednego słowa więcej.

Podeszliśmy do schodków, podał bilet stewardowi, który ulokował mnie w pierwszej klasie. Potem wpuścili zwykłych śmiertelników i w dwadzieścia minut później byliśmy już w powietrzu. Steward usługiwał mi niezwykle troskliwie, myśląc zapewne, że jestem kimś bardzo ważnym, i przyznam, że po miesiącu abstynencji z wielką przyjemnością wypilem drinka.

Kiedy wylądowaliśmy na Heathrow, zacząłem się zastanawiać, jak sobie poradzić bez paszportu; zdecydowanie nie miałem ochoty tłumaczyć się i udzielać szczegółowych wyjaśnień. Jednakże czekał na mnie Ogilvie i przeprowadził mnie poza kontrolą paszportową, i celną. Kiedy znaleźliśmy się już w jego samochodzie, zapytał: – Jak tam, Malcolm, w porządku?

– Tak. – Zrobiłem pauzę. – Przepraszam.

– Nie przejmuj się – odparł. – Opowiesz mi o tym dokładnie później. W drodze do miasta rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o tym, co się wydarzyło w Szwecji. Poinformował mnie o tym, co się dzieje na świecie, opowiedział o nowym ciekawym spektaklu i ogólnie rzecz biorąc gadaliśmy o niczym. Kiedy podjechaliśmy pod mój dom, powiedział: – Prześpij się. Rano przyjdź do mnie do biura.

Wysiadłem z samochodu. – Chwileczkę! A jak Penny?

– Chyba nieźle. Jest teraz w Szkocji.

– Już wie?

Kiwnął głową, wyjął portfel i wydobyl z niego wycinek gazetowy. – Możesz to sobie zatrzymać – powiedział, włączył bieg i odjechał.

Poszedłem na górę do swego mieszkania i dziwnie się poczułem widząc znajome kąty. Stałem w progu i patrzyłem, aż wreszcie zorientowałem się, że wciąż trzymam w ręku wycinek z gazety. Pochodził z „Timesa” i brzmiał tak:

ZABÓJSTWO W SZWECJI

Dwaj obywatele brytyjscy, George Ashton (56) i Howard Greatorex Benson (64) zginęli wczoraj niedaleko Strangnas w Szwecji, gdy przypadkiem zapuścili się na teren strzelnicy, używanej przez armię szwedzką. Obaj ponieśli śmierć od wybuchu pocisku. Rzecznik armii szwedzkiej oznajmił, że teren był wyraźnie oznakowany, a na wszystkich okolicznych drogach znajdowały się tablice informacyjne. Miejscowa prasa oraz stacje radiowe uprzedzały o tym, że ćwiczenia odbywają się przy użyciu ostrej amunicji. Gazeta datowana była pięć dni po śmierci Ashtona i Bensa.



Gdy wszedłem do biura, Larry Godwin siedział na swoim miejscu za biurkiem i czytał „Prawdę”; wyglądał tak, jakby nigdy się stamtąd nie ruszał. Podniósł wzrok znad gazety. – Cześć, Malcolm. – Nie uśmiechnął się. Ja zresztą też nie. Obaj wiedzieliśmy, że nie ma powodu do radości.

– Kiedy wróciłeś?

– Trzy dni temu; Brenta puścili dzień wcześniej.

– A Henty?

Pokręcił głową. – Nie widziałem go.

– Jak cię traktowali?

– Nieźle. Tyle, że czułem się trochę odcięty od świata.

– Ogilvie już cię wymaglował?

Larry skrzywił się. – Wydoił ze mnie wszystko, jak piwo z butelki. Do tej pory czuję się, jakbym był kompletnie pusty w środku. Teraz twoja kolej.

Kiwnąłem głową, podniosłem słuchawkę telefonu i powiadomiłem sekretarkę Ogilvie’ego, że jestem na miejscu. Potem usiadłem, by zastanowić się nad swoją przyszłością i nie widziałem przed sobą nic, prócz gęstej mgły. Z zadumy wyrwał mnie Larry: – Ktoś dobrze wiedział, jakie sprężyny i gdzie nacisnąć. Nie miałem najmniejszej ochoty na odsiadkę w szwedzkim pudle. Wysłaliby nas pewnie na szwedzką Syberię, gdzieś pod kołem podbiegunowym.

– Tak – powiedziałem – z roztargnieniem. Zastanawiałem się, czego Szwedzi zażądali w zamian za to, że nas uwolnili i nie nadali sprawie rozgłosu.

Ogilvie wezwał mnie do siebie dwadzieścia minut później. – Siadaj, Malcolm. – Pochylił się do interkomu. – Do przerwy obiadowej proszę mnie dzisiaj już z nikim nie łączyć – nakazał groźnie, a potem spojrzał na mnie. – Chyba mamy sporo do obgadania. Jak się czujesz?

Odniosłem wrażenie, że on naprawdę chce wiedzieć, jak się czuję, więc mu powiedziałem, że jestem trochę wypompowany.

– Szwedzi traktowali cię przyzwoicie?

– Nie mogę narzekać.

– Dobra. A teraz do rzeczy. Kto zabił Ashtona?

– Nie wiem. Kiedy się to stało, myślałem, że oberwał od Szwedów. Odchodziła tam bardzo intensywna strzelanina. Potem Henty mi powiedział że to Benson go zabił.

– Ale sam nie widziałeś, jak Benson do niego strzela?

– Nie, nie widziałem.

Ogilvie kiwnął głową. – To się pokrywa z tym, co mi powiedzieli Brent i Godwin. A kto zabił Bensaona?

– Henty twierdzi, że on. Powiedział, że widział, jak Benson strzela do Ashtona, więc wyciągnął pistolet i ruszył za Bensonem, który w tym momencie znajdował się na górze, wśród drzew. Powiedział, że Benson strzelał także do niego, więc mu się zrewanżował i go zabił. Nawet nie wiedziałem, że Henty ma broń.

– Czy zastanawiałeś się, jakie powody mógł mieć Benson, żeby zabić Ashtona? Rzadko się zdarza, żeby stary służący zrobił coś takiego swojemu panu.

Mało zabawna myśl przyszła mi do głowy: w najbanalniejszych starych brytyjskich kryminałach zbrodnię z reguły popełnia kamerdyner. – Owszem – powiedziałem – jest pewien powód, ale nie ma on najmniejszego związku z tym, że Benson był służącym.

– Jaki mianowicie?

– Henty biegł pod górę po mojej prawej stronie, a Brent i Godwin nadciągali z lewej. Ashton był w górze, nade mną, ale, patrząc ze szczytu, byłem zasłonięty przez wielki głaz. Nie widziałem Bensaona i nie sądzę, żeby on widział mnie. Widział natomiast Larry’ego, a proszę pamiętać, że dla niego Larry był Rosjaninem. Kiedy Ashton zatrzymał się, odwrócił w moją stronę i zdradził chęć powrotu w dół – wówczas Benson strzelił.

– Aby nie wpadł w ręce Rosjan. Rozumiem.

Dodałem zaraz: – Tym samym był czymś więcej niż wiernym sługą rodziny.

– Być może – przyznał Ogilvie. – Ale badałem dzieje Howarda Greatorexa Bensaona i jest to człowiek czysty jak łąza. Urodzony w Exeter w 1912, syn adwokata; przez szkołę przeszedł normalnie, ale sprawił ojcu wielki zawód, gdyż nie dostał się na uniwersytet. Był urzędnikiem w jakiejś firmie w Plymouth i awansował na szefa niezbyt dużego oddziału. W 1940 zaciągnął się do wojska i doszedł do stopnia sierżanta w Służbie Zaopatrzenia i Transportu Królewskich Wojsk Lądowych. Był typem idealnego kwatermistrza. W 1946 został zdemobilizowany i podjął pracę u Ashtona – zaczął prowadzić biuro jego firmy. Tam padł ofiarą zasady Petera; był idealnym pracownikiem w niewielkiej firmie, ale gdy się rozwinęła, przestał sobie radzić. Pamiętaj, że szczytem jego możliwości był stopień sierżanta. Był człowiekiem małego formatu. Ashton zrobił go więc swoim totumfackim, co było chyba dla niego idealne. Wiedział, że nie będzie musiał rozstrzygać spraw, które go przerastają i był zadowolony, że się przydaje. Ashton zapewne rzeczywiście miał z niego pożytek. Nigdy się nie ożenił. I co ty o tym myślisz?

– Dowiedział się pan tego z komputera?

– Nie. Komputer jest nadal skołowany. Wciąż odpowiada, że Bensaona nie ma w banku danych.

– Nieprawda – stwierdziłem kategorycznie. – Pojawił mi się, kiedy zapytałem o niego Nellie.

Ogilvie spojrział na mnie z powątpiewaniem, a potem zapytał: – Ale co sądzisz o historii, którą ci opowiedziałem?

– Nie ma w niej nic, co by wskazywało, dlaczego zabił Ashtona. Nie wyjaśnia też, dlaczego w ogóle nosił broń. A pozwolenie na broń miał?

– Nie.

– Czy broń została zidentyfikowana?

Ogilvie wzruszył ramionami. – Skądże? Przecież to Szwedzi ją mają. – Zastanawiał się przez moment, potem otworzył znacznych rozmiarów notatnik w sztywnej oprawie, zdjął nakrętkę z pióra. – Chciałem zacząć od sprawy najważniejszej, ale opowiedz mi teraz, ze szczegółami, wszystko, co się działo od chwili, gdy Benson i Ashton opuścili swoje mieszkanie w Sztokholmie.

To mi zajęło czas do południa. Za kwadrans pierwsza Ogilvie zakręcił pióro. – Dziękuję. Możesz iść do domu.

– Czy jestem zawieszony w obowiązkach?

Spojrzał na mnie spod zmarszczonych brwi. – Jest kilka osób, które chciałyby, żebyś wyleciał. Kilka innych chętnie by cię wysłało na Hebrydy, żebyś zwalczał szpiegostwo przemysłowe w fabryce tweedu. Miałbyś zajęcie na jakieś dwadzieścia lat. Wyobrażasz sobie, jakie cholerne kłopoty mamy przez to nasze przedsięwzięcie?

– Mam dość żywą wyobraźnię.

Parsknął. – Naprawdę? No, to wyobraź sobie, jak się Szwedzi poczuli, wyobraź sobie, jak zareagowali, kiedy zaczęliśmy wywierać nacisk na najwyższych szczeblach. Sprawa dotarła aż do rządu, wiesz? Ministrowie wcale nie są zadowoleni. Mówią coś o nieudolnych dyletantach.

Już chciałem coś powiedzieć, ale mnie powstrzymał gestem ręki. – Nie, nie jesteś zawieszony w obowiązkach. To, co zrobiłeś, zrobiłeś na moje polecenie. Zważywszy okoliczności, nie sądzę, żebyś mógł postąpić inaczej. Nikt się nie spodziewał, że Benson zabije Ashtona, więc jeśli ktokolwiek ponosi odpowiedzialność, to tylko ja, jako szef wydziału. Ale ten wydział jest obecnie w fatalnym położeniu. Jutro o jedenastej rano odbędzie się zebranie szefów wydziałów, na którym zaczną dobierać się nam do skóry. Masz być na tym zebraniu, więc na razie dam ci spokój. Bądź tu jutro o dziesiątej piętnaście odświeżony, wypoczęty i gotowy na ciężki wycisk! Zrozumiałeś?

– Tak.

– I będę ci wielce zobowiązany, jeśli nie ujawnisz zebranym, że znane ci jest „czarne” dossier Ashtona. I bez tego mamy kłopotów po uszy.

Wstałem. – Dobrze. Chciałbym tylko jedno wiedzieć: co się stało z ciałami?

– Ashtona i Bensona? Dwa tygodnie temu zostały przywiezione do Anglii. Pogrzeb odbył się w Marlow. Są pochowani w sąsiadujących ze sobą mogiłach.

– Jak Penny to wszystko przyjęła?

– Tak, jak się można było spodziewać. Dla obu córek był to potężny cios. Sam tam nie byłem, oczywiście, ale informowano mnie, co się dzieje. Udało mi się przekazać panie Ashton wiadomość, że jesteś w Ameryce i że masz niebawem wrócić. Uznałem, że tak będzie najlepiej.

– Najlepiej i najtaktowniej. Dziękuję.

– A teraz idź i zbierz myśli na jutro. – Ruszyłem w stronę drzwi i wtedy Ogilvie dorzucił: – Słuchaj, Malcolm, bez względu na to, jak się potoczy jutrzejsze zebranie, chcę, żebyś wiedział, że w sprawie Ashtona jest nadal bardzo wiele niejasności – i zostaną one wyjaśnione. Coraz bardziej mnie to złości.

Wychodząc pomyślałem, że Ogilvie, kiedy jest zły, może być naprawdę groźny.

Zebranie trwało już długo, ale mnie zostawiono na korytarzu, sam na sam z moimi myślami; było piętnaście po dwunastej, kiedy woźny przyszedł po mnie i powiedział: – Pozwoli pan za mną, panie Jaggard. – Poszedłem za nim. Wprowadził mnie do dużego, przestronnego pokoju z oknami wychodzącymi na jakiś wewnętrzny dziedziniec Westminsteru.

Znajdował się tam długi orzechowy stół, wokół którego siedział wianuszek mężczyzn. Wszyscy byli dobrze ubrani, dobrze odżywieni i wszyscy mieli koło pięćdziesiątki. Gdyby nie było wśród nich oficera policji i pułkownika Sztabu Generalnego, można by to wziąć za doroczne zebranie rady nadzorczej jakiegoś banku w City. Gdy wszedłem, Ogilvie obrócił się na krześle i gestem dał mi znak, żebym zajął wolne miejsce u jego boku.

Zebranie prowadził pewien minister, z którego polityką się nie zgadzałem; jego samego zawsze uważałem za szczyt niezdecydowania. Tego ranka jednak jego zachowaniu nie było śladu niezdecydowania. Prowadził zebranie jak kapral musztrę. – Omawialiśmy tu właśnie – zwrócił się do mnie – akcję poprowadzoną niedawno w Szwecji z pańskim udziałem. W związku z pewną rozbieżnością zdań pan Ogilvie zasugerował, że najlepiej będzie, jeśli pan osobiście odpowie na nasze pytania.

Skinąłem głową, ale pułkownik parsknął: – Różnice zdań, to bardzo delikatnie powiedziane.

– Pułkowniku Morton – odezwał się minister – to nie ma nic wspólnego z panem Jaggardem.

– Czyżby? – Pułkownik zwrócił się bezpośrednio do mnie: – Czy zdaje pan sobie sprawę, młodzieńcze, że przez pana straciłem swojego najlepszego człowieka w Skandynawii? Został całkowicie zdekonspirowany.



Zrozumiałem, że Morton jest szefem Henty'ego.

Minister zastukał piórem o blat stołu i Morton dał spokój. – Będziemy panu zadawać bardzo proste pytania i oczekujemy jasnych, jednoznacznych odpowiedzi. Zrozumiano?

– Tak.

– Doskonale. Kto zabił Ashtona?

– Nie widziałem, kto do niego strzelał. Henty mi powiedział, że strzelał Benson.

W najdalszym końcu stołu nastąpiło poruszenie. – Ale wie pan tylko to, co panu powiedziano?

Odwróciłem się i spojrzałem na lorda Cregar. – Zgadza się. Ale nie miałem i nadal nie mam powodu, aby nie wierzyć Henty'emu. Powiedział mi o tym natychmiast.

– Natychmiast po tym, jak zabił Bersona?

– Tak.

Cregar spojrzał na mnie i uśmiechnął się nieznacznie. – Z tego, co pan wie o Bensonie, a zakładam, że przeprowadził pan wywiad na jego temat, czy może pan wymienić choćby jeden powód, dla którego Benson chciałby zabić człowieka, któremu przez trzydzieści lat wiernie służył?

– Nie widzę żadnego rozsądnego powodu – powiedziałem.

Nieco pogardliwie wykrzywił usta. – A czy widzi pan jakiś nierozsądny powód?

– Pan Jaggard nie przyszedł po to, by odpowiadać na głupie pytania – zauważył zgryźliwie Ogilvie.

– Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli ograniczymy się do najprostszych pytań – stwierdził minister stanowczo.

– Proszę bardzo – rzekł Cregar. – Mam proste pytanie. Dlaczego kazał pan Henty'emu zabić Bersona?

– Nie kazałem mu zabijać Bersona – powiedziałem. – Nawet nie wiedziałem, że ma broń. Nikt z pozostałych nie był uzbrojony. Takie było polecenie pana Ogilvie'go. Henty jest w innym wydziale.

Odezwał się pułkownik Morton: – Chce pan powiedzieć, że Henty działał z własnej inicjatywy?

– Tak. Wszystko to stało się w ciągu dwudziestu sekund, nie dłużej. W chwili, kiedy Benson zginął, ja usiłowałem ratować Ashtona.

Morton pochylił się do przodu. – Panie Jaggard, proszę się dobrze zastanowić, zanim pan odpowie. Moi ludzie nie mają zwyczaju zabijać od niechcienia, kogo popadnie. Jak Henty uzasadnił zabicie Bersona?

– Obroną własną. Powiedział, że Benson strzelał do niego, więc on strzelił do Bensa.

Pułkownik Morton usiadł wygodnie. Wyglądało na to, że uznał moje wyjaśnienie za zadowalające. Odezwał się na to Cregar adresując swoją uwagę do wszystkich zebranych: – Ten Benson coraz dziwniej nam się przedstawia. Sami panowie powiedzcie – emeryt, który nagle się bawi w rewolwerowca. Mnie się to wydaje nieprawdopodobne.

Ogilvie zanurzył palce w kieszonce kamizelki i z cichym stukiem położył coś na stole. – To jest pocisk z Parabellum kalibru 9 znaleziony w pokoju Bensa w Marlow. Pocisk ten pasowałby do pistoletu znalezionego przy zwłokach Bensa. Wiemy też, że kula wydobyta z ciała Ashtona pochodziła z tego właśnie pistoletu. Tego się dowiedzieliśmy od Szwedów.

– No, właśnie – ucieszył się Cregar – wie pan tylko to, co panu powiedzieli Szwedzi. Co to jest naprawdę warte?

– Czy pan sugeruje, że Benson nie zabił Ashtona? – zapytał Morton. W jego głosie słyhać było dezaprobatę.

– Uważam, że byłoby to wysoce nieprawdopodobne – odparł Cregar.

– Żaden z moich pracowników nie jest tak głupi, żeby mi kłamać – oświadczył Morton tonem ostrym jak brzytwa. – Henty powiedział, że widział, jak Benson zabił Ashtona, i ja mu wierzę. Dotychczas nie usłyszeliśmy niczego, co by mogło podważyć jego wersję.

Głos zabrał Ogilvie: – Chyba, że lord Cregar sugeruje, iż mój wydział, wydział pułkownika Mortona oraz szwedzki wywiad wojskowy jesteście w zмовie, że wspólnie usiłujemy zrzucić winę za śmierć Ashtona na Bensa i w ten sposób osłonić rzeczywistego zabójcę. – Nadał swemu głosowi nutę kompletnego niedowierzania.

Oficer policji zachichotał, a Cregar się zarumienił. – Nie – warknął – próbuję tylko rozwikłać pewną niezwykle tajemnicę. Chciałbym się dowiedzieć, na przykład, jaki cel mógł mieć Benson, żeby zabijać Ashtona?

– Niestety, nie możemy go o to zapytać – powiedział lodowatym tonem minister. – Skończmy już może tę zabawę w ciuciubabkę i zajmijmy się panem Jaggardem.

Oficer policji wychylił się do przodu i odezwał się do mnie omijając Ogilvie'ego: – Pearson jestem, ze Special Branch. Ta szwedzka akcja to nie moja broszka, ale ciekawi mnie ona ze względów zawodowych. O ile dobrze rozumiem, pan Ogilvie nie chciał, żeby Ashton się zorientował, iż jest przedmiotem zainteresowania wywiadu brytyjskiego. Czy może pan wie dlaczego?

Było to podchwytliwe pytanie, bo nie miałem prawa wiedzieć, kim naprawdę był Ashton. Powiedziałem więc: – Radzę zwrócić się z tym pytaniem do pana Ogilvie'ego.

– Słusznie – przyznał minister. – Wchodzą tu w grę informacje, do których pan Jaggard nie ma dostępu.

– W porządku – zgodził się Pearson. – Jednakże pan Jaggard chciał wydostać Ashtona ze Szwecji, bo zainteresowali się nim Rosjanie. Zaczął więc stwarzać Ashtonowi sytuację stresową. Nasłał na niego człowieka, który udawał Rosjanina, ażeby – jak sam to ujął – „wykurzyć go” ze Szwecji. Jednej rzeczy w tym wszystkim nie rozumiem: dlaczego konieczna była próba porwania w Strangnas. Dlaczego pan ją podjął?

Udzieliłem mu wyczerpującej odpowiedzi: – Kupili bilety ze Sztokholmu do Göteborga. Mnie to było na rękę. Zamierzałem ich obstawiać na całej trasie i gdyby w Goeteborgu wsiedli na statek, dowiedziałbym się, dokąd płyną. Chodziło przede wszystkim o to, żeby ich wyjąć Rosjanom w Szwecji. Ale kiedy nam zwiali i pojechali do Strangnas, sprawa się skomplikowała i nie można już było poprzestać na dyskretnej obstawie. Trzeba było, zgodnie zresztą z dyspozycją pana Ogilvie’ego, zastosować bardziej radykalne środki.

– Rozumiem – powiedział Pearson. – To właśnie było dla mnie niejasne.

– Dla mnie też coś jest niejasne – wtrącił się Cregar. – Czy należy rozumieć, że miał pan rozkaz, aby nie ujawniać się Ashtonowi?

– Tak.

– A jednak pan się ujawnił. Pan Ogilvie poinformował nas dziś rano, że ukazał się pan Ashtonowi. W dodatku zrobił pan to celowo. Dopiero zobaczywszy pana, Ashton się zatrzymał. Czy tak było?

– Tak, zgadza się.

– A więc złamał pan rozkaz.

Nic nie odpowiedziałem, ponieważ nie zadał mi pytania. Po chwili warknął.

– No i co, złamał pan rozkaz, czy nie?

– Tak.

– Rozumiem. Przyznał się pan. A teraz, przy całym szacunku dla pułkownika Mortona i jego wiary w prawdomówność jego pracowników, przyznam, że przedstawione tu mętne dowody, jakoby to Benson zastrzelił Ashtona niezbyt mnie przekonują. Faktem jest, że Ashton został przez kogoś zastrzelony, i jest bardzo prawdopodobne, że został zastrzelony, ponieważ się odwrócił. Innymi słowy, zginął, ponieważ pan złamał rozkaz i ujawnił mu się – Jego ton był przepojony jadem. – Dlaczego ujawnił się pan Ashtonowi?

Roznosiło mnie z wściekłości, ale udało mi się zapanować nad głosem. – Nie chodziło o to, żeby zabić Ashtona, lecz o to, żeby sprowadzić go do Anglii żywego. Ashton znalazł się nagle w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Zmierzał prosto na teren, gdzie odbywała się strzelanina – z broni maszynowej, z moździerzy oraz z karabinów. Nie wiedziałem dokładnie, co się tam dzieje, ale uznałem, że muszę go zatrzymać, i nawet mi się to udało, bo już chciał się cofnąć. Byłem absolutnie wstrząśnięty tym, że Benson go zastrzelił.

– Ale pan przecież nie wie, że zastrzelił go Benson – oponował Cregar.

Minister zastukał piórem w stół. – Pozwolę sobie przypomnieć, że tę kwestię już omawialiśmy.

– W porządku. – Cregar przyjrzał mi się i przemówił jedwabistym tonem.

– Czy nie uważa pan, że od samego początku prowadził pan tę akcję w sposób, nazwijmy to, dyletancki?

Ogilvie najeżył się. – Pan Jaggard działał zgodnie z moimi wskazówkami i na moje polecenie. A pan nie ma ani prawa, ani tytułu, żeby krytkować postępowanie moich podwładnych. Swoje uwagi krytyczne proszę kierować pod moim adresem.

– Doskonale, tak też zrobię – oznajmił Cregar. – Od samego początku zgłaszałem zastrzeżenia, że powierza pan tę sprawę Jaggardowi. Wszystkie późniejsze...

– Ja to pamiętam inaczej – odciął się Ogilvie.

Ale Cregar kontynuował nie zważając na niego: – ...wydarzenia dowiodły, że miałem rację. Pozwolił Ashtonowi wymknąć mu się sprzed nosa, mimo że miał swobodny wstęp do jego domu. W rezultacie trzeba było podjąć działania w Szwecji, ale tę akcję również sknocił, i to definitywnie, że tak powiem, gdyż Ashton nie żyje. A co do twierdzenia, że działał zgodnie z pańskimi poleceniami, to pozwolę sobie przypomnieć, że przed chwilą pan Jaggard przyznał się, iż złamał pański rozkaz.

– Wykazał inicjatywę w krytycznym momencie.

– I z jakim rezultatem? Z takim, że Ashton nie żyje – powiedział Cregar tonem oskarżyciela. – Już przedtem wychwalał pan inicjatywę tego człowieka. Nie zachwyciłem się nim wtedy, a teraz jeszcze mniej się nim zachwycam.

– Wystarczy – powiedział minister lodowatym tonem. – Dostyc już tego. Czy są jeszcze jakieś pytania do pana Jaggarda? Pytania proste, ale istotne, bardzo proszę. – Nikt się nie odezwał, więc zwrócił się do mnie: – Dziękujemy panu, to wszystko.

– Zaczekaj na mnie na zewnątrz – szepnął Ogilvie.

Kiedy szedłem do drzwi, usłyszałem, jak Cregar mówi: – No, to wreszcie, po trzydziestu latach skończyła się sprawa Ashtona. Ashton się nie sprawdził, nigdy nie spełnił naszych oczekiwań. Proponuję, żebyśmy zamknęli tę sprawę i zajęli się czymś bardziej produktywnym. Myślę...

Co myślał Cregar, pozostało dla mnie tajemnicą, ponieważ zamknęły się za mną drzwi.

Dwadzieścia minut później zebranie się skończyło. Ogilvie wetknął głowę do poczekalni i zaproponował, żebyśmy poszli razem na obiad. Nie wydawał się zmartwiony przebiegiem zebrania, ale też rzadko ujawniał on jakiegokolwiek emocje.

Po drodze do Whitehall zapytał: – No i co ty o tym myślisz?

Z trudem zdobyłem się na uśmiech. – Myślę, że Cregar mnie nie lubi.

– Słyszałeś, co mówił, kiedy wychodziłeś?

– Że sprawa Ashtona jest zamknięta, tak?

– Tak. Pogrzebano Ashtona, a więc pogrzebano też jego sprawę. Ale on się myli, wiesz?

– Dlaczego?

– Bo odtąd zajmujesz się wyłącznie sprawą Ashtona, dopóki wszystko nie zostanie wyjaśnione i rozpracowane. – Zrobił pauzę, a potem dodał z zadumą: – Ciekaw jestem, czego się dowiemy.



W świetle tego, co mówiono na zebraniu, decyzja Ogilvie'ego zaskoczyła mnie kompletnie. Liczyłem się z najgorszym, to znaczy z tym, że mnie wywalą; najpierw przepuszczą moją specjalną legitymację przez maszynę do niszczenia dokumentów, a potem mnie wykopią na zbity łeb.

Przypuszczałem, że w najlepszym razie mnie zdegradują albo odstawią na boczny tor. Myślałem, że wspominając o zsyłce na Hebrydy, Ogilvie mówił pół żartem, pół serio. Jego decyzja, że sprawa Ashtona ma być kontynuowana i że ja mam nią kierować, była dla mnie szokiem. Zacząłem się zastanawiać jak to załatwi z ministrem.

– Minister nie będzie o tym wiedział – wyjaśnił Ogilvie z powściągliwym uśmiechem. – Organizacje tego typu co nasza mają tę zaletę, że są autentycznie przystosowane do wszelkiej tajnej działalności.

Rozmawialiśmy w zaciszu jego gabinetu. Ogilvie podłożył swój ładunek wybuchowy i już nie wracał do tematu; podczas obiadu gawędziliśmy o wszystkim i o niczym. Po powrocie do biura znów jednak przystąpił do sprawy.

– Zamierzam popełnić czyn nieetyczny, być może nawet stanowiący akt niesubordynacji – powiedział. – Ale w tym przypadku chyba usprawiedliwiony.

– Dlaczego? – spytałem wprost. Skoro miałem być w to zamieszany, chciałem znać prawdę.

– Bo ktoś dopuścił się oszustwa. Oszukano nasz wydział, a ty masz dojść do tego, kto nas wpuścił w maliny. Na dobrą sprawę mógł to być nawet sam Ashton. Chcę się dowiedzieć, kto to wszystko zorganizował i dlaczego.

– Ale czemu pan mnie to powierza? Przecież Cregar wykazał, że jak dotychczas nie spisałem się dobrze.

Ogilvie uniósł brwi. – Tak uważasz? Ja jestem z ciebie zadowolony. A tylko to się liczy. Wybrałem ciebie z kilku powodów. Po pierwsze, jesteś najbardziej nieoczekiwanym kandydatem. Po drugie, nadal możesz działać od wewnątrz, bo jesteś związany z rodziną Ashtona. Po trzecie, mam do ciebie całkowite zaufanie.

Wstałem i podszedłem do okna. Parka gołębi prowadziła na parapecie grę miłosną, ale odleciała, kiedy się zbliżyłem.

Odwróciłem się mówiąc: – Jestem panu wdzięczny za „po trzecie”, ale niezbyt mnie cieszy to „po drugie”. Jak pan wie, znalazłem się w samym środku sprawy Ashtona przez przypadek i w rezultacie mam zrujnowane życie prywatne. Właśnie zaszczułem człowieka, sprowadziłem na niego śmierć a pan chce, żebym się cieszył sympatią jego córek?

– Penny Ashton nic nie wie o twoim udziale. Zadbalem o to.

– Nie w tym rzecz – powiedziałem ostro. – Jest pan zbyt inteligentny, żeby nie wiedzieć, co mam na myśli. Żąda pan, bym okłamywał kobietę, z którą zamierzam się ożenić; to znaczy, jeśli ona mnie jeszcze zechce.

– Rozumiem, że to bardzo trudne – powiedział Ogilvie cicho. – Nie myśl, że nie, ale...

– I niech mnie pan nie prosi, żebym to zrobił dla dobra wydziału – dodałem. – To nie przemawia do mojego poczucia lojalności.

Ogilvie uniósł brwi. – To może dla dobra kraju?

– Nie, to jeszcze za mało.

– Czyżbyś brał przykład z E. M. Forstera, który powiedział, że mając do wyboru zdradę kraju i zdradę przyjaciela, chciałby mieć odwagę zdradzić swój kraj?

– Nic mi nie wiadomo, żeby tu mogło chodzić o zdradę ojczyzny – odparłem sztywno.

– No, nie wiem – powiedział w zamyśleniu Ogilvie. – Zdrada przybiera najrozmaitsze postacie. Bezczyńność może się okazać taką samą zdradą jak działanie, zwłaszcza w przypadku kogoś, kto z własnej woli zdecydował się na taką pracę jak ty. Jeśli widzisz, że ktoś wchodzi na most, o którym wiesz, że może się zawalić, most się rzeczywiście wali i człowiek ginie, to w oczach prawa jesteś winien zabójstwa. Podobnie jest ze zdradą.

– To są tylko słowa – powiedziałem chłodno. – Pan mi mówi o zdradzie ojczyzny, a ja widzę tylko spór między dwoma wydziałami, w którym ucierpiała pańska miłość własna. Nienawidzi pan Cregara, tak samo jak on pana.

Ogilvie podniósł wzrok. – A co tu Cregar ma do rzeczy? Wiesz coś konkretnego?

– Wtrąca się, nie? Od samego początku wtrąca się do sprawy.

– Aaa, o to ci chodzi – powiedział Ogilvie znużonym tonem. – Taki już ma charakter. Cierpi na przerost ego i musi je bezustannie dopieszczać. Nie wyciągałbym pochopnych wniosków na temat Cregara. – Podniósł się z krzesła i stanął przede mną. – Ale jest mi naprawdę przykro, że masz o mnie takie zdanie. Myślałem, że zasłużyłem u ciebie na lepszą opinię.

– Och, Boże – jęknąłem. – Przepraszam; nie chciałem, żeby to tak wyszło. Po prostu ta historia z Penny wytrąciła mnie z równowagi. Gdy pomyślę, że miałbym z nią rozmawiać – że miałbym ją okłamywać – robi mi się słabo.

– Niestety, tak to już jest w naszym fachu. Jesteśmy obaj zawodowymi kłamcami. Mówimy światu, że pracujemy w firmie konsultingowej McCulloch i Ross – i to jest kłamstwo. Myślisz, że moja żona i córka wiedzą, czym ja się naprawdę zajmuję? Okłamuję je na każdym kroku przez sam fakt swojego istnienia. Penny przynajmniej wie, kim jesteś.



– Tylko częściowo – powiedziałem z goryczą.

– Nie można cię winić za śmierć Ashtona.

– Nie? – powiedziałem podniesionym głosem. – Spowodowałem jego śmierć.

– Ale go nie zabiłeś. Kto go zabił?

– Cholera, już mówiłem, że Benson!

Ogilvie podniósł głos. – Więc na miłość boską, dowiedz się, dlaczego to zrobił! – krzyknął. – Nie rób tego dla mnie ani nawet dla siebie. Człowiek, z którym ta twoja dziewczyna przez całe życie mieszkała pod jednym dachem, zamordował w końcu jej ojca. Dowiedz się, dlaczego to zrobił. Być może zrobisz to nawet dla jej dobra.

Obaj umilkliśmy i w pokoju nagle zapanowała cisza. Odezwałem się bardzo cicho: – Chyba mnie pan wreszcie przekonał.

Ogilvie usiadł. – Bardzo trudno cię przekonać. I twierdzisz, że mi się udało?

– Chyba tak.

Westchnął. – No, to siadaj i słuchaj. – Usiadłem posłusznie, a on zaczął mówić. – Przez jakiś czas będziesz w niełasce. Wszyscy tego oczekują, łącznie z ministrem. Należałoby cię nawet zdegradować, więc zrobię cię kurierem. Pozwoli ci to swobodnie poruszać się po całym kraju, a nawet wyjeżdżać za granicę. – Uśmiechnął się. – Ale na twoim miejscu zawahałbym się przed powrotem do Szwecji.

Ja też bym się zawahał. Kapitan Morelius niewątpliwie stałby się bardzo elokwentny i wydusiłby z siebie aż trzy zdania. Nawet dokładnie wiedziałem, co by powiedział.

– Narobiliśmy tu sporo hałasu – stwierdził Ogilvie. – Obaj wrzeszczeliśmy. Cóż, dzięki temu moja skądinąd nieciekawa i bezbarwna relacja wyda się bardziej prawdopodobna. W instytucji zatrudniającej szpiegów wiadomości rozchodzą się błyskawicznie. Możesz oczekiwać różnych komentarzy ze strony kolegów; wytrzymasz to?

Wzruszyłem ramionami. – Nigdy się nie przejmowałem tym, co inni o mnie myślą.

– Tak – przyznał Ogilvie. – Cregar odkrył to przy pierwszym spotkaniu z tobą. Dobra; masz w tej sprawie całkowitą niezależność. Poprowadzisz wszystko tak, jak sam zechcesz, tyle że będzie to akcja jednoosobowa; zapewnię ci wszelką możliwą pomoc, ale nie mogę ci dać ludzi. O rezultatach masz meldować tylko mnie, nikomu więcej. I liczę, że będziesz miał co meldować.

Wysunął szufladę i wyjął z niej cienką teczkę. – A teraz – co się tyczy Penny Ashton. Otóż w pewnym sensie przygotowałem grunt i być może będziesz to mógł wykorzystać. Penny wie, że ostatnie kilka tygodni spędziłeś w Ameryce. Mam nadzieję, że nie pisałeś do niej ze Szwecji.

– Nie.

– To dobrze. Została w taktowny sposób poinformowana, że wyjechałeś w jakiejś sekretnej misji i dlatego nie mogłeś do niej pisać. Zważywszy, że wie o twojej pracy to, co wie, takie wytłumaczenie jest dla niej prawdopodobne. Wydział powiadomił cię o śmierci jej ojca, więc wysłałeś jej taki telegram.

Podał mi przez biurko skrawek papieru. Była to autentyczna kopia telegramu wysłanego za pośrednictwem Western Union z Los Angeles. Treść była szablonowa i konwencjonalna; ale do przyjęcia w takich okolicznościach.

– Przesłałeś także wieńce na pogrzeb za pośrednictwem kwiaciarni w Los Angeles i „Interflory” – kontynuował Ogilvie. – Pokwitowanie z kwiaciarni jest w tej teczce wraz z innymi drobiazgami i papierkami, jakie człowiek normalnie gromadzi po kieszeniach podczas wyjazdu. Są tam wykorzystane bilety teatralne na przedstawienia grane obecnie w Los Angeles, banknoty jedno i dwudolarowe, zapalki firmowe z różnych hoteli i tak dalej. Opróżnij kieszenie.

Nie spodziewałem się takiego żądania i trochę się zjeżyłem. – No, już – ponaglał – wyrzuć wszystko na biurko.

Wynicowałem kieszenie. Gdy wyjmowałem portfel, Ogilvie sięgnął do bilonu, który już wyłożyłem na stół i wyluskał jakąś monetę. – Widzisz – powiedział triumfalnie. – Wśród angielskich monet masz jedną szwedzką. Założę się, że w portfelu znajdziesz jeszcze różne szwedzkie świstki. Zrób dokładny remanent i powyrzucaj wszystko, co by cię mogło zdradzić.

Miał rację. Znalazłem w portfelu kopię rachunku z baru w „Grandzie”, którą miałem dopiero dołączyć do zestawienia wydatków, oraz notatki na temat kursu funta do korony, które robiłem usiłując połapać się w wahaniach lecącego na łeb na szyję funta. Wymieniłem je na zestaw papierków amerykańskich i stwierdziłem: – Widać, że mimo wszystko był pan pewny mojej decyzji.

– Dość pewny – potwierdził sucho. – Wróciłeś ze Stanów wczoraj. Masz tu swój bilet lotniczy – możesz go rzucić niedbale na widocznym miejscu. O ile wiem, Penny Ashton wraca ze Szkocji jutro. Nie kupowałeś w Szwecji żadnego ubrania?

– Nie.

– Masz tam, w tej walizeczce, kilka koszul i skarpetki, a także trochę papierosów. Wszystko oryginalne amerykańskie.

A teraz idź do siebie i okazuj wszem i wobec, jaki jesteś obolały i zdruzgotany. Właśnie zostałeś przepuszczony przez maszynkę i jeszcze cię gnaty bolą. Przypuszczam, że Harrison cię wkrótce wezwie. Nie próbuj mu się odszczekiwać, niech przeżyje swój mały triumf. Pamiętaj, Malcolmie, że przegrałeś, jesteś pokonany. No, i... życzę ci powodzenia.

Wróciłem więc do swojego pokoju i zwałem się na swoje krzesło przy biurku. Larry zaszeleścił gazetą i starał się unikać mojego wzroku, ale po chwili się odezwał: – Podobno cały ranek spędziłeś z górą.

– Tak – przyznałem.

– Cregar też tam był?

– Tak.

– Dołożyli ci?

– Wkrótce dowiesz się wszystkiego ze szczegółami – burknąłem ponuro. – Chyba długo już tu nie popracuję.

– Kurcze! – Larry zamilkł na moment, przewrócił stronę gazety i powiedział: – Głupia sprawa, przecież to nie była twoja wina.

– Ale czyjaś głowa musi polecieć.

– Tak, ale nie o to mi chodzi. Przykro mi z powodu ciebie i Penny. Będzie wam teraz trudno.

Uśmiechnąłem się do niego. – Dzięki, Larry. Masz rację, ale jakoś sobie poradzę.

Ogilvie trafnie przewidział. Nawet godzina nie minęła, kiedy zadzwonił Harrison i wezwał mnie do siebie. Wszedłem do jego gabinetu starając się sprawiać wrażenie pokonanego. Nie nazwałem go, jak zwykle, Joe, i nie usiadłem.

Zresztą, wcale mi tego nie zaproponował. – Dowiedziałem się od pana Ogilvie’ego, że odchodzisz z tego wydziału.

– Podobno.

– Zgłoś się jutro do pana Kerra. – Oczy mu rozbłyły źle skrywaną radością. Zawsze uważał, że za wysoko zaszedłem, a teraz zostałem zdegradowany i będę chłopcem na posyłki – Sic transit gloria...

– Wiesz, naprawdę mi głupio – powiedział smutno. – Ale muszę cię prosić, żebyś jeszcze dzisiaj przed końcem pracy opróżnił swoje biurko. Oczywiście, przyjdzie ktoś na twoje miejsce.

– Jasne – przyznałem bezbarwnym głosem.

– Dobra – powiedział i zrobił pauzę. Przez chwilę miałem wrażenie, że palnie mi umoralniającą mówkę, ale darował sobie. – Możesz odejść, Jaggard – powiedział.

Poszedłem i opróżniłem swoje biurko.



Z samego rana zameldowałem się u Kerra. Kerr kierował jedną z sekcji, jedyną, która przynosiła jakiś dochód, bo zajmowała się – między innymi – działalnością usługową, czyli tym, co firma McCulloch i Ross robiła jawnie. Zresztą były to znaczne dochody, czemu nie należy się dziwić. Kerr miał przecież do dyspozycji sztab ekspertów zatrudnionych w różnych wydziałach naszej firmy i gdyby jego sekcja nie przynosiła dochodów, powinien natychmiast wylecieć. Kerrowi podlegały także rozmaite pomniejsze działki, między innymi kurierzy, czyli chłopcy na posyłki.

Odniosłem wrażenie, że Kerr nie bardzo wie, co ze mną zrobić. – Aaa, tak, Jaggard. Chyba mam tu coś dla pana. – Podał mi dużą, grubą, opieczętowaną ze wszystkich stron kopertę. – Podobno pan wie, gdzie to dostarczyć. Słyszałem, że... doręczenie tego może zająć sporo czasu, więc pewnie będzie pan przez jakiś czas nieobecny.

– Zgadza się.

– Rozumiem – powiedział głosem bez wyrazu. – Będzie panu potrzebne jakieś miejsce do pracy, jakiś pokój?

– Nie sędzę.

– To dobrze. Jest tu bardzo ciasno. – Uśmiechnął się. – Miło mi, że... hm... mamy pana u nas – dodał niepewnie. Nie wiedziałem, co konkretnie Ogilvie mu powiedział, ale najwyraźniej nie bardzo się orientował, jaki właściwie jest mój status.

Wróciwszy do samochodu otworzyłem kopertę i znalazłem w niej tysiąc funtów w używanych piątkach. Ładnie ze strony Ogilvie'ego, że o tym pomyślał. Przy tej akcji nie mogłem się przecież w normalny sposób rozliczać i żądać zwrotu kosztów. Schowałem pieniądze do specjalnej skrytki zamontowanej pod siedzeniem dla pasażera i pojechałem na komisariat w Marlow, gdzie zapytałem o Honnistera. Wyszedł, żeby mnie przywitać. – Dawno się pan nie pokazywał – powiedział niemal z wyrzutem. – Szukałem pana.

– Byłem w Stanach parę tygodni. A o co chodziło?

– Tak tylko chciałem pogadać – powiedział wymijająco. – Pewnie pan był za granicą, kiedy Ashton i Benson zginęli w Szwecji.

– Tak, ale dostałem informację.

– Dziwne, że Ashton tak nagle wyjechał – w jego oczach pojawił się błysk – a potem w tak paskudny sposób zginął. To daje do myślenia.

Wyjąłem paczkę papierosów i wyciągnąłem w jego kierunku, żeby go poczęstować. – Konkretnie co?

– Cóż, taki Ashton haruje jak wół, żeby zbić forszę, a potem, kiedy jeszcze nie jest za stary, żeby móc się nacieszyć majątkiem, nagle daje się zabić.

– Spojrzał na papierosy, które mu podsuwałem. – Nie, nie lubię tych amerykańskich gwoździ. Biorą dobry amerykański tytoń, mieszają go z tureckim, potem tak go smażą i warzą, naświetlają Bóg wie czym, aż cały smak diabli biorą.

Wzruszyłem ramionami. – Każdy kiedyś umiera ale nikt nie zabrał ze sobą majątku, choć podobno Howard Hughes\*<sup>[\*</sup> Amerykański milioner i wynalazca, znany z ekscentrycznych pomysłów] próbował.

– Widział się pan z Penny Ashton?

– Jeszcze nie. – Zapaliłem papierosa, chociaż też nie lubię amerykańskich.

– Zaraz tam jadę. Podobno dzisiaj wraca. Ale jeśli jej nie będzie, to przynajmniej zobaczę się z Gillian.

– No i ona też pana zobaczy – powiedział Honnister. – Ale tylko ledwo ledwo. Rozmawiałem z Crammondem. Mówi, że Mayberry nie stanął przed sądem i pewnie w ogóle do tego nie dojdzie. Jest niepoczytalny.

– Tak, wiem.

Honnister rzucił okiem na siedzącego przy biurku dyżurnego, potem wstał.

– Chodźmy się czegoś napić – zaproponował.

Zgodziłem się natychmiast, bo znaczyło to, że chce ze mną porozmawiać w cztery oczy, a ja byłem spragniony informacji. W drodze do pubu zagadnął: – Nie przyjechał pan tylko na pogaduszki. O co chodzi?

– Od początku dochodzenia skupiliśmy się na Ashtonie – zacząłem. – Nie przyglądaliśmy się zbyt starannie Bensonowi, choć przyznam, że w pewnym momencie podejrzewałem, że to może on oblał Gillian tym kwasem.

– Stary służący tak nie postępuje.

„Nie dziurawi też swojego pana kulami” – ale tego nie powiedziałem na głos. – Sprawdzał go pan?

Skręciliśmy do pubu „Pod Karocą”. – Trochę; na tyle, żeby się przekonać, że jest czysty. – Honnister zwrócił się do właściciela: – Cześć, Monte, daj nam dużą szkocką i kufel Guinnessa.

– Ja płacę – powiedziałem.

– Nie, nie, dostaję zwrot kosztów.

Uśmiechnąłem się. – Ja też. – Zapłaciłem i poszliśmy do stolika. Tak się złożyło, że był to ten sam stolik, przy którym poprosiłem Penny o rękę; wydawało mi się, że od tamtej pory minęły wieki. Było

wcześniej, dopiero dochodziło południe, więc w pubie panowała cisza i spokój.

– Zainteresowałem się Bensonem – oznajmiłem.

Honnister zatopił nos w kuflu z piwem. Kiedy podniósł głowę, by zaczerpnąć powietrza, powiedział: – Dziwne rzeczy działy się w rodzinie Ashtonów. Ale pan wie, że ja też muszę coś z tego mieć. Coś za coś.

– Powiem panu wszystko, co mi wolno.

Parsknął. – No, to strasznie dużo się dowiem! – Uniósł rękę. – Dobra, wiem, że musi pan trzymać gębę na kłódkę i tak dalej, a ja jestem tylko marnym wiejskim policjantem, który nie umie do trzech zliczyć. Niech mi pan powie tylko jedno: czy Ashton został porwany?

Uśmiechnąłem się słysząc, jak Honnister sam siebie określa, gdyż było to jedno wielkie kłamstwo. – Nie, Ashton wyjechał z własnej woli. Wyraźnie prosił, żeby nie wciągać do sprawy policji.

– A więc przewidywał, że będziemy w to zaangażowani. Już samo to jest interesujące. A Benson też z nim pojechał. Co pan chce o nim wiedzieć?

– Wszystko, co może mi pan powiedzieć, a czego jeszcze sam nie wiem. Każda informacja się przyda.

– Kawaler, nigdy się nie ożenił. Pracował u Ashtona od niepamiętnych czasów, lokaj, kamerdyner, szofer, złota rączka, prawa ręka, człowiek do wszystkiego. W chwili śmierci miał sześćdziesiąt pięć lat, jeśli można wierzyć „Timesowi”

– Ma jakąś rodzinę, braci albo siostry?

– Nie ma nikogo.

Honnister uśmiechnął się do mnie. – Gdy tylko zobaczyłem tę notatkę w „Timesie”, wziąłem się do roboty. Zżerała mnie ciekawość; musiałem się czegoś dowiedzieć. Benson miał trochę pieniędzy, jakieś piętnaście tysięcy funtów, które zapisał sierocińcom dla chłopców.

– Jeszcze coś? – spytałem rozczarowany.

– Był pan kiedyś na wojnie? – spytał Honnister nieoczekiwanie.

– Nie.

– A widział pan kiedyś ofiary wypadków?

– Kilka.

– Ja też, z racji zawodu. Widziałem także ofiary bombardowań i ognia artyleryjskiego. Stan zwłok po badaniach patologicznych był taki, że trudno mi orzec z całą pewnością, ale według mnie Ashton dostał dwa postrzały w plecy, a Benson jeden od przodu w głowę. Wybuch pocisku z mózdzierza! Akurat!

– Co? Widział pan ciała!

– Postarałem się o to – nieoficjalnie, rzecz jasna. Poszedłem tu do naszej kostnicy. Mówiłem panu, że zżerała mnie ciekawość.

– Niech pan nie puszcza pary z ust, bo będzie pan miał cholerne kłopoty. Wcale nie przesadzam.

– Już mówiłem, że umiem dotrzymać tajemnicy – powiedział spokojnie. – Zresztą, Szwecja to nie moja parafia, więc i tak nie mogę nic w tej sprawie zrobić. O ile rzeczywiście zostali zabici w Szwecji – dodał po namyśle.

– Tak, zginęli w Szwecji – powiedziałem. – To jest prawda. I rzeczywiście zginęli na szwedzkim poligonie podczas manewrów. – Zrobiłem pauzę. – Pewnie „Times” coś pokręcił.

– Akurat!

Wzruszyłem ramionami. – Czy ktoś jeszcze widział ciała?

– O ile mi wiadomo, nie. Trumny przywieziono zaplombowane wraz z kompletem dokumentów, aktami zgonu, podpisanymi przez jakichś waszych zaufanych lekarzy. Mój Boże, lepiej nie mówmy o etyce lekarskiej! Tak czy inaczej, są już teraz w ziemi.

– Wiadomo jeszcze coś o Bensonie?

– Bardzo niewiele. Prowadził spokojny tryb życia. Miał jakąś panią w Slough, ale zerwał z nią z pięć lat temu.

– Jak się nazywa?

– Nic to panu nie da – powiedział. – Półtora roku temu zmarła na raka. Benson opłacił jej pobyt w separacie, pewnie ze względu na to, co ich kiedyś łączyło. A ponadto nic więcej nie potrafię panu powiedzieć. Bo w ogóle jest bardzo niewiele do powiedzenia o Bensonie; był zatwardziałym starym kawalerem i niczym się nie wyróżniał. Prócz jednego.

– Mianowicie?

– Twarzy. Kiedyś w życiu musiał być straszliwie pobity; to nie natura tak go oszpeciła. Zrobił to jakiś człowiek.

– Tak – odparłem. Miałem już wyżej uszu tego, że raz po raz utykam w ślepych zaułku. Doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli przyjrzę się karierze wojskowej Bensaona. Nie byłem jednak pewien, czy cokolwiek mi to da.

– Jeszcze się pan napije?

– Nie, dziękuję. Muszę już jechać do Ashtonów.

– Proszę ich ode mnie pozdrowić.



Pojechałem do domu Ashtonów i ku mojemu zdumieniu natknąłem się na Michaelisa, który właśnie wychodził. Pod pachą miał skoroszyt grubości dwóch Biblii. – Cholera, co ty tu robisz?

Uśmiechnął się. – Bawię się ciuchcią. Wiesz, że mnie interesują modele pociągów, a panna Ashton pozwoliła mi buszować na strychu, gdy tylko zechcę. To naprawdę fascynująca zabawka.

Każdemu wolno mieć fijoła na punkcie kolejek; nawet agentowi kontrwywiadu. – A to co? – zapytałem pokazując na wielką księgę.

– O, to dopiero jest interesujące – zachwycił się. – Czeka, zaraz ci coś pokażę. – Oparł skoroszyt na masce mojego samochodu. Na skórzanej okładce widniały wytłoczone złoczone litery LMS. – Jest to komplet rozkładów jazdy London – Midland and Scottish Railway przed nacjonalizacją. Koleje upaństwowiono, praktycznie rzecz biorąc w 1939, a wtedy były tylko lokomotywy parowe.

Otworzył skoroszyt i zobaczyłem, że są tam niekończące się rzędkie cyfr. – Ashton odtwarzał rozkład jazdy LMS, ale nie mogę dojść do tego, który rok opracowywał, więc zabieram to do domu, żeby sprawdzić z moimi starymi rozkładami Bradshawa. To, co Ashton skonstruował na tym swoim strychu, odbiega znacznie od normalnych modeli kolejek. Na ogół hobbystów nie stać na takie urządzenia. Mówiłem ci o tych mikroprocesorach, które można programować. Te liczby to współrzędne dla tablicy rozdzielczej, niezbędne, aby odtwarzać części rozkładu LMS. Są tu również podobne księgi dotyczące innych przedwojennych towarzystw kolejowych – London and North-Eastern Railway oraz Great Western Railway i tak dalej. To niesamowite.

– Rzeczywiście – powiedziałem. – Która z panien Ashton była dla ciebie taka miła?

– Gillian. Kiedy leżała w szpitalu, sporo gadaliśmy. Początkowo mówiliśmy głównie o jej ojcu, ale potem o najróżniejszych sprawach. Czowała się bardzo samotna, jak wiesz, była odcięta od świata, cała obandażowana, czytałem jej książki i gazety. Zresztą, opowiedziałem jej też o tym modelu kolejki, więc pozwoliła mi przychodzić, i się nim bawić.

– Rozumiem.

– Gillian jest bardzo sympatyczna – wyjaśnił. – Świetnie się rozumiemy.

Zrobił pauzę. – Nie przesiaduję cały czas na strychu.

Zobaczyłem Michaelisa w nowym świetle. Uzmysłowiłem sobie, że też jest kawalerem i że jeśli wszystko potoczy się dla nas obu pomyślnie to prawdopodobnie rozmawiam ze swoim przyszłym szwagrem. – Gillian jest teraz w domu?

– Tak. Czeka na Penny. Spodziewa się jej na obiad. – Zatrzasnął skoroszyt – Słyszałem, jak cię potraktowali. Uważam, że to podłe świństwo. Cholera kto mógł przewidzieć, że...

Przerwałem mu. – Im mniej się o tym mówi, nawet prywatnie, tym lepiej Nic na ten temat nie mów – w ogóle. W ten sposób nic się niechący nie wypaple. – Spojrzałem na zegarek. – Skoro jesteś tak zaprzyjaźniony z Gillian to czemu nie zostaniesz na obiad?

Pokręcił głową. – Nie mam ochoty na spotkanie z Penny, więc się wykręciłem. Widzisz, Penny nie powiedziała Gillian o nas, to znaczy o Firmie. Gillian nic nie wie, więc mam trochę łatwiejszą sytuację. Od powrotu ze Szwecji jeszcze się nie widziałem z Penny, a po tym, co się stało, nie mam odwagi spojrzeć jej w oczy. W każdym razie jeszcze nie teraz. Obawiam się, że przejrzałyby mnie na wylot.

– Tak – przyznałem. – Cholernie trudna sprawa.

– Jesteś w to uwikłany jeszcze bardziej niż ja – zauważył. – Jak ty to znosisz?

– Mniej więcej tak samo jak ty, tylko trochę gorzej. Dobra, pójdę przywitać się z Gillian. No to cześć. Do zobaczenia.

– Cześć. – powiedział Michaelis. – Mam nadzieję.



Zapomniałem już, że twarz Gillian jest bardzo zeszpecona. Jej wygląd sprawił mi wielką przykrość. Miała strasznie pokiereszowane, ściągnięte bliznami policzki, prawa powieka niemal całkowicie zasłaniała jej oko. Pierwsze minuty spotkania były dla mnie szczególnie trudne ze względu na podwójnie niezręczną sytuację: musiałem złożyć jej kondolencje, a równocześnie oswoić się z jej wyglądem. W dodatku musiałem uważać, by mój wyraz twarzy nie zdradził tego, co się ze mną dzieje. Ale Gillian ułatwiła mi sprawę, poczęstowała mnie whisky, a sama napiła się sherry.

Na temat swojego ojca miała niewiele do powiedzenia, poza tym, że jest zaskoczona i zasmucona, i nie ma najmniejszego pojęcia, czym się kierował.

– Cóż ja mogę powiedzieć? Nic tu nie można powiedzieć, prócz tego, że jestem pełna rozpacz i całkowicie zdezorientowana.

Ze swoją tragedią już się pogodziła i mówiła o tym bez oporu. – Oczywiście po operacjach plastycznych będę wyglądała znacznie lepiej. Podobno najlepszy specjalista od tych rzeczy jest w Ameryce i Penny chce, żebym tam pojechała. Na razie jednak moja twarz nie nadaje się do pokazywania, więc ostatnio bardzo mało wychodzę. – Uśmiechnęła się połową twarzy. – Widziałam, jak rozmawiałeś przed domem z Peterem Michaelisem. Znać się?

– Poznaliśmy się w szpitalu – odpowiedziałem wymijająco.

– Aaa, tak, naturalnie. – Znów się uśmiechnęła i w jej zdrowym oku pojawił się błysk. – Człowiek nigdy nie myśli, że policjanci to normalni ludzie, a nie tylko jakieś cienie, które ścigają bandytów w telewizji. A Peter jest taki miły.

Zgodziłem się z nią na temat losu policjanta i tak dalej. – Służba często koliduje z życiem osobistym..

– Właśnie mówił mi o Mayberrym. Wygląda na to, że to szaleniec. Penny powiedziała mi o... o jego pomyłce.

– Więc już wiesz.

– Kiedy mnie wypuścili ze szpitala, odczekała kilka dni, zanim mi powiedziała. Chyba słusznie tak długo to przede mną ukrywała. Z trudem zniosłabym jeszcze jeden szok. Ale jaki to koszmar dla niej. Musiałam ją bardzo długo namawiać, żeby kontynuowała współpracę z profesorem Lumsdenem.

– Cieszę się, że ją przekonałaś.

Gillian przyjrzała mi się badawczo. – Między wami coś się popsło, prawda? Myślę, że ona z tego powodu cierpi. Powiedz, o co chodzi?

– Wątpię, czy to ma związek ze mną – powiedziałem. – Sądzę, że cierpi z powodu nieszczęścia, które ciebie dotknęło, i z powodu tragedii z ojcem.

– Nie – zaprzeczyła. – Nie wiem czemu, ale ona wyraźnie wiąże to z tobą. W dodatku nie chce o tym mówić, a to do niej niepodobne. – Odwróciła głowę do okna słysząc, że podjechał samochód. – O, przyjechała. Zostaniesz na obiad, prawda?

– Chętnie.

Z przyjemnością stwierdziłem, że Penny ucieszyła się na mój widok. – Malcolm! – zawołała i podbiegła do mnie. Ruszyłem jej naprzeciw, spotkaliśmy się na środku pokoju, wziąłem ją w ramiona i pocałowałem.

– Ogromnie mi przykro w związku ze śmiercią twojego ojca.

Spojrzała ponad moim ramieniem w stronę Gillian i powiedziała – Chcę z tobą porozmawiać na ten temat. Kiwnąłem głową. – Dobrze.

– Sherry – zażądała. – Muszę się napić sherry, bo padnę. Gadaliśmy dzisiaj z Lummym, aż mi zaschło w gardle.

Zjedliśmy więc obiad, przy którym gawędziliśmy sobie przyjemnie unikając poruszania kontrowersyjnych tematów. Mówiliśmy o mającym niebawem nastąpić wyjeździe Gillian do Ameryki i Penny zapytała mnie, jak mi było w Stanach. – Dali mi znać, gdzie jesteś – napomknęła.

Nieco później oznajmiła: – Postanowiłyśmy sprzedać dom. Dla nas dwóch jest o wiele za duży, więc chcemy się przeprowadzić do mieszkania w Londynie. Gillian będzie miała znacznie bliżej do teatrów i na koncerty, a ja nie będę musiała dojeżdżać do laboratorium.

– Bardzo słusznie – powiedziałem. – Kiedy się przenieście?

– Pojadę z Gillian do Ameryki – powiedziała. – Zatrzymamy to, co najlepsze, a resztę sprzedamy na aukcji – antyki u Sotheby’ego, a pozostałe rzeczy tu, na miejscu. Ale załatwimy to tak, żeby wszystko się odbyło pod naszą nieobecność. Nie mogłabym patrzeć na licytację domu. Aukcja odbędzie się pewnie za jakieś trzy tygodnie. Właśnie dzisiaj po południu finalizuję sprawę.

I w ten sposób Michaelis już nie będzie miał dostępu do swojej wspaniałej kolejki. Byłem ciekaw, czy jest gotów stanąć do licytacji.

Po obiedzie Gillian oświadczyła, że jest zmęczona, i poszła do siebie do pokoju. Myślę, że głównie chodziło jej o to, żeby nas zostawić samych. Siedliśmy z Penny przy kominku, w którym buzował ogień, i popijaliśmy kawę. Widziałem wyraźnie, że szykuje się do poważnej rozmowy. – Malcolm – powiedziała. – Chciałabym znać prawdę o tatusiu.

Poczęstowałem ją amerykańskim papierosem. – Obawiam się, że nikt jej nigdy nie pozna.

– Czy on zginął tak, jak podali w prasie? Musisz wiedzieć, skoro jesteś, kim jesteś, nawet jeśli byłeś w tym czasie w Ameryce. W końcu zajmowałaś się jego sprawą.

– Wiem tyle, że znalazł się na szwedzkim poligonie wojskowym, gdzie trwały ćwiczenia z użyciem ostrej amunicji i tam zginął.

– I taka jest prawda? – spytała głosem bez wyrazu. – Nie skłamałbyś mi, co?

– Taka jest prawda. – „Ale nie cała, Jaggard, ty podły draniu!”

Przez chwilę milczała i tylko wpatrywała się w płomienie. – Nie rozumiem – odezwała się wreszcie. – Zupełnie nic nie rozumiem. Co on robił w tej Szwecji?

– O ile zdołałem się zorientować, to nic szczególnego. Mieszkał spokojnie w Sztokholmie, razem z Bensonem, który się nim opiekował. Dużo czytał, od czasu do czasu chodził na koncerty. Prowadził spokojne życie.

– Skąd ty to wiesz?

– Firma sprawdziła, rzecz jasna.

– Rzecz jasna – powtórzyła tym samym bezbarwnym głosem. – Jadę do Szwecji. Muszę się sama wszystkiego dowiedzieć. Pojedziesz ze mną?

Tu mnie zażyła! Już sobie wyobraziłem minę pułkownika Królewskiego Regimentu Södermanlandzkiego, gdybym znowu zaczął się kręcić po Strangnas. Bez wysiłku też przypomniałem sobie lodowate szare oczy kapitana Moreliusza ze szwedzkiego wywiadu wojskowego.

– To może nie być łatwe – powiedziałem. – Właśnie przeniesiono mnie do innej służby i nie bardzo jestem panem własnego czasu.

– Przenieśli cię do innego wydziału?

– Nie, jestem tam, gdzie byłem, tylko mam inne zajęcie. Być może będę musiał siedzieć za biurkiem. Ale zobaczę, co się da zrobić. – Doskonale wiedziałem, że nic. – Słuchaj, Penny, a co ty na to, żebym się postarał załatwić ci spotkanie z moim szefem? Opowiedziałby ci wszystko, co wiadomo o pobycie twojego ojca w Szwecji. – „I wybawił mnie od tych kłamstw” – pomyślałem z satysfakcją.

Po chwili zastanowienia zgodziła się. – Świetnie. Ale to nie znaczy, że nie pojedę do Szwecji.

– Zajmę się tym. – Wstałem, żeby dolać jej i sobie kawy z dzbanka. – Penny, powiedz, co się z nami dzieje? Chcę się z tobą ożenić, ale wystarczy, że o tym wspomnę, ty się zaczynasz wycofywać. Kocham cię i ta sytuacja staje się nie do zniesienia. Nie chcesz mnie już?

– Och, Malcolm – westchnęła. – Strasznie mi przykro. Wszystko się nagle przewróciło do góry nogami. Najpierw ta historia z Gillian, potem tatuś – a potem ty. Łapię się na tym, że patrzę na swoich znajomych i zastanawiam się, czy znam ich naprawdę, czy tylko mi się zdaje. Nawet Lummy znalazł się w kręgu podejrzeń – chyba zaczyna się niepokoić o mnie. Myśli, że wariuję.

– Mnie też nie było łatwo – powiedziałem. – Nie chciałem mieć nic wspólnego ze sprawą

Ashtona.

– Sprawa Ashtona – powtórzyła. – Więc tak się to u was nazywa? – skinąłem głową. – W ten sposób eliminuje się ludzki wymiar, prawda? – zapytała. – Kiedy coś jest „sprawą”, łatwiej zapomnieć o człowieku z krwi i kości, ponieważ „sprawa” to zazwyczaj akta i teczki. Jak by ci się podobało gdyby o tobie mówiono „sprawa Jaggarda”?

– Nie bardzo – powiedziałem z powagą.

Penny wzięła mnie za rękę. – Malcolm, musisz mi dać trochę czasu Chyba... Nie, nie, wiem na pewno, że cię kocham, ale wciąż jeszcze mam mętlik w głowie; w dodatku nie mam pewności, czy w pełni aprobuję to, co ty robisz. To kolejna rzecz, nad którą trzeba będzie się zastanowić.

– Mój Boże! Tak to mówisz, jakbym pożerał żywcem niemowlęta. A ja tylko pracuję w kontrwywiadzie, zajmuję się zwalczaniem szpiegostwa przemysłowego, to znaczy pilnuję, żeby nam nikt nie wykradł za dużo tajemnic.

– Chodzi o broń?

Pokręciłem głową. – Niekoniecznie. To nie nasza działka – ale też nie zajmujemy się najnowszymi dodatkami smakowymi do pasty do zębów. Jeśli na przykład konkretne przedsiębiorstwo zaangażowało olbrzymie pieniądze w badania i opracowało rewolucyjne rozwiązanie techniczne, to nie chcemy, żeby byle cwaniak z zagranicy je podkradł i dał fory naszej konkurencji. Pamiętaj, że na wschodzie tacy zawodnicy są finansowani przez państwo.

– Przecież wynalazki się opatentowuje, nie?

– Właśnie najgorzej jest coś opatentować. Naprawdę ważnych rozwiązań, zwłaszcza w dziedzinie elektroniki, się nie opatentowuje. Jeśli się wyprodukuje nowy mikroprocesor zdolny wykonać pracę jedenastu tysięcy tranzystorów, to przeciwnicy mogą go sobie obejrzeć pod mikroskopem, stwierdzić, co to jest, ale w żaden sposób się nie dowiedzą, jak został zrobiony. Nasi nie będą się tym chwaliли. A już z pewnością nie będą ujawniali szczegółów technologicznych we wniosku patentowym.

– Rozumiem. To znaczy, że jesteś po prostu swego rodzaju policjantem.

– Można tak powiedzieć – przytaknąłem. – Kłopot polega na tym, że kradzież informacji jako takiej nie jest u nas karalna. Powiedzmy, że z twojego laboratorium ukradłem arkusz papieru. Gdybym wpadł, oskarżono by mnie o kradzież kartki papieru wartości jednego pensa i wymierzono by mi odpowiednią karę. Nie miałoby przy tym najmniejszego znaczenia, że na tej kartce znajdował się opis jakiejś technologii wart milion funtów.

– Ależ to idiotyzm – wykrzyknęła.

– Zgadza się z tobą – powiedziałem. – A chcesz usłyszeć naprawdę idiotyczną historię? Kilka lat temu przyłapano jednego gościa na tym, że się podłączył do linii telefonicznej. Można mu było postawić tylko taki zarzut, że kradł prąd na szkodę Urzędu Pocztowego; straty obliczono na jakąś milionową część wata. – Penny roześmiała się, a ja mówiłem dalej: – W każdym razie na tym polega

moja praca i nie widzę w niej niczego haniebnego.

– Ja też nie, zwłaszcza jak mi wytłumaczyłeś, na czym ona polega. Ale co tatuś ma z tym wspólnego?

– Być może nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak ważnym człowiekiem był twój ojciec – zacząłem. – Produkowane przez niego katalizatory wywołały istną rewolucję na rynku naftowym i miały ogromne znaczenie dla gospodarki kraju. Jeśli taki człowiek nagle gdzieś znika, chcemy wiedzieć, czy przypadkiem ktoś nie wywiera na niego presji, a jeśli tak, to dlaczego. Naturalnie, jeśli tylko ucieka przed żoną sekretnicą, to jego sprawa i nam nic do tego. Tak też już się zdarzało.

– A do jakich wniosków doszliście, jeśli idzie o tatę?

– Początkowo łączyliśmy jego wyjazd z napaścią na Gillian – powiedziałem. – Ale okazało się, że prowadzi nas to do nikąd; wiemy, że Mayberry działał w pojedynkę. O ile zdołaliśmy się zorientować, twój ojciec mieszkał sobie spokojnie w Sztokholmie i nic nie robił, najwyraźniej odpoczywał. Nie mieliśmy prawa się wtrącać.

– Ano nie – skonstatowała Penny. – Nie jesteśmy państwem policyjnym. A co się w tej sprawie dzieje teraz?

Wzruszyłem ramionami. – Nasz trust mózgow zdecydował, że ją zamykamy.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w ogień, potem pokręciła głową. – Ale musisz mi dać trochę czasu, Malcolm. Pozwól mi pojechać do Ameryki. Chciałabym wyjechać stąd i pomyśleć. Chciałabym...

Uniosłem rękę. – Zrozumiałem, nie ma o czym gadać. Zmieniamy temat. Powiedz, co porabiałaś w Szkocji? – Z wielką ulgą zmieniłem temat; miałem już dosyć tego balansowania na granicy prawdy.

– W Szkocji? Konsultowałam przebudowę laboratorium. Trochę mnie ta sprawa niepokoi, bo gotowi są robić tylko P3, a według mnie powinno być P4. Cały ranek sprzeczałam się o to z Lumsdenem. Uważa, że mam na tym punkcie, no... lekkiego bzika.

– Pogubiłem się – powiedziałem. – Co to jest P3? Nie mówiąc już o P4.

– Zupełnie zapomniałam – machnęła ręką. – Tak się przyzwyczaiłam, że w tym pokoju omawiam wszystko z tatusiem, że zapomniałam. A przecież ty jesteś laikiem. – Spojrzała na mnie niepewnie. – Muszę się wdać w szczegóły techniczne – ostrzegła.

– Nie szkodzi. W swojej pracy też miewam do czynienia ze szczegółami technicznymi.

– Chyba muszę ci na początek opowiedzieć o wielkiej awanturze – zaczęła. – Wywołał ją pewien amerykański genetyk nazwiskiem Paul Berg.

No więc Berg rozpętał burzę, bo jego zdaniem genetycy igrają z genami równie bez troski i nierozważnie, jak w latach dwudziestych i trzydziestych fizycy igrali z atomem. Natomiast



konsekwencje tego mogą być znacznie groźniejsze. Berg zwrócił uwagę na niektóre z nich.

Okazuje się, że ulubionym stworzeniem doświadczalnym genetyków jest bakteria o nazwie *Escherichia coli*. Jest to najdokładniej zbadany organizm na świecie. O *E. coli* wiadomo więcej niż o jakiegokolwiek innej żyjącej istocie. Dość oczywiste więc było, że organizm ten zaczęto wykorzystywać do doświadczeń genetycznych.

– Wszystko byłoby pięknie – powiedziała Penny – gdyby nie jedno. Otóż naturalnym siedliskiem *E. coli* są ludzkie jelita. Przy czym nie występują tam pojedyncze egzemplarze bakterii, lecz całe miliony. Traktując więc *E. coli* jako materiał do badań genetycznych, można narazić ludzi na wielkie niebezpieczeństwo.

– Jakie na przykład? – spytałem.

– Pamiętasz przykład, którym posłużył się Lummy: opowiadał o przeniesieniu cech genetycznych *Rhizobium*, po to aby wyhodować ulepszony gatunek zboża. Powiedziałam wtedy, że musimy uważać, żeby nie przenieść innego, niebezpiecznego genu. A teraz zastanów się nad taką możliwością. Załóżmy, że do *E. coli* wprowadzi się – przypadkiem albo rozmyślnie – gen, który decyduje o produkcji męskiego hormonu, testosteronu. Załóżmy też, że bakterie te w jakiś sposób wydostaną się z laboratorium i zaczną być wchłaniane przez ludzi. Oczywiście, trafiłyby nie tylko do przewodu pokarmowego mężczyzn, ale i kobiet. W rezultacie, kobiety nabrałyby cech męskich, zaczęłyby mieć wąsy i przestałyby rodzić.

– O, Boże – jęknąłem – to by była katastrofa.

– Berg wraz z grupą przyjaciół, ludzi świadomych, jakie niebezpieczeństwa niosą ze sobą eksperymenty genetyczne, zwołał w 1975 roku w Asilomar w Kalifornii międzynarodową konferencję, na którą zjechało się wielu wybitnych genetyków. Ale zebranych daleko było do jednomyślności. Stopniowo wypracowano jednak reguły postępowania. Pewne niebezpieczne eksperymenty miały być zakazane do czasu wyhodowania szczepu *E. coli* niezdolnego przetrwać poza laboratorium i zagnieździć się w ludzkich wnętrznościach.

Ustalono, że możliwości przetrwania bakterii tego nowego szczepu powinny być nie większe niż jedna na miliard.

Uśmiechnąłem się. – To brzmi jak pełna gwarancja bezpieczeństwa.

– O, nie – oświadczyła Penny z powagą – zważywszy, jak nieprawdopodobnie dużo *E. coli* nas otacza. Ale istotnie, zagrożenie byłoby bardzo niewielkie. Według mnie konferencja ta miała zasadnicze znaczenie w dziejach nauki. Po raz pierwszy naukowcy zebrali się po to, by nałożyć sobie pewne ograniczenia, i niczego im nie narzucano z zewnątrz. Mam wrażenie, że każdy – bardziej lub mniej świadomie – miał w pamięci zły przykład działalności fizyków atomowych.

Piętnaście miesięcy później University of Alabama ogłosił wyodrębnienie nowego szczepu. – Penny roześmiała się. – Na łamach „New Scientist” ktoś doskonale to ujął stwierdzając, że jest to pierwsza żywa istota zaprojektowana tak, by wolała śmierć niż wolność.

– Pierwsza istota zaprojektowana... – powiedziałem wolno. – Przecież to przerażające!

– W pewnym sensie tak – odparła Penny. – Właściwie już od dawna projektujemy i tworzymy różne organizmy. Nie sądzisz chyba, że współczesną krowę mleczną stworzyła natura?

– Może i nie, wydaje mi się jednak, że mamy tu różnicę jakościową. Sterowanie ewolucją to jedno, a całkowite omijanie jej to zupełnie coś innego.

Przyznała mi rację. – Wcześniej czy później pojawi się jakiś zapalenie czy początkujący naukowiec. Przejęty badawczą pasją, nie będzie się zastanawiał nad konsekwencjami swoich eksperymentów i nie zawaha się przed kontynuowaniem ich. Pewnego dnia ktoś popełni bardzo poważny błąd – chyba że zdołam temu zapobiec. I to właśnie prowadzi nas do Szkocji.

– W jaki sposób?

– To, o czym mówiłam, dotyczy biologicznego systemu zabezpieczeń. Ale istnieją także bariery fizyczne, dzięki którym żywe organizmy nie mogą wymknąć się z laboratorium. Laboratoria klasyfikuje się w zależności od stosowanych w nich zabezpieczeń – od P1 do P4. Standardowe laboratorium mikrobiologiczne ma klasę P1; natomiast w laboratorium klasy P4 panuje odpowiednie ciśnienie, instaluje się śluzy powietrzne, natryski zewnątrz i wewnątrz, stosuje się odzież ochronną, specjalne kombinezony pod ciśnieniem i takie różne zabezpieczenia.

– I co? W tym laboratorium w Szkocji nie chcą zastosować się do twoich zaleceń?

– Mają tam laboratorium klasy P2 i chcą je przerobić na P3. Zważywszy, jakie badania zamierzają prowadzić, uważam, że niezbędne jest P4, ale oni nie chcą wyjść poza P3. Problem polega na tym, że dla uzyskania standardu P4 trzeba potwornie dużo pieniędzy, i to nie tylko na budowę, ale także na utrzymanie obiektu.

– A czy nie ma na to odpowiednich przepisów?

– Nie w tej dziedzinie; to zbyt świeża sprawa. Gdyby zajmowali się, na przykład, rozpoznaniem już patogenami, to owszem, można by się odwołać do przepisów. Tylko że oni będą się zajmowali dobrą, starą, nieszkodliwą bakterią *E. coli*. W swoim przewodzie pokarmowym masz w tej chwili kilkaset milionów *E. coli*. Bakterie te będą całkowicie nieszkodliwe do chwili, kiedy jakiś dureń nie wprowadzi do nich niewłaściwego genu. – Westchnęła ciężko. – Wszyscy postępujemy według określonych zasad, ale nie posiadamy konkretnych zasad prawnych.

– Zupełnie jak w mojej pracy – też nie mamy zasad prawnych.

Ze smutkiem przyznała mi rację i zmieniliśmy temat. Tuż przed moim wyjściem powiedziała: – Słuchaj, Malcolm – chcę, żebyś wiedział, że widzę i doceniam, jaki jesteś w stosunku do mnie cierpliwy i troskliwy. Nie jestem rozkapryszoną kobietką i na ogół bez trudu podejmuję decyzje, ale ostatnie wydarzenia zupełnie mnie wytrąciły z równowagi.

– Nie martw się – powiedziałem – mogę poczekać.

– No i jest także problem z Gillian – powiedziała. – Może to głupie, ale martwiłam się o nią

jeszcze przed wypadkiem. Nigdy nie była zbyt atrakcyjna. Wyglądało na to, że zostanie starą panną; a szkoda, bo byłaby idealną żoną. Teraz jednak – pokręciła głową – z taką twarzą, chyba nie ma już żadnych szans na małżeństwo.

– Tym bym się też nie przejmował – oświadczyłem – Michaelis wyraźnie się nią interesuje. – Zaśmiałem się. – Jak dobrze pójdzie, to będziesz miała w rodzinie nie jednego, lecz dwóch szpiegów.

Zostawiłem ją sam na sam z tą szokującą informacją.



Dobrze wiem, jak wygląda weekend w Wielkiej Brytanii, więc wybrałem się do War Office dopiero w poniedziałek. Gdyby ktoś chciał dokonać inwazji naszych wysp, powinien przystąpić do natarcia w piątek po czwartej po południu; wygrałby walkowerem. Przy wejściu wypełniłem odpowiedni formularz i poszedłem, jak mi kazano, za woźnym, który zaprowadził mnie do niewłaściwego pokoju. Po dwóch dalszych nieudanych próbach trafiłem wreszcie do odpowiedniego człowieka. Był to major Gardner, starszy pan, który w oczekiwaniu na emeryturę wycierał biurowe stołki. Wysłuchał mnie, a potem rzucił mi smętne spojrzenie. – Zdaje pan sobie sprawę, że wojna skończyła się przeszło trzydzieści lat temu?

Nie lubię ludzi, którzy zadają oczywiste pytania. – Tak, zdaje sobie z tego sprawę, ale i tak chcę mieć te informacje.

Westchnął, przysunął sobie bliżej arkusz papieru i wziął do ręki długopis. – To nie będzie łatwe. Wie pan, ile milionów ludzi służyło w armii? No, cóż, chyba muszę poprosić pana o te nazwiska.

– Chyba tak. – Zacząłem rozumieć, dlaczego w tym wieku Gardner wciąż był tylko majorem. – George Ashton, szeregowiec w Królewskich Wojskach Inżynieryjnych; zdemobilizowany czwartego stycznia 1947.

– W Londynie?

– Prawdopodobnie.

– Mogło to być w Earl's Court; Earl's Court służyło wtedy za ośrodek demobilizacyjny. A ten drugi?

– Howard Greatorex Benson, sierżant w Służbie Zaopatrzenia i Transportu Królewskich Wojsk Lądowych. Nie wiem gdzie go zdemobilizowano.

– Nic więcej pan o nich nie wie? To wszystko?

– Tak.

Gardner odłożył długopis i popatrzył na mnie ponuro. – Świetnie, rozpocznę poszukiwania. Proszę mi zostawić adres i numer telefonu, pod którym będę mógł pana zawiadomić. – Pociągnął nosem. – Zajmie mi to, jak sędzę, około miesiąca.

– Za długo. Muszę mieć te informacje znacznie prędzej.

Machnął w moją stronę wiotką ręką. – Tyle akt – jęknął – miliony akt.

– Nie macie tu żadnego systemu?

– O tak, mamy system, który w dodatku działa... kiedy chce.

Zacząłem go urabiać i przeplatając pochlebstwa z niewypowiedzianymi wprost groźbami oraz wtrącając od czasu do czasu ważne nazwisko zdołałem go wreszcie skłonić do tego, że podniósł się z krzesła i przystąpił do działania, o ile działaniem można nazwać to co robił w tempie żółwia. Wstał, spojrzał na mnie otępiąłym wzrokiem i powiedział: – Myśli pan, że trzymamy tu pięć milionów akt osobowych?

Uśmiechnąłem się. – Jedziemy moim samochodem czy pańskim?

Po czterech godzinach miałem już to, czego szukałem. Pomyślałem wtedy, że szczęście mi sprzyja, ale później zrozumiałem, że nie miało to nic wspólnego ze szczęściem. Dokładnie tak zaplanowano to przed trzydziestu laty.

Zaczelśmy od akt z Earl's Court, które obecnie jest halą wystawową, w której eksponuje się między innymi samochody i łodzie. Wtedy jednak był to wielki ośrodek, w którym przerabiano żołnierzy na cywilów. Zmieniali tam mundury na ubrania cywilne – poczynając od bielizny, koszul, skarpetek, butów, poprzez garnitury i płaszcze, a na obowiązkowych w latach czterdziestych kapeluszach typu fedora kończąc.

Był tam również rodzaj banku, który nie przyjmował wpłat, lecz tylko wypłacał pieniądze milionami; wręczał demobilizowanym żołnierzom gratyfikacje, mały, maleńki datek od wdzięcznego narodu. W szczytowym okresie przez Earl's Court przechodziło dziennie 5000 ludzi, ale na początku 1947 roku liczba ta zmalała do 2000.

Księgi obejmujące czwarty stycznia były stosunkowo niewielkie; tego dnia przez Earl's Court przeszło zaledwie 1897 osób – wyjątkowo ulgowy dzień.

Jakby na złość, ksiąg nie prowadzono alfabetycznie, lecz według numeru ewidencji wojskowej, co oznaczało, że trzeba było przejrzeć każde nazwisko i każdą stronę. – Zaraz, jakie to miało być nazwisko? – spytał Gardner.

– Ashton.

– Ashton – mamrotał przystępując do kartkowania pierwszej księgi. – Ashton... Ashton – chyba musiał powtarzać sobie pod nosem nazwisko, bo miał taką zdolność koncentracji jak cofnięte w rozwoju pięcioletnie dziecko.

Wziąłem następną księgę i zacząłem ją przeglądać. Miałem wrażenie, jakbym oglądał spis nazwisk do odczytania podczas apelu – tyle, że ci właśnie przeżyli. Była to długa lista nazwisk anglosaskich, okraszona tu i ówdzie jakimś nazwiskiem obcym; nudziło mnie to jeszcze bardziej niż wykazy podróżnych na Heathrow. Po pół godzinie Gardner zapytał: – Jakie to było nazwisko?

Westchnąłem. – Ashton. George Ashton.

– Nie, to drugie.

– Benson, Howard Greatorex.

– Mam go tu – oznajmił Gardner spokojnie.

– Benson! – obszedłem stół i pochyliłem się, by spojrzeć Gardnerowi przez ramię. Rzeczywiście, jego palec spoczywał pod nazwiskiem Bensaona i pozostałe dane się zgadzały. Sierżant H.G. Benson ze Służby Zaopatrzenia i Transportu Królewskich Wojsk Lądowych odszedł do cywila w tym samym dniu i w tym samym miejscu co szeregowy G. Ashton z Królewskich Wojsk Inżynieryjnych. Nie przypuszczałem, że zdarzają się aż takie zbiegi okoliczności.

– No, poszczeniło nam się – zauważył Gardner zadowolony z siebie. – Jak już mamy numer ewidencyjny, to bez trudu odnajdziemy akta.

– Ale nie mamy jeszcze Ashtona – powiedziałem i obaj wzięliśmy się znów do wertowania ksiąg. Ashton wychynął po trzech kwadransach. Gardner zrobił sobie notatkę na skrawku papieru i swoim somnambulicznym krokiem oddalił się, by zorganizować wyszukanie akt.)a tymczasem usiadłem i zacząłem się zastanawiać nad tym, co znaleźliśmy.

Usiłowałem obliczyć, jakie jest prawdopodobieństwo, żeby dwu konkretnych żołnierzy Armii Brytyjskiej zdemobilizowano tego samego dnia i w tym samym miejscu, ale pogubiłem się w ilości zer, więc dałem sobie spokój z tym rachunkiem. Zbyt nieprawdopodobna wydała mi się jednak koncepcja, że to czysty przypadek umieścił w tym samym czasie i miejscu dwóch ludzi, którzy potem jako pan i sługa przeżyli razem ćwierć wieku. Jeśli więc nie był to zbieg okoliczności, ktoś musiał w tym maczać palce.

Pytanie – kto?

Wciąż jeszcze wysilałem komórki mózgowie, kiedy po godzinie powrócił Gardner z aktami. Wynikł jeszcze problem, kiedy mu powiedziałem, że chcę je zabrać; przywarł do nich, jakby to były nieletnie dzieci, na które dybie zły porywacz. Wreszcie jednak zgodził się przyjąć ode mnie rewers, a ja z poczuciem triumfu opuściłem War Office.

Obejrzałem akta w domu, nie zajmując się zbytnio dokumentami Ashtona, ponieważ nie miały one nic wspólnego z tym Ashtonem, którego znałem. Zająłem się natomiast szczegółowo aktami Bensaona. Jego służba przebiegała dokładnie tak, jak opowiedział Ogilvie. Wstąpił do wojska w 1940 roku, po wstępnym szkoleniu przeniesiono go do Służby Zaopatrzenia i Transportu i początkowo dość szybko awansował – na starszego strzelca, potem na kaprała, a następnie na sierżanta, którym pozostał do końca wojny. Cały czas służył w Anglii i nigdy nie był za granicą. Większość jego obowiązków wiązała się z pracą w magazynie i jak wynika z adnotacji jego przełożonych, dość dobrze się z nich wywiązywał, aczkolwiek w aktach znalazło się też kilka uwag krytycznych; zarzucano mu brak inicjatywy i skłonność do spychotechniki. Uwag tych było niewiele, lecz dostatecznie dużo, by uniemożliwić mu awans.

Z dokumentów finansowych wynikało, że nie był żonaty, ale regularnie wspomagał finansowo matkę. Wpłaty na rzecz matki ustały wraz z jej śmiercią w 1943 roku. Od tego czasu aż do demobilizacji rosły oszczędności na jego koncie. Pomyślałem, że jeśli ktoś w tamtych czasach potrafił z żołdu coś zaoszczędzić, to znaczy, że prowadził bardzo spokojny tryb życia.

Karta zdrowia Bensaona była równie nieciekawa. Mogło się wydawać, że sporo chorował, ale przy bliższych oględzinach okazało się, że zawiera tylko banalne dolegliwości mogące się każdemu przytrafić. Było tam kilka ekstrakcji zębów i dwa pobyty w szpitalu – jeden z powodu ostrego ataku grypy, drugi – ponieważ upuścił sobie na lewą stopę sześciocalowy pocisk. Na szczęście pocisk był rozbrojony.

Moją uwagę zwrócił ostatni zapis. Benson uskarżał się na bóle w lewym ramieniu; postawiono wstępną diagnozę, że są to bóle reumatyczne i przepisano mu odpowiednią kurację. Miał wtedy trzydzieści trzy lata, więc zdziwił mnie trochę ten reumatyzm. Zwłaszcza, że wojna mu przeszła ulgowo. Nie maszerował dziarsko w deszczu, nie taplał się w błocie; pracował w ciepłym biurze i sypiał w wygodnym łóżku.

Najwyraźniej kuracja nie poskutkowała i lekarzowi też się ten reumatyzm wydał dziwny. Przy wcześniejszej diagnozie postawił bowiem innym kolorem atramentu znak zapytania i dopisał pod spodem: „Zrobić elektrokardiogram”. Dopisek pochodził z 19 grudnia 1946 roku.

Sięgnąłem znów do akt dotyczących przebiegu służby, gdzie natknąłem się na kolejną dziwną rzecz, gdyż ostatnia notatka bezpośredniego przełożonego Bensaona brzmiała: „Proponowana data zwolnienia – 21 marca 1947”. Pod spodem inną ręką napisano: „Zgoda” i złożono nieczytelny podpis.

Siadłem wygodniej i zacząłem się zastanawiać. „Jeśli proponowano zwolnienie Bensaona 21 marca 1947 i była na to zgoda, to dlaczego zdemobilizowano go trzy miesiące przed tym terminem?”. Jeszcze raz przejrzałem kartę zdrowia i zadzwoniłem do Toma Packera.

Cała ta opowieść zaczęła się od Toma Packera, ponieważ to u niego poznałem Penny. Zadzwoniłem do niego, bo potrzebowałem opinii lekarza, szukałem potwierdzenia pewnej hipotezy, która zaczęła mi świtać. Gdyby Tom nie umiał mi odpowiedzieć na pytanie, z pewnością będzie wiedział, do kogo mnie odesłać.

Po krótkiej wymianie uprzejmości, oznajmiłem: – Tom, potrzebuję bezpłatnej porady medycznej.

Zaśmiał się. – Nie ty jeden. O co chodzi?

– Załóżmy, że ktoś uskarża się na ból w lewym ramieniu. Jaką byś postawił diagnozę?

– Diabli wiedzą, to mogą być różne rzeczy. A co? Boli cię lewe ramię?

– Jest to pytanie hipotetyczne.

– Rozumiem. Może to być reumatyzm. Ile lat ma ten hipotetyczny facet?

– Trzydzieści trzy.

– Więc mało prawdopodobne, żeby to był reumatyzm, o ile żył w normalnych, cywilizowanych warunkach. Powiedziałem, mało prawdopodobne, ale nie wykluczone. Jaki to był ból, ostry, tępy?

Zajrzałem do karty zdrowia. – Po prostu ból, nic więcej nie powiedział.



– Hm. To niewiele. Lekarze zazwyczaj mają do czynienia z żywymi pacjentami, a nie wytworami twojej wyobraźni.

– Załóżmy, że tego człowieka leczono na reumatyzm i kuracja nie dała żadnych rezultatów, więc lekarz zalecił zrobienie elektrokardiogramu. Co byś na to powiedział? – zapytałem.

– A jak długo leczono go na reumatyzm?

– Chwileczkę – znów zajrzałem do karty zdrowia. – Trzy miesiące.

Głośny oddech Toma aż zaświstał w słuchawce. – Powiedziałbym, że tego lekarza należałoby pozbawić prawa wykonywania zawodu. Chcesz powiedzieć, że minęły trzy miesiące, zanim rozpoznał klasyczny objaw niedokrwienia?

– Czego?

– Niedokrwienia mięśnia sercowego – anginy pectoris.

Czułem się wyraźnie podniesiony na duchu. – Czy ten człowiek miał szanse przeżycia?

– Nie sposób odpowiedzieć na to pytanie, bo mamy same niewiadome. Można tylko gdybać. A więc, gdyby ten ból utrzymywał się przez trzy miesiące i gdyby był wywołany niedokrwieniem mięśnia sercowego, i gdyby pacjent nie był leczony na serce, to jego stan byłby pewnie bardzo kiepski. Jego los zależałby głównie od trybu życia, jaki prowadzi – aktywny czy siedzący, czy dużo pali.

Pomyślałem o sierżancie Bensonie w biurze magazynów wojskowych. – Powiedzmy, że prowadzi siedzący tryb życia i załóżmy, że pali.

– No, to nie zdziwiłbym się, gdyby któregoś pięknego dnia zmarł na zawał. Mówimy o jakimś hipotetycznym facecie, tak? To nie jest żaden z moich znajomych?

– Nie jest to żaden z twoich znajomych – odpowiedziałem – ale też nie jest całkiem hipotetycznym facetem. W takim stanie zdrowia był w 1946 pewien człowiek, który zmarł mniej więcej miesiąc temu. Co ty o tym myślisz?

– Myślę, że chyba jestem zdumiony. Ale też medycyna to taka dziwna zabawa, w której do końca niczego nie da się przewidzieć. Zdarzają się rzeczy najosobliwsze. Nie przypuszczałbym, że ten twój klient dożyje starości.

– Ja też nie – powiedziałem. – Dzięki za poradę, Tom.

– Przyślę ci rachunek – pogroził i odłożył słuchawkę.

Nacisnąłem widełki telefonu i wykręciłem numer Penny. Zapytałem ją, jak się nazywa lekarz Bersona. Była lekko zdziwiona moim pytaniem, ale podała mi jego nazwisko. Wyjaśniłem, że szef chce uporządkować do końca kilka spraw, zanim mnie przeniesie. – Chodzi tylko o potwierdzenie identyfikacji.

Lekarz nazywał się Hutchins i odniósł się do mnie z pewną rezerwą. – Jak Pan wie, obowiązuje mnie tajemnica lekarska.

– Nie proszę pana o żadne informacje objęte tajemnicą – uspokoilem go. – Ten człowiek już nie żyje i chciałbym się dowiedzieć tylko, kiedy miał ostatni atak serca.

– Atak serca! – Powtórzył jak echo Hutchinson wyraźnie zdumiony. – O tym mogę z panem spokojnie rozmawiać. Lekarz nie narusza żadnej tajemnicy, jeśli stwierdza, że jego pacjent był absolutnie zdrowy. Benson nie miał żadnych kłopotów z sercem; miał serce znacznie zdrowsze niż ja a przecież jestem od niego o wiele młodszy. Był zdrow jak ryba.

– Dziękuję panu – powiedziałem ciepło. – Tylko tyle chciałem wiedzieć. – Odkładając słuchawkę pomyślałem, że całkiem nieźle rozegrałem sprawę.

Znów siadłem wygodniej i odpajkowałem kolejne punkty.

FAKT: Sierżant Benson w 1946 roku cierpiał na chorobę serca. Zdaniem Toma Packera jego stan był na tyle poważny, że nikt by się nie dziwił, gdyby nagle zmarł.

HIPOTEZA: W wyniku choroby serca sierżant Benson zmarł między 18 grudnia 1946, a 4 stycznia 1947.

FAKT: Cywil Benson został 4 stycznia 1947 roku zwolniony ze służby w Earl's Court i nigdy potem nie miał najmniejszych objawów dolegliwości sercowych.

HIPOTEZA: Cywil Benson został podstawiony za sierżanta Bensa dokładnie tak samo, jak Czeluskin za szeregowego Ashtona. Metoda była identyczna, obie podmiany nastąpiły tego samego dnia i w tym samym miejscu, więc prawdopodobieństwo powiązania tych spraw było bardzo duże, zwłaszcza że Benson do końca życia pracował u Ashtona.

WNIOSEK: Ponieważ metody zastosowane w obu przypadkach były identyczne, istnieje poważne prawdopodobieństwo, że obie podmiany zaplanował ten sam człowiek. Ogilvie powiedział mi jednak, że był to pomysł samego Czeluskina. Czyżby Benson też był Rosjaninem? Czyżby ich obu przerzucono z Rosji?

Wszystko bardzo ładnie pasowało, ale wciąż nie miałem odpowiedzi na pytanie, kim był Benson i dlaczego zastrzelił Ashtona.



Ogilvie był bardzo zadowolony, chociaż nie przybliżyliśmy się ani o krok do rozwikłania tajemnicy, jaki powód mógł mieć Benson, żeby zabijać Ashtona. Najważniejsze, że wyszły na jaw jakieś powiązania i Ogilvie był przekonany, że długotrwałe i intensywne śledztwo pozwoli nam wreszcie odkryć prawdę – to znaczy, że ja ją odkryję. Żeby mieć dodatkową pewność, kazał mi starannie zbadać losy sierżanta Bensaona przed jego wstąpieniem do wojska. Ogilvie zawsze się zabezpieczał na wszystkie strony.

Spędziłem więc mnóstwo czasu w południowo-zachodniej Anglii przekopując się przez szkolne archiwa w Exeter oraz akta związane z zatrudnieniem w Plymouth. W szkole, do której chodził Benson, znalazłem starą zbiorową fotografię jego klasy. W trzecim rzędzie stał Benson, przynajmniej tak mnie zapewniano. Nie uformowana jeszcze twarz trzynastolatka patrzącego z powagą w obiektyw nic mi nie mówiła. Później w jakimś momencie rysy Bensaona uległy zniekształceniu.

W Plymouth nie znalazłem żadnych późniejszych zdjęć Bensaona, ale rozmawiałem z kilkoma osobami, które go znały przed wojną. Mówiono o nim dość dobrze, uchodził za niezłego pracownika, choć mało ambitnego.

Wszystko tak, jak w jego aktach. Po zakończeniu wojny nie pojawił się już w Plymouth; z jego rodziny nikt nie żył i uznano to za dostateczny powód, że nie wrócił.

Wszystko to zajęło mi dużo czasu i wróciłem do Londynu dopiero przed samym wyjazdem Penny i Gillian do Ameryki. Odwiozłem je na lotnisko, gdzie wstąpiliśmy do baru, by wypić za udaną operację. – Jak długo was nie będzie? – zapytałem Gillian. Miała na głowie apaszkę zawiązaną do tyłu oraz słomkowy kapelusz z szerokim rondem, a na nosie duże ciemne okulary; ukryła swoje kalectwo umiejętnie i w dobrym stylu.

– Nie wiem, wszystko zależy, jak będą przebiegały zabiegi. – Wzdrygnęła się, jakby ją przeszedł dreszcz. – Nie powiem, żebym myślała o nich z przyjemnością. Ale Penny wróci już w przyszłym tygodniu.

– Jadę tylko, żeby pomóc Gillian się zainstalować, dopilnować, żeby wszystko było jak należy, i natychmiast wracam. Lummy chce jechać ze mną do Szkocji.

– Obudziłaś w nim wątpliwości?

– Być może – powiedziała wymijająco.

– Załatwiłaś aukcję?

– Tak, odbędzie się w środę; we wtorek zainteresowani mogą oglądać, co Jest na sprzedaż. Już mamy mieszkanie w Londynie. – Wyjęła z torebki notes i na kartce zapisała mi adres. – Tu mnie znajdziesz, jak wrócę z Ameryki. Chyba żebym pojechała do Szkocji.

Gillian przeprosiła nas i powędrowała w stronę damskiej toalety. Skorzystałem z okazji, żeby zapytać: – Jak ci poszło z Ogilviem? – Zgodnie z obietnicą zaaranżowałem spotkanie z Ogilviem. Nie miał na to ochoty, ale go przycisnąłem.

Penny zmarszczyła brwi. – Chyba nie najgorzej. Opowiedział mi mniej więcej to samo co ty. Ale też było coś...

– Co?

– Nie wiem. Czułam się tak, jakbym się znalazła w wielkiej, pustej sali. Znasz to uczucie. Mówisz coś i spodziewasz się echa, trochę cię więc dziwi, że go nie ma. Podobne wrażenie miałam rozmawiając z Ogilviem, wrażenie jakby czegoś brakowało. Nie potrafię tego dokładniej określić.

Penny miała rację: brakowało czegoś, i to czegoś bardzo ważnego. Jej metapsychiczne czujniki odebrały jakieś sygnały, wyczuła fałsz, ale nie potrafiła go skonkretyzować. Była inteligentna, więc domyślała się, że coś jest nie tak, lecz brakowało jej faktów, żeby móc to na czymś oprzeć.

My z Ogilviem wiedzieliśmy, że coś jest nie tak, bo znaleźliśmy znacznie więcej faktów, ale w tym momencie też gubiliśmy się w tych informacjach.

Odprowadziłem je aż do wejścia do samolotu, wróciłem do domu i zacząłem kreślić skomplikowany diagram, w którym zawarłem wszystko, co wiem o sprawie Ashtona. Liniami ciągłymi połączyłem osoby dramatu i oznaczyłem to, co wiadomo na podstawie faktów; liniami przerywanymi oznaczyłem hipotezy.

Cała ta zabawa nic mi nie dała.

Mniej więcej w tym czasie zacząłem jednak odczuwać dziwne swędzenie w korze mózgowej. Może przyczyną było wykreślenie tego diagramu z liniami i strzałkami, ale coś mi zaczęło w głowie kielkować i koniecznie chciało się przebić na powierzchnię. Ktoś coś powiedział, a ktoś inny powiedział coś innego, pozornie z tym niezwiązanego, i mały pan Domysł, który mieszkał u mnie pod czaszką, zaczął się niespokojnie wiercić przez sen. Poszturchiwałem go, żeby się obudził, ale nic z tego. Musiałem cierpliwie czekać, aż się wyśpi.

We wtorek pojechałem do domu Ashtona obejrzeć rzeczy wystawione na sprzedaż. Ściągnęły tam tabuny cwanych handlarzy i naiwnych kupców liczących na to, że trafi im się jakaś nadzwyczajna okazja. I jedni, i drudzy byli nieco zawiedzeni, bo najlepsze rzeczy zabrano do mieszkania w Londynie albo sprzedano u Sotheby'ego. Niemniej zostało jeszcze wystarczająco dużo wszystkiego, żeby każdy miał co sobie pooglądać. W końcu był to zgromadzony przez piętnaście lat dobytek szczęśliwej rodziny. Rozumiałem, dlaczego Penny nie chciała być przy tym obecna.

Nie wybrałem się tam, żeby cokolwiek kupować ani też z czystej ciekawości. Zakładaliśmy, że Ashton coś ukrył; wprawdzie nie natrafiliśmy na to, ale nie znaczy to wcale, że tego nie ma. Używam tu liczby mnogiej, choć w istocie mam na myśli Ogilvie'ego, ponieważ w tej kwestii miałem odmienne zdanie. Nie mogłem jednak wykluczyć, że mój szef ma rację, więc na wszelki wypadek poszedłem sprawdzić, czy jakieś podejrzone typy przypadkiem nie wykazują niezdrowego

zainteresowania dobytkiem Ashtonów. Oczywiście była to zabawa równie jałowa jak moje wcześniejsze kreślenie diagramu, gdyż normalny handlarz jest z natury rzeczy podekscytowany i wygląda podejrzenie.

Kręcąc się po domu natknąłem się na Mary Cope. – Dzień dobry, Mary – zagadnąłem. – Widzę, że trwasz na posterunku.

– Tak, proszę pana. Mam tu mieszkać do czasu, aż dom zostanie sprzedany. Nadal mam mieszkanie na górze. – Spojrzała na tłum ciekawskich szperających w dobytku Ashtonów. – Jaka straszna szkoda, naprawdę. Tu było tak pięknie, zanim... zanim...

Była o krok od płaczu. – Rzeczywiście, straszna szkoda, ale stało się – powiedziałem. – Jest już ktoś chętny do kupienia domu?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– A co zrobisz, kiedy zostanie sprzedany?

– Mam jechać do Londynu, kiedy panna Penny i panna Gillian wrócą z Ameryki. Nie wiem, czy mi się będzie podobało w Londynie. Ale może się przyzwyczaję.

– Na pewno się przyzwyczaisz.

Spojrzała na mnie. – Chciałabym wiedzieć, dlaczego Pan Bóg robi takie rzeczy takiej rodzinie jak Ashtonowie. Tacy dobrzy ludzie.

„Bóg nie miał z tym nic wspólnego” – pomyślałem ze smutkiem. To co spotkało Ashtonów, było wyłącznie dziełem ludzi. Nie chciałem jednak podważać jej szczerzej wiary.

– Brakuje mi nie tylko pana Ashtona – powiedziała Mary głosem pełnym żalu. – Bensona też mi brakuje. Taki był śmieszny i pogodny, zawsze żartował; nikomu złego słowa nie powiedział. Wciąż nas rozśmieszał. I pomyśleć, że oni obaj z panem Ashtonem tak marnie zginęli, i to w obcym kraju.

– Czy Benson kiedykolwiek opowiadał o sobie?

– Jak to o sobie? Nie bardzo rozumiem.

– Czy zdarzało mu się opowiadać jakieś historyjki, jakieś wspomnienia z dzieciństwa, z młodości albo z czasów, kiedy był w wojsku?

Zastanowiła się, a potem pokręciła głową. – Nie, Benson żył dniem dzisiejszym. Robił sobie żarty na temat polityków albo tego, co wyczytał w gazetach czy zobaczył w telewizji. Wciąż dowcipkował, istny komik. Nieraz pękaliśmy ze śmiechu przez niego. Zawsze mu mówiłam, że powinien występować w teatrze, a on mi odpowiadał, że jest już na to za stary.

Istny komik! Co za epitafium dla faceta, który na zakończenie wyciął taki makabryczny numer, że zastrzelił swego pracodawcę. – Lepiej uważaj na tych kupców, Mary – ostrzegłem ją – bo jeszcze któryś wyniesie srebrne łyżeczki.

Roześmiała się. – Nie tak od razu, proszę pana, firma, która sprzedaje dom, wynajęła ochroniarzy. Pełno ich się tu kręci. – Zawahała się przez moment. – A może napiłby się pan herbaty? Mogłabym panu zrobić u siebie na górze.

Uśmiechnąłem się. – Nie, Mary, dziękuję. Chyba długo tu dzisiaj nie zostanę.

Nazajutrz, w dzień licytacji, znowu tam pojechałem i naprawdę nie umiem powiedzieć dlaczego. Być może miałem poczucie, że gdy zawartość domu Ashtona rozproszy się po świecie, wymknie mi się, pewnie bezpowrotnie, szansa rozwiązania jego tajemnicy. W każdym razie byłem tam; absolutnie nie wiedziałem, co mam robić, ale byłem.

Ku mojemu zdumieniu zjawił się też Michaelis. Przez cały rano nie byłem świadom jego obecności i zobaczyłem go dopiero, kiedy mnie szturchnął w żebra. Prowadzący licytację głądził na temat wyjątkowych zalet czegoś tam, więc poszliśmy sobie do bardzo już ogołoconego gabinetu Ashtona.

– Cholernie przykra sprawa – westchnął. – Dobrze, że Gillian wyjechała i tego nie widzi. Masz już od nich jakieś wiadomości?

– Nie.

– Ja też nie – powiedział w zadumie. – Wysłałem jej list, ale mi nie odpisała.

– Wyjechała dopiero cztery dni temu – zauważyłem delikatnie. – Nawet w najlepszych czasach poczta tak dobrze nie funkcjonowała.

Uśmiechnął się i wydał mi się dziwnie zawstydzony. – Pewnie uważasz, że się zachowuję jak zupełny idiota.

– Wcale nie – odparłem. – Zachowujesz się zupełnie jak ja. Życzę ci szczęścia.

– Myślisz, że mam jakąś szansę?

– Czemu nie? Co więcej, według mnie wszystko za tobą przemawia. Więc głowa do góry. A w ogóle – to co ty tu robisz?

– Nadal mnie interesuje ten model kolejki. Pomyślałem, że gdyby do sprzedaży podzielili go na mniejsze elementy, to może bym sobie coś z niego kupił. Oczywiście z punktu widzenia hobbysty dzielenie takiego modelu to zupełnie tak, jakby pociąć „Monę Lisę” i sprzedawać ją w kawałkach. Ale nie ma obawy, nie podzielę go i nie będę miał szansy nic kupić, bo jest tu Lucas Hartman.

– Kto to taki?

– Wśród kolekcjonerów modeli kolejek Hartman jest postacią bardzo znaną – To prawdziwy zapaleniec, Amerykanin. W dodatku dość bogaty.

– I myślisz, że on kupi kolejkę w całości?

– Jasne. Właśnie jest na strychu i się nią rozkoszuje.

– Jak myślisz, za ile to może pójść? – zapytałem z ciekawości.

Michaelis wzruszył ramionami. – Trudno powiedzieć. To nie jest taki zwyczajny model, jest w nim mnóstwo dodatkowych urządzeń, które trudno wycenić.

– Ale spróbuj.

– Szyny, lokomotywy i wagony oraz zwyczajne urządzenia sterujące, w które zresztą ten model jest wyposażony, kosztowałyby około piętnastu tysięcy funtów, gdyby wszystko wykonywać teraz od zera. Więc na licytacji powinno być za to, powiedzmy, siedem do dziesięciu tysięcy funtów. A całe dodatkowe wyposażenie – cóż, to już trudniejsza sprawa. Ja bym powiedział, że powinno być za to mniej więcej drugie tyle.

– Więc myślisz, że kolejka powinna kosztować piętnaście, dwadzieścia tysięcy funtów.

– Coś w tym rodzaju. Rzecz jasna licytator poda jakąś cenę minimalną. Tak czy inaczej, kupi ją na pewno Hartman. Wszystkich przeliczytuje.

– Trudno – stwierdziłem filozoficznie – przynajmniej pójdzie w dobre ręce, do kogoś, kto taką zabawkę doceni.

– Pewnie masz rację – westchnął z żalem Michaelis. – Wiesz, że w końcu nie dałem rady rozgryźć tego cholerstwa.

– Wyrażaj się jaśniej.

– No bo wiesz, mówiłem ci o tych rozkładach jazdy – jeden ci nawet pokazałem.

– Tak, chyba to był rozkład London-Midland and Scottish Railway.

– Porównałem go ze starymi rozkładami Bradshawa i nic mi to nie dało. Sięgnąłem nawet do rozkładów z połowy dziewiętnastego wieku i też nic się nie zgadzało. Cały ten system nie da się nijak dopasować do żadnego z istniejących rozkładów.

– Nawet kiedy jest wyraźnie zatytułowany „London-Midland and Scottish”? – zapytałem cedząc słowa.

– Absolutnie nic się nie zgadza – westchnął Michaelis. – Nie potrafię tego rozgryźć i koniec.

W myślach nagle ujrzałem obraz Ashtona ściskającego w ręku rozkład Jazdy pociągów na trasie Sztokholm – Göteborg i poczułem, jakby mi granat eksplodował pod czaszką. – Jezus, Maria!

Michaelis spojrział na mnie. – Co się stało?

– Chodź, musimy natychmiast pogadać z facetem, który będzie prowadził licytację.

Niemal wybiegłem z gabinetu i wpadłem do zatłoczonego holu, gdzie odbywała się licytacja.



Zacząłem przepychać się w kierunku podium dla licytatora, które ustawiono u podnóża schodów. Po drodze wyciągnąłem z portfela wizytówkę. – Skąd ten nagły pośpiech? – dziwił się Michaelis, który deptał mi po piętach.

Przywarłem płasko do ściany i napisałem parę słów na wizytówce. – Potem ci wyjaśnię. – Wcisnąłem mu do ręki wizytówkę. – Daj to licytatorowi.

Michaelis zrobił zdziwioną minę i pomagając sobie łokciami, przecisnął się do podium, gdzie podał moją wizytówkę jednemu z pomocników licytatora. Ja natomiast wszedłem na schody i stanąłem w miejscu, gdzie byłem dobrze widoczny.

Licytator, który wziął pod młotek serwis obiadowy na osiemnaście osób, właśnie nabrał rozpędu, kiedy podsunęto mu moją wizytówkę. Wziął ją do ręki, odwrócił na drugą stronę, spojrzął na mnie, kiwnął głową i nie zwalniając tempa kontynuował licytowanie serwisu.

Wrócił Michaelis. – Co się stało? Skąd ta panika?

– Musimy wstrzymać sprzedaż kolejki.

– Jestem za tym – powiedział. – Ale dlaczego tobie na tym zależy? Licytator stuknął młotkiem. – Sprzedany!

– Nie mogę ci w tej chwili wyjaśnić. To zbyt skomplikowane. – Licytator ustąpił miejsca jednemu ze swoich pomocników i ruszył po schodach w moim kierunku. – Będziesz musiał poczekać.

Licytator podszedł do mnie. – Pan... hm... – spojrzął na moją wizytówkę. – Pan Jaggard? Czym mogę panu służyć?

– Reprezentuję panny Ashton. Nie należy wystawiać na sprzedaż modelu kolejki elektrycznej, który znajduje się na strychu.

Skrzywił się. – Nie wiem, jak właściwie mam się do tego odnieść.

Zaproponowałem, żebyśmy znaleźli jakieś spokojniejsze miejsce, gdzie mógłbym mu wszystko wyjaśnić. Zgodził się i pokazał na piętro, więc przeszliśmy do jednej z sypialń.

– Twierdzi pan, że występuje pan w imieniu sióstr Ashton? – zaczął licytator, gdy tylko się tam znaleźliśmy.

– Tak.

– Czy może pan to udowodnić?

– Nie mam przy sobie żadnego dokumentu, który by to stwierdzał, ale mogę panu złożyć stosowne oświadczenie.

– Potwierdzone pańskim podpisem?

– Tak.

Pokręcił głową. – Ogromnie żałuję, ale to mi nie wystarczy. Zatrudniła mnie panna Ashton zlecając sprzedaż zawartości tego domu. Nie mogę bez jej zgody zmieniać warunków umowy. Gdybym otrzymał od pana jej polecenie na piśmie, to co innego.

– Panna Ashton jest w tej chwili w Ameryce i w tak krótkim czasie trudno byłoby się z nią skontaktować.

– W takim razie nic się nie da zrobić. – Mój wyraz twarzy sprawił jednak, że dodał szybko: – Proszę pana, niestety nie znam pana. Jestem fachowcem, któremu zlecono przeprowadzenie licytacji. Nie mogę przyjmować dyspozycji od każdego, kto przyjdzie i powie, że coś mam zrobić, a czegoś innego nie. Ja w ten sposób nie pracuję. A w ogóle model kolejki jest jedną z największych atrakcji tego przetargu. Prasa jest nim bardzo zainteresowana; to doskonały temat do felietonu.

– Więc co pan proponuje? Czy przyjąłby pan takie polecenie od doradcy prawnego panny Ashton?

– Od jej adwokata? Owszem, tak. – Zrobił zakłopotaną minę. – Wszystko to razem wygląda bardzo dziwnie. Jeśli dobrze rozumiem, panna Ashton nic nie wie o tej sprawie i podejmuje pan działania z własnej inicjatywy. Jeżeli jednak otrzymam od jej adwokata polecenie na piśmie, to nie wystawię kolejki na sprzedaż.

– Dziękuję – powiedziałem. – Skontaktuję się z nim. Aha, nawiasem mówiąc, jaka jest cena minimalna?

Obruszył się. – W żadnym razie nie mogę panu tego zdradzić – powiedział chłodno. – A teraz, proszę mi wybaczyć, ale jest kilka przedmiotów, które osobiście muszę licytować.

Odwrócił się, żeby wyjść z pokoju, zatrzymałem go jednak rozpaczliwym Pytaniem: – Czy może mi pan powiedzieć, o której zamierza pan sprzedawać kolejkę?

– Wszystko idzie bardzo szybko. – Spojrzał na zegarek. – Sądzę, że około trzeciej. – I wyszedł.

– Telefon – powiedziałem. – Królestwo za telefon!

– Jest tu obok, w sypialni Ashtona. – Michaelis spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem. – Co cię napadło? Skąd to nagle zainteresowanie modelami kolejek?

W tym momencie coś mi przyszło do głowy. – Gdzie są te rozkłady jazdy?

– Na strychu, na półce pod tablicą rozdzielczą. Jest ich z tuzin.

– Leć zaraz na strych i nie spuszczaaj oczu z tej kolejki, a zwłaszcza rozkładów jazdy. Pilnuj, żeby nikt niczego stamtąd nie ruszył i obserwuj, czy ktoś się przypadkiem za bardzo nimi nie interesuje. Pospiesz się.

Poszedłem do pokoju Ashtona i dorwałem się do telefonu. Po raz pierwszy Ogilvie mnie zawiódł: nie było go w biurze i nikt nie wiedział, ani gdzie jest, ani kiedy wróci. W domu też go nie było. Zostawiłem mu wiadomość, żeby natychmiast, gdy tylko się pojawi, dzwonił do mnie do domu Ashtonów.

Czekały mnie dalsze frustracje. Pan Veasey z firmy Michaelmore, Veasey i Templeton był nieosiągalny, ponieważ bawił w Walii, gdzie prowadził rozmowy z przykutym do łóżka ważnym klientem. Jego pracownik nie chciał podjąć decyzji w tej sprawie, podobnie zresztą jak obaj jego współpracownicy. Obiecali tylko, że spróbują skontaktować się z nim telefonicznie, i musiałem się tym zadowolić. Nie liczyłem zresztą na to, że coś załatwię – Veasey mnie nie znał i nic dla niego nie znaczyłem.

Poszedłem na strych i zastałem tam Michaelisa kontemplującego kolejkę oraz kilku rozdokazywanych chłopaczków; przepędził ich dyżurujący ochroniarz. – Są jacyś podejrzani?

– Tylko Hartman. Cały rano przeglądał rozkłady jazdy. – Kiwnął głową w stronę tablicy rozdzielczej. – Masz go tam.

Hartman był mniej niż średniego wzrostu, miał szerokie ramiona, siwą czuprynę i pobrużdżoną twarz o ciemnej karnacji. Wyglądał tak, jakby wyglądał Einstein, gdyby był amerykańskim biznesmenem. Siedział teraz i ze zmarszczonymi brwiami studiował jeden z rozkładów.

– Jesteś pewien, że to Hartman? – zapytałem.

– O, tak. Poznałem go trzy lata temu na wystawie modeli kolejek. O co ci chodzi? Do czego zmierzasz?

Spojrzałem na model kolejki. – Ty jesteś ekspertem od kolejek. Powiedz, czy oprócz rozkładów jazdy jest tu jeszcze coś niezwykłego?

Michaelis popatrzył na płataninę torów. – Uderzyło mnie, że chyba jest za dużo bocznic i stacji rozrządowych.

– No, tak – powiedziałem po namyśle. – To by się zgadzało.

– Co by się zgadzało i dlaczego? – Michaelis był całkowicie zbity z tropu.

– Ashton był niezwykle sprytny – odparłem. – Chciał coś schować, więc podsunął nam to prosto pod nos. Czy wiesz, jak działa komputer?

– Bardzo ogólnie, tak.

– Więc założmy, że wydasz komputerowi polecenie, że  $A = 5$ . Dla komputera znaczy to, że ma cyfrę 5 ulokować w miejscu oznaczonym A. Powiedzmy teraz, że wydajesz mu takie polecenie:  $C = A + B$ . Dla komputera znaczy to, że ma wziąć cyfrę znajdującą się pod A, dodać ją do cyfry znajdującej się pod B i sumę umieścić w C. – Kiwnąłem głową w stronę kolejki. – Wydaje mi się, że to urządzenie właśnie tak działa.

Michaelis aż wstrzymał dech. – Mechaniczny komputer!

– Tak. A te rozkłady jazdy to programy, tylko Bóg jeden wie, czego dotyczą. Powiedz mi, ile tu jest typów wagonów i lokomotyw? Pewnie dziesięć, co?

– Mylisz się. Liczyłem i wyszło mi sześćdziesiąt trzy.

– Cholera! – Zastanowiłem się przez chwilę. – Nie, słusznie, zgadza się! Dziesięć na cyfry od zera do dziewięciu; dwadzieścia sześć na litery alfabetu i reszta na symbole matematyczne i znaki przestankowe. Z tym diabelstwem prawdopodobnie można prowadzić konwersację salonową.

– Chyba ci odbiło – podsumował mnie Michaelis.

– Słuchaj – zacząłem – ranny Ashton nie mógł mówić, ale usiłował mi przekazać jakąś wiadomość. Wyciągnął coś z kieszeni i próbował mi to dać. To coś było rozkładem jazdy pociągów.

– To nic nie znaczy – powiedział Michaelis. – Larry też miał rozkład jazdy.

– Ale dlaczego człowiek, z którego ulatywały resztki życia, chciał mi za wszelką cenę wręczyć akurat rozkład jazdy? Myślę, że próbował mi w ten sposób coś zakomunikować.

– Rozumiem, dlaczego chcesz zatrzymać licytację – stwierdził Michaelis. – To szalony pomysł, ale być może masz rację.

– Tylko, że mam minimalne możliwości działania – stwierdziłem ponuro. – Prawnicy Ashtonów nie chcą mi pomóc, a Ogilvie wziął i przepadł. Spróbuję jeszcze raz do niego zadzwonić.

Znów zadzwoniłem do Ogilvie’ego i znów go nie zastałem. Szukałem go we wszystkich bardziej i mniej prawdopodobnych miejscach: w klubach, do których należy, w restauracji, do której mnie kiedyś zaprosił, potem znowu w biurze i w domu. Nigdzie go nie było.

O wpół do trzeciej przyszedł do mnie Michaelis. – Lada chwila zaczną licytację kolejki. Co zamierzasz zrobić?

– Wykonam jeszcze jeden telefon.

Zadzwoniłem do swojego banku. – Aa, pan Jaggard! Czym mogę panu służyć? – odezwał się w słuchawce dyrektor.

– Dzisiaj po południu wypiszę czek na znaczną sumę. Pieniądze, które mam na obu kontach, bieżącym i oszczędnościowym, nie wystarczą na pokrycie. Chciałbym prosić, żeby ten czek uznano.

– Rozumiem. Na jaką sumę będzie opiewał?

– Być może dwadzieścia tysięcy funtów. – Pomyślałem o Hartmanie. – A może nawet dwadzieścia pięć. Jeszcze nie wiem dokładnie.

– To bardzo dużo pieniędzy.

– Zna pan doskonale stan moich finansów – odparłem – więc orientuje się pan, że mam środki na pokrycie takiego czeku. Nie natychmiast, ale w ciągu kilku tygodni.

– Właściwie więc chodzi panu o krótkoterminową pożyczkę, powiedzmy na miesiąc.

– Dokładnie tak.

– Nie widzę przeszkód. Uznamy pański czek, tylko proszę nie przesadzać; proszę też, żeby pan wstąpił do nas jutro. Będzie nam potrzebny pański podpis.

– Bardzo dziękuję. – Odłożyłem słuchawkę zdając sobie sprawę, że jeśli się mylę co do kolejki Ashtona, to stracę bardzo dużo pieniędzy. Jakoś nie mogłem sobie wyobrazić, żeby Ogilvie z pieniędzy firmy zechciał kupić wielką, wymyślną zabawkę. Za to Michaelis by się ucieszył.

Przeszedłem do holu. Niewielki tłumek zgromadził się wokół podium i słuchał, co mówi stojący na podwyższeniu mężczyzna. – Ściągnęli starego Hempsona z miesięcznika „Modele kolejek”, żeby palnął mównicę. – Pewnie liczą, że to podbije cenę – szepnął Michaelis.

Hempson perorował z zapalem: – Najistotniejszym elementem tego rozbudowanego modelu jest niezwykła, oryginalna tablica rozdzielcza, w której zastosowano najnowsze osiągnięcia myśli technicznej. Właśnie dzięki niej wystawiony tu model jest tak niezwykły. Należy wyrazić nadzieję, że znajdzie on jednego nabywcę i zostanie sprzedany w całości. Dzielenie tego jedyne w swoim rodzaju okazu na mniejsze elementy byłoby istną katastrofą. Dziękuję państwu.

Hempson zszedł z podium przy akompaniamencie szmeru aprobaty, zobaczyłem też, jak Hartman przytakiwał mu kiwnięciami głowy. Miejsce na podium zajął licytator i wziął do ręki młotek. – Panie i panowie, wysłuchali państwo opinii eksperta, pana Hempsona. Jego zdanie bardzo się liczy, więc zamierzam ogłosić przetarg na model w całości. W zasadzie należałoby przeprowadzić licytację tam, gdzie znajduje się model, ale nawet w tak dużym domu jak ten – strych nie pomieści wystawionego na sprzedaż modelu, makiety krajobrazowej i jednocześnie wszystkich zainteresowanych kupnem. Mieli państwo jednak okazję obejrzeć ten wspaniały przykład sztuki modelarskiej, a na stole tutaj znajduje się zestaw typowych wagoników i lokomotyw.

Uniósł młotek. – A więc, proszę państwa, jaką cenę wywoławczą mam zaproponować za model w całości? Kto rozpocznie licytację od dwudziestu tysięcy funtów?

Rozległo się zbiorowe westchnienie – wszyscy wstrzymali oddech, a teraz jak na komendę wypuścili powietrze. – Proszę państwa – zachęcał licytator. – Słyszeli państwo, co mówił pan Hempson. Kto da dwadzieścia tysięcy? Nikt? A kto da osiemnaście tysięcy?

Na tyle też nie miał chętnych i stopniowo obniżał cenę wywoławczą, aż zszedł do ośmiu tysięcy. – Osiem tysięcy, przyjąłem, kto da dziewięć? Osiem i pół, przyjąłem – dziękuję panu – kto da dziewięć? Dziewięć, przyjąłem – kto da dziesięć?

– To handlarze – powiedział Michaelis. – Przy Hartmanie nie mają szans.

Obserwowałem Hartmana, któremu nie drgnął nawet jeden mięsień.

Licytujący dorzucali po pięćset funtów, przy trzynastu i pół tysiącach na chwilę cena stanęła w miejscu i zaczęto dodawać po dwieście pięćdziesiąt, aż doszło do piętnastu tysięcy. – Piętnaście tysięcy, przyjąłem, piętnaście tysięcy, przyjąłem, czy ktoś da więcej?

Hartman uniósł jeden palec. – Szesnaście tysięcy, przyjąłem – powiedział licytator. – Szesnaście

tysięcy, czy ktoś da więcej niż szesnaście tysięcy? – Handlarze już odpadli.

Uniosłem palec. – Siedemnaście tysięcy, przyjąłem. Czy ktoś da więcej niż siedemnaście tysięcy? Osiemnaście, przyjąłem – i dziewiętnaście – i dwadzieścia tysięcy, przyjąłem dwadzieścia tysięcy, czy ktoś da więcej?

Narastało zainteresowanie pojedynkiem między Hartmanem a mną. Przy dwudziestu pięciu tysiącach Hartman po raz pierwszy się zawahał i podniósł stawkę o pięćset. Wiedziałem wtedy, że go mam. Uniosłem palec i licytator powiedział – Dwadzieścia sześć i pół tysiąca, czy ktoś da więcej... Dwadzieścia siedem, dziękuję panu – dwadzieścia osiem, przyjąłem.

I tak to szło. Hartman nie wytrzymał przy trzydziestu tysiącach i zrezygnował. Licytator powiedział: – Trzydzieści jeden tysięcy, czy ktoś da więcej? Czy ktoś da więcej niż trzydzieści jeden tysięcy? Trzydzieści jeden tysięcy po raz pierwszy. – Trzask! – Trzydzieści jeden tysięcy po raz drugi. – Trzask! – Model kolejki sprzedany panu Jaggardowi za trzydzieści jeden tysięcy funtów.

Trzask!

Stałem się dumnym właścicielem rozbudowanej sieci kolejowej, wprawdzie nie British Rail, ale może korzyść będzie większa. Odezwałem się do Michaelisa: – Ciekawe, czy Ogilvie ma tyle pieniędzy w małej kasie?

Podszedł do nas Hartman. – Domyślam się, że panu bardzo zależało na posiadaniu tego modelu.

– Tak.

– Czy byłby pan tak uprzejmy i pozwolił mi kiedyś przyjrzeć się bliżej całemu układowi? Szczególnie interesują mnie te rozkłady jazdy.

– Bardzo mi przykro – powiedziałem. – Występuję tu w czyimś imieniu. Proszę mi dać swój adres, przekażę pańską prośbę właścicielowi i skontaktuję się z panem.

Kiwnął głową. – Cóż, skoro nie może być inaczej.

Potem otoczyli mnie dziennikarze i koniecznie chcieli się dowiedzieć, kto przy zdrowych zmysłach gotów był wydać tyle pieniędzy na zabawkę. Wybawiła mnie Mary Cope, która przysłała z wiadomością, że jest do mnie telefon.

Uciekłem do gabinetu Ashtona. Dzwonił Ogilvie. – Próbowaleś się ze mną skontaktować.

– Tak – powiedziałem, nie mogąc odżalować, że spóźnił się z telefonem o pół godziny. – Firma jest mi winna trzydzieści jeden tysięcy funtów plus opłaty bankowe.

– Co takiego?

– Mamy teraz na własność model kolejki.

Jego odpowiedź była całkowicie niecenzuralna.







Tego wieczoru spotkałem się z Ogilviem u niego w domu. Przywitał mnie raczej chłodno i bez entuzjazmu. Zapraszając mnie do swego gabinetu spojrzał podejrzliwie na wielką księgę, którą przyniosłem. Położyłem mu ją na biurku i usiadłem. Ogilvie stanął tyłem do kominka, żeby się ogrzać, i zapytał: – Czy naprawdę wydałeś trzydzieści jeden tysięcy funtów na model kolejki?

Uśmiechnąłem się. – Tak, naprawdę.

– W takim razie jesteś skończonym idiotą – zawyrokował. – I jeśli myślisz, że firma ci to zwróci, to zaraz sprowadzę tu lekarzy i wyrobię ci wariackie papiery. Żaden, ale to żaden model kolejki nie może być wart takich pieniędzy.

– Pewien Amerykanin nazwiskiem Hartman gotów był zapłacić za niego trzydzieści tysięcy – zauważyłem. – Przy takiej właśnie sumie wycofał się z licytacji. Pan tego nie widział, ale nie jest to zabaweczka, którą się kupuje dzieciakowi na gwiazdkę, rozkłada przed kominkiem i patrzy, jak ładnie wagoniki jeżdżą w kółko. To jest coś bardzo dużego i bardzo złożonego.

– Nie obchodzi mnie, jakie to duże i jakie złożone! Gdzie ja to zmieszczę w budżecie? Księgowi mnie odstawią do czubków! A w ogóle, dlaczego ci przyszło do głowy, że firma chce to mieć?

– Bo w tym jest to, czego cały czas szukaliśmy. Ten model kolejki jest jednym wielkim komputerem. – Stuknąłem palcem w księgę. – A to jest program do niego. Jeden z programów. Oprócz tego jest ich jeszcze jedenaście; zamknąłem je w naszym sejfie.

Opowiedziałem mu, jak Michaelis bezskutecznie usiłował rozwikłać rozkłady jazdy i jak na podstawie tego, że Ashton miał w ręku rozkład jazdy, intuicyjnie wyciągnąłem wniosek. – W dzisiejszych czasach to naturalne, że teoretyk posługuje się komputerem – wyjaśniłem. – Ashton wiedział, że przejrzymy wszystkie jego programy i dokumenty. Wobec tego skonstruował własny komputer i zakamuflował go.

– W całym swoim długim życiu nie słyszałem bardziej nieprawdopodobnej hipotezy – oświadczył Ogilvie. – Michaelis jest ekspertem od kolejek. Co on o tym sądzi?

– Uważa, że zwariowałem.

– I pewnie się nie myli. – Ogilvie zaczął krążyć po pokoju. – Powiem ci, co myślę. Jeśli twoje domysły są słuszne, to kupiłeś ten interes bardzo tanio i firma ci zwróci koszty. Ale jeśli się mylisz, to ta impreza kosztuje cię trzydzieści jeden tysięcy funtów.

– Plus opłaty bankowe. – Wzruszyłem ramionami. – Nadstawiłem karku, więc ryzykuję dalej.

– Jutro ściągnę komputerowców. – Pokręcił głową z wyraźną troską. – Ale gdzie my to umieścimy? Jeśli rozłożymy tę zabawkę gdzieś w biurze, to tylko przyspieszę swoje odejście na

emeryturę. Jeśli minister się o tym dowie, to pomyśli, że mam objawy starczego dzieciństwa.

– Potrzebny nam będzie bardzo duży pokój – powiedziałem. – Najlepiej by było wynająć jakiś magazyn.

– Proszę bardzo. Masz na to moją zgodę. A gdzie to jest teraz?

– Wciąż jeszcze na strychu w domu Ashtonów. Michaelis został tam na noc i nikogo nie wpuści.

– Pewnie będzie się do rana bawił puszczeniem pociągów. – Ogilvie pokręcił głową nie mogąc się nadziwić, co też jego personel wyprawia. Podszedł do biurka i położył rękę na rozkładzie jazdy.  
– A teraz gadaj, o co, twoim zdaniem, naprawdę chodzi?

Cztery dni trwał demontaż kolejki i przeniesienie jej do magazynu położonego w południowej części Londynu. Komputerowcy uznali, że moja koncepcja jest śmiechu warta, a całą historię potraktowali jak jeden wielki ubaw. Niemniej rzetelnie zabrali się do roboty. Ogilvie przydzielił mi do pomocy Michaelisa. Firma nigdy nie miała potrzeby zatrudniać znawcy modeli kolejek i Michaelis nagle awansował do rangi eksperta; głównego eksperta na dodatek. Był z tego niezmiernie zadowolony.

Główny komputerowiec nazywał się Harrington i był projektantem systemów. Podszedł do zadania poważniej niż reszta zespołu, ale i tak nie traktował go tak do końca serio. Zainstalował w magazynie terminal i przy pomocy normalnej linii telefonicznej połączył go z komputerem. Nie z tym wymyślnym wielkim urządzeniem, do którego podłączona była nasza poczciwa Nellie, tylko z jakimś zwykłym, ogólnodostępnym komputerem w City. Byliśmy więc gotowi do pracy.

W tym czasie mniej więcej otrzymałem list od Penny. Napisała mi, że Gillian ma się dobrze i właśnie zrobili jej pierwsze przeszczepy. Ona natomiast jeszcze nie wraca; Lumsden zaproponował, żeby wzięła udział w jakimś seminarium w Berkeley, więc zostanie jeszcze z tydzień, może dziesięć dni.

Pokazałem list Michaelisowi. Okazało się, że Gillian napisała do niego tuż przed zabiegiem. – Wydała mi się smutnawa – wyznał Michaelis.

– Nie przejmuj się. To pewnie tylko nerwy przed operacją.

Swędzenie w korze mózgowej nie chciało ustąpić, najwyraźniej więc nie miało to nic wspólnego z kolejką. Mały pan Domysł usiadł już i przecierał oczki, ale wciąż jeszcze się nie rozbudził. Koniecznie chciałem porozmawiać z Penny; czułem, że niepokojące mnie swędzenie wywołane było czymś, co usłyszałem od niej, i między innymi z tego powodu żałowałem, że nie wraca.

Pewnego ranka o godzinie dziesiątej Harrington otworzył rozkład jazdy London and North-Eastern Railway. – Pierwszych kilka stron dotyczy rozmieszczenia taboru – oznajmił. – Spróbujmy poustawiać wszystko możliwie precyzyjnie. To i tak jest idiotyczne, więc nie pokręcmy tego jeszcze bardziej.

Ustawienie wszystkiego na właściwym miejscu i sprawdzenie całości raz i drugi zajęło nam około godziny. – Następne strony, od jedenastej do dwudziestej trzeciej, dotyczą tablicy rozdzielczej – poinformował Harrington i odwrócił się do mnie. – Jeśli pan ma rację, to będziemy musieli przeanalizować zawartość tych ROM-ów do ostatniego bita.

– Co to jest ROM?

– Pamięć stała – to te zainstalowane rzędem pudełeczka. Pański kolega, Michaelis, nazywa je mikroprocesorami. Są to zminiaturyzowane układy elektroniczne; trzeba będzie sprawdzić, jak je zaprogramowano. Dobra, weźmy się do roboty.

Zaczął wywoływać numerki, a jeden z pomocników naciskał guziki i kręcił gałkami. Dotarł do końca i wtedy, żeby wykluczyć jakąkolwiek pomyłkę, powtórzył całą operację z drugim pomocnikiem, który tylko sprawdzał, czy za pierwszym razem wszystko ustawiono prawidłowo. Wyłapał trzy błędy.

– Widzi pan – wyjaśnił Harrington – jeden błąd wystarczy, żeby cały program nie funkcjonował.

– To co, jesteście gotowi?

– Chyba tak... do pierwszego etapu. – Położył rękę na księdze. – Ten rozkład ma dwieście stron, więc jeśli ta zabawka rzeczywiście jest komputerem i jeśli to stanowi jeden program, to po jakimś czasie cały ruch na torach ustanie i trzeba będzie na tablicę rozdzielczą wprowadzić następny etap programu. Zajmie nam to mnóstwo czasu.

– Zwłaszcza jeśli będziemy zwlekać – powiedziałem ostro.

Harrington uśmiechnął się i przekręcił jakiś przełącznik. Wszystko ożyło.

Pociągi śmigały po torach; w ruchu było jednocześnie ze dwadzieścia, trzydzieści składów. Jedne się poruszały prędkiej, inne wolniej. W pewnym momencie myślałem, że dojdzie do kolizji, gdy dwa pociągi równocześnie zmierzały do tego samego skrzyżowania torów, ale w ostatniej chwili jeden zwolnił na tyle, żeby ten drugi przepuścić, i natychmiast znów nabrał prędkości.

Puste przedtem bocznice i stacje rozrządowe zaczęły się zapełniać: lokomotywy wtaczały wagony, odczepiały je i znów gdzieś pędziły. Obserwowałem jedną stację rozrządową, która najpierw szybko się zapełniła, a potem zaczęła pustoszeć, w miarę jak poszczególne składy dzieliły się, a potem łączyły w zupełnie inne konfiguracje.

– To wszystko na nic – burknął Harrington. – Za dużo się dzieje na raz. Jeśli to jest komputer, to nie działa sekwencyjnie, jak zwyczajna maszyna cyfrowa, tylko równolegle. Cholernie trudno będzie to zanalizować.

Przez blisko dwie godziny wszystko było w ruchu. Pociągi pędziły tam i z powrotem, lokomotywy przetaczały wagoniki, porzucały je na chwilę, potem znów gdzieś pchały albo ciągnęły – pozornie bez ładu i składu. Mnie to nudziło, za to Michaelis był urzeczony, nawet Harrington wydawał się lekko zainteresowany. Nagle cały ruch ustał.

– Chciałbym tu powiesić wideokamerę – powiedział Harrington – pokazując na sufit. – Chodzi o to, żebym mógł rejestrować na taśmie, co się dzieje na każdej stacji rozrządowej czy bocznicy, i to w kolorze. Mam wrażenie, że kolor jest tu niesłychanie ważny. Poza tym taśmę będzie można puścić wolniej, żeby wszystko lepiej prześledzić. Może pan to załatwić?

– Jutro rano będzie pan miał kamerę – obiecałem. – A na razie, co pan o tym myśli?

– Jest to pomysłowa zabawka, ale być może i coś więcej – powiedział dyplomatycznie. – Czeka nas jeszcze bardzo dużo pracy.

Nie miałem po co przesiadywać cały czas w magazynie. Pojawiłem się tam dopiero po trzech dniach, na wezwanie Harringtona. Zostałem go przy biurku, siedział obstawiony telewizorem i magnetowidem. – Być może coś mamy – oznajmił i pokazał na zgromadzone na biurku wagoniki. – Tu rzeczywiście występuje oznakowanie cyfrowe.

Nie rozumiałem, co to znaczy, więc wyjaśnił mi z uśmiechem: – To znaczy, że miał pan rację. Ta kolejka jest komputerem. Myślę, że każdy wagonik, na którym jest coś czerwonego, oznacza jakąś cyfrę. – Wziął z biurka wagonik-cysterne, na którym widniał czerwony napis „ESSO”. – Ten na przykład moim zdaniem oznacza zero.

Odstawił cysterne, a ja policzyłem wagoniki; było ich dziewięć, ale na jednym nie było żadnych czerwonych oznaczeń. – Nie powinno ich być dziesięć?

– Osiem – powiedział Harrington. – Ta zabawka działa w systemie oktalnym, a nie dziesiętnym. Wiele komputerów tak działa. Ten wagonik jest odpowiednikiem przecinka w systemie dziesiętnym.

– Niesamowite! Czy mogę powiedzieć Ogilvie’emu?

Harrington westchnął. – Może lepiej nie... jeszcze nie. Na razie nie dopasowaliśmy wagoników do cyfr. Ponadto w sumie mamy tu sześćdziesiąt trzy rodzaje wagoników. Jestem skłonny przypuszczać, że niektóre z nich oznaczają litery alfabetu, żeby można było stosować kod alfanumeryczny. Stosunkowo łatwo będzie rozpracować cyfry, bo do tego wystarczy logika. Z literami będzie nieporównanie trudniej. Zaraz panu pokażę, w czym rzecz.

Włączył telewizor i magnetowid, a potem nacisnął guzik. Na ekranie pojawiła się, oglądana z góry, pusta stacja rozrządowa. W kadrze ukazał się pociąg. Lokomotywa zatrzymała się, odczepiła skład i odjechała. Ukazał się następny pociąg i wszystko odbyło się tak samo, a potem następny i następny, aż stacja była prawie pełna. Wówczas Harrington nacisnął guzik i zatrzymał obraz.

– Podobnych stacji rozrządowych jest w sumie dwanaście. Wszystkie skonstruowane są tak, żeby pomieścić maksimum osiemdziesiąt pojazdów. – Wziął do ręki pióro i wskazał niebieski wagonik. – W dość regularnych odstępach porozstawiane są takie wagoniki jak ten.

– I co one oznaczają?

Harrington usiadł wygodniej. – Gdybym miał to wyjaśnić normalnym językiem informatyków,

który dla pana zabrzmiał pewnie jak żargon, to powiedziałbym, że mam przed sobą alfanumeryczny ciąg znaków o pojemności maksymalnej osiemdziesięciu znaków, a niebieskie wagoniki oznaczają przerwy między wyrazami. – Pokazał palcem na ekran. – To nam coś mówi, tylko że nie potrafimy zrozumieć co.

Pochyliłem się i policzyłem niebieskie wagoniki. Było ich trzynaście. – Trzynaście wyrazów – powiedziałem.

– Czternaście – poprawił mnie Harrington. – Na końcu nie ma niebieskiego wagonu. Całość zawiera dwanaście takich stacji rozrządowych, więc w dowolnej chwili ma się do czynienia ze stu sześćdziesięcioma słowami, ze stu sześćdziesięcioma zwykłymi angielskimi wyrazami. To stanowi pół strony maszynopisu. Nie jest to dużo, ale przecież kiedy zabawka jest na chodzie, wszystko bezustannie się zmienia. Jest to tak, jakby się wkrecało nowy arkusz papieru do maszyny i stale coś dopisywało. – Uśmiechnął się. – Nie wiem, kto to cudo wymyślił, ale być może jest to nowy sposób pisania powieści.

– Więc teraz musicie już tylko wydedukować, który wagonik oznacza jaką literę?

– Tylko! – jęknął Harrington. Wziął do ręki gruby plik kolorowych fotografii. Rejestrowaliśmy wszystkie ciągi znaków, jakie się formowały, a ktoś siedzi nieustannie przy komputerze i dokonuje analizy statystycznej. Jak dotychczas z marnym skutkiem. Ale nie ma obawy, rozwiążemy tę zagadkę. Jest to tylko klasyczne łamanie szyfru. W każdym razie chcę, żeby pan wiedział, że pańska hipoteza wydawała się obłądna, ale okazała się trafna.

– Dzięki – powiedziałem. – Dobrze wiedzieć, że się nie jest do tyłu o trzydzieści jeden tysięcy funtów... plus opłaty bankowe.

Dwa dni później Harrington znowu do mnie zadzwonił. – Cyferki rozpracowaliśmy – zakomunikował – i zaczynają nam się wyłaniać jakieś obliczenia. Ale co do alfabetu jesteśmy bezradni. Z analizy statystycznej wynika, że taki rozkład liter nie występuje w angielskim. Nie występuje też we francuskim, niemieckim, hiszpańskim ani w łacinie. Innych jeszcze nie próbowaliśmy. Sprawa jest trochę dziwna – tych liter jest za dużo.

Zastanowiłem się przez chwilę. – Spróbujcie z rosyjskim. W alfabecie rosyjskim są trzydzieści dwie litery. – „W końcu twórca tej kolejki był Rosjaninem” – pomyślałem, ale Harringtonowi tego nie powiedziałem.

– Dobra myśl – zapalił się Harrington. – Zadzwoń do pana.

Odezwał się po czterech godzinach. – Trafił pan w dziesiątkę – powiedział – ale będziemy potrzebowali rusycysty; nikt z nas nie zna tak dobrze rosyjskiego.

– Teraz już trzeba zawiadomić Ogilvie’ego. Za godzinę będziemy u pana.

A więc opowiedziałem Ogilvie’emu. – Twierdzisz, że ta cholerna kolejka gada po rosyjsku? – zapytał z niedowierzaniem.

Uśmiechnąłem się. – A czemu nie? Jej twórca był Rosjaninem.

– Zawsze wymyślisz coś nie z tej ziemi.

– To nie ja – usprawiedliwiałem się. – To Ashton. A teraz może pan uszczęśliwić dyrektora mojego banku i wpłacić mi na konto trzydzieści pięć tysięcy funtów.

Ogilvie zmrużył oczy. – Ta kolejka kosztowała cię tylko trzydzieści jeden. – „Nie zawiązesz pyska wołu młóćącemu” – zacytowałem. – Była to bardzo ryzykowna inwestycja, więc uważam, że należy mi się jakiś zysk.

Kiwnął głową. – W porządku. Już sobie wyobrażam, ile będzie radości przy księgowaniu: trzydzieści pięć tysięcy funtów dla pana M. Jaggarda za jeden model kolejki.

– A dlaczego nie nazwać tego urządzenia po imieniu? Przecież to komputer.

Twarz mu się rozjaśniła. – Racja. A teraz chodźmy obejrzyć wreszcie tę niewiarygodną zabawkę. – Zgarnęliśmy po drodze Larry’ego Godwina jako tłumacza i pojechaliśmy do magazynu.

Gdy weszliśmy, uderzyło mnie, że kolejka nie jest na chodzie, i zapytałem Harringtona, dlaczego jej nie uruchomili. – Nie ma potrzeby – wyjaśnił radośnie. – Rozszyfrowaliśmy już system oznaczeń, więc mogliśmy wprowadzić go, jak należy, do normalnego komputera.

Nie zajmowaliśmy się na razie całym programem, wie pan. Rozpracowywaliśmy tylko fragmenciki. Odczytanie całości byłoby niemożliwe.

Spojrzałem na niego zdumiony. – Dlaczego?

– Nie powiem, że całkiem niemożliwe. Ale proszę spojrzeć. – Otworzył rozkład jazdy i zaczął go kartkować. – Weźmy te pięć stron. Zawierają one pętle rozkazowe. Według moich obliczeń dla tych pięciu stron musielibyśmy się bawić w puszczenie kolejki przez sześć dni po dwadzieścia cztery godziny na dobę. Cały program, a ten należy do tych mniejszych, zająłby nam z półtora miesiąca. Gdybyśmy chcieli przećwiczyć wszystkie dwanaście rozkładów, mielibyśmy zajęcie na jakieś dwa lata.

Zamknął rozkład jazdy.

– W moim przekonaniu programy zostały sporządzone na normalnym komputerze i dla normalnego komputera; dopiero potem przetransponowano je na kolejkę. Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego. W każdym razie my wprowadziliśmy wszystko z powrotem do komputera. Możemy działać z szybkością elektronów, a nie elektrycznej kolejki.

– Co to za komputer? – spytał Ogilvie.

– Jakiś ogólnodostępny, gdzieś w City.

Ogilvie spojrzał na mnie. – To niedobrze. Trzeba to z niego wymazać i wprowadzić do naszego.

– Nie radziłbym – wtrąciłem szybko. – Jest niepewny. Zgubił Bensona.

Wprawdzie Harrington nie mógł wiedzieć, o czym konkretnie mówimy, ale zorientował się mniej więcej, w czym rzecz. – Nie ma sprawy – powiedział i wskazał na kolejkę. – Jako kolejka jest to niesłychanie skomplikowane i wymyślne urządzenie, ale jako komputer jest stosunkowo proste. Wszystkie jego funkcje można bez trudu wprowadzić do najzwyklejszego komputera osobistego, jaki mam u siebie w biurze. Muszę mieć tylko drukarkę z rosyjskimi znakami i być może zmodyfikowaną klawiaturę.

– To doskonałe rozwiązanie – ucieszył się Ogilvie. Podszedł następnie do kolejki i zaczął się jej przypatrywać. – Rzeczywiście jest to bardzo wymyślne urządzenie. Chciałbym zobaczyć, jak działa.

Harrington uśmiechnął się. – Spodziewałem się, że pan o to poprosi. Czy zna pan rosyjski?

Ogilvie wskazał na Larry’ego. – Przyszliśmy z tłumaczem.

– Zademonstruję panom program od początku: wszystko już jest ustawione. Proszę obserwować tamtą stację rozrządową. Kiedy się zapełni, będzie pan mógł czytać, bo dla ułatwienia oznaczyłem każdy wagonik odpowiednią literą. W odpowiedniej chwili zatrzymam ruch.

Uruchomił kolejkę; pociągi kursowały tam i z powrotem, a pusta stacja rozrządowa zaczęła się zapełniać. W pewnej chwili Harrington zatrzymał wszystko. – Gotowe, może pan czytać.

Ogilvie wysunął się do przodu i patrzył. – No, Godwin, co tam jest napisane?

Harrington podał Godwinowi lornetkę teatralną. – Będzie panu łatwiej odczytać.

Larry wziął od niego lornetkę, wyregulował ją sobie i przez dłuższą chwilę stał nieruchomo, w milczeniu, poruszając tylko wargami. – No i co? – dopytywał się niecierpliwie Ogilvie.

– Mnie wychodzi mniej więcej coś takiego: „Pierwsze przybliżenie oparte na pierścieniowej funkcji Legendre’a pierwszego typu”.

– Niech mnie diabli! – sapnął Ogilvie.

– To co, nie będziemy korzystać z kolejki? – zapytałem Ogilvie’ego, kiedy wróciliśmy do biura.

– Lepiej nie – odpowiedział. – Nie możemy czekać dwa lata, żeby się dowiedzieć, o co tam chodzi.

– Więc co z nią zrobimy? Zdaniem Harringtona jest to dość prosty komputer. Bez rozkładów jazdy, czyli bez programów, w gruncie rzeczy jest zabawką dla bogatego chłopca.

– Nie mam pojęcia, co z nią zrobić – wyznał Ogilvie. – Trzeba się będzie zastanowić.

– Niech mi pan zrobi przyjemność – poprosiłem. – Proszę ją dać Michaelisowi. To on wykoncyrował, że te rozkłady jazdy nie są zwykłymi rozkładami jazdy. Ucieszy się jak dziecko.





Harrington przeniósł więc programy Ashtona na taśmę strawną dla swojego komputera i z drukarki z rosyjską czcionką popłynęły kilometry tekstu po rosyjsku oraz potok międzynarodowych symboli matematycznych. Kiedy Larry przetłumaczył tekst, okazało się, że zawiera on dziwnie mało informacji – były to krótkie notatki na temat tego, jakie operacje komputer w danej chwili wykonuje, ale bez wyjaśniania, do czego one służą. Przypominało to trochę opis robótki na drutach. Na przykład czyta się: „oczko w lewo, oczko w prawo, spuścić oczko”, ale wcale nie wiadomo, czy powstaje pasek dla liliputa czy sweter dla boksera wagi ciężkiej. Właściwie nie jest to takie dobre porównanie, bo jeśli się robi na drutach, to się wie, że się robi na drutach, natomiast program komputera może robić najprzeróżniejsze rzeczy. Równie dobrze może analizować użycie trybu łączącego w „Tytusie Andronikusie”, jak i wyznaczać tor lotu rakiety na Wenus. Możliwości są nieograniczone, więc ściągnięto specjalistów z najróżniejszych dziedzin.

Dla mnie nie było tam nic do roboty. Miałem na głowie inne rzeczy. Najważniejszą była telegraficzna wiadomość od Penny, że wraca. Podała mi numer rejsu i godzinę przylotu, więc od razu poczułem się znacznie lepiej, gdyż znaczyło to, że spodziewa się, że po nią wyjadę. Na pewno by tego nie zrobiła, gdyby podjęła decyzję dla mnie niepomyślną.

Wysiadła z samolotu bardzo zmęczona. Miała za sobą lot z Los Angeles do Nowego Jorku, gdzie zatrzymała się tylko na kilka godzin, żeby odwiedzić Gillian, a potem lot przez Atlantyck. Wskutek różnicy czasu jej organizm był wytrącony z normalnego rytmu. Zawiozłem ją do hotelu, gdzie uprzednio wynająłem dla niej pokój. Zadowolona była z takiego rozwiązania, gdyż nie uśmiechał jej się powrót do pustego mieszkania z pustą lodówką.

Zanim poszła na górę do pokoju, wypiliśmy razem kawę. Opowiedziała, że zabiegi, którym poddaje się Gillian, przebiegają bardzo dobrze, poprosiła, żebym przekazał tę wiadomość Michaelisowi. Uśmiechnęła się. – Gillian bardzo zależy na tym, żeby się dowiedział.

Też się uśmiechnąłem. – Taką wiadomość przekażę mu natychmiast.

Opowiedziała mi pokrótce, co robiła w Kalifornii, i o swojej wizycie w Harvard School of Medical Studies. – Prowadzą tam ciekawe badania nad PV40 – oznajmiła.

– Co to jest takiego?

– Wirus, nieszkodliwy dla ludzi. – Zaśmiała się krótko. – Wciąż zapominam, że nie jesteś oblatany w tej dziedzinie.

Nic jej nie mówiłem na temat modelu kolejki, choć było oczywiste, że wcześniej czy później trzeba będzie ją poinformować. Nie mogliśmy bez słowa przywłaszczyć sobie tego, co odkryliśmy – cokolwiek to było. Aczkolwiek trzeba przyznać, że z prawnego punktu widzenia sytuacja była niesłychanie skomplikowana. Kolejka stanowiła własność Firmy, ale czy „zawarte” w niej informacje są przedmiotem prawa autorskiego? Na to pytanie prawnicy przez długie lata nie będą

potrafili dać jasnej odpowiedzi. W każdym razie decyzje w tej sprawie należały do Ogilvie'ego.

Jednakże Penny powiedziała coś takiego, że mały pan Domysł zerwał się z łóżka i zaczął wrzeszczeć wniebogłosy. – Powiedz mi, Penny – zapytałem – czy często rozmawiałaś z ojcem o swojej pracy?

– Wciąż z nim o tym rozmawiałam.

– I ojca to interesowało? Przecież zajmował się głównie katalizatorami. Znał się na tym choć trochę? – spytałem obojętnym tonem.

– Znał się, i to całkiem nieźle – odparła. – Tatuś miał bardzo szerokie zainteresowania. Raz czy drugi podsunął taki pomysł, że Lummy nie mógł wyjść z podziwu. – Dokończyła kawę. – Idę do łóżka. Będę spać do skutku.

Odprowadziłem ją do windy, zanim wsiadła, pocałowałem ją, a potem popędziłem do biura. Nie zastałem Ogilvie'ego, więc poszedłem do Harringtona; był zniecierpliwiony i zły. – Te programy ułożył albo geniusz, albo wariat. W każdym razie my absolutnie nie możemy się w nich połapać.

Harrington nic nie wiedział o Ashtonie, a ja nie zamierzałem go oświecać.

– Na pewno nie był to wariat – zapewniłem go. – Co może mi pan powiedzieć o programach jako całości?

Harrington skrzywił się. – Chyba można by je podzielić na dwie grupy, do jednej zaliczyłbym pięć programów, do drugiej siedem. Te siedem powstało później.

– Później, powiada pan? Skąd to wiadomo?

– Kiedy wprowadziliśmy je do komputera, na końcu pojawiła się data. Między tymi pięcioma chyba nie ma żadnego związku, ale siedem pozostałych ma ze sobą coś wspólnego. We wszystkich zastosowano taki sam dziwaczny system matematyczny.

Zamyśliłem się, zacząłem kombinować i powiedziałem: – Spróbuję zgadnąć. Pierwszy z tych siedmiu powstał około 1971, a ostatni ukończono powiedzmy, jakieś pół roku temu.

– Nieźle – stwierdził Harrington. – Wygląda na to, że pan wie coś, czego ja nie wiem.

– Tak – przyznałem. – Ma pan rację.

Znów poszedłem szukać Ogilvie'ego. Okazało się, że już wrócił. Przyjrzał mi się bacznie. – Wyglądasz jak kot, który się dobrał do śmietany – skostatował. – Coś taki z siebie zadowolony?

Uśmiechnąłem się i usiadłem. – Pamięta pan, jak kiedyś do późna w nocy zastanawialiśmy się, nad czym to Ashton mógł pracować? Doszliśmy do wniosku, że na pewno były to prace teoretyczne, ale nie mieliśmy pojęcia, z jakiej dziedziny.

– Pamiętam – odparł Ogilvie – i nadal nie mogę się domysleć. Co więcej, Harrington też nie

potrafi zgadnąć, chociaż ma w ręku wszystkie materiały.

– Uznał pan wówczas, że nie mogła to być atomistyka, ponieważ Ashton nie miał kontaktu z jej najnowszymi osiągnięciami.

– Nie miał kontaktu z najnowszymi osiągnięciami w żadnej dziedzinie nauki, prócz chemii. Ale też i nie tworzył nic nowego, tylko dopracowywał swoje stare pomysły.

– Myli się pan – stwierdziłem spokojnie.

– Nie bardzo widzę, w jaką to dziedzinę mógł być wprowadzony na bieżąco. Wiemy, jakie książki kupował i czytał, i nic takiego wśród nich nie było.

– A książki, które kupowała Penny? – zapytałem cicho.

Ogilvie zamarł. – Do czego zmierzasz?

– Przed samym wyjazdem do Stanów Penny powiedziała coś, co puściłem mimo uszu. Rozmawialiśmy o jakichś problemach związanych z jej pracą, a ja prawie nie rozumiałem, co ona do mnie mówi. Działo się to u niej w domu; powiedziała mi wtedy, że jest przyzwyczajona, że siedzi w tym pokoju i omawia wszystko z ojcem, więc zupełnie zapomniała, że ja jestem laikiem.

– Z czego należy wnosić, że ojciec nie był laikiem?

– No właśnie. Ostatnio znów była o tym mowa i nagle zrozumiałem. Rozmawiałem przed chwilą z Harringtonem. Wspomniał, że jest siedem programów, które mają ze sobą coś wspólnego. Zastanowiłem się i od razu zgadłem, w jakich latach powstały. Pierwsze są z okresu, kiedy Penny przystąpiła do pisania pracy dyplomowej z genetyki. Myślę, że Ashton równoległe z córką studiował genetykę. Dzisiaj rano Penny napomknęła, że ojciec podsunął kilka ciekawych pomysłów, które zdumiały samego Lumsdena. W końcu Penny współpracuje z jednym z czołowych genetyków w kraju. Wszystko, czego się od niego nauczyła, mogła przekazywać ojcu. Czytała fachowe czasopisma, a Ashton razem z nią; uczestniczyła w seminariach naukowych, odwiedzała różne laboratoria – i wszystko przekazywała ojcu. Prawdopodobnie robiła to całkiem bezwiednie. Po prostu była zadowolona, że ma bratnią duszę, że może z kimś rozmawiać o swojej pracy. Ashton był więc wciągnięty w najciekawsze badania, w najbardziej pasjonujące osiągnięcia naukowe naszego stulecia. Chyba to nic dziwnego, że człowiek pokroju Ashton'a zajął się rozważaniami teoretycznymi na temat genetyki?

– Masz rację – przyznał Ogilvie – ale co w związku z tym robimy?

– Oczywiście musimy wciągnąć w to wszystko Penny.

Pokręcił głową. – Jeszcze nie. Takiej decyzji nie mogę podjąć sam. Problem właśnie na tym polega, że ona jest córką Ashton'a. To inteligentna dziewczyna; zacznie pytać, dlaczego jej ojciec uważał za konieczne ukrywać się ze swoją pracą naukową. Otworzylibyśmy puszkę Pandory, musielibyśmy ujawnić jego przeszłość oraz okoliczności i powód śmierci. Wątpię, czy minister byłby zadowolony, gdyby zaczęła go nachodzić i domagać się wyjaśnień, a zwłaszcza gdyby zaczęła kontaktować się z prasą. W tej sprawie będę musiał jego poprosić o decyzję.

– W żaden sposób nie da się utrzymać takiej rzeczy w tajemnicy – powiedziałem.

– A kto mówi o utrzymywaniu jej w tajemnicy? – spytał poirytowanym tonem. – Mówię tylko, że trzeba będzie załatwić wszystko z taktem. Zostaw to mnie. Mam nadzieję, że nic jej nie powiedziałeś, co?

– Nie.

– To dobrze. Świetnie się spisałeś. Masz wielkie zasługi i w odpowiedniej chwili zostaną one uznane.

Nie zależało mi na uznawaniu moich zasług, ponadto miałem niejasne Wrażenie, że w tym momencie Ogilvie nie był wobec mnie całkowicie szczęty. Po raz pierwszy zdarzyła mi się taka sytuacja i wcale mi się to nie podobało.

Z Penny spotkałem się następnego popołudnia. Zgodnie z umową przyjechałem do niej do University College. Szedłem właśnie korytarzem, gdy nagle otworzyły się drzwi od gabinetu Lumsdena; wyszedł stamtąd Cregar z takim impetem, że musiałem zrobić unik, żeby na niego nie wpaść. Zaskoczony spojrzał na mnie. – Co pan tu robi? – zapytał obcesowo.

Pomijam już to, że nie powinno go to obchodzić, ale nadal czułem się obolały po wycisku, jaki mi dał na tej pamiętnej naradzie. Miałem ochotę coś mu odwarknąć, ale opanowałem się i odpowiedziałem całkiem spokojnie: – Po prostu przyszedłem.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Bo może nie spodobało mi się ani pytanie ani sposób, w jaki zostało zadane.

Żachnął się lekko, ale zaraz rzucił: – Pan wie, że sprawa Ashtona już jest zamknięta?

– Tak.

– Więc jestem zmuszony powtórzyć pytanie – co pan tu robi?

Na to ja wycodziłem przez zęby: – Prędeż mi kaktus na dłoni zakwitnie, nim zacznę pana prosić, żebym się mógł zobaczyć z własną narzeczoną.

– Ach! – wykrzyknął bez sensu. – Zapomniałem! – I chyba rzeczywiście umknęło to jego pamięci. Zauważyłem zmianę w jego spojrzeniu: wojowniczość ustąpiła miejsca wyrachowaniu. – Przepraszam, wyleciało mi to z pamięci. I co? Żeni się pan z doktor Ashton, tak?

W tym momencie nie byłem tego całkiem pewien, ale nie zamierzałem dostarczać Cregarowi powodu do radości. – Oczywiście.

– Więc, kiedy ślub?

– Mam nadzieję, że niedługo.

– Acha. – Ściszył głos. – Dam panu dobrą radę, choć pewnie nie muszę panu przypominać: byłoby bardzo niewskazane, gdyby panna Ashton kiedykolwiek poznała prawdę o tym, co się wydarzyło w Szwecji.

– Zważywszy okoliczności, byłbym ostatnim, który by jej o tym powiedział – odparłem z goryczą.

– Tak, to przykra i dziwna sprawa, bardzo dziwna. Mam nadzieję, że nie poczuł się pan urażony, że tak szorstko pana potraktowałem. Proszę przyjąć moje najlepsze życzenia na nową drogę życia.

– Nie, nie... i dziękuję za życzenia.

– A teraz, proszę mi wybaczyć... – Odwrócił się i wszedł z powrotem do gabinetu Lumsdena.

Ja ruszyłem dalej korytarzem zastanawiając się, dlaczego Cregar z góry założył, że moja obecność w University College ma związek ze sprawą Ashtona. Przyjmijmy, że istotnie zapomniał o moim zamiarze poślubienia Penny; jeśli tak, to jaki jeszcze związek mógł wchodzić w grę?

Penny chciała wstąpić do Fortnuma i kupić coś do jedzenia, więc poszliśmy tam razem. Większość rzeczy mieli dostarczyć do domu, ale wzięliśmy też od razu co nieco na prostą kolację. Tego właśnie wieczoru, kiedy zasiedliśmy w jej mieszkaniu do kolacji, przy pierwszych łyżkach zupy Penny oznajmiła: – Jadę jutro do Szkocji.

– Z Lumsdenem?

– Nie. Lummy nie może jechać, jest zajęty. Mamy zaległości przez to, że przedłużyłam pobyt w Ameryce.

– Na długo?

– Na tydzień, nie więcej. Dlaczego pytasz?

– W przyszły wtorek jest premiera nowej sztuki w teatrze Haymarket. Z Alekiem Guinnessem. Pomyślałem, że może chciałabyś się wybrać. Zamówić bilety?

Zastanowiła się przez moment. – Do wtorku wrócę. Tak, chętnie się wybiorę. Od Bóg wie jak dawna nie byłam w teatrze.

– Ta awantura w Szkocji jeszcze się nie skończyła?

– To nie awantura, najwyżej drobna różnica zdań.

Po kolacji przyrządziła kawę. – Wiem, że nie lubisz koniaku – powiedziała. – W barku jest butelka whisky.

Uśmiechnąłem się. – Miło, że o tym pomyślałaś.

– Ale ja się napiję koniaku.

Nalałem jej koniaku, a sobie whisky i postawiłem jedno, i drugie na stoliku do kawy. Penny

przyniosła z kuchni kawę, a gdy siedliśmy na kanapie, nalała kawy do filiżanek i cichutko zapytała: –  
Więc kiedy chcesz, żebyśmy wzięli ślub?

Tego wieczoru nowy dywan został okropnie poplamiony kawą, no i po raz pierwszy poszliśmy do  
łóżka.

Już dostatecznie długo z tym zwlekaliśmy.



Reszta tygodnia minęła powoli. Penny pojechała do Szkocji, a ja zamówiłem dwa bilety na premierę w teatrze Haymarket. Dowiedziałem się też, co konkretnie trzeba zrobić, żeby wziąć ślub; przedtem jakoś się tym nie interesowałem. Ogólnie było mi dobrze.

Ogilvie był niekontaktowy. Przez następne kilka dni rzadko bywał w biurze, a kiedy się zjawiał, wcale mnie do siebie nie wzywał. Zapytał, jak mi idzie dochodzenie w sprawie Bensona, a usłyszawszy, że utknąłem w miejscu nawet tego nie skomentował. Potem jeszcze dwukrotnie odmówił mi audiencji, o którą prosiłem. Trochę mnie to niepokoiło.

Porozumiałem się z Harringtonem, żeby sprawdzić, jakie robi postępy i dowiedzieć się, czy ściągnięto mu do pomocy ekspertów-genetyków. Oczywiście nie pytałem go wprost, tylko że tak powiem, ogródkami. Okazało się, że nie przydzielili mu żadnych nowych specjalistów, a już z całą pewnością nie przysłali żadnych biologów. To też mnie zaniepokoiło i zacząłem się zastanawiać, dlaczego Ogilvie tak zwleka z podjęciem jakichś działań.

Harrington był w coraz gorszym nastroju. – Pan wie, co ja odkryłem? – zapytał retorycznie. – Ten cholerny dowcipniś stosuje Hamiltonowskie kwaterniony! – Zabrzmiało to tak, jakby Ashton dopuszczał się najgorszego przestępstwa.

– To niedobrze?

Wbił we mnie wzrok i powtórzył jak echo: – Niedobrze! Nikt, powtarzam, absolutnie nikt nie stosuje Hamiltonowskich kwaternionów od 1915 roku, kiedy wynaleziono rachunek tensorowy. To tak, jakby ktoś używał kilofa i łopaty mając do dyspozycji buldożer.

Wzruszyłem ramionami. – Widocznie ma jakiś powód, żeby stosować te Hamiltonowskie jak im tam...

Harrington ze złością spojrział na wydruk programu komputerowego. – W takim razie, cholera, chciałbym wiedzieć, co to za powód. – I wrócił do swojej roboty.

Ja też wróciłem do swojej roboty. Mój problem polegał jednak na tym, że nie bardzo wiedziałem, co mam robić.

Sprawa Bensona utknęła w martwym punkcie i nie było sposobu żeby ruszyć z miejsca. Ogilvie najwyraźniej stracił zainteresowanie, a ponieważ nie miałem ochoty siedzieć u Kerra i patrzeć w sufit, więc większość czasu spędzałem w domu, czytałem różne zaległe lektury i czekałem na wtorek.

Podczas weekendu zadzwoniłem do Penny w nadziei, że może już wróciła, ale nikt nie odbierał telefonu. Sobota i niedziela minęła mi więc nieciekawie, a w poniedziałek rano zatelefonowałem do Lumsdena i zapytałem, czy nie miał jakichś wiadomości od Penny. – Rozmawiałem z nią w czwartek



– powiedział. – Liczyła, że wróci do Londynu podczas weekendu.

– Ale nie wróciła.

– To pewnie wróci dzisiaj. Czy mam jej coś powtórzyć, jeśli się pojawi?

– Właściwie to nie. Proszę jej tylko powiedzieć, że wstąpię po nią jutro o siódmej.

– Dobrze, powtórzę jej – obiecał Lumsden i odłożył słuchawkę.

Poszedłem do biura z lekkim uczuciem niezadowolenia i miałem szczęście natknąć się na Ogilvie'ego przy windzie.

Gdy znaleźliśmy się w kabinie, zapytałem wprost: – Dlaczego nie dał pan Harringtonowi żadnego genetyka do pomocy?

– Sytuacja nie została jeszcze do końca zbadana – odparł wymijająco.

– Moim zdaniem to nie jest wystarczający powód.

Spojrzał na mnie z ukosa. – Nie muszę ci chyba przypominać, że nie ty tu decydujesz, co należy robić. – Potem dodał bardziej ugodowym tonem: – Rzecz w tym, że znajdujemy się pod bardzo silną presją.

Miałem już dosyć silenia się na oględne sformułowania, więc waliłem dalej wprost: – Pod czyją presją, dlaczego?

– Poproszono mnie o przekazanie programów komputerowych innemu wydziałowi.

– Zanim się je rozszyfruje i zinterpretuje?

Kiwnął głową. – Nacisk jest znaczny. Niewykluczone, że minister przychylił się do tej prośby.

– Kto, u diabła, chciałby...? – Urwałem, przypomniawszy sobie coś, o czym napomknął Ogilvie. – Nie powie pan chyba, że to znowu Cregar?

– Dlaczego myślisz, że... – urwał i zastanowiwszy się przyznał. – Tak, Cregar. Uparty z niego człowiek, nie?

– O, Boże! – jęknąłem. – Pan wie, jak on to wykorzysta. Sam pan powiedział, że on się zajmuje bronią bakteriologiczną. Jeśli jest tam coś ważnego, to Cregar po cichutku zrobi z tego użytek.

Winda zatrzymała się i ktoś wsiadł. – Dajmy sobie z tym na razie spokój – powiedział Ogilvie, a gdy kabina zatrzymała się na naszym piętrze, wysiadł i poszedł nie oglądając się na mnie.

Nadszedł wtorek. O siódmej stałem pod drzwiami Penny i naciskałem guzik dzwonka. Nikt mi jednak nie otworzył. Zszedłem do samochodu i odczekałem przed domem przeszło godzinę, ale Penny się nie pojawiła. Biletów do teatru nie wykorzystałem, pojechałem do domu; było mi smutno i źle. Myślę, że już wtedy przeczuwałem, że stało się coś strasznego. Fragmenty skomplikowanej

łamięłówki zaczęły się układać w całość w jakiejś podświadomej warstwie mojego mózgu. Swędzenie w korze mózgowej stawało się już nie do zniesienia.

Następnego ranka, najwcześniej jak było można, zatelefonowałem znów do Lumsdena. Początkowo odpowiadał na moje pytania przyjaźnie, ale uznał chyba, że jestem trochę zbyt namolny. Nie, Penny jeszcze nie wróciła. Nie, nie rozmawiał z nią od czwartku. Nie, nie było w tym nic niezwykłego; mogła się natknąć w pracy na nieprzewidziane trudności. To się zdarza.

– Czy mógłby mi pan podać jakiś numer telefonu, pod którym mógłbym ją zastać w Szkocji?

W słuchawce zapadła cisza. Dopiero po chwili usłyszałem głos Lumsdena:

– Eeee... nie, chyba nie.

– Dlaczego? Nie ma pan jej telefonu?

– Owszem, mam, ale nie mogę go panu podać.

Zdumiało mnie to oświadczenie, ale dłużej się nad nim nie zastanawiałem.

– Wobec tego, czy mógłby pan do niej zadzwonić i przekazać jej ode mnie wiadomość?

Lumsden znów zamilkł na chwilę, a potem zgodził się niechętnie: – Chyba tak. Co mam jej przekazać?

– Będzie mi potrzebna jej odpowiedź. Proszę ją zapytać, gdzie położyła listy od ojca. Muszę to wiedzieć. – Według mojego rozeznania było to całkowicie bezsensowne pytanie.

– Dobrze – powiedział Lumsden. – Przekażę jej to.

– Ale od razu – nalegałem. – Zaczekam tu. Po rozmowie z nią proszę natychmiast do mnie zadzwonić. – Podałem mu swój numer telefonu.

Zająłem się poranną pocztą, w której znalazłem między innymi awizo na paczkę. Nie doręczono mi jej, gdyż roznosiciel nie mógł zastać mnie w domu. Po odbiór należało się zgłosić na dworzec Paddington. Schowałem awizo do portfela.

Lumsden zadzwonił dopiero po godzinie. – Powiedziała, że nie bardzo wie, o które listy panu chodzi.

– Tak powiedziała? To dziwne. A jakim tonem to powiedziała?

– Sam z nią nie rozmawiałem; nie mogła podejść do aparatu miejskiego, ale wiadomość jej przekazano.

– Panie profesorze – powiedziałem. – Proszę jeszcze raz do niej zadzwonić i zażądać, żeby poproszono ją do telefonu. Uważam...

Przerwał mi. – Wykluczone. Nie mam czasu bawić się w pocztyliona. – Rozległ się trzask

i połączenie zostało przerwane.

Siedziałem przez kwadrans zastanawiając się, czy aby nie przesadzam, czy nie robię z igły wideł, gonię za cieniem, za czymś, co tylko sobie wyobraziłem. Potem pojechałem na dworzec Paddington odebrać przesyłkę. Jakie było moje zaskoczenie, kiedy się okazało, że jest to moja własna walizka. Kapitan Morelius bynajmniej się nie spieszył z odesłaniem moich rzeczy osobistych ze Szwecji.

Włożyłem walizkę do bagażnika i otworzyłem ją. Miałem wrażenie, że niczego w niej nie brakuje, chociaż po tak długim czasie trudno mi to było stwierdzić z całą pewnością. Jedno było pewne, że szwedzki wywiad obejrzał pod mikroskopem wszystko, co się w niej znajdowało. Nasunęło mi to pewien pomysł. Wróciłem na stację i zatelefonowałem do domu Ashtonów.

Telefon odebrała Mary Cope. – Mówi Malcolm Jaggard – powiedziałem. – Jak się masz, Mary?

– Bardzo dobrze, dziękuję.

– Powiedz, Mary, czy nie nadeszła przypadkiem jakaś przesyłka ze Szwecji? Jakież walizki na przykład?

– Tak, proszę pana. W poniedziałek przyszły dwie walizki. Próbowałam dzwonić do panny Ashton, żeby mi powiedziała, co z nimi zrobić, ale nigdy nie ma jej w domu, to znaczy w tym mieszkaniu w Londynie.

– Co z nimi zrobiłaś?

– Zniosłam je do schowka.

W drodze do Marlow utknąłem w kilku korkach. Na rozjeździe w Hammersmith był taki zator, myślałem, że wyjdę z siebie, ale dalej jechałem już bez przeszkód i na trasie M4 nie zdejmowałem nogi z gazu. Brama była otwarta na oścież. Kto by chciał dawać ochronę Mary Cope?

Otworzyła mi, gdy tylko nacisnąłem dzwonek. Od progu zapytałem: – Czy ktoś już pytał o te walizki?

– Nie, skądże.

– Gdzie one są?

– Pokażę panu. – Zaprowadziła mnie na piętro głównymi schodami, potem korytarzem do innych schodów i piętro wyżej. Dom był pusty i ogołocony, a nasze kroki rozbrzmiewały echem. Otworzyła jakieś drzwi. – Tu je wstawiłam, żeby nie zawadzały.

Spojrzałem na dwie walizki stojące na środku pustego pokoju, potem odwróciłem się do niej z uśmiechem. – Możesz mi pogratulować; Penny i ja pobieramy się.

– Życzę państwu wszystkiego najlepszego – powiedziała.

– Myślę więc, że koniec końców nie będziesz się musiała przyzwyczajać do Londynu. Pewnie

kupimy jakiś dom na wsi, choć nie taki duży jak ten.

– To pan chce, żebym została?

– Oczywiście – powiedziałem. – A teraz chciałbym przejrzeć te walizki. Chciałbym być przy tym sam, jeśli pozwolisz.

Spojrzała na mnie trochę niepewnie, ale po chwili podjęła decyzję. Tyle dziwnych rzeczy się w tym domu wydarzyło, że jedna więcej już nie stanowiła różnicy. Kiwnęła głową i wyszła zamykając za sobą drzwi.

Obie walizki były zamknięte na klucz. Nie zawracałem sobie głowy otwieraniem zamków i brutalnie podważyłem je nożem. Pierwsza walizka należała do Ashtona; znajdowało się w niej tych kilka przedmiotów, które zabrał ze sobą uciekając ze Sztokholmu. Zapakowano do niej także ubranie, które miał na sobie; płaszcz, marynarka i koszula były podarte, ale nie poplamione krwią. Wszystko starannie wyczyszczono.

Naprawdę interesowała mnie walizka Bersona. Tylko ona została po Howardzie Greatorexie Bersonie i gdybym w niej też nic nie znalazł, to sprawa Ashtona prawdopodobnie już nigdy nie doczekałaby się rozwiązania.

Opróżniłem walizkę i rozłożyłem jej zawartość na podłodze. Było tam palto, garnitur, futrzana czapka, skarpetki, buty – wszystko to, w czym umarł. W futrzanej czapce była z tyłu dziura, w której swobodnie mieściła się moja pięść. Starannie wszystko przejrzałem, choć wiedziałem, że kapitan Morelius zrobił to już przede mną i nic nie znalazł – ani mikrofilmu, ulubionego rekwizytu autorów powieści kryminalnych, ani żadnych ukrytych kieszonek, ani w ogóle nic, co odbiegałoby od normy.

W portmonetce znajdowała się garstka szwedzkich monet, a w portfelu cienki plik banknotów. W portfelu były ponadto szwedzkie i angielskie znaczki pocztowe, dwie wycięte z gazety recenzje jakichś angielskich książek oraz lista zakupów. Nie było tam dla mnie nic ciekawego, chyba że łoś wędzony, krakersy i kawa mokka mają jakieś ukryte znaczenie, w co wątpię.

Już zamierzałem odłożyć portfel, gdy spostrzegłem, że jedwabna podszewka jest lekko naddarta. Przy dokładniejszych oględzinach stwierdziłem, że nie jest to rozdarcie, lecz nacięcie, wykonane najprawdopodobniej żyłką. Kapitan Morelius nigdy nie zdawał się na przypadek. Wsunąłem palec pod podszewkę i natknąłem się na jakiś papier. Delikatnie wyciągnąłem go, a potem podszedłem ze swoją zdobyczą do okna.

Było to pismo:

## ZAŚWIADCZENIE

Niniejszym zaświadcza się, że posiadacz tego pisma nazywa się Howard Greatorex Benson. W razie zaistnienia jakichkolwiek wątpliwości w stosunku do jego osoby, należy natychmiast, przed podjęciem wszelkich działań, porozumieć się z niżej podpisanym.

Do pisma przytwierdzone było zszywką zdjęcie typu paszportowego przedstawiające Bersona znacznie młodszego, ale już ze zniekształconymi rysami i szramą na policzku. Mógł mieć wtedy

trzydzieści kilka lat. Mój domysł potwierdziła data umieszczona na zaświadczeniu – 4 stycznia 1947.

U dołu pisma widniał adres i numer telefonu; adres był w Mayfair, a numer telefonu zapisano według dawno już nie stosowanej metody, czyli literami i cyframi. Pod pismem widniał podpis: James Pallson.

Swędzenie, jakie odczuwałem pod czaszką, nasiliło się, układanka była już niemal skompletowana. Wciąż jeszcze brakowało w niej kilku drobnych elementów, ale zebrało się ich dostatecznie dużo, by zarysował się obraz całości, i muszę przyznać, że to, co zobaczyłem, wcale mi się nie podobało. Jeszcze raz rzuciłem okiem na pismo, zastanowiłem się, co też mógł z niego zrozumieć kapitan Morelius, potem złożyłem je, schowałem do własnego portfela i zszedłem na dół.

Zadzwoiłem do Ogilvie'ego, ale nie było go w biurze, więc pożegnawszy się z Mary Cope, wróciłem do Londynu i pojechałem prosto do University College. Wiedziałem, że Lumsden może nie chcieć się ze mną widzieć, więc przemknąłem się koło recepcji, poszedłem od razu do jego gabinetu i wszedłem bez pukania.

Podniósł wzrok i na mój widok skrzywił się z niezadowoleniem. – Co, do diabła... Wypraszam sobie takie...

– Dwa słowa, panie profesorze.

– Co jest! – warknął. – Mam mnóstwo pracy. Nie mam czasu bawić się w posłańca!

Podszedłem do jego biurka i pchnąłem w jego stronę aparat telefoniczny.

– Proszę zadzwonić do Penny!

– Ani mi się śni. – Wziął do ręki legitymację, którą rzuciłem mu na biurko.

– A więc nie jest pan takim sobie zwykłym policjantem. Nie widzę jednak, żeby to cokolwiek zmieniało.

– Gdzie jest to laboratorium? – zapytałem.

– W Szkocji.

– Gdzie w Szkocji?

– Niestety, nie jestem upoważniony do udzielania takich informacji.

– Kto nim zarządza?

Wzruszył ramionami. – O ile wiem, jakaś agencja rządowa.

– Jakie badania się tam prowadzi?

– Naprawdę nie wiem. Podobno coś związanego z rolnictwem.

– Od kogo pan to wie?

– Nie mogę powiedzieć.

– Nie chce pan czy nie może? – Wbiłem w niego wzrok; twarz drgnęła mu nerwowo pod moim spojrzeniem. – Chyba pan nie wierzy w te bajdy o rolnictwie, co? Nie byłby pan taki tajemniczy. Badań związanych z rolnictwem nikt by tak nie utajniał. Cregar powiedział panu, że chodzi o rolnictwo.

W głębi duszy wcale pan w to nie wierzy, ale dla spokoju sumienia przyjął pan to za dobrą monetę. Nie jest pan przecież taki naiwny.

– Pan pozwoli, że sam się będę troszczył o swoje sumienie – warknął.

– Bardzo proszę. Po co Penny tam pojechała?

– Żeby udzielić konsultacji w kwestiach technicznych.

– Na przykład, jak urządzić laboratorium do badań nad patogenami? – zapytałem.

– Coś w tym rodzaju.

– Czy ona wie, że za tym wszystkim stoi Cregar?

– To pan wspomniał Cregara – powiedział Lumsden – nie ja.

– Czym Cregar wymusił pana zgodę? Zagroził, że odetnie panu fundusze na dalsze badania? A może otrzymał pan oględnie sformułowany list od ministra, że albo pan będzie współpracował z Cregarem, albo... – Przez chwilę przyglądałem mu się w milczeniu. – Nie ma to większego znaczenia, ale czy Penny wie, że Cregar jest w to wmieszany?

– Nie – burknął.

– Nie wiedziała także, czemu ma służyć to laboratorium, ale zaczęła się czegoś domyślać. Posprzeczała się z panem.

– Wygląda na to, że pan wszystko wie – powiedział Lumsden znużonym tonem i wzruszył ramionami. – Z grubsza biorąc, tak.

– Gdzie ona jest? – zapytałem.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem. – W laboratorium. Myślałem, że już to ustaliliśmy.

– Bardzo się niepokoiła stanem zabezpieczeń w tym laboratorium, prawda?

– Przejmowała się tym, traktowała to emocjonalnie, a Cregar naciskał Cartera. Chciał rezultatów i to jak najszybciej.

– Kto to jest Carter?

– Kierownik naukowy.

Pokazałem mu telefon. – Złożę się o sto funtów, że nie uda się panu z nią porozmawiać.

Po dłuższym wahaniu wziął wreszcie do ręki słuchawkę i zaczął wykręcać numer. Strasznie uważał, żeby się z niczym nie zdradzić, ale nie miał zielonego pojęcia o metodach bezpieczeństwa. Bez trudu podpatrzyłem i zapamiętałem numer telefonu, który wykręcił. – Mówi Lumsden. Chciałbym rozmawiać z doktor Ashton. Dobrze, czekam.

Zakrył słuchawkę ręką. – Poszli po nią. Chyba jest u siebie w pokoju.

– Nie byłbym taki pewny.

Lumsden trwał dłuższy czas ze słuchawką przy uchu. – Słucham? – odezwał się nagle. – Rozumiem... na łąd. Dobrze. Proszę jej przekazać, że dzwoniłem, i poprosić, żeby się skontaktowała ze mną, gdy tylko wróci. Będę u siebie w gabinecie. – Odłożył słuchawkę i oznajmił bezbarwnie: – Powiedzieli, że pojechała na łąd.

– Więc laboratorium mieści się na wyspie.

– Tak. – Podniósł wzrok, a w jego oczach czaił się niepokój. – Przecież to może być prawda.

– Wykluczone – oświadczyłem. – Coś się tam stało. Wspomniał pan o swoim sumieniu, panie profesorze. Zostawiam pana z nim sam na sam. Życzę panu miłego dnia.

Wszedłem do sekretariatu Ogilvie'ego. – Jest szef? – rzuciłem sekretarce i nie czekając na odpowiedź wparowałem do gabinetu. Od tej chwili przestałem się ceregielić z zamkniętymi drzwiami.

Ogilvie był tak samo wściekły jak Lumsden, że wtargnąłem do niego bezceremonialnie. – Nie wzywałem cię! – powiedział lodowato.

– Rozgryzłem Bensona – oznajmiłem. – Był człowiekiem Cregar.

Ogilvie miał oczy jak spodki. – Nie wierzę.

Rzuciłem mu na biurko pismo znalezione w portfelu Bensona. – Podpisano, zapieczętowano i dostarczone. To pismo pochodzi z czwartego stycznia 1947 roku, z tego dnia, w którym Benson odszedł do cywila, a podpisał je poseł James Pallson, znany obecnie jako lord Cregar. O, Boże, przecież ten człowiek nie ma za grosz honoru. Czy zdaje pan sobie sprawę, że kiedy Ashton i Benson zwiali do Szwecji, a Cregar odgrywał święte oburzenie, to całusięki czas wiedział dokładnie, gdzie oni są i co robią. Ten bydlak śmiał się z nas w kułak.

Ogilvie pokręcił głową. – Nie, to zbyt nieprawdopodobne.

– A co w tym takiego nieprawdopodobnego? Z tego pisma jasno wynika, że Benson był od trzydziestu lat na usługach Cregar. Według mnie Cregar zawarł z Ashtonem umowę. Ashton miał

prawo robić, co chce – mógł pójść na dno lub wypłynąć na wierzch w świecie kapitalistycznym – pod warunkiem, że będzie miał anioła stróża: Bensona. A gdy przeprowadzano reorganizację i Cregar stracił kontrolę nad Ashtonem, to niechcący-naumyślnie zapomniał panu wspomnieć o Bensonie. To nam też tłumaczy, dlaczego dane dotyczące Bensona znikły z komputera.

Ogilvie zrobił głęboki wdech. – Wszystko pasuje, ale jeszcze bardzo wiele pozostaje do wyjaśnienia.

– Wszystko wyjaśni panu Cregar – rzuciłem wściekle – zanim go obedrę ze skóry.

– Trzymaj się z dala od Cregara – powiedział ostro. – Już ja się nim zajmę.

– Nic z tego. Pan nie rozumie. Penny Ashton zaginęła i Cregar ma z tym coś wspólnego. Dopadnę go, a pan na pewno mi w tym nie przeszkodzi!

– Co się tu w ogóle wyprawia? – Ogilvie był już całkowicie zdezorientowany.

Opowiedziałem mu, a potem zapytałem: – Nie wie pan przypadkiem, gdzie się mieści to laboratorium?

– Nie.

Wyjąłem z portfela kartkę i położyłem mu ją na biurku. – Tu jest numer telefonu. W informacji nic mi nie chcą powiedzieć, bo jest zastrzeżony. Niech pan coś zrobi w tej sprawie.

Spojrzał na kartkę, ale nie wziął jej do ręki. – Bo ja wiem... – wycedził.

Nie dałem mu dokończyć. – Ale ja wiem! Samo to pismo wystarczyłoby, żeby wykończyć Cregara, tylko że ja nie mam czasu czekać. Niech mnie pan nie powstrzymuje. Niech mi pan załatwi tę informację, a dostanie pan nie tylko to pismo – dostanie pan ode mnie głowę Cregara na półmisku. Ale nie będę zbyt długo czekał.

Spojrzał na mnie w zamyśleniu, a potem sięgnął równocześnie po kartkę z moją notatką i po telefon. Pięć minut później wymówił dwa słowa: – Cladach Duillich.





Do Cladach Duillich nie było łatwo dotrzeć. Jest to jedna z wysepek zwanych Summer Isles i będąca właściwie skupiskiem skał w miejscu, gdzie Morze Szcockie wrzyna się w Ross i Cromarty. Teren ten bywa chętnie wykorzystywany do ryzykownych igraszek z bronią biologiczną. Sześć mil na południe od Cladach Duillich leży niezamieszkała i nie nadająca się do zamieszkania wyspa Gruinard. W 1942 roku chłopcy od broni biologicznej popełnili drobny błąd i niechcący zakazili całą wyspę węglikiem. Przez sto lat będzie nie do zamieszkania. Nic dziwnego, że Szkoci chcą już skończyć z takimi przyjemnościami, fundowanymi im przez władzę z południa.

Wylądowałem na lotnisku Dalcross koło Inverness. Wynająłem samochód, którym przejechałem przez całą szerokość Szkocji do Ullapool w głębi Zatoki Broom. Pogoda była piękna; słońce świeciło; ptaki śpiewały, a widoki były przepiękne – ale na dobrą sprawę nawet tego nie zauważałem, bo starałem się jechać możliwie najszybciej drogą określaną w Szkocji jako „wąska, klasy j (z mijankami)”. Nabierałem pewności, że prowadzę wyścig z czasem, i ogarniało mnie coraz większe przygnębienie.

Było już dość późno, gdy dojechałem do Ullapool. Cladach Duillich leżało w zatoce dwanaście mil od brzegu; miejscowy rybak mógłby mnie tam zawieźć łodzią i wrócić w jakieś cztery godziny. Rozmawiałem z kilkoma, ale o tej porze żaden się nie dał namówić na kurs. Do zachodu słońca była godzina, nie więcej, na niebie zaczęły się zbierać gęste chmury, nad wąską zatoką wiał chłodny wiatr marszcząc taflę wody, która nabrała barwy stalowoszarej. Umówiłem się z jednym z rybaków, z jakimś Robbie’em Fergusonem, że nazajutrz o ósmej rano zawiezie mnie na wyspę; oczywiście jeśli będzie dobra pogoda.

Sezon się jeszcze nie zaczął, więc bez trudu wynająłem pokój w pubie. Wieczór spędziłem w barze przysłuchując się miejscowym plotkom. Kilkakrotnie wtrąciłem się do rozmowy; dużo nie mówiłem, ale zdołałem trochę podpytać bywalców o Cladach Duillich.

Nie ulegało wątpliwości, że fala szkockiego nacjonalizmu wezbrała tu w pełni. Mówiono o nieobecnych angielskich właścicielach ziemskich, o „szkockiej” ropie oraz o niejednoznacznej postawie szkockiej Partii Pracy. Pobrzmiwała w tym wszystkim nuta cynizmu, ironicznego humoru, ale i znużenia, jakby ludzie utracili wiarę w obietnice polityków. Tego rodzaju uwag nie było znowu aż tak wiele, tyle tylko, by ubarwić rozmowy na temat połowów i pogody, ale gdybym należał do bywalców korytarzy władzy w Westminsterze, to by mnie wprawiły w przerażenie. Miałem uczucie, jakby Ullapool było bardziej oddalone od Londynu niż australijskie Kalgoorlie.

Opróżniłem do końca kufel piwa i przerzuciłem się na whisky, pytając barmana, którą mi poleca. Doradził mi mój sąsiad: – Niech pan spróbuje Taliskera. – Był to wysoki, szczupły mężczyzna, mniej więcej pięćdziesięcioletni, o pobrużdżonej twarzy i miękko wykrojonych ustach. Mówił z charakterystycznym, łagodnym zachodnioszkockim akcentem.

– Niech będzie Talisker. Napije się pan ze mną?

Przyjrzał mi się badawczo, uśmiechnął się i powiedział: – Właściwie czemu nie. Pan pewnie z południa. Trochę wczesna pora dla takich jak pan. Zamówiłem dwa duże Taliskery. – To znaczy jakich?

– No, na przykład dla turystów.

– Nie jestem turystą, tylko dziennikarzem.

– Tak? A z jakiej gazety?

– Z każdej, która mnie zechce drukować. Jestem wolnym strzelcem. Czy może mi pan powiedzieć cokolwiek o wyspie Gruinard?

Zachichotał i pokręcił głową. – No, nie! Jeszcze jeden? Co roku ktoś przyjeżdża i wypytuje o wyspę Gruinard; mówią o niej – Wyspa Śmierci Człowieku, wszystko już dokładnie opisali. Nic nowego się nie dzieje.

Wzruszyłem ramionami. – Jeśli historia jest sama w sobie ciekawa, to zainteresuje każdego, kto jej jeszcze nie zna. Wyrosło nam już pokolenie, dla którego 1942 rok to prehistoria. Miewałem do czynienia z młodymi ludźmi przekonanymi, że Hitler był brytyjskim generałem. Ale może ma pan rację. Czy oprócz tego dzieje się tu coś ciekawego?

– A jakie wydarzenie z Ullapool mogłoby zainteresować angielską gazetę? Ropy naftowej tu nie ma, jest tylko na wschodnim wybrzeżu. – Spojrzał z zadumą w głąb swojej szklaneczki z whisky. – Jest helikopter, który przylatuje i odlatuje, ale nikt nie wie dlaczego. Czy to by mogło pana zainteresować?

– Być może – powiedziałem. – To helikopter z przedsiębiorstwa naftowego?

– Może tak, a może nie. W każdym razie ląduje na jednej z wysepek. Sam widziałem.

– Na której?

– Takiej na zatoce, Cladach Duillich się nazywa. To mała skalista wysepka, na której nic prawie nie ma. Wątpię, żeby tam była ropa. Postawili kilka budynków, ale wieży wiertniczej tam nie ma.

– Kto to pobudował?

– Podobno rząd wynajął wyspę od właściciela, angielskiego lorda. Wattie Stevenson raz się tam wybrał, tak sobie tylko i żeby im powiedzieć, że w razie czego, gdyby mieli jakieś kłopoty, to my w Ullapool zawsze chętnie im pomożemy. Ale nawet mu nie pozwolili zejść na ląd. Ładni mi sąsiedzi, nie ma co.

– A jakie kłopoty miał na myśli ten Stevenson?

– Sztormy, rzecz jasna. Zimą mamy tu bardzo groźne sztormy. Podobno fale dosłownie zalewają Cladach Duillich. Stąd się wzięła nazwa wyspy.

Zmarszczyłem brwi. – Nie rozumiem.

– Jasne, nie zna pan celtyckiego. No, więc bardzo dawno temu w Coigach mieszkał pewien rybak, który wypłynął na zatokę. Złapał go sztorm i jego łódź zatonięła. Było to gdzieś po drugiej stronie wyspy. Rozbitek zaczął płynąć. Płynął i płynął, aż dotarł do wyspy, wydostał się na brzeg i myślał, że się uratował. Ale i tak, biedak, utonął, bo to była Cladach Duillich i fale przelewały się przez wyspę. Cladach Duillich znaczy Smutny Brzeg.

Jeśli moje domysły były słuszne, to wyspa nosiła wyjątkowo trafną nazwę.

– Czy mieszkańcy Cladach Duillich czasem tu przyjeżdżają?

– Nie, nigdy. Nikogo z nich nie widziałem. Odlatują na południe helikopterem i nikt nie wie, dokąd konkretnie on leci ani skąd przylatuje. Żaden z nich złamanego grosza jeszcze w Ullapool nie wydał. Strasznie są tajemniczy. Na Cladach Duillich jest tylko jedno miejsce, gdzie można przybić łodzią, postawili tam wielki napis, że wstęp wzbroniony, i jeszcze groźby, co będzie, jak się ktoś nie posłucha.

Zauważyłem, że jego szklaneczka jest już pusta, i zastanawiałem się, kiedy zdążył ją opróżnić. Musiał to zrobić, kiedy mrugnąłem okiem. – Napije się pan jeszcze jednego, panie... – zaproponowałem.

– To ja pana zapraszam. – Kiwnął na barmana, a potem się przedstawił. – Nazywam się Archie Ferguson. Tak się składa, że to mojego brata pan zgodził na tę przejażdżkę jutro. – Uśmiechnął się widząc moje zmieszanie i dodał: – Ale wątpię, żeby się panu udało postawić tam nogę.

– Nazywam się Malcolm Jaggard – powiedziałem. – I myślę, że jednak mi się uda.

– Malcolm to dobre szkockie imię – zauważył Ferguson. – Tak czy owak, wypiję za powodzenie pańskiej wyprawy.

– Tam się najwyraźniej dzieją jakieś dziwne rzeczy – powiedziałem. – Jak pan myśli, czy to jest druga wyspa Gruinard?

Twarz Fergusona uległa błyskawicznej zmianie i przez moment wyglądał jak ucieleśnienie Boga Wszechmogącego. – Nie daj, panie Boże! Gdybyśmy zaczęli coś takiego podejrzewać, to byśmy ich puścili z dymem.

Jedząc kolację obracałem w myślach zdobyte wiadomości, a potem poszedłem zadzwonić – do Cladach Duillich. Uzyskałem połączenie i ktoś podniósł słuchawkę mówiąc uprzejmie: – Słucham?

– Czy mogę prosić doktor Ashton. Mówi Malcolm Jaggard.

– Chwileczkę, zaraz sprawdzę.

W słuchawce zapanowała cisza, a po czterech minutach rozległ się w niej inny głos. – Niestety,

doktor Ashton wybrała się na ląd i jeszcze nie wróciła.

– Gdzie na ląd?

Nastąpiła pauza. – A skąd pan dzwoni?

– Z Londynu. A bo co?

Nawet nie odpowiedział na moje pytanie. – Pojechała do Ullapool, to nasza miejscowa metropolia. Powiedziała, że chce trochę rozprostować kości. Wie pan, tutaj nie bardzo jest gdzie spacerować. Chciała też zrobić jakieś zakupy. Czy może mi pan powiedzieć, jak pan zdobył nasz numer telefonu?

– Doktor Ashton mi podała. Kiedy może być z powrotem?

– Nie wiem. Pogoda jest kiepska, więc przypuszczam, że wróci dopiero jutro rano. Proszę zadzwonić jutro rano.

– A jak pan myśli, gdzie się zatrzymała w Ullapool? Nie znam tej miejscowości.

– Naprawdę nie potrafię panu powiedzieć. Ale wróci rano naszą łodzią.

– Rozumiem. A czy mogę wiedzieć, z kim rozmawiam?

– Nazywam się Carter, doktor Carter.

– Dziękuję panu. Zadzwoń jutro.

Odkładając słuchawkę pomyślałem, że ktoś – oprócz mnie – nie mówi prawdy, a tym kimś wcale nie jest Archie Ferguson. Na wszelki wypadek postanowiłem jednak się upewnić, więc poszedłem do baru. Zastałem Archie'ego pogrążonego w rozmowie ze swoim bratem Robbiem. Podszedłem do nich. – Czy mogę się przyłączyć? – zapytałem.

– Bardzo proszę – powiedział Archie – zastanawialiśmy się właśnie z Robbiem, jakie ma pan szanse, aby dotrzeć jutro rano na Cladach Duillich.

Spojrzałem na Robbiego. – A co? Są jakieś wątpliwości?

– Obawiam się, że będziemy jutro mieli leciutki wiaterek – wyjaśnił. – W komunikacie meteo mówili, że ciśnienie leci na łeb na szyję. Mam nadzieję, że ma pan wytrzymały żołądek.

– Owszem.

Archie Ferguson roześmiał się. – Pan z nimi rozmawiał! Jak pan to zrobił?

– Normalnie, zadzwoniłem.

– No właśnie – wtrącił Robbie. – Przecież położyli kabel. – Pokręcił głową. – Cholernie dużo forsy na to poszło.

– Jakiś facet powiedział mi przez telefon, że z Cladach Duillich przyjechała tu dzisiaj pewna kobieta. Ma z metr siedemdziesiąt wzrostu, ciemne włosy, około dwudziestu...

Robbie przerwał mi: – Czym ona tu przyjechała?

– Łodzią.

– No, to nie przyjechała – stwierdził kategorycznie. – Przyjeżdżają i wyjeżdżają tylko tym piekielnym helikopterem. Na Cladach Duillich nie ma żadnej łodzi.

– Jest pan pewien?

– Oczywiście, że jestem. Dwa razy dziennie tamtędy przepływam. Może mi pan wierzyć – tam nie ma żadnej łodzi.

Tak czy inaczej, musiałem się upewnić. – Ale gdyby jednak tu przyjechała, to gdzie by się zatrzymała?

– Ullapool nie jest znowu takie duże – powiedział Archie. – Jeśli tu dotarła, to nie ma obawy, już my ją wymacamy, że się tak wyrażę. Jak się ta panienska nazywa?

– Ashton. Penelopa Ashton.

– Spokojnie, panie Jaggard. Za godzinę będzie pan wiedział. – Uśmiechnął się wesoło do swojego brata.

– Stary, chyba tu pachnie wielkim romanssem. Nie uważasz?



Gdy nazajutrz o ósmej rano stałem na przystani, wiatr świstał mi w uszach. Niebo było barwy granitowoszarej, tak samo zresztą jak wody zatoki, na której bielity się tu i ówdzie grzywy fal. W dole miotała się gwałtownie łódź Robbie’ego Fergusona; jej odbijacze z opon samochodowych popiskiwały dziwnie, ocierając się o kamienie pirsu. Łódź wydawała się stanowczo zbyt wątła na to, by wyruszać na niej przy takiej pogodzie. Robbie najwyraźniej się jednak nie przejmował. Zdjął z silnika osłonę i uruchamiał go przy pomocy korby.

Stojący obok mnie Archie Ferguson zapytał: – Więc pan uważa, że ta panienka nadal jest na Cladach Duillich?

– Tak.

Owinał się szczelniej kurtką. – Myśmy myśleli, że to jakaś impreza rządowa, ale może to wcale nieprawda – stwierdził. – Może to być na przykład któraś z tych nowych sekt religijnych z Ameryki. Jak pan myśli? Słyszałem o nich różne niesamowite rzeczy.

– Nie, to nie to. – Spojrzałem na zegarek. – Czy może pan coś dla mnie zrobić?

– Jeśli tylko będę potrafił.

Obliczyłem się z czasem. – Gdybym nie wrócił za osiem godzin, to znaczy do czwartej po południu, to niech się pan skontaktuje z policją i przyjedzie na wyspę mnie szukać.

Przez chwilę się zastanawiał. – Proszę bardzo, mogę to zrobić. A co mam zrobić, jeśli Robbie wróci, a pan nie?

– To samo. Może być tak, że wstawię Robbie’emu jakiś bajer, na przykład, że postanowiłem tam zostać. To będzie kłamstwo. Ale niech Robbie udaje, że wierzy, wraca tutaj i podnosi alarm.

Dieslowski silnik w dole zakaszłał, ożył i podjął spokojną, rytmiczną pracę. – Wie pan co, panie Malcolmie Jaggard – powiedział Archie Ferguson – pan mi wcale nie wygląda na dziennikarza.

Wyjąłem z portfela wizytówkę i podałem ją Archie’emu. – Gdybym nie wrócił, niech pan zadzwoni pod ten numer, poprosi o połączenie z panem Ogilvie’em i powie mu o wszystkim.

Przyglądał się wizytówce. – McCulloch i Ross... i Ogilvie. Wygląda na to że w londyńskim City rządzą Szkoci. – Podniósł wzrok. – I ja mam uwierzyć, że pan jest finansistą? Pan jeszcze mniej wygląda na finansistę, niż na dziennikarza. Co się naprawdę dzieje na Cladach Duillich?

– Mówiliśmy o tym wczoraj wieczorem – powiedziałem. – I pan wspomniał wtedy o puszczeniu z dymem.

Spochmurniał. – Rząd by nam drugi raz chciał wyciąć taki numer?



– Rząd składa się z ludzi, a są wśród nich i tacy, którzy się przed niczym nie cofną.

– Tak. I niech potem inni za to płacą. – Spojrzał na mnie badawczo. – Jak pan już wróci z tej wyspy, to sobie pogadamy. A na razie niech pan powie tym cwaniaczkom na Cladach Duillich, że jeśli pan nie wróci, to my się do nich wybierzemy – z ogniem. Nic tak dobrze nie oczyszcza jak ogień.

– Lepiej się w to nie mieszać. Niech się tym zajmie policja.

– Coś pan dziecko? Policja by coś zrobiła przeciwko rządowi? Niech pan to mnie zostawi. – Spojrzał w dół, żeby zobaczyć, co się dzieje w łodzi. – No, to komu w drogę... Robbie już czeka. Ja też mam parę spraw do załatwienia. Muszę pogadać z kilkoma kumplami.

Nie zaproponowałem. Zszedłem po żelaznej drabince, śliskiej od wody i wodorostów, i przymierzałem się, żeby skoczyć. Usiłowałem wyczekać na moment, gdy łódź, chaotycznie miotana falami, znajdzie się w najwyższym położeniu. Oczywiście chybiłem, ale dzięki refleksowi i sile Robbiego nie wyłożyłem się jak długi.

Robbie zlustrował mnie i pokręcił głową. – Pan mi tu zamarznie. – Odwrócił się, zaczął grzebać w szafce i po chwili wydobyl z niej rybacki sweter. – Niech pan to włoży, będzie panu ciepło, i to też – podał mi nieprzemakalne spodnie i kurtkę – przynajmniej będzie panu sucho.

Kiedy już wszystko na siebie powkładałem, kazał mi usiąść spokojnie, a sam poszedł na dziób. Po rozkołysanej łodzi chodził jak po gładkim trotuarze. Odcumował dziób i ruszył z powrotem, jakby nie zauważając, że dziób ruchem wahadłowym zakreśla wielki łuk. Przechodząc obok silnika przestawił nogą jakąś dźwignię, a potem zręcznie odcumował rufę. Dudnienie silnika nabrało głębszego brzmienia i zaczęliśmy oddalać się od pirsu. Robbie stał przytrzymując rumpel między kolanami i korygując kurs ruchami całego ciała; jednocześnie zgrabnie zwinął cumę.

Na zatoce wiatr się wzmógł, a fale były coraz większe. Wiało z północnego zachodu, więc płynęliśmy dokładnie pod wiatr. Za każdym zanurzeniem dziobu zalewały nas niesione wiatrem bryzgi wody. Byłem Robbiemu wdzięczny za nieprzemakalne ubranie, bo nie ulegało kwestii, że zanim dopłyniemy do Cladach Duillich, byłbym mokry jak spod prysznic.

Robbie wreszcie usiadł, utrzymując rumpel we właściwym położeniu stopą obutą w gumiak. Pokazał przed siebie i poinformował mnie: – To jest wybrzeże Coigach.

Zrobiłem unik przed kolejnym bryzgiem i zapytałem: – Jaki właściwie jest pański brat?

– Archie? – Robbie zastanowił się i dopiero po chwili odpowiedział, wzruszając ramionami: – Bo ja wiem? Brat to brat.

– Ale czy pana zdaniem Archie jest porywczy, w gorącej wodzie kąpany?

– Archie? W gorącej wodzie kąpany? To chodzący rozsądek. W tej rodzinie to ja jestem postrzelony. Archie musi wszystko obejrzeć z każdej strony, zanim coś zrobi. Dlaczego pan pyta?

– Mówił, co zrobi, jeśli nie wrócę z Cladach Duillich.

– Z moim bratem jedno wiadomo na pewno, że co obieca, to robi. Jest niezawodny jak śmierć i urząd podatkowy.

Była to pokrzepiająca informacja. Nie wiedziałem, co mnie czeka w Cladach Duillich, ale byłem pewny, że niełatwo mi będzie się tam czegokolwiek dowiedzieć. Świadomość, że nie jestem zupełnie sam i mam wsparcie kogoś, na kim można polegać, podnosiła mnie na duchu.

– Jeśli gdzieś przepadnę na tym kawałku skały i nie wrócę – powiedziałem – niech pan mnie nie szuka. Niech pan przyjmie za dobrą monetę to, co panu powiedzą, a potem popłynie do Ullapool i opowie wszystko bratu.

Spojrzał na mnie z zaciekawieniem. – Co, myśli pan tam zniknąć?

– Może się to zdarzyć..

Otarł twarz z wody. – Nie kapuję, o co w tym wszystkim chodzi, ale Archie wyraźnie pana polubił i mnie to wystarcza. Archie to mądry gość.

Szmat drogi trzeba było przepłynąć po zatoce Annat, żeby dotrzeć do skupiska wysp, wśród których znajdowała się Cladach Duillich. Fala była krótka i ostra, zanurzeniom towarzyszyło kolebanie na boki, co w sumie dawało efekt przypominający obrót śruby i fatalnie działało na żołądek. Robbie spojrzał na mnie i uśmiechnął się. – Pogadajmy trochę; przynajmniej nie będzie pan myślał o brzuchu. O, niech pan patrzy, tam jest Carn nan Sgeir, a za nią, w tyle, Eilean Dubh. Anglicy nazywają ją Czarną Wyspą.

– A gdzie jest Cladach Duillich?

– Za Eilean Dubh. Mamy jeszcze spory kawałek.

– Dlaczego oni tam nie mają łodzi? Gdybym mieszkał na wyspie, to przede wszystkim postarałbym się o łódź.

Robbie zaśmiał się. – Sam pan zobaczy, kiedy tam dobijemy, ale powiem panu, bo jak gadamy, to już gadajmy. No więc tam jest tylko małeńki skrawek brzegu, do którego można jako tako przybić i to też z dużym ryzykiem. Ani człowiek, ani łódź nie znajdzie tam żadnej osłony. Nie da się tam przycumować jak do pirsu w Ullapool. Nie ma tam gdzie zostawić łodzi. Wystarczy byle wiatr i już po niej. Rozbiłaby się o skały. Pan wie, że nie będę tam na pana czekał?

– Tak? To gdzie pan będzie?

– Będę dryfował gdzieś w pobliżu. Dla łodzi bardziej niebezpieczny jest ląd niż woda. To ląd zabija łodzie. Znajdę sobie zajęcie, będę łowił ryby.

Spojrzałem na wzburzoną wodę. – W taką pogodę?

– Dla mnie to normalna sprawa. Niech pan tylko powie, za ile czasu mam się stawić.

– Powiem panu od razu. Chcę być na wyspie równo dwie godziny.

– W porządku, będzie pan miał dwie godziny. A co do tej łodzi, której nie mają na Cladach Duillich, to było tak. – Ciągnął, żebym przestał myśleć o swoim zbuntowanym żołądku. – Zaraz po tym, jak tu przyjechali, mieli łódź, ale im się roztrzaskała, więc sprowadzili następną i ta też się roztrzaskała. Kiedy stracili trzecią łódź, zaczęli wreszcie coś kapować. Wykombinowali, że gdyby trzymali łódź na lądzie, to byłaby bezpieczna. Ale na Cladach Duillich nie ma plaży, więc cholernie trudno jest wyciągać łódź na ląd. Zainstalowali więc sobie żurawiki, takie jak na statku do szalup ratunkowych. Dzięki temu mogli zdejmować łódź z wody i wciągać ją prosto na klif. Ale którejś nocy przyszła fala, zabrała i łódź, i żurawiki. Potem już dali sobie spokój.

– Coś mi się wydaje, że to bardzo ponure miejsce.

– O, tak. Przy kiepskiej pogodzie. Ale dzisiaj tak źle nie będzie. – Spojrzałem na rozhuśtane fale i ciekaw byłem, co też Robbie nazywa złą pogodą. Pokazał przed siebie. – O, już widać Cladach Duillich.

Archie Ferguson bardzo trafnie opisał mi wyspę; był to w gruncie rzeczy tylko kawałek skały. Cały brzeg dookoła był urwisty – niezbyt wysoki, ale bardzo stromy. Woda w dole kotłowała się i pokrywała białą pianą. Wokół wyspy rozrzucone były skałki, które wyglądały jak czarne kły. Pomyślałem, że mieszkańcy Cladach Duillich słusznie zrobili rezygnując z łodzi.

Gdy podpłynęliśmy bliżej, Robbie wskazał mi wąski jar.

– Widzi pan ten jar? Przybijemy tam, gdzie on się kończy.

W ścianie urwistego brzegu widoczne było pęknięcie i w tym miejscu morze wydawało się jakby nieco spokojniejsze. Robbie szarpnął gwałtownie rumplem, żeby uniknąć kolizji ze skałką, którą minęliśmy z lewej burty o niepełny metr i natychmiast szarpnął w przeciwną stronę, żeby uniknąć zderzenia z drugą przeszkodą. Uśmiechnął się. – W takich okazjach trzeba się modlić, żeby silnik nie zrobił jakiegoś kawału. Niech pan idzie na sam dziób. Będzie pan musiał skoczyć, bo nie dam rady długo jej tam utrzymać.

Doczołgałem się jakoś na dziób i czekałem, aż wprowadzi łódź w głąb jaru. Teraz dopiero zobaczyłem, że jest on znacznie szerszy, niż się zdawało, a na jego końcu znajduje się betonowa platforma. Ton silnika zmienił się, gdy Robbie zmniejszył obroty. Dokonał rzeczy zdumiewającej, gdyż mimo rozkołysanego morza, mimo wirów i prądów doprowadził łódź do platformy tak precyzyjnie, że dziobem, prawie ją musnęła. Gdy krzyknął, skoczyłem, ale wylądowałem kiepsko, bo nogi ślizgały mi się po obrosniętym wodorostami betonie. Zanim się pozbierałem, łódź zdążyła już odbić o jakieś trzydzieści metrów i coraz bardziej się oddalała. Robbie pomachał do mnie, a ja mu odpowiedziałem; potem skupił się już tylko na omijaniu skałek.

Rozejrzałem się po okolicy. Przede wszystkim rzuciła mi się w oczy tablica, o której mówił Archie Ferguson. Była już wyblakła i zniszczona, farba się na niej łuszczyła, ale napis wciąż jeszcze był czytelny.

Brak było podpisu, więc nie wiadomo było, kto zakazuje wstępu.

Od platformy w górę jaru wiodła ścieżka. Prowadziła dość stromo w górę na porośniętą rzadką trawą równinę, na środku której wznosiło się kilka budynków.

Były to niskie budowle z betonu, przypominające bunkry, być może dlatego, że nie posiadały okien. Z tego, co słyszałem o Cladlach Duillich wynikało, że tylko takie budynki miały szansę tam przetrwać.

Nie mogłem już dłużej przyglądać się okolicy, ponieważ w moją stronę biegł jakiś człowiek. Zbliżywszy się, zwolnił i zapytał ostro: – Nie umie pan czytać?

– Umie.

– No, to wynoś się pan!

– Cudów nie ma, kochany. Chodzenie po wodzie wyszło z mody. Łódź odpłynęła.

– Nie może pan tu zostać. Czego pan chce?

– Chcę się zobaczyć z doktorem Carterem.

Wydawał się tym lekko zaskoczony, zastanawiał się przez moment, co dało mi czas, żeby mu się trochę przyjrzeć. Był wysoki, miał twarde spojrzenie i kanciastą szczękę. – W jakiej sprawie chce się pan widzieć z doktorem Carterem? – zapytał wreszcie.

– Jeśli doktor Carter zechce, żeby pan wiedział, to z pewnością pana poinformuje – powiedziałem uprzejmie.

Nie spodobało mu się to, ale nic nie mógł zrobić. – Kim pan jest?

– Powtórzę to, co powiedziałem przed chwilą. To nie pański interes. Chodźmy do Cartera.

– Nie – stwierdził krótko. – Pan tu zostanie.

Obrzuciłem go lodowatym spojrzeniem. – Mowy nie ma. Jestem przemoczony i chcę się wysuszyć. – Skinąłem głową w stronę budynków. – Te budynki są z wyglądu równie niegościnne jak pan, ale założę się, że w środku jest ciepło i sucho. Chodźmy do Cartera.

Był w kłopotcie, bo nie wiedział, kim jestem ani jaką ewentualnie władzę reprezentuję, a ja zachowywałem się tak, jakbym miał pełne prawo tam być, i stawiałem żądania.

Postąpił tak, jak się spodziewałem. – Dobra, idziemy do Cartera – powiedział. – I nigdzie więcej.



Idąc w stronę budynków rozglądałem się po wyspie. Była niewielka, miała z pięćset pięćdziesiąt metrów długości i ze czterysta szerokości. Na kamiennym podłożu prawie nic nie rośło. Z traw zakorzeniła się tu jedynie odporna na sól piaskownica. Rosła tylko w zagłębieniach skalnych, gdzie zebrała się odrobina marnej ziemi. Nawet pojawiające się gdzieniegdzie mlecze były rachityczne i zdegenerowane. Natomiast ptaki najwyraźniej darzyły wyspę sympatią; skały były aż białe od ich odchodów, a gdy szliśmy, przelatowały z wrzaskiem nad naszymi głowami.

Kompleks składał się z trzech budynków, które jak zauważyłem, były połączone korytarzami. Obok, na płaskim kawałku terenu, znajdowało się lądowisko dla helikoptera; puste. Mój przewodnik zaprowadził mnie za róg jednego z budynków, wprowadził przez jedne drzwi i kazał czekać, a następnie przeprowadził przez drugie drzwi. Obejrzałem się i stwierdziłem, że przeszliśmy przez służbę powietrzną.

Zaraz za drzwiami skręciliśmy w lewo i weszliśmy do pokoju, w którym siedział jakiś mężczyzna w białym kitlu, zajęty pisaniem w notatniku. Miał szczupłą twarz, łysiejącą czaszkę i nosił dwuogniskowe okulary. Podniósł wzrok i skrzywił się na mój widok, a potem zwrócił się do mojego przewodnika: – Co się dzieje Max?

– Natknąłem się na niego, jak łaził po terenie. Mówi, że chce się z panem widzieć.

Carter zwrócił się teraz w moją stronę. – Kim pan jest?

Spojrzałem z ukosa na Maxa i powiedziałem spokojnie: – Mogę to ujawnić, panie doktorze, ale tylko panu.

Carter pociągnął nosem. – Bawimy się w płaszcz i szpadę, co? Trudno, Max, zajmę się tym.

Max kiwnął głową i wyszedł, a ja zdjąłem z siebie nieprzemakalną kurtkę.

– Mam nadzieję, że pan nie ma nic przeciwko temu, że się rozbiorę – powiedziałem zaczynając ściągać z siebie nieprzemakalne spodnie. – Tu w pomieszczeniu jest mi w tym stanowczo za gorąco.

Carter postukał piórem w blat biurka. – Dobra, kim pan jest i czego pan chce?

Odrzuciłem na bok spodnie i usiadłem. – Nazywam się Malcolm Jaggard i jestem tu, żeby się zobaczyć z doktor Ashton.

– To nie pan dzwonił do mnie wczoraj wieczorem? Powiedziałem panu przecież, że jej tu nie ma. Pojechała na ląd.

– Dobrze wiem, co mi pan powiedział – odparłem spokojnym tonem. – Poinformował mnie pan, że doktor Ashton wróci dzisiaj rano, więc przyjechałem się z nią zobaczyć.

Zrobił niewyraźny gest. – Przecież pan widzi, jaką mamy pogodę. Przy takiej pogodzie nie ma mowy, żeby przyjechała.

– Dlaczego nie? Ja przyjechałem.

– Ale ona nie. Nadal jest w Ullapool.

Pokręciłem głową. – Nie ma jej w Ullapool, i wczoraj wieczorem też jej tam nie było.

Skrzywił się. – Chwileczkę, kiedy zapytałem wczoraj, skąd pan dzwoni, powiedział mi pan, że z Londynu.

– Naprawdę tak powiedziałem? To pewnie z przyzwyczajenia – odparłem obojętnie. – A to nie wszystko jedno, skąd dzwoniłem?

– Nnno... nie. – Carter wyprostował się. – Nie powinien pan tu być. Ta placówka, widzi pan, jest – że tak powiem – raczej tajna. Gdyby pańska obecność tutaj wyszła na jaw, mógłby pan mieć spore kłopoty. Wobec tego, pan rozumie, muszę pana prosić, żeby pan opuścił wyspę.

– Bardzo chętnie, tylko najpierw muszę się zobaczyć z Penny Ashton. Powinna tu być. Zresztą to niezwykle zabawne. Ja jestem w miejscu, gdzie być nie powinienem, a jej nie ma tam, gdzie być powinna. I jak mi pan to wytłumaczy?

– Nie muszę panu niczego tłumaczyć.

– Właśnie, że tak. Jeśli Penny się szybko nie znajdzie, to będzie mi pan musiał, panie doktorze, bardzo dużo wytłumaczyć. Jak ona się dostała do Ullapool?

– Łodzią, rzecz jasna.

– Przecież nie macie tu łodzi. Do kontaktu z lądem używacie tylko helikoptera.

Oblizął wargi. – Coś mi się wydaje, że wykazuje pan niezdrowe zainteresowanie tą placówką. Ostrzegam pana, że to może być niebezpieczne.

– Grozi mi pan, doktorze?

– Zabrania się w celach mogących zaszkodzić bezpieczeństwu państwa zbliżać się do tajnych obiektów, wchodzić do nich lub...

– Niech mi pan nie cytuje „Ustawy o tajemnicy państwowej” – warknąłem. – Prawdopodobnie znam ją znacznie lepiej niż pan.

– Możemy pana zaarrestować – powiedział. – Nie musimy mieć nakazu.

– Jak na zwykłego naukowca doskonale pan zna „Ustawę o tajemnicy państwowej” – zauważyłem. – Więc na pewno pan pamięta, że sprawę aresztowania mnie trzeba automatycznie przekazać do Prokuratora Generalnego. Wątpię, żeby pańscy szefowie byli z tego zadowoleni, zwłaszcza że znikła gdzieś Penny Ashton. Już panu mówiłem, panie doktorze, że będzie się pan musiał z bardzo wielu

rzeczy wytłumaczyć.

– Ale nie przed panem – powiedział i sięgnął po słuchawkę telefonu.

– Mam nadzieję, że dzwoni pan po doktor Ashton.

Usłyszałem za sobą cichy głos, w którym pobrzmiewało lekkie rozbawienie: – Doktor Carter nie może jej tu sprowadzić. – Odwróciłem głowę i zobaczyłem w drzwiach Cregara w towarzystwie Maxa. Cregar zwrócił się teraz do Cartera: – Panie doktorze, nich mi pan łaskawie użyczy na chwilę swego gabinetu. Max, zajmij się panem Jaggardem.

Carter z wyraźną ulgą opuścił pokój. Max podszedł do mnie i z dużą wprawą, szybko mnie przeszukał. – Nie ma broni.

– Nie? – zdziwił się Cregar. – Nie szkodzi, w razie potrzeby możemy to naprawić. Max, co się może przytrafić osobnikowi, który z bronią w ręku włamuje się do placówki rządowej?

– Może zostać postrzelony – odpowiedział Max obojętnym tonem.

– Ano właśnie. Ale to by pociągnęło za sobą oficjalne dochodzenie, które niekoniecznie byłoby pożądane. Masz jakieś inne sugestie?

– Brzegi są tu urwiste – odparł Max – a morze jest bardzo rozległe.

Nie powiem, żeby mi ta konwersacja szczególnie przypadła do gustu. – Gdzie jest Penny Ashton? – zapytałem.

– Tu, na miejscu. Miał pan rację. Wkrótce ją pan zobaczy. – Cregar machnął rękami, jakby usuwał na bok jakąś mało istotną sprawę. – Straszny z pana uparciuch. Chcąc nie chcąc, podziwiam pana. Przydałoby mi się kilku takich ludzi. Ponieważ jednak jest, jak jest, zastanawiam się, co mam z panem zrobić.

– Niech pan nie powiększa listy swoich występków – ostrzegłem go. – Każdy cios, który pan zada mnie, to cios zadany samemu sobie. Odkryliśmy pański związek z Bensonem. Nie zdziwiłbym się, gdyby minister już był o tym poinformowany.

Kąciki ust opadły mu. – Jak mógł pan odkryć moje powiązania z Bensonem? Jakie pan może mieć dowody?

– Mam podpisane przez pana pismo, datowane 4 stycznia 1947 roku, które miał przy sobie Benson.

– Pismo? – spytał Cregar zupełnie nie rozumiejąc, o co chodzi. Usiłował spojrzeć w przeszłość i nagle olśniło go. – Czy to znaczy, że Benson przez trzydzieści lat nosił przy sobie to cholerne pismo?

– Pewnie zapomniał o nim, tak samo jak pan – stwierdziłem. – Nosił je w portfelu pod podszewką.

– Brązowy portfel z cielejącej skóry z czerwoną jedwabną podszewką? – Skinąłem głową. Cregar



jęknał. – Podarowałem mu ten portfel trzydzieści lat temu. Wygląda na to, że zaplątałem się we własne sieci.

Pochylił głowę i przyglądał się badawczo piegom na rękach. – Gdzie jest to pismo? – zapytał bezbarwnym głosem.

– Chodzi panu o oryginał czy o dwadzieścia fotokopii, które Ogilvie zdążył już sporządzić?

– Rozumiem – wyszeptał i podniósł głowę. – Jakie były pańskie pierwsze wnioski po zapoznaniu się z treścią tego pisma?

– Wiedziałem o pańskich powiązaniach z Ashtonem. Wiedziałem, że to pan zorganizował jego przerzut z Rosji. Z pisma natomiast dowiedziałem się, że był pan związany także i z Bensonem. Pomyślałem o różnych dziwnych faktach i wydarzeniach, na przykład: dlaczego kamerdyner nosił broń i dlaczego na tym zebraniu po moim powrocie ze Szwecji usiłował pan zatuszować fakt, że Benson zastrzelił Ashtona. Trudno mi było uwierzyć, że po trzydziestu latach nadal był pańskim podwładnym, ale wreszcie musiałem uznać, że to prawda.

Cregar rozsiadł się wygodniej w fotelu i założył nogę na nogę. – Benson był kiedyś znakomity. Zanim Niemcy się do niego dobrali. – Zrobił pauzę. – Oczywiście nie nazywał się wtedy Benson; nazywał się Jimmy Carlsile i podczas wojny pracował ze mną w wywiadzie. Ale żył i umarł jako Benson, więc zostanmy przy tym nazwisku. W czterdziestym czwartym wpadł w ręce Gestapo i trafił do Sachsenhausen, gdzie przebywał do końca wojny. To tam złamano mu nos i zdeformowano twarz. Bito go pałkami. Można chyba powiedzieć, że tymi pałkami wybili mu rozum z głowy, bo gdy wrócił, nie był już tym samym człowiekiem.

Pochylił się do przodu i oparł łokcie na biurku. – Po wojnie znalazł się w bardzo ciężkim położeniu. Nie miał nikogo z rodziny – ojciec, matka i siostra zginęli podczas nalotu. Nie miał pieniędzy, bo dostawał tylko rentę inwalidzką. Nie był w pełni sprawny umysłowo, więc miał ograniczone możliwości zarobkowania. Po swoich przeżyciach nie nadawał się już do pracy u nas, ale coś mu się od nas należało. W 1947 zajmowałem w firmie już takie stanowisko, że mogłem mu jakoś pomóc, i zaproponowałem mu, żeby został cieniem Czeluskina, czyli Ashtona. Nie ulega kwestii, że była to synekura, ale Benson był bezgranicznie, rozczulająco wdzięczny. Widzi pan, dla niego to oznaczało, że nie jest skończony zawodowo.

Cregar wyjął paczkę papierosów. – Interesuje pana ta stara historia? – Wyciągnął w moją stronę paczkę z papierosami.

Wziąłem jednego. – Ogromnie – zapewniłem go.

– Doskonale. No, więc zrobiliśmy z niego Bersona w tym samym czasie, kiedy z Czeluskina zrobiliśmy Ashtona, i odczekaliśmy trochę. Gdy Ashton rozkręcił interesy, Benson dostał pracę u niego w biurze, a potem został jego kamerdynerem i człowiekiem do wszystkiego.

– I Ashton wiedział, kim on jest?

– O, tak. Benson był ceną, jaką Ashton płacił za wolność. Wiedziałem, że człowiek o takim

potencjale umysłowym długo nie wytrzyma i nie ograniczy się do opracowywania nowych technologii. Chciałem mieć kontrolę nad tym, co robi. – Uśmiechnął się. – Benson był świetnie urządzony. Otrzymywał od nas pensję i Ashton też mu płacił.

Pochylił się do przodu i pstryknął mi pod nosem złotą zapalniczką. – Gdy przeprowadzono reorganizację firmy i Ashton przeszedł pod opiekę Ogilvie’ego, nie wspomniałem o Bensonie. Co więcej, wypłacałem mu pensję z własnej kieszeni. Wiele mnie to nie kosztowało. Pensja pozostała nie zmieniona, a dewaluacja funta sprawiła, że miałem Bensaona za rewelacyjnie niską cenę. Była to niebywale opłacalna inwestycja. Gdyby nie pan, zaczęłaby się właśnie spłacać.

– Wiedział pan, że Ashton zajął się genetyką? – zapytałem.

– Oczywiście. Benson zorientował się natychmiast. Jego obowiązkiem było wiedzieć, co Ashton robi o każdej porze dnia i nocy. Ponieważ mieszkał z nim pod jednym dachem, było to niezbyt trudne zadanie. To był dla mnie wyjątkowo szczęśliwy traf, że Ashton zainteresował się genetyką, gdyż tak się złożyło, że po reorganizacji moja działalność związana była z biologią. – Machnął ręką. – Zresztą to pan już i tak wie.

– Ogilvie mi powiedział.

– Wygląda na to, że Ogilvie stanowczo za dużo panu mówi. Z różnych pańskich napomknień domyślam się, że umożliwił panu wgląd w akta ze strefy czarnej. Bardzo to nieładnie z jego strony. Jeszcze tego pożałuje. Zdołałem zablokować w komputerze wszystko, co dotyczy Bensaona, ale widać, że to nie wystarczyło. – Urwał raptownie i wbił we mnie wzrok. – Coś mi się wydaje, że nawet ja za dużo panu mówię. Ma pan ujmujący sposób bycia.

– Jestem dobrym słuchaczem.

– A ja z wiekiem staję się gadatliwy. W naszym zawodzie to bardzo poważna wada. – Spojrzał z niesmakiem na swego wypalonego do połowy papierosa, zgasił go i położył ręce płasko na biurku. – Zupełnie nie wiem, jak się pana pozbyć, młodzieńcze. Pańska informacja, że Ogilvie jest w posiadaniu pisma, o którym mówiliśmy, stawia mnie w niezwykle trudnym położeniu.

– O, tak – przyznałem mu rację. – Ogilvie może pana teraz zniszczyć dokumentnie. Co więcej, podejrzewam, że pan minister nie będzie szczególnie zadowolony. Wydaje mi się, że załatwił pan sobie ekspresowe przejście na emeryturę.

– Bardzo zwięźle pan to ujął. Niemniej znajdę jakieś wyjście z tej sytuacji. Nieraz w życiu pokonywałem trudności i nie widzę, dlaczego tym razem miałoby mi się nie udać. Wystarczy tylko poznać ludzkie słabości i obmyślić odpowiednią metodę postępowania. – Klasnął w dłonie. – I tym właśnie muszę się teraz zająć. Max, ulokuj go w jakimś bezpiecznym miejscu.

Zignorowałem rękę, która spoczęła na moim ramieniu. – A co z Penny Ashton?

– Zobaczy się pan z nią w odpowiednim czasie – oznajmił Cregar lodowato. – Oczywiście jeśli uznam to za stosowne.

Ogarnęła mnie furia i chciałem się na niego rzucić, ale nie mogłem zlekceważyć coraz silniejszego

uścisku na moim ramieniu. Max pochylił się nade mną. – Tylko bez numerów – poradził – mam rewolwer. Nie widzi go pan, ale zaręczam, że go mam.

Wstałem więc z krzesła i poszedłem grzecznie tam, gdzie mi kazał. Wyprowadził mnie z gabinetu i kazał iść długim korytarzem. Ponieważ budynek był pozbawiony okien, czułem się jak w łodzi podwodnej; absolutną ciszę i spokój zakłócały tylko drgania powietrza i odległy szum generatora. Na końcu korytarza za szklaną przegrodą dostrzegłem ruch: ktoś przeszedł z jednej strony na drugą. Ubrany był w okrywający całe ciało kombinezon z kapturem.

Nie zdołałem nic więcej zobaczyć, ponieważ Max zatrzymał się i otworzył ciężkie drzwi: – Tutaj! – burknął i pchnął mnie lekko. Wszedłem więc do środka, a on zatrzaskał za mną drzwi, zostawiając mnie w zupełnych ciemnościach, gdyż nie uznał za stosowne zapalić światła. Zacząłem od zwiedzania swojego więzienia i doszedłem do wniosku, że jest to nie używana chłodnia. Ściany były grube i mocne, podobnie zresztą jak i drzwi. Bardzo szybko więc pojąłem, że istnieje tylko jedna droga wyjścia – przez drzwi, i że muszę czekać, aż ktoś je otworzy. Wobec tego siadłem sobie w kącie na podłodze i zacząłem rozmyślać nad całą sytuacją.

Wyglądało na to, że dobrze zrobiłem mówiąc Cregarowi o piśmie. Do tego momentu interesowało go przede wszystkim jak, bez narażania siebie, wyprawić mnie na tamten świat. Informując go, że Ogilvie jest w posiadaniu jego pisma, dawałem mu inny temat do przemyśleń. Ale łajdak z niego wylazł!

Nie mam pojęcia, czym się kierują tacy ludzie jak Cregar, ale najwyraźniej jest ich na świecie niemało, tak jak niemało jest Carterów gotowych do współpracy z nimi. Przypuszczam, że gdzieś żyje sobie chemik, który z lubością zmieszał pochodną ropy naftowej z pochodną oleju palmowego, by stworzyć galaretowatą masę znaną jako napalm. Wymagało to znacznego wysiłku intelektualnego oraz solidnego przygotowania technicznego. Doprawdy nie mogę pojąć, dlaczego ktokolwiek oddaje swój umysł takiej sprawie. Zwierzchnikiem owego naukowca był jakiś amerykański Cregar, którego motywy postępowania są dla mnie równie niepojęte, a nimi obydwoma kierują politycy, ponoszący ostateczną odpowiedzialność. Ich motywy są jasne: zagarnąć jak najwięcej władzy. Nie pojmuję tylko jak to się dzieje, że znajdują tylu chętnych do współpracy.

Doprawdy, nie wiadomo, kogo obarczać winą. Czy Lumsdenów, którzy wiedzą, co się dzieje, ale wolą nie patrzeć i nie angażować się, czy też nas, którzy nie wiemy, co się dzieje, ale nic nie robimy, żeby się dowiedzieć? Czasem odnoszę wrażenie, że świat jest jednym wielkim mrowiskiem, pełnym owadów pracowicie zajętych produkowaniem środków owadobójczych.

Długo mnie trzymano w ciemnym pokoju. Jedyne źródłem światła, jakie miałem, była fosforyzująca tarcza mojego zegarka, dzięki któremu wiedziałem, ile czasu minęło. Ciemność mnie osaczała i przygnębiała, zacząłem odczuwać klaustrofobię i ogarnęły mnie jakieś dziwne lęki. Wstałem i zacząłem chodzić po pokoju, trzymając się przy ścianie. Całkowitą ciszę zakłócał tylko szelest moich ruchów. Dopadł mnie nowy lęk. A co będzie, jeśli wszyscy opuścili Cladach Duillich, jeśli ewakuowano wyspę? Pozostałbym w tym pokoju na zawsze, żywcem pogrzebany!

Przestałem chodzić i znów siadłem w kącie. Całkiem możliwe, że przysnąłem; nie pamiętam. Czas, który tam spędziłem, dziwnie zatarł mi się w pamięci. Jasność umysłu wróciła mi jednak natychmiast,

kiedy drzwi się otworzyły i do wnętrza wpadło oślepiająco ostre światło. Przysłoniłem oczy i dostrzegłem w progu Cregar. Cmoknął z dezaprobatą. – Nie zostawiłeś mi światła, Max.

– Pewnie zapomniałem – odparł Max obojętnym tonem.

Światło, które wpadało z korytarza, pochodziło z normalnych jarzeniówek umieszczonych na suficie. – Żeby cię szlag trafił! – powiedziałem do Maxa.

Max stał o krok za Cregar i uniósł trzymany w rękę pistolet. – Spokojnie – odezwał się Cregar. – Nie zrobił tego umyślnie. – Zobaczył, że patrzę na pistolet. – Rozumie pan, to tak na wszelki wypadek, gdyby strzeliło panu do głowy zrobić jakieś głupstwo. Chciał się pan zobaczyć z dziewczyną, prawda? No, to proszę bardzo. Chodźmy.

Szliśmy obok siebie korytarzem, a Max pilnował mnie z tyłu. – Nie będzie pan miał okazji poznać żadnego z naszych pracowników – poinformował mnie Cregar tonem towarzyskiej konwersacji – ponieważ kazałem wszystkim opuścić ten budynek. To naukowcy i na widok broni palnej wpadają w popłoch.

Pomiąłem tę uwagę milczeniem.

Przeszliśmy jeszcze kilka kroków. – Chyba już wiem, jak pomieszać szyki Ogilvie’emu – oznajmił Cregar. – Z nim nie będę miał problemu. Pozostaje mi tylko pańska osoba. Zobaczy się pan teraz z doktor Ashton, a potem porozmawiamy. – Zatrzymał się przed jakimiś drzwiami. – To tutaj – oświadczył i puścił mnie przodem.

Był to bardzo dziwny pokój, gdyż jedną ze ścian niemal w całości zajmowało okno. Nie wychodziło ono jednak na dwór, lecz na inny pokój. Początkowo nie zdawałem sobie sprawy, na co właściwie patrzę, ale Cregar pokazał na łóżko stojące w pomieszczeniu za szybą. – Proszę bardzo, ma pan swoją doktor Ashton.

W łóżku leżała Penny. Zdawało mi się, że śpi. Twarz miała bladą i wymizerowaną, wyglądała jak staruszka. Łóżko obstawione było różnymi aparatami medycznymi, wśród których rozpoznałem dwie kroplówki; w jednej była chyba krew. – Na miłość boską, co się stało? – zapytałem.

– Mieliśmy tu... hm... w zeszłym tygodniu wypadek – wyjaśnił niemal przepaszająco Cregar. – Doktor Ashton padła jego ofiarą. Obawiam się, że jest dość poważnie chora. Od dwóch dni nie odzyskała świadomości. – Wziął do ręki mikrofon i włączył go przyciskiem. – Doktor Ashton, słyszy mnie pani?

Z głośnika w sąsiednim pokoju dobiegł jego wzmocniony i zniekształcony głos. Penny nawet nie drgnęła.

– Co jej jest? Co to za choroba? – zapytałem przez zaciśnięte zęby.

– Trudno powiedzieć – odrzekł Cregar. – Dotychczas nikt na to nie chorował. To zupełnie nowa choroba. Carter usiłuje ją zwalczyć, ale na razie bez powodzenia.

Ogarnął mnie jednocześnie strach i gniew. Strach o Penny i gniew na Cregar. – To jakieś

paskudztwo, które tu wyhodowaliście, tak? Wymknęło się wam z laboratorium, bo pan poskapił pieniędzy na zabezpieczenia klasy P4, których ona się domagała.

– Widzę, że doktor Ashton nie potrafiła utrzymać języka za zębami. Oczywiście, nie mamy tutaj szpitala. – Cregar pokazał na szklaną ścianę. – To jedno z naszych laboratoriów. Musieliśmy umieścić ją w jakimś bezpiecznym miejscu.

– Bezpečnym, ale nie dla niej – stwierdziłem z goryczą – tylko dla was.

– Naturalnie – potwierdził Cregar. – Nie wolno pozwolić, żeby ta choroba się rozprzestrzeniła. Carter uważa, że to niezwykle zaraźliwe.

– Czy Carter jest doktorem medycyny?

– Doktorat ma z nauk biologicznych, ale to człowiek wszechstronny i bardzo zdolny. Doktor Ashton ma tu doskonałą opiekę. Jak pan widzi, przetaczamy jej krew, podajemy dożylnie glukozę.

Odwróciłem się do niego. – Powinna być w szpitalu! Te dyletanckie zabiegi nic nie dają i pan doskonale o tym wie. Jeśli ona umrze, to będzie przez pana, będzie pan mordercą, tak samo jak Carter i wszyscy inni w to zamieszani.

– Zapewne ma pan rację – stwierdził Cregar obojętnie. – To znaczy, jeśli idzie o szpital. Ale widzi pan, dość trudno byłoby umieścić ją w szpitalu i nie narazić się na złamanie tajemnicy służbowej. – Mówił tonem chłodnym i rzeczowym. – Szczycę się tym, że potrafię rozwiązywać najtrudniejsze problemy, ale z tym nie umiem sobie poradzić.

– Mam gdzieś tajemnicę!

– W ustach człowieka pańskiego zawodu brzmi to niemal jak herezja. – I Cregar cofnął się o krok na widok mojej miny i skinął na Maxa, który ostrzegawczo uniósł pistolet. – Zapewniamy jej możliwie najlepszą opiekę. Doktor Carter jest niezwykle pilny i skrupulatny.

– Pan świetnie wie, że Carter robi sobie z niej królika doświadczalnego. Trzeba ją umieścić w szpitalu – najlepiej w Porton. Tam się przynajmniej znają na patogenach.

– Trudno w pańskiej sytuacji stawiać żądania – powiedział. – Idziemy. – Odwrócił się i wyszedł.

Spojrzałem po raz ostatni na Penny, wyszedłem, a Max deptał mi po piętach. Przeszliśmy kawałek korytarzem, Cregar otworzył jakieś drzwi po jego przeciwnej stronie. Weszliśmy do małego przedpokoju. Cregar zczekał, aż Max do nas dołączy i zamknął za nami drzwi. – Wbrew temu, czego się pan nasłuchał, mamy tutaj różne zabezpieczenia – oświadczył. – Jesteśmy właśnie w służbie powietrznej. W laboratorium, które znajduje się za tymi drzwiami, utrzymuje się obniżone ciśnienie. Wie pan dlaczego?

– Na wypadek jakiegoś przecieku; powietrze zawsze jest tam zasysane, a nie wypychane.

Kiwnął głową z aprobatą, jakbym pomyślnie przeszedł egzamin, i otworzył drugie drzwi. Bębenki w uszach dały mi znać o różnicy ciśnienia. – To laboratorium doktora Cartera. Chciałbym je panu

pokazać.

– Dlaczego?

– Zobacz pan. – Zaczął mnie oprowadzać, przy czym zachowywał się dokładnie jak dyrektor wzorcowej fabryki, który pokazuje zwiedzającym tylko to, czym się chce pochwalić. – To jest wirówka. Jak pan widzi, umieszczona jest w hermetycznej szafce. Chodzi o to, żeby podczas pracy wirówki nic się nie mogło przedostać do atmosfery. Żeby nic się tu nie rozpyliło, a w powietrzu nie zaczęły się unosić mikroby.

Przeszliśmy dalej i Cregar wskazał mi rząd oszklonych gablot stojących wzdłuż całej jednej ściany. – To nasze gabloty inkubacyjne. W każdej z nich trzymamy po jednej płytce Petriego z hodowlą. Każda jest więc odizolowana. Stąd nic się nie wymknie.

– Coś jednak się wymknęło.

Zignorował to. – Każdą z gablot można stąd wynieść, jej zawartość można przetransportować, gdzie tylko się zechce, w taki sposób, że nie wejdzie ona w kontakt nawet z atmosferą laboratorium.

Zajrzałem do jednej z gablot; na płytce zobaczyłem okrągły posiew. – Co to za hodowla?

– Przypuszczam, że *Escherichia coli*; to ulubiona bakteria Cartera.

– Szczep osłabiony genetycznie.

Cregar uniósł brwi. – Jak na laika jest pan dobrze zorientowany. Ale ja nie wiem, nie jestem ekspertem. To sprawa Cartera. Odwróciłem się do niego. – O co tu chodzi?

– Usiłuję panu pokazać, że stosujemy wszelkie możliwe środki ostrożności. To, co się przytrafiło doktor Ashton, było czystym przypadkiem – jednym na milion. Ogromnie mi zależy, żeby pan w to uwierzył.

– Gdyby pan zastosował się do jej rad, nigdy by do tego nie doszło, ale wierzę panu – powiedziałem. – Jeśli chce pan wiedzieć, nie posądzam pana o to, że pan to zrobił umyślnie. Tylko dlaczego tak panu na tym zależy?

– Mogę dojść do pewnego kompromisu z Ogilviem. Utraciłbym wprawdzie część przewagi, jaką mam, ale tylko część. No, i pozostaje mi jeszcze pan.

– Rozmawiał pan z Ogilviem?

– Tak.

Zrobiło mi się niedobrze. Jeśli Cregar zdołał skorumpować Ogilvie'ego, to już nigdy w życiu nie chcę z nim współpracować. Zapytałem obojętnym tonem: – Właśnie, co ze mną?

– Ano właśnie to. Mógłbym się dogadać z Ogilviem, ale nic by z tego nie wyszło, gdyby panu się coś stało. Ogilvie zawsze był zbyt wrażliwy, nie znosił przemocy. Oznacza to, że przynajmniej przez

jakiś czas będzie mi pan potrzebny. Jak pan rozumie, nastęrcza mi to pewien problem.

– Jak mi zamknąć usta, nie zabijając mnie.

– O, właśnie. Jesteśmy bardzo do siebie podobni; obaj błyskawicznie docieramy do sedna sprawy. Kiedy pojawił się pan w sprawie Ashtona, od razu przeprowadziłem na pański temat dokładny wywiad. Ku mojemu zdumieniu, nie było na pana żadnego haka, nie miał pan na swoim koncie żadnych grzeszków, które dałoby się wykorzystać. Wygląda na to, że należy pan do niesłychanie rzadkiego dziś gatunku ludzi uczciwych.

– Nie chcę pańskich komplementów!

– To nie ma być komplement. Tylko mi pan życie utrudnia. Chciałem mieć coś na pana, coś, czym mógłbym pana szantażować. I nic takiego nie mam. Muszę więc znaleźć jakiś inny sposób, żeby zamknąć panu usta. I myślę, że już coś mam.

– Co takiego?

– Będzie to dla mnie oznaczało rezygnację z części przewagi, jaką przez lata zdobyłem, ale i tak jeszcze mi sporo zostanie. Ceną pańskiego milczenia będzie ta młoda kobieta w sąsiednim laboratorium.

Spojrzałem na niego z obrzydzeniem. Uprzedził mnie, że swoje rozwiązanie oprze na analizie ludzkich słabości, i moją słabość rozpoznał bez trudu.

– Wystarczy, żeby pan wyraził zgodę – powiedział – i natychmiast, zachowując wszelkie możliwe środki ostrożności, przetransportujemy pannę Ashton do szpitala. Kto wie, może pan ma rację, że Porton byłoby najlepsze. Mógłbym to załatwić.

– A jaką pan może mieć gwarancję, że nie zacznę mówić, gdy panna Ashton wyzdrowieje? Ja nie potrafię wymyślić takiej gwarancji, ale jestem przekonany, że pan już ma jakiś pomysł.

– Nie myli się pan. W gabinecie Cartera leży już odpowiedni dokument i chcę, żeby go pan podpisał. Muszę dodać, że jest to dokument niesłychanie starannie zredagowany; w sporządzenie go zaangażowałem całą swoją pomysłowość. Jest to swego rodzaju majstersztyk.

– A czego konkretnie dotyczy?

– Zobacz pan. Więc jak? Zgadza się pan?

– Najpierw muszę się z nim zapoznać.

Cregar uśmiechnął się. – Naturalnie, może się pan z nim zapoznać, ale myślę, że i tak go pan podpisze. W końcu to tak niewiele: jeden podpis za życie pańskiej przyszłej żony.

– Brzydzą się panem!

Rozległ się dzwonek telefonu; zadziwiająco głośno. Cregar skrzywił się. – Odbierz! – rozkazał

Maxowi i wyciągnął rękę w jego stronę. – Daj mi pistolet. Jeszcze mu nie ufam.

Max podał mu broń i przeszedł na drugi koniec laboratorium. – Jest mi dokładnie obojętne, co pan sobie o mnie myśli – powiedział Cregar – bylebym swoją sprawę załatwił.

– Więc, co mam podpisać? Proszę mi to pokazać.

– Zaczekamy na Maxa.

Max rozmawiał monosylabami, przyciszonym głosem. Odwiesił słuchawkę i wrócił do nas. – Carter robi w portki. Mówi, że mamy jakieś tłumy gości. Ze dwadzieścia łodzi przyplłynęło.

Cregar zmarszczył brwi. – Do diabła! Kto to może być?

– Jego zdaniem to chyba miejscowi rybacy.

– Cholerne szkockie chamy! Max, idź tam i przegoń ich. Pogroź im ustawą o tajemnicy państwowej. Zresztą, rób co chcesz, byle się ich pozbyć. W razie czego postrasż ich, że wezwiesz policję.

– Mam ich tylko postraszyć czy naprawdę wezwać gliny?

– Jeśli uznasz, że sytuacja tego wymaga, to tak.

Max kiwnął głową w moją stronę. – Nie wiem, czy to najlepszy pomysł.

– Nie przejmuj się Jaggardem – uspokoił go Cregar. – Doszliśmy już do porozumienia. – Po wyjściu Maxa zwrócił się do mnie. – Czy to pańska sprawka?

– Jakżebym mógł wzniecić powstanie ludowe? – zapytałem. – Pewnie zwietrzyli, co się tu dzieje i postanowili nie dopuścić do powtórzenia historii z Gruinard.

– Głupie chamy – wymamrotał. – Już Max się z nimi rozprawi.

– Chcę, żeby Penny możliwie najprędzej znalazła się w szpitalu – powiedziałem. – Jak się załatwia transport na ląd?

– Wystarczy zadzwonić i po dwóch godzinach przylatuje helikopter.

– Więc niech pan dzwoni, i to natychmiast.

Wbił wzrok w podłogę i pocierając szczękę zaczął się nad tym zastanawiać. W tym właśnie momencie zadałem mu cios w brzuch, aż go zatkało. Pistolet wystrzelił, kula trafiła w ścianę, obla się i rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Cregar zaczął unosić rękę z pistoletem, ale chwyciłem go za nadgarstek i kantem dłoni rąbnąłem w kark; zwalił się na podłogę.

Gdy z największym trudem zaczął się podnosić, pistolet był już w moim ręku. Cregar spojrzał na niego, a potem uniósł wzrok i popatrzył mi w oczy.



– I do czego to prowadzi? Jak pan myśli?

– Nie wiem. W każdym razie pana z pewnością zaprowadzi do więzienia.

– Głupi romantyk z pana – powiedział.

– Jak się dzwoni po ten helikopter?

Pokręcił głową. – Nie ma pan pojęcia o tym, jak funkcjonuje władza. Nigdy mnie nie wsadzą, nie ma obawy. Za to panu tak dadzą w kość, że będzie pan przeklinał dzień, w którym pan usłyszał o Ashtonie albo o mnie.

– Nie lubię krzywdzić starców – powiedziałem – ale zatłukę pana, jeśli mi pan natychmiast nie powie, jak się dzwoni po helikopter.

Cregar odwrócił głowę i zamarł, a potem wydał z siebie dziwny, bełkotliwy krzyk. – O, Boże! Co pan narobił! – Drżącą ręką pokazał na ścianę.

Spojrzałem, uważając jednocześnie, żeby cały czas mieć go w zasięgu broni. Początkowo niczego nie zauważyłem. – Tylko bez sztuczek. Niby co mam zobaczyć?

– Gabloty. Dwie są rozbite! – Odwrócił się do mnie gwałtownie. – Ja stąd wychodzę.

Na ślepo, nie zważając na pistolet, który trzymałem w ręku, ruszył w stronę drzwi. Ogarnięty dzikim przerażeniem, z konwulsyjnie wykrzywioną twarzą, usiłował precyzyjnie przycisnąć się obok mnie. Przytrzymałem go, ale strach dodał mu siły, odepchnął mnie i zmierzał prosto do wyjścia. Ruszyłem za nim, odwróciłem pistolet i rękojeścią walnąłem go w głowę. Runął jak zrąbane drzewo.

Odciągnąłem go od drzwi i cofnąłem się w głąb laboratorium, żeby ocenić zakres szkód. Stłukły się szyby w dwóch gablotach inkubacyjnych i szczątki płytek Petriego rozproszyły się po całej podłodze, razem z galaretowatą pożywką i posiewami.

Odwróciłem się gwałtownie, gdy z impetem otworzyły się drzwi laboratorium. W progu stał Archie Ferguson. – Ma pan rację, panie Jaggard – powiedział. – Te cholery urządziły tu drugą Gruinard!

– Wynoś się! – Wrzasnąłem. – Wynoś się, bo zginiesz! – Popatrzył na mnie nic nie rozumiejąc, a ja pokazałem mu na szklaną szybę na końcu pokoju. – Idź tam obok, tam porozmawiamy. No, rusz się!

Drzwi się zatrzasnęły.



Gdy sięgnąłem po mikrofon, z trudem opanowywałem drżenie ręki. Nacisnąłem umieszczony na nim przycisk i usłyszałem, że się włączył. – Archie, słyszysz mnie? – Znajdujący się za szybą Ferguson skinął głową i coś powiedział, ale żaden dźwięk do mnie nie dotarł. – Masz przed sobą mikrofon.

Rozejrzał się i wziął mikrofon do ręki. – Co się tu dzieje? – zapytał.

– Tu jest piekielnie niebezpiecznie. Powiedz swoim ludziom, żeby nie wchodzili do żadnych laboratoriów, a zwłaszcza do tego i do tego po drugiej stronie korytarza. Zrób to od razu.

– Dobra, postawię ludzi, żeby pilnowali drzwi. – Odłożył mikrofon i wybiegł.

Podszedłem do Cregara. Leżał z dziwnie przekręconą głową i oddychał chrapliwie, więc ułożyłem go w bardziej naturalnej pozycji. Oddychał łatwiej, ale nie widać było, żeby odzyskiwał przytomność.

– Panie Jaggard, słyszy mnie pan?

Wróciłem do szyby. Stał za nią Archie ze swoim bratem Robbiem oraz jakiś wielkolud, którego mi przedstawili jako Wattie Stevensona. – Coś mi się zdaje, że ma pan jakieś problemy – powiedział Archie. – Ta panienska po drugiej stronie korytarza to ta, której pan szukał?

– Tak. Nikt tam do niej nie wchodził, co?

– Nie. Widziałem ją tylko przez szybę.

– To dobrze. Ilu mamy ludzi? Słyszałem, że jest dwadzieścia ludzi.

– Skądże. Jest tylko sześć.

– Mieliście jakieś trudności?

– Właściwie nie. Cały bilans to jedna złamana szczęka.

– Ile oni tu mają personelu? – zapytałem.

– Mniej, niż myślałem; ze dwanaście osób.

Ogilvie miał rację, laboratorium mikrobiologiczne nie wymagało dużej obsady, wystarczyło z sześciu laborantów i drugie tyle personelu pomocniczego. – Zaaresztuj ich wszystkich, z mojego upoważnienia.

Archie przyjrzał mi się badawczo. – A właściwie co pana upoważnia, żeby mnie upoważniać? –

Wyjąłem legitymację i przyłożyłem ją do szyby. – Mnie to nic nie mówi – powiedział Archie – ale wygląda urzędowo.

– Dzięki temu nikt cię nie będzie szarpał za to, że wtargnąłeś na teren rządowy. Zrobiłeś to na moje polecenie i jesteś kryty. Aha, gdybyś natknął się na faceta imieniem Max, to możesz się z nim nie patyczkować.

Robbie Ferguson roześmiał się. – Właśnie to on ma złamaną szczękę. Wattie mu przyłożył.

– Lekuchno go trąciłem – odezwał się Wattie. – Gość ma szklane kosteczki.

– Wattie jest mistrzem Szkocji w rzucie młotem – wyjaśnił Archie z ponurym uśmiechem. – W dodatku, to właśnie jego Max po chamsku spławił kiedy Wattie wybrał się tu specjalnie, żeby powiedzieć, że zawsze chętnie pomoże. Dobra, co mamy teraz do roboty?

– Dzwoniłeś do Ogilvie’ego, tak jak prosiłem?

– Tak. Powiedział, że już wie o sprawie.

Kiwnąłem głową. Zapewne było to już po rozmowie z Cregarą. – Zadzwoń do niego jeszcze raz i przełącz mi rozmowę na ten aparat. Musisz tylko znaleźć centralkę telefoniczną.

– A pan nie może się stamtąd ruszyć?

– Nie. Możesz słuchać mojej rozmowy. Upoważniam cię. – Za moimi plecami rozległ się jęk. Odwróciwszy się zobaczyłem, że Cregar zaczyna się poruszać. – Powiedz ludziom, których postawiłeś do pilnowania drzwi, żeby z laboratoriów nikogo nie wypuszczali. Właściwie chyba to jest najważniejsze. Z całą pewnością mają tu broń. Trzeba ją znaleźć i w razie konieczności możecie jej użyć.

Archie miał bardzo ponurą minę. – Czy to aż takie groźne?

– Już sam nie wiem – powiedziałem ze znużeniem. – Wolę dmuchać na zimne. Weźcie się już do roboty, dobrze?

Wróciłem do Cregar, pomogłem mu się podnieść i posadziłem go na krześle; zwałił się na nie jak bezwładna kukła. Był w szoku. Już nie te lata na taką zabawę. – Cregar, słyszy mnie pan? – zapytałem. Wymamrotał coś, czego nie zrozumiałem. Klepnąłem go w policzek. – Słyszy mnie pan?

– Tak – wyszeptał.

– Niech pan nie próbuje stąd wyjść. Przed drzwiami stoi człowiek, który ma rozkaz strzelać. Rozumie pan?

Spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem i kiwnął głową. – Nie szkodzi – wymamrotał. – Ja już i tak umarłem. Obaj już umarliśmy.

– Za sto lat wszyscy będziemy w grobie – powiedziałem i poszedłem jeszcze raz popatrzeć na

potłuczone płytki oraz rozmazane po podłodze hodowle. Wyglądało to zupełnie niewinnie, mimo to uważałem, żeby przypadkiem czegoś nie dotknąć. Penny opowiadała mi, jakie skomplikowane środki ostrożności stosuje się w laboratoriach, by niebezpieczne organizmy przypadkiem nie wydostały się na zewnątrz. Według niej placówka, w której się znajdowałem, nie była wyposażona odpowiednio do prowadzonej tu działalności.

Mogły to być najzwyklejsze E.coli, a więc organizmy całkowicie nieszkodliwe. Ale równie dobrze mogły to być szczepy E.coli, z którymi eksperymentował Carter, a więc w nieobliczalny sposób groźne dla ludzi. Cregar nie był naukowcem, ale wiedział, czym się Carter zajmuje, i wpadł w śmiertelne przerażenie na sam widok potłuczonych płytek. Od tej chwili nie wolno było ryzykować. Miałem tylko nadzieję, że nie doszło do wycieku w chwili, gdy Archie otworzył drzwi. Byłem jednak dobrej myśli, ponieważ w laboratorium panowało podciśnienie, a Archie zareagował błyskawicznie.

Dwadzieścia minut później miałem połączenie z Ogilviem.

Nie traciłem czasu na uprzejmości i nie odpowiedziałem na pytania, którymi mnie zasypał. – Trzeba działać błyskawicznie – powiedziałem. – Więc proszę uważnie słuchać. Ma pan czym notować?

– Nagrywam. – Usłyszałem pstryknięcie.

– W laboratorium Cregara na Cladach Duillich doszło do katastrofy. Mamy jedną osobę chorą i dwie z podejrzeniem o infekcję. Organizm, który wywołał chorobę, nie jest jeszcze znany medycynie, powstał zapewne w wyniku inżynierii genetycznej; ponadto jest nadzwyczaj zaraźliwy. Nie wiem, czy choroba, którą wywołuje jest śmiertelna, ale takie prawdopodobieństwo istnieje. Niech pan bije na alarm. Najlepiej zwrócić się do szefa Penny, profesora Lumsdena. Niech mu pan powie, że konieczna jest hospitalizacja trzech pacjentów w warunkach P4 – powtarzam: P4. Będzie wiedział, co to znaczy. Niech mu pan powie, że sugeruję Porton Down, ale może będzie miał jakiś lepszy pomysł.

– Zajmę się tym natychmiast – powiedział Ogilvie. – Kim są te trzy osoby?

– W stanie ciężkim jest Penny Ashton.

Usłyszałem, jak Ogilvie gwałtownie wstrzymał oddech. – O, Boże! Strasznie mi przykro.

Ciągnąłem dalej. – Z podejrzeniem o chorobę jest Cregar i ja.

– Na miłość boską, Malcolm, co się tam dzieje? – krzyknął Ogilvie.

Nie zwracałem na niego uwagi. – Na Cladach Duillich jest lądowisko helikopterowe, więc najlepiej niech Lumsden skorzysta ze śmigłowca. Niech mu pan powie, że powinien tu się kontaktować z człowiekiem nazwiskiem Carter, doktor Carter. To on wyprodukował tego diabelskiego bakcyła.

– W porządku, wszystko zrozumiałem.

– To niech się pan pośpieszy. Boję się, że Penny umiera – powiedziałem ponuro.



Znaleźliśmy się z Cregarem w przedziwnej sytuacji. Nienawidziliśmy się wprost niewiarygodnie, a byliśmy skazani na swoje towarzystwo. Czekало nas ileś godzin w bardzo niewygodnych warunkach, ale postarałem się zapewnić nam możliwy komfort.

Archie Ferguson wrócił, gdy tylko skończyłem rozmawiać z Ogilviem. Miał twarz człowieka śmiertelnie przerażonego. Wyobrażam sobie, że tak właśnie wyglądał prorok biblijny po ułożeniu któregoś z najbardziej ponurych rozdziałów Starego Testamentu. – Żeby ich piekło pochłonęło! – wyrzucił z siebie.

– Spokojnie – powiedziałem. – Mamy masę spraw do załatwienia. – Przypomniało mi się, że Ogilvie nagrał naszą rozmowę na magnetofon, i nasunęło mi to pewien pomysł. – Poszukaj, może uda ci się znaleźć jakiś magnetofon. Bardzo by się przydał.

Archie opanował się trochę. – Dobra, zobaczę, co się da zrobić.

– Będzie nam tu potrzebne jedzenie, ale możesz je podać tylko raz. Musisz to zrobić w następujący sposób. Otworzysz zewnętrzne drzwi laboratorium i zaraz za nimi postawisz na podłodze jedzenie. Dasz mi znać, że już zamknęłaś drzwi, a wtedy ja to stamtąd zabiorę. Tę operację możemy bez ryzyka wykonać tylko raz. Za drugim razem bakterie mogłyby wydostać się na zewnątrz przez służbę powietrzną. Więc daj nam tyle jedzenia, żeby w razie czego wystarczyło na trzy posiłki. Byłoby nieźle, gdyby ci się udało znaleźć termosy na kawę.

Ferguson spojrzał ponad moją głowę. – A tamten facet to ten Cregar, o którym pan mówił?

– Tak.

– To ja mu żarcia nie przyniosę.

– Rób, co ci każe – rozkazałem ostro. – Albo jemy obaj, albo ja też nie jem.

Zrobił głęboki wdech, skinął głową, odłożył mikrofon i wyszedł. Wrócił po trzydziestu minutach. – Wałówkę już tam postawiłem. Udało mi się zorganizować coś lepszego niż termosy. Ma pan tam ekspres do kawy, więc będzie pan mógł robić świeżą, kiedy tylko pan zechce.

– Dzięki. – Jeszcze jedno mi się przypomniało. – Słuchaj, Archie, w laboratorium utrzymywane jest ciśnienie niższe niż na zewnątrz. Oznacza to, że muszą tu być jakieś pompy, a pompy są napędzane elektrycznością. Oddeleguj kogoś do pilnowania generatora; nie chcę, żeby tam cokolwiek nawaliło z powodu awarii czy z braku paliwa. Dopilnuj tego, dobrze?

– Dobra. Zrobi się.

Wyszedłem do służby i przyniosłem jedzenie. Była to fura kanapek, do której Archie dołożył też



mały magnetofon kasetowy. Postawiłem wszystko na stole obok telefonu. Cregar zachowywał się apatycznie i patrzył na kanapki bez zainteresowania. Napełniłem ekspres wodą z kranu przy jednym ze stołów laboratoryjnych i nastawiłem kawę. Cregar chętnie się napił kawy, ale odmówił jedzenia.

Dyskretnie włączyłem magnetofon; chciałem, mieć oskarżenie Cregara z jego własnych ust. – Mamy sporo do omówienia – zacząłem.

– Tak? – zapytał bez cienia zainteresowania. – Nic już nie ma znaczenia.

– Jeszcze pan nie umarł i jeśli Ogilvie przystąpił do działania, to być może wcale pan tak szybko nie umrze. Od kiedy Benson wiedział, że Ashton interesuje się genetyką?

– Chyba od 1971 – zaczął Cregar po dłuższej chwili milczenia. – Zauważył, że Ashton wciągnął się w tok studiów córki, a potem zaczął nad czymś intensywnie pracować, zwłaszcza podczas weekendów. Wykonywał mnóstwo obliczeń. Benson starał się rzucić okiem na to, co robi, ale Ashton go nie dopuszczał. Trzymał swoje papiery pod kluczem. – Cregar zamyślił się i ciągnął dalej w zadumie. – Ashton nigdy mnie nie lubił. Nieraz zastanawiałem się, czy on wie, co ja robię. – Gestem pokazał na laboratorium. – To laboratorium, na przykład, powinno być całkowicie utajnione. Ale człowiek bogaty zazwyczaj może się dowiedzieć wszystkiego, czego chce. – Wzruszył ramionami. – Tak czy owak, starannie zadbał o to, żeby Benson nie mógł podejrzeć, co robi.

– Pewnie więc bardzo pana zaskoczyło, że skarbiec był pusty.

Kiwnął głową. – Benson wiedział o skarbcu, ale nigdy nie udało mu się do niego dostać. A kiedy Ogilvie mi powiedział, że skarbiec jest pusty, nie dawałem wiary. Przyjąłem ten fakt do wiadomości dopiero wówczas, gdy pozwolił go zbadać jednemu z moich ludzi. – Podniósł wzrok. – Inteligentny z pana człowiek. Nie pomyślałem o modelu kolejki. I to był błąd. Ludzie pokroju Ashtona nie bawią się modelami pociągów.

Cregar mówił swobodnie. Pewnie uznał, że nie ma powodu niczego taić. Był to rodzaj wyznania na łożu śmierci.

– Jednej rzeczy nie mogę zrozumieć – powiedziałem. – Jak pan zdołał zorganizować zamach Mayberry’ego na Gillian. A także, dlaczego pan to zrobił. To akurat wydaje mi się zupełnie bez sensu.

– Bo też było bez sensu – odparł Cregar. – Nie miałem z tym nic wspólnego. Dopóki policja nie wytropiła Mayberry’ego, nawet nie wiedziałem o jego istnieniu. Pamięta pan, jak na zebraniu szefów wydziałów Ogilvie wspomniał, że „wypłoszył” pan Ashtona ze Sztokholmu? No więc, to ja „wypłoszyłem” Ashtona z Anglii.

– W jaki sposób?

– Cóż, połączyłem oportunistycznym planowaniem. Od bardzo dawna chciałem się dostać do Ashtona. Chciałem wykurzyć go z domu, żeby zajrzeć do tego skarbcza. Uważałem, że z pewnością już ukończył to, nad czym pracował. Poczyłem nawet pewne przygotowania – wynająłem mieszkanie w Sztokholmie i otworzyłem tam konto bankowe, zorganizowałem paszport izraelski i tak

dalej. Potrzebowałem tylko jakiejś sprężyny, która uruchomiłaby całą akcję. I wtedy właśnie nawinął się ten wariat, Mayberry. Dosłownie spadł mi z nieba. Kazałem Bensonowi nastraszyć Ashtona, opowiadać mu o groźbach pod adresem drugiej córki i tak dalej. Kazałem mu także powiedzieć, że nasz wydział jest w takich sprawach bezsilny i że jedynym sposobem zapewnienia sobie bezpieczeństwa jest wyjazd, że możemy mu pomóc i nawet mamy przygotowane dla niego bezpieczne miejsce. A po tym wszystkim okazało się, że ten przeklęty skarbiec jest pusty.

– Ale dlaczego Benson zabił Ashtona?

– Wykonał rozkaz obowiązujący go od trzydziestu lat – oświadczył Cregar bezbarwnym głosem. – Ashtonowi nie wolno było wrócić do Rosjan. Gdyby zaistniała obawa, że może wpaść w ręce Rosjan, obowiązkiem Bensaona było zabić go. A przecież Benson miał wszelkie powody przypuszczać, że jesteście Rosjanami.

– O, Boże! – jęknąłem. – Cóż to był za człowiek ten Benson? Spędził u Ashtona trzydzieści lat, a potem go zabił.

Cregar uśmiechnął się do mnie krzywo. – Poczował się wobec mnie do długu wdzięczności. No i był lojalny.

Przypomniałem sobie, jakie myśli chodziły mi po głowie, kiedy siedziałem w ciemnym pokoju, i z czystej ciekawości zapytałem: – Dlaczego pan to wszystko robił?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem. – Człowiek musi zostawić po sobie jakiś ślad na świecie.

Mróz przeszedł mi po kościach.

Mnie już niewiele więcej interesowało, ale tama pękła i Cregar mówił dalej, nieprzerwanie. Ucieszyłem się więc, kiedy rozległ się dzwonek telefonu. Dzwonił Ogilvie. – Leci do was helikopter RAF-u z zespołem medycznym – powiedział. – Lumsden zgadza się z tobą co do Porton i już się z nimi skontaktował. – Ogilvie przerwał na moment. – Poprosił mnie także, żebym cię przeprosił w jego imieniu. Zupełnie nie wiem za co.

– Ale ja wiem. Proszę mu ode mnie podziękować. Kiedy mam się spodziewać helikoptera?

– W tej chwili kompletują zespół. Myślę, że za jakieś sześć godzin. Jak się czuje panna Ashton?

– Nie wiem – powiedziałem z goryczą. – Nie mogę pójść do niej. Jest nieprzytomna. Zresztą, proszę to też powiedzieć Lumsdenowi.

Ogilvie miał ochotę jeszcze pogadać, ale ja nie podtrzymywałem konwersacji. Nie byłem w nastroju do rozmów. Minęło mniej więcej pół godziny i znów odezwał się telefon. Dzwonił Archie Ferguson. – Dzwoni jakiś Starkie i chce rozmawiać z Carterem. Mam go połączyć?

– Najpierw przełącz go do mnie. – Coś zatrzeszczało w słuchawce, a potem usłyszałem w niej niski głos. – Mówi Richard Starkie; czy to doktor Carter?

– Nie. Malcolm Jaggard. Kim pan jest?

– Jestem lekarzem, dzwonię z Porton Down. Pan jest jedną z osób, które uległy zakażeniu?

– Tak.

– Ma pan już jakieś objawy?

– Jeszcze nie.

– Skoro to Carter wyprodukował tę piekielną zarazę, to tylko on może coś wiedzieć na jej temat. Muszę go wypytać.

– Dobra – powiedziałem. – Proszę mi dać znać, gdyby nie chciał udzielić panu niezbędnych informacji. Słyszysz nas, Archie?

– Tak.

– To połącz pana z Carterem. Gdyby Cartera trzeba było zachęcać do rozmowy, z pewnością znajdziesz jakiś sposób.

Siedem godzin później przyjechali nas zabrać. Ubrani byli jak do lotu w kosmos: w plastikowych kombinezonach i z aparatami tlenowymi. Zapakowali nas do plastikowych worków, podłączyli dopływ powietrza i worki szczelnie zamknęli. W śluzie powietrznej zlano je dokładnie jakimś płynem, tak samo zresztą jak kombinezony naszych wybawców. Następnie przeniesiono nas do helikoptera. Penny już tam była, też w worku i ciągle nieprzytomna.



W miesiąc później czułem się znacznie różnie, bo Starkie stwierdził na piśmie, że jestem całkowicie zdrowy. – Przez ostatnie trzy tygodnie badaliśmy każdą bakterię E. coli, którą u ciebie znaleźliśmy, i wszystkie, co do jednej, były normalne. Nie wiem, czemu gniesz mi tu w wyrku. To jest szpital, a nie hotel!

Początkowo Starkie wcale nie był taki wesolutki. Umieszczono mnie w sterylnym pomieszczeniu i przez całe dwa tygodnie nikomu nie wolno było mnie dotknąć. Wszystkie zabiegi przy mnie wykonywano aparaturą zdalnie sterowaną. Później się dowiedziałem, że nad moim zdrowiem czuwał zespół złożony z trzydziestu lekarzy i pielęgniarek.

To nic w porównaniu z tym, co wyprawiali z Penny. Dla niej zmobilizowano wszystkie siły medyczne Zjednoczonego Królestwa, całkiem liczną reprezentację medycyny amerykańskiej i europejskiej oraz kilku lekarzy australijskich. Ją dopadło jakieś inne paskudztwo niż mnie, a było to coś tak wyjątkowo groźnego, że świat medyczny wpadł w panikę. Wprawdzie zdołali wyleczyć Penny, ale chcieli mieć całkowitą pewność, że w jej organizmie nie przetrwał ani jeden śmiertelny bakcyl. W rezultacie Penny opuściła Porton Down miesiąc później niż ja.

Przy jakiejś okazji Starkie powiedział mi bardzo poważnie: – Gdyby została tam, bez należytej opieki, choćby jeden dzień dłużej, to wątpię, czy byśmy ją z tego wyciągnęli. – Pomyślałem wtedy o Carterze. Ciekaw byłem, jak jego potraktowano i co z nim zrobiono. Ale nigdy się tego nie dowiedziałem.

Kiedy już wypuścili mnie z izolatki, ale wciąż jeszcze trzymali w szpitalu, poszedłem odwiedzić Penny. Nie mogłem jej pocałować ani nawet dotknąć, ale mogliśmy przynajmniej porozmawiać przez szybę. Była w całkiem niezłym nastroju. Opowiedziałem jej trochę o tym, co się wydarzyło, nie wszystko jednak. Wiedziałem, że będzie na to czas, kiedy już całkiem wydobrzeje. – Chciałbym, żeby cię już stąd wypuścili – powiedziałem – i to natychmiast. Chcę się wreszcie ożenić.

Uśmiechnęła się promiennie. – Jak to dobrze, Malcolmie.

– Nie mogę wyznaczyć terminu – zaliłem się. – Bo ten potwór Starkie gotów jest cię tu trzymać i w nieskończoność badać twoje piękne wnętrza.

– A co byś powiedział na podwójne wesele? – zapytała. – Dostałam właśnie list od Gillian z Nowego Jorku. Peter Michaelis pojechał tam do niej i poprosił ją o rękę; leżała właśnie w szpitalu z prawą ręką przytwierdzoną do lewego policzka, omotana kilometrami bandażu. Bardzo ją to ubawiło.

– Coś podobnego!

– To nie jest sprawa na już. Musimy poczekać, aż nas wszystkich powypuszczają ze szpitali. Jak myślisz, czy cztery miesiące to nie za długo?

– Stanowczo za długo – odpowiedziałem od razu – ale poczekam.

Nikogo nie pytałem o zdrowie Cregara, bo mnie to nie interesowało.

W dniu, w którym mnie wypuszczono z izolatki, przyszedł do mnie w odwiedzinach Ogilvie z obowiązkową w takich okazjach torbą winogron. Przyjąłem go z pewną rezerwą. Wypytał mnie o zdrowie, a ja odesłałem go do Starkie'ego. – Dostaliśmy wreszcie, po dezynfekcji, kasety z nagraniem – oznajmił. – Cregar się już z tego nie wywinie.

– Udało się komuś rozszyfrować programy komputerowe Ashtona? – zapytałem.

– O, Boże! To fantastyczna sprawa. Wszyscy twierdzili, że ten facet to geniusz i – powiadam ci – potwierdziło się.

– To znaczy?

Ogilvie podrapał się w głowę. – Nie wiem, czy potrafię to wytłumaczyć. W końcu nie jestem naukowcem. Powiem tylko, że Ashton jest chyba Einsteinem genetyki. Dokonał teoretycznej analizy cząsteczki DNA i opracował zestaw dość zawiłych równań. Zastosowanie tych równań pozwala precyzyjnie przewidzieć najprzeróżniejsze układy genetyczne, określić, jakie powiązania są możliwe, a jakie nie. Jest to osiągnięcie rewolucyjne; daje genetyce solidne podstawy matematyczne.

– Lumsden jest pewnie szczęśliwy.

Ogilvie zjadł winogrono. – Jeszcze o tym nie wie. To informacja poufna. Na razie niczego nie podajemy do wiadomości publicznej.

– Dlaczego?

– Ministrowi się wydaje, że... no, są powody, żeby tego na razie nie ujawniać. W każdym razie tak twierdzi.

Była to przygnębiająca wiadomość. Parszywi politycy zawsze mają jakieś parszywe powody. Rzygać mi się chce, jak o tym myślę. Minister to drugi Cregar. Trafiła mu się karta atutowa, którą może wykorzystać w rozgrywkach o władzę, i postanowił nie wypuszczać jej z ręki.

Ogilvie zjadł następne winogrono. – Pytałem Starkie'ego, kiedy zamierza cię wypuścić, ale nie chciał się zdeklarować. W każdym razie, kiedy już wyjdiesz, mam dla ciebie nowe zajęcie. Jak wiesz, za dwa lata Kerr odchodzi na emeryturę.

Chciałbym, żebyś go zastąpił, więc będziesz musiał się wciągnąć. – Kerr był zastępcą Ogilvie'ego. Ogilvie uśmiechnął się. – Za siedem lat, kiedy i ja odejdę, mógłbyś kierować wydziałem.

– Niech się pan odwali! – powiedziałem.

Ogilvie rzadko okazywał zaskoczenie. Tym razem jednak było ono widoczne. – Co powiedziałeś?

– Przecież pan słyszał. Powiedziałem, żeby się pan ode mnie odwalił. Mam gdzieś stanowisko Kerra i pańskie stanowisko, i pana ministra też mam gdzieś.

– Co cię napadło? – zapytał.

– Powiem panu. Zamierzał pan się dogadać z Cregar.

– Kto tak powiedział?

– Cregar.

– I ty mu uwierzyłeś? Przecież on kłamie jak najęty.

– Tym razem jednak, wyjątkowo, uwierzyłem mu, bo akurat nie miał powodu kłamać. Złożył panu propozycję, tak?

– Rozmawialiśmy, to fakt.

Kiwnąłem głową. – I dlatego nie mam zamiaru wracać do pana wydziału. Mam już dosyć kłamstw i półprawd; mam już dosyć prywaty udającej patriotyzm. Zrozumiałem to, kiedy Cregar nazwał mnie uczciwym człowiekiem; nie było w tym komplementu, tylko sugestia, że nie zostałem jeszcze skorumpowany. Uświadomiłem sobie, że Cregar się myli. Uczciwy człowiek nie mógłby zrobić tego, co ja zrobiłem Ashtonowi.

– Chyba traktujesz to wszystko zbyt emocjonalnie – stwierdził Ogilvie sztywno.

– Traktuję to emocjonalnie – odparłem – bo nie jestem pozbawiony uczuć, bo nie jestem robotem. A teraz niech się pan wynosi razem z tymi zakichanymi winogronami.

Ogilvie wyszedł i nie był przesadnie zmartwiony.





A potem żyli długo i szczęśliwie. Główny bohater poślubił główną bohaterkę, zaś bohater drugoplanowy poślubił drugoplanową heroinę, opuścili chatkę ubogiego drwala i zamieszkali we wschodnim skrzydle pałacu królewskiego.

Ale tylko bajki tak się kończą.

W dniu, w którym Penny wyszła ze szpitala, wypuściliśmy się na miasto we trójkę, to znaczy Penny, Peter Michaelis i ja; coś niecoś wypiliśmy i bawiliśmy się doskonale. W dniu, w którym Gillian wróciła ze Stanów, znów poszliśmy w miasto, tym razem we czwórkę, z podobnym rezultatem. Amerykański chirurg plastyczny był chyba geniuszem, gdyż Gillian miała teraz ładniejszą buzię niż przed wypadkiem. Cieszyłem się, że Peterowi tak się szczęśliwie układa.

Już słyhać było bicie dzwonów weselnych. Penny i Gillian grasowały po mieście, buszowały po najlepszych sklepach, ogoławając je z sukien i innych fatalaszków. Ja tymczasem rozglądałem się za jakimś domem. Wreszcie znalazłem odpowiedni, pokazałem go Penny, wpłaciłem zaliczkę, a resztę zawyłych i kosztownych negocjacji zleciłem prawnikom. Wszystko to było bardzo wyczerpujące.

Dziesięć dni przed wyznaczonym terminem ślubu poczułem, że powinienem odwiedzić doktora Starkie'ego. Wysłuchał mnie, skrzywił się i zaprowadził mnie do laboratorium, gdzie wykonał całą serię badań. Kazał przyjść za tydzień.

Po tygodniu, kiedy miałem się zgłosić po wyniki, dowiedziałem się z „Timesa” o śmierci Cregara. Zrobiło mi się niedobrze, kiedy przeczytałem nekrolog. Wynikało z niego, że odszedł wzorowy urzędnik państwowy, który wiernie i z oddaniem służył ojczyźnie. Wychwalano go jako ideał godny naśladowania przez przyszłe pokolenia. Wyrzuciłem gazetę przez okno i natychmiast tego pożałowałem; nie wolno takim świństwem zaśmiecać kraju.

Starkie przywitał mnie z poważną miną. – Nie jest dobrze, co? – zapytałem.

– Nie – odpowiedział nie owijając w bawełnę – masz raka.

Był to potężny cios, ale w pewnym sensie liczyłem się z tym. – Ile czasu mi zostało? – zapytałem.

– Z sześć miesięcy, rok, może trochę dłużej, ale niewiele.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Nie pamiętam co tam zobaczyłem. – Cregar nie żyje – powiedziałem. – To było to samo?

– Tak.

– Jak i dlaczego?

Starkie westchnął. – Ten przeklęty dureń Carter prowadził diabelnie ryzykowne eksperymenty.

Dzielił cząsteczki DNA na bardzo krótkie odcinki, wszczepiał je E. coli i patrzył, co się będzie działo. Nie jest to zła technika, pod warunkiem że się wie, co się robi, i stosuje odpowiednie środki bezpieczeństwa.

– Carter stosował środki ostrożności – powiedziałem. – To się stało przez moją własną głupotę.

– Nieprawda – burknął Starkie. – Cregar wywierał na niego nacisk, ponaglał go. Nie chciał czekać na dostawę osłabionej genetycznie kultury E.coli ze Stanów, więc posłużył się normalną bakterią. Nie było żadnych hamulców ani barier biologicznych. To paskudztwo dostało się wprost do twojego przewodu pokarmowego i radośnie się tam mnożyło.

– I z tego mam teraz raka? – Wydawało mi się to mało prawdopodobne.

– Spróbuję ci to wyjaśnić możliwie najprościej – powiedział Starkie. – W naszym przekonaniu materiał genetyczny wszystkich zdrowych komórek zawiera również geny zdolne produkować rakotwórcze związki chemiczne, które jednak w normalnych okolicznościach pozostają pod kontrolą innych genów. Przy eksperymentach tego typu, jakie robił Carter, to znaczy przy wprowadzeniu krótkiego odcinka łańcucha DNA do bakterii E.coli istnieje niebezpieczeństwo, że wprowadzi się gen rakotwórczy, ale bez genu, który go trzyma pod kontrolą. I do tego właśnie doszło u ciebie. Bakteria E. coli, która zagnieździła się w twoim przewodzie pokarmowym, produkowała rakotwórcze związki chemiczne.

– Ale przecież przebadaliście mnie dokładnie i podobno wszystkie moje E.coli były normalne.

– Zgadza się. Wszystko to prawda. Jedną z największych trudności w tych doświadczeniach jest uzyskanie takiego szczepu, który się będzie replikował wiernie. Te szczepy są bardzo niestabilne. W twoim przypadku niemal natychmiast zaczęły się replikować normalne E.coli. Jednak bakterie o działaniu rakotwórczym pozostawały w twoich jelitach dostatecznie długo, żeby narobić szkód.

– Rozumiem. – Nagle zrobiło mi się zimno. – A co z Penny?

– Z nią jest w porządku. Zaatakowała ją zupełnie inna bakteria. Sprawdziliśmy to.

– Dziękuję, panie doktorze – powiedziałem. – Był pan bardzo szczery i jestem panu za to wdzięczny. Co się teraz będzie działo?

Starkie potarł szczękę. – Gdybyś się sam nie zgłosił, byłbym cię wezwał w związku z tym, jaki przebieg miała choroba lorda Cregara. Jest to nieznaną dotychczas typ nowotworu; w każdym razie ta konkretna forma nie została jeszcze opisana. U Cregara choroba miała przebieg bardzo gwałtowny; być może ze względu na jego wiek. Starsze układy komórkowe są bardziej podatne na nowotwory. Myślę, że twoja sytuacja jest lepsza.

„O tyle o ile” – pomyślałem. Starkie przemawiał do mnie spokojnym, równym głosem. Lekarze zawsze mówią takim tonem, kiedy mają do przekazania złe wieści. Zapisał coś na karteczce. – Zgłoś się do tego lekarza. To znakomity onkolog i zna twój przypadek. Zapewne da ci leki cytostatyczne i być może zaaplikuje ci radioterapię. – Zrobił pauzę. – Jesteś rozsądny, więc radzę ci uporządkować swoje sprawy.

Jeszcze raz podziękowałem, wziąłem kartkę z adresem onkologa i wróciłem do Londynu, gdzie wysłuchałem kolejnej porcji złych wiadomości. Potem poinformowałem Penny. Nie musiałem powtarzać jej wyjaśnień Starkie'ego, ponieważ w mig zrozumiała, w czym rzecz. W końcu to jej dziedzina. – Naturalnie ślub odwołujemy – zdecydowałem.

– Ależ nie, Malcolmie!

Więc znów się pokłóciliśmy i tym razem to ja wyszedłem ze sporu zwycięsko. – Nie mam nic przeciwko temu, żebyśmy żyli w grzechu. Zamieszkać ze mną i bądź moją miłością. Znam pewne miejsce w południowej Irlandii, gdzie pagórki są zielone, a morze jest błękitne, gdy świeci słońce – co się dość często zdarza. Gdy słońce skryje się za chmurami, morze staje się zielone i fale atlantyckie walą o brzeg. Mógłbym tam spędzić z pół roku, gdybyś zechciała mi towarzyszyć.

Pojechaliśmy do Irlandii natychmiast po ślubie Gillian i Petera. Nie była to uroczystość tak radosna, jakbyśmy chcieli; mężczyźni byli poważni, a kobiety miały łzy w oczach, ale trzeba to było załatwić.

Był taki moment, że myślałem o samobójstwie. Uznałem jednak, że mam zadanie do wykonania, że muszę opisać dokładnie sprawę Ashtona, uczciwie, niczego nie pomijając i nie wybielając swojej własnej roli. Bóg mi świadkiem, że nie jestem z niej dumny. Penny przeczytała rękopis; niektóre fragmenty ją ubawiły, inne nią wstrząsnęły. To ona przepisała całość na maszynie.

Żyjemy sobie tutaj zwyczajnie, jeśli nie brać pod uwagę zatrudnionego przez Penny personelu medycznego, złożonego z jednego lekarza i trzech pielęgniarek. Lekarz jest sympatycznym młodym Amerykaninem, który źle gra w szachy, a pielęgniarki są śliczne, ale Penny to nie przeszkadza. Dobrze jest mieć zamożną kochankę. Przez pierwszych kilka miesięcy co dwa tygodnie jeździłem do Dublina, gdzie mnie kłuli i opukiwali, i bombardowali atomami. Ale dałem sobie spokój, bo nic mi to nie pomagało.

Zostało mi niewiele czasu. Moja relacja już dobiega końca i moje życie też dobiega kresu. Spisałem to i chcę, żeby się to ukazało w druku, bo – po pierwsze – ludzie powinni wiedzieć, co się robi w ich imieniu, a po drugie dlatego, że prac Ashtona z dziedziny genetyki nie opublikowano. W odpowiednich rękach jego dzieło mogłoby się stać dla ludzi dobrodziejstwem. Szkoda by było, gdyby trzymano je w tajemnicy albo gdyby zostało wykorzystane dla niecznych celów przez jakiegoś Cregarą. Bardzo wielu Cregarów jest u władzy.

Nie wiem, czy wydanie tego drukiem będzie możliwe. Gniew establishmentu jest potężny, a jego metody działania bywają bezwzględne i skuteczne. Niemniej opracowaliśmy z Penny tryb postępowania i zadbamy o to, by te słowa nie przepadły.

Pewien mądry jednonogi Amerykanin powiedział kiedyś parafrazując słowa bohatera sił morskich: – Odkryliśmy wroga i on to my.

Jeśli miał rację, to niech was wszystkich Bóg ma w swojej opiece.